

PG
7158
R4
C5
1914
v.2
MAIN

W. S. REYMONT

CHŁOPI



WARSZAWA GEBETHNER I WOLFF

School of Liberal Arts and Sciences
St. Hyacinth Seminary
Granby, Massachusetts

CHŁOP

TEGOŻ AUTORA WYSZŁY:

	Rb.	k.
Ave Patria. Lili. Burza. Tęsknota. W palarni opium. Sielanka. Los Toros. Ostatnia. Wyd. 3-cie	1	50
Chłopi. Powieść współczesna. II. Zima. III. Wiosna. IV. Lato. po	1	50
W ozd. opr. tom	1	90
Fermenty. Powieść, 2 tomy. Wyd. 3-cie	2	—
Komedyantka. Powieść. Wydanie 3-cie	1	50
Marzyciel. Szkic powieściowy. Senne dzieje. W pruskiej szkole.	1	60
O zmierzchu. Z pamiętnika. W jesienną noc. W porębie. Przy robocie. Wenus. Legenda wigilijna. W głębiach. Dwie wiosny.	1	20
Przed świtem. — Pewnego dnia. — Sprawiedliwie	1	20
Rok 1794. Ostatni sejm Rzeczypospolitej. Powieść historyczna	2	50
Spotkanie. Szkice i obrazki	1	50
Wampir. Powieść	1	80
Ziemia obiecana. Powieść, 2 tomy	2	40
Z pamiętnika. Nowele i obrazki	1	20
Z ziemi chełmskiej. Wrażenia i notatki. Wyd. nowe.	—	50

WŁ. ST. REYMONT

RS

CHŁOPI

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

II

ZIMA



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA ===== LUBLIN ===== ŁÓDŹ
KRAKÓW ===== G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

PRINTED IN POLAND.

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
□□ DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □□

1914

PG
7158
R4
C5
1914
v.2
MAIN

Z i m a.

I.

Nadchodziła zima...

— jeszcze się barowała z jesienią i porykujący tłukła po sinych dalach jako ten zwierz srogi i głodny, że niewiada było kiej przeprze a skoczy i lutymi kłami weźre się we świat...

jeszcze czasami pruszył śnieg nikły, płowy — jesienny śnieg

— jeszcze przychodziły dnie osłupiałe, choroscią sine, ckne, stęgliwe, oropiałe i zgoła lamentem przejęte, a lodowem światłem mżące — dnie trupie, że ptactwo z krzykiem uciekało do borów, trwożniej bełkotaty wody i toczyły się leniwo jakby strachem stężałe, ziemia dygotała, a wszelaki stwór podnosił czujące, lękliwe oczy na północ — w niezgłębioną topiel chmur

— jeszcze noce były jesienne; ośleple, głuche, zamętne a pełne strzępów mgieł i brzasków gwiazd pomarłych — rozgniłe noce dygotliwego milczenia

przenikniętego zduszonym krzykiem trwogi; pełne wzdychów bolesnych, szamotań, nagłych cichości, wycia psów, targań marznących drzewin, żalosnych głosów ptactwa szukającego schronisk, strasznych wołań pustek i rozstajów zgubionych w ciemnicy, łopotów jakichś lotów, cieniów zaczajonych pod ścianami zdrętwiałych chat, pełzających hukań, zjaw przerażających, nawoływań nierozeznanych, młasków okropnych, przeszywających jęków

— jeszcze czasami, o zachodzie, z pośępnych pól ołowianego nieba, wyłupywało się czerwone, ogromne słońce i spadało ciężko, niby kadtz roztopionego żelaza, z której buchały krwawe wrzutki i biły dymy smoliste, czarne popręgowane gorejącami żagwiami, że świat cały stawał w łunach i w pożodze —

I długo, długo, w noc dogasały i stygły na niebie krwawe zarzewia, aż ludzie mówili:

— Zima rośnie i na złych wichrach przyjedzie.

I rosła zima, rosła codzień, co godzina, co to oczymgnienie.

Aż przyszła.

A najrychlej przyleciały zapowiednie wici.

Jakoś wnet po św. Barbarze, patronce dobrej śmierci, o cichym, omdłym zaraniu, spadły pierwsze krótkie, trzepotliwe wiatry; obleciały ziemię ze skowytem, jako te psy węszące tropu, gryzły zagony, warczały w krzaczach, poszarpały śniegi, potarmonyły sady, poomiatyły ogonami drogi, wytarzały się po wodach i milczkiem urwały kajś nie-

kajś co starszych strzech i ogrodzeń, i jęły się zwijać a ze skomleniem uciekać na bory — a po nich, zaraz na odwieczерzu, zaczęły się wysuwać z mroków długie, świszczące i jakoby kolczaste jęzory wichrów.

Wiały noc całą, a tak zasię skowyczały w polach, kiej to stado zgłodniałych wilków; a hulały rzetelnie, bo ano rankiem ziemia już dropiała z pod stratowanych i wyżartych śniegów, gdzieniegdzie ino po dołkach i bruzdach bieleły się poszarpane płoty, a zagony świeciły łysicami, drogi leżały skostniałe i przemarzłe, mróz zaś, wżerał się ostrzymi kłami w ziemię, że dzwoniła jak żelazo — ale skoro dzień nastał, uciekły poszczekując, pokryły się w lasach i w przyczajeniu dygotały skokiem napiętym, złym.

A niebo poczęło się zaciągać coraz mroczniej; chmury wypęzwały ze wszystkich jam, podnosiły potworne łby, przeciągały zgniecione kadłuby, rozwichrzały siwe grzywy, zielonawymi kłami błyskały i szły całem stadem — groźną, ponurą i milczącą ciżbą waliły się na niebo; — szły od północy czarne, olbrzymie góry, postrzępione, podarte, spiętrzone, rosochate niby kupy borów podrugotanych, przerwanych głębokimi przepaściami, zasypanych zielonemi ławicami lodów, a parły się naprzód z dziką mocą, z głuchym poszumem; — od zachodu, z za borów czarnych, nieruchomych wysuwały się zwolna sine, obrzękłe, zwały, prześwitujące gdzieniegdzie jakby ogniem, a szły jedna

za drugą, rzędem nieskończonym, ciągiem coraz większym, jakoby te klucze ptaków wielgachnych; zaś od wschodu, wywlekały się chmury płaskie, zrudziałe, przedwieczne, przeropiałe, zgoła paskudne kieby te ścierwa przegniłe i ociekające posoką; i od południa szły, ino że zwietrzałe, czerwone, podobne do bajorów i trzęsawisk torfowych, a pełne pręg i gruzów sinych, pełne plam i rojowisk strasznych — jakby pełne tego gmerzącego robactwa; a jeszcze i z góry, jakby z wygasłego słońca spadały kłakami brudnymi, to sypały się barwione jako te żuźle stygnące — a wszystkie szły na siebie, stożyły się w góry przeogromne i zalały niebo czarnym, strasznym kipiátkiem błota i rumowisk...

Świat z nagłą poczerniał, cisza się uczyniła głucha, przysgały światłości, sine oczy wód pomdlały, wszystko jakby zdrętwiało i stanęło w zdumieniu z przytąjonym tchem, lęk wionął po ziemi, mróz przenikał kości, strach chycił za gardziele, dusze padły w proch, lute przerażenie załopotowało nad wszelkiem stworzeniem — widać było jak zając gnał przez wieś z rozwianą szerścią, to wrony z krzykiem przejmującym wpadały do stodół albo i zgoła do sieni, psy wyły po przyzbach jak oszalałe, ludzie chyłkiem uciekali do chałup, a nad stawem biegała ślepa kobyła z resztką wozu, tłukła się o płoty, o drzewa, i z dzikim kwikiem szukała stajni.

Ciemnica się rozlewała mętna, dusząca: chmury opadały coraz niżej, zwałały się z lasów rozkotło-

waną gęstwą tumanów i toczyły się po zagonach jak te wody wzburzone, rozhukane, straszne — uderzyły na wieś i zalały wszystko lodowatą, brudną mgłą; — naraz, niebo się przedarło na środku i zajaśniało modrawo niby lustro studienne, świst ostry przeszył ciemności, mgły się skłębiły z nagłą, a z pękniętej czeluści lunął pierwszy wicher, a za nim już leciał drugi, dziesiąty, setny!

Wyły już stadami, lały się z tej gardzieli niby rzeki niczem niepowstrzymane, rwały się jakby z łańcuchów i z rozskowyczoną, wściekłą zgrają biły w chmury, rzucały się na ciemnice i rozwalaly je do dna, przeżerały na wskrós, i rozmiatały niby tę słomę strupieszając.

Wrzask poszedł po świecie, zamęt, szumy świsty, kurzawa.

Chmury stratowane ostrymi kopytami wichrów, uciekały jakby chyłkiem na bory i lasy, niebo się przecierało, dzień znowu zaświecił ołowianemi oczami, stwór wszelki odetchnął z ulgą.

Ale wichry wiały wciąż, bez mała całą niedzielę, a bez folgi żadnej ni przystanku. Dnie, to tam jeszcze jako tako człowiek strzymać wstrzymał, że to ino ci się wiedli na świat, kogo potrzeba gnała, drugie zaś po chałupach siedzieli, i końca wyglądali, ale noce były nie do wytrzymania, a przyszły akuratnie jasne, rozgwieżdżone i w górze ciche, ino na ziemi wichura odprawiała dyabelskie gody, jakby się naraz ze sto chłopów obwiesiło, że i zasnąć nie było można, jakie, kiej

szły takie ryki, trzaski, łomoty i hurkotania jakby tysiące pustych wozów a w pędzie największym przejeżdżało po grudzie, a te tętenty od których ziemia drżała, a te hukania Bóg wie czyje, te wrzaski, te wycia!

Chałupy trzeszczały, bo raz wraz, wichura parła barami ściany, tłukła się o węgły, podważała okapy za przyciesie się brała, w drzwi tłukła jakby łbem, że nie jedne puściły, szyby gnieła aż trza było wśród nocy wstawać i przytykać poduszkami, bo dała się do wnętrza z kwikiem kiej ta świnka uprzykrzona, a tak prażyła ziąbem, iż ludzie pod pierzynami a kostnieli!

Co się naród nacierpiał przez te dnie i noce, to i nie wypowiedzieć!

A co szkód narobiła, to i niezliczyć: poobalała płoty, powydzierała poszycia, u wójta prawie nową szopę przewróciła, Bartkowi Kozłowi wzięła dach ze stodoły i poniosła w pola o dobre pół stajania, Winciorkom komin zwała, we młynie uderła kawał dranicowego dachu, a co stracił pomniejszych!, co drzew wyłamała w sadach i borach! Na wielkiej drodze wyrwała cosik ze dwadzieścia topoli, że padły wpoprzek kiej te trupy srodze pomordowane i obdarte.

W te wiejne i wrzaskliwe dnie, Lipce były jakby wymarłe; wichura hulała po drogach z taką mocą, że kto się ino wychylił z chałupy, wnet go przycapiła za łeb i waliła gdzie popadło — w rowy, o drzewa, na płoty ciepała, a nawet Jaska

Przewrotnego zwała z mostu do stawu, że ledwie się chłopak wygramolił, a dęła wciąż, sypała piaskiem i niosła gałęzie, wióry, snopki z dachów, czasem i wierzchół pomniejszy, że leciały w kuzawie niby te ptaszyska rozgonione i tłukły się o ściany, we świat gnały!

Najstarsi ludzie nie baczili tak swarliwych i uprzykrzonych wiatrów.

Gnietli się też po zadymionych chałupach i swarzyli z ckności nie mało, bo ciężko było nosa pokazać za węgiel, tyła, że co niecierpliwsze kobiety, przebierały się raz wraz chyłkiem pod płotami, niby to z kądzielą szły do kum, a głównie bych pomleć ozorami a nawyrzekać; chłopcy zaś młóciły zawzięcie, z poza przywartych wrótni stodół, biły cepy od rana do późnego wieczora, mróz owarzył zboże, to łacniej się łuszczyło, a ino na odwieczrzezu, kiej wichura nieco folgowała, nie jeden z parobków przemykał się z ćwiartką jaką do karczmy.

A wichry wciąż jednako wiały i gryzły mrozem coraz krzepciej, że już od tej wiejby pozamarzały rzeczki i strugi, bagna stężały, staw nawet pokrył się przejrzystym, modrem prawie lodem, tyle, że ino przy moście gdzie głębiej było, woda się jeszcze burzyła i niedawała, ale brzegi leżały już skute na moc, że trzeba było przyręble ciąć dla wodopojów.

Dopiero przed samą św. Łucją, przyszła odmiana.

Mróz sfolżał, i ociepliło się zdziebko, wichry jakby zdychały, bo ino od czasu do czasu, przedmuchały świat, ale już miększe i nie tak swarliwe, niebo zaś się wyrównało kiedy to pole zbromowane a pokryte wielgachną siwą, zgrzebną płachtą, a tak nisko się opuściło, iż jakby się na przydróżnych topolach wsparło. Ale posępnie było, szaro i głucho.

A skoro jeno przedzwonili na południe, zmrozało się nieco i jął padać śnieg dużymi płatami, a sypał gęsty, bo wnet opierzył wszystkie drzewa i wyniosłości.

Noc się rychlej zrobiła, ale śnieg nie przestawał, sypał coraz gęściej, suchszy nieco a sypki, i tak już przez całą noc padał.

Na świtaniu, było już śniegu na dobre trzy piędzie, do cna przyokrył kożuchem ziemię i przesłonił świat cały modrawą białnością, a leciał wciąż, bez przestanku.

Taka cichość padła na ziemię, że ani jeden powiew nie zadrgał, ani jeden dźwięk się nie przedzierał wskrós tych spływających puchów, nic, zamilkło wszystko, ogłuchło, oniemiało, jakby przed cudem stanęło i przychylone nieco zasłuchało się uroczyście w tym ledwie wyczutym szeleście, w tym locie cichym, w tej białości martwej, rozdręganey i opadającej nieustannie.

Biaława ćma się czyniła, rosła, stawiała; białcy, migotliwy, niepokalany brzask sypał się by ta wełna najbielsza, najmiększa, najśliczniejsza; suły

się gęstwą nieprzeliczoną by ta zamarzła poświata, jakoby wszystkie gwiazdne światłości zakrzepły w szron i starte lotem podniebnym na proch — świat zasypywały — przysłoniły się rychło bory, przepadły pola, że ani okiem uchwycił, zginęły drogi, roztopiła się wieś cała i wsiąknęła w tę białość, w ten oślepiający tuman, a wkońcu nie było już dla oczów nic widne, prócz tych strug śnieżystego pyłu, spływającego tak cicho, tak równo, tak słodko, kiej te wiśniowe okwiaty w noc miesięczną.

Na trzy kroki nie dostrzegł chałupy, ni drzewa, ni płotu, ni czyjej postawy, ino głosy ludzkie latały w tej bieli kiej osłabłe motyle, a mylnie, bo niewiada skąd płynące, dokąd — a coraz słabiej się trzepotały, coraz ciszej...

I tak sypało dwa dni i dwie noce, że wkońcu zasypały chałupy, iż się wznosiły jako te śniegowe kopice buchające brudnymi kołtunami dymów, drogi się wyrównały z polami, sady były pełne po wręby płotów, staw całkiem zginął pod nawalą, biała równia, nieobjęta, chłodna, nieprzenikniona, puszysta i cudna pokryła ziemię, a śnieg wciąż padał, tylko że już coraz suchszy i rzadszy, bo nocami przedzierały się gwiazdne migoty, a w dzień, modrzało niebo gdzie niegdzie wskrósł tych polatujących październików białych, i powietrze stawało się słuchliwsze, głosy darły się ostro przez gęstwę, rażno, hukliwie. Wieś jakby się przebudziła, ruch powstał, kto niekto wyjeżdżał saniami

ale zawracał rychło, bo drogi były nie do przebycia; gdzie niegdzie przekopywali ścieżki między chałupami, odwalali śniegi z przed drzwi, wywierali na ścieżaj obory, radość przejmowała wszystkich, a już dzieci, to szalały z uciechy, psy naszczekiwały wszędzie, polizywały śniegi i ganiały wspólnie z chłopakami, zaroiło się na drogach, wrzaski się podniosły w opłotkach, krzyczeli a bili się śniegółkami, a tarzali w miękkim, puszystym śniegu, a bałwany okrutne czynili, a saneczkami się ciągal, że te ich piski ucieczne i przegony zapełniły wieś całą, aż Rocho zaprzestał nauczania w ten dzień, bo nie mógł nikogój utrzymać przy lementarzu.

Coś trzeciego dnia, o samym zmierzchu, śnieg przestał padać, pruszyło jeszcze niekiedy, ale tak jakby kto worek z mąki wytrzepywał nad światem, że i znać nie było, ale niebo pochmurniało, wrony tłukły się koło domów i przysiadaly na drogach, a noc się zaciągnęła bezgwiezdna, ołowiana, tymi śniegami omroczonymi rozbielona, a taka cicha, zakrzepła i martwa, jakby już całkiem z wszelkiej mocy wyzuta.

— Choćby i ten najlekciejszy wiaterek a zakurki będą — szepnął rankiem, na drugi dzień, stary Bylica, wyzierając przez okienko.

— Niechta będą, zarówno mi jedno! — burknął Antek, dźwigając się z pościeli.

Hanka zażegła ogień w kominie i wyjrzała przed sień, wcześniej było, koguty piały po wsi,

mrok leżał gruby jeszcze, jakby kto wapno zmieszał na poły z sadzą i przetrząsnął świat, że nie-rozeznął ni drzew, ni chałup, ni dalekości, ino na wschodzie tliły się brzaski niby te spopielałe zarzewia, a na ziemi leżała głęboka cichość i chłód surowy wionął.

W izbie też był ziąb przenikający, wilgotny, a tak chwytny, że Hanka wzięła trepy na bosc nogi, w kominie ledwie się tliło, bo jałowcowa świeżyzna ino trzeszczała i dymiała, aż Hanka uści-bnęła drzazek z jakiejś deski, to słomy powtykała, aż wreszcie gałęzie się zajęły płomieniem i roz-świeciliły nieco.

— Naleciało go tyła, że i na całą zimę starczy — zagadał znów stary, wychuchując szybkę, obrośniętą zielonawym, grubym lodem, bych w świat popatrzeć.

Starszy chłopak, któremu już było na czwarty rok, zaczął chlipać w łóżku, a z drugiej strony domu, z mieszkania Stachów, rozbrzmiewały ostre głosy kłótni, wyrzekań i piski dziecińskie i trzaskanie drzwiami.

— Weronka swoim pacierzem dzień zaczyna! — zepnął urągliwie Antek, okręcając nogi, nagrzanemi przed kominem onuczka.

— Przyuczyła się trajkotać, to i trajkocze, chocia nie potrza, ale to nie bez złość, nie... — jąkał cicho stary.

— A juści — dzieciska też tłucze nie bez złość? — albo Stachowi nie da dobrego słowa,

ino ciągiem huru buru, jak na tego psa, to pewnie z dobrości? — mówiła Hanka, przyklękając do kołyski, by dać piersi młodszemu, któren też popłakiwał a kulasami grzebał.

— Ile? — trzy niedziele jak u waja siedzimy w chałupie, a to i dzień jeden obyć się nie obył bez wrzasków, a bijatyki, a tego kłyżnienia! Pies to, nie kobieta! A Stacho ciamajda i pozwala sobie kołki ciesać na łbie, robi jak wół, a gorzej ma od psa.

Stary spojrział lękliwie, chciał nawet coś rzec w obronie, gdy właśnie drzwi się otwały od sieni i Stacho wraził głowę wraz z cepami, co je niósł na ramieniu.

— Antek, chcesz iść do młocki? Organista powiedział, bym sobie dobrał kogo do jęczmienia, a suchy i dobrze, letko się otrzaskuje... — napierał mi się Filip, ale jeżeli chcesz... to juści zarób sobie...

— Bóg zapłać, weźcie Filipa, ja ta u organisty wyrabiał nie będę.

— Twoja wola. Panu Bogu oddaję.

Hanka aż się zerwała na odpowiedź Antkowej, wnet jednak przychyliła się i wtuliła głowę w kołbkę, by lez nie pokazać i tego strapienia!

«Jakże, taka zima, taka skrzytwa, taka bieda, że żyją jeno ziemniakami ze solą, grosza jednego niema, a on robić nie chce! Całe dnie przesiaduje w chałupie, papierosy kurzy i duma! — albo znów gania po świecie, jak ten głupi, za wiatrem chyba!

Mój Boże, mój Boże, jękała boleśnie! Już nawet Jankiel nie chce borgować, krowę przyjdzie sprzedać, coś, uparł się to i sprzeda a do roboty się nie weźmie... Juści, prawda, że mu to i nijako na wyrobek iść, markotno, ale co począć, co? — Żeby to ona chłopem była, mój Boże, nie żałowałaby pazurów, a to choćby kulas po łokcie urobić, bych ino krowy nie sprzedąć, bych ino z wiesny doczekać, zimę przetrzymać... Ale co ja uradzę biedna, co?... Rozskrzypiała się jej tak dusza, że rady dać sobie nie mogła.

Wzięła się do zwykłych, codziennych obrządków, a ukradkiem spozierała na męża, któren siedział przed kominem, okręcił w połę kożucha starszego chłopaka i ocieplał mu nożęta dłonią nagrzewaną, patrzył ponuro w ogień i wzdychał: stary pod oknem obierał ziemniaki.

Milczenie przykre, niepokojące, przesycone tajonymi żałami, wezbrane dławiącym uczuciem nędzy, motało się między niemi. Nie spoglądali sobie w oczy, nie przemawiali, słowa więzły w strapieniach, uśmiechy zgasły, w oczach błyskały tłumione wyrzuty, a w bladych wynędzniałych twarzach widniała gorycz, żale się snuły, a zarazem harda, żelazna nieustępliwość. Przeszło już trzy tygodnie od wypędzenia z ojcowej chałupy, i tyle dni długich, tyle nocy, a nie przepomnieli oboje jeszcze niczego, nie przeboleli krzywdy, ni opamiętali się w zawziętości — tak mocno czuli, jakby się to stało w tem oczymgnieniu.

Ogień trzaskał wesoło, ciepło się rozlewało po izbie aż lód na szybach topniał, i te smugi śniegu nawianego szparami, tajały pod przyciesiami, a gli-niany tok pocił się i odpływał rosą.

— Przyjdą te żydy? — spytała wreszcie.

— Powiedziały, że przyjdą.

I znowu ani słowa więcej. Jakże, któreż miało rzec pierwsze i co? — Hanka?... kiej się bojała gemby ozewrzeć bych te żale nabrane w serce nie lunęły z niej choćby i poniewoli! — Nie, tała wszystko w sobie i powstrzymywała jak mogła. Antek? cóż miał powiadać? — że mu źle? i bez tego wiadomo, a do przyjaćielstwa nie był nigdy skory i do ugwarzania się choćby i z kobietą swoją, ochoty nie miał! Jakże tu i mówić, kiej duszę przeżerała nienawiść, kiej za każdym wspominkiem, serce mu się kurczyło z bolenia a pazury się rozczapierały taką złością, że choćby na całą wieś, a gotów się był rzucić!

Już nie nosił słodkich wspominków o Jagnie, jakby jej nigdy nie miłował, jakby nie brał w te same ręce, któremi teraz gotów był ją rozdzierać. Ale żalu do niej nie miał.

— «Kobieta niektóra, jest jako ten pies zwleczony, pójdzie za każdym, kto ino większą skibką przynęci, albo i kijem postraszy». — Myślał o niej, nie często jednak, bo mu ginęła w pamięci pod nawałą krwawiących, żywych i bolesnych uraz do ojca. Stary był winowaty, ociec to był tym krzywdzicielem, tym osękiem, któren się wbił w samo

serce i bolał coraz ostrzej, przez niego to wszystko, przez niego!

I zbierał, zgarniał w siebie wszystko zło, wszystkie krzywdy, jakich doznał, i przepowiadał je jako ten pacierz niezapomniany! Różaniec ci to był bolesny i jątrzący, ale go sobie przewłóczył przez serce, bych jeszcze lepiej zapamiętać!

O swoją biedę nie stał, chłop zdrowy, to byle miał dach nad głową, więcej mu nie potrza, o dzieciach niech kobieta zabiega, ale sama czysta krzywdą go piekła kiej ogień i rosła wciąż, rozrastała się w nim niby ta parząca pokrzywa! Bo i jakże, trzy niedziele dopiero, a już się cała wieś odwróciła od niego, jakby go nieznali, jakby przybłęda był ze świata, omijali go kiej zapowietrzonego, nikt nie zagadał, do chałupy nie zajrzał, nie pożałował, dobrego słowa nie dał — a jak na tego zbója spoglądali.

Nie, to nie, napraszał się nie będzie, ale i po kątach krył nie będzie, ni ustępował nikomu z drogi. Kiej na udry to na udry! Ale dlaczego to wszystko? Że się z ojcem pobił? Pierwszy raz to we wsi, czy co! Czy to Józek Wachnik nie bije się co dni parę?... Czy to Stach Płoszka nie przetrącił kulasa swojemu? a nikt im marnego słowa nie powiedział, ino jego postponują, bo na kogo Pan Bóg, to i wszyscy święci. Starego to robota, starego, ale zapłacone miał będzie za wszystko, zapłacone.

Jeno dychał odemstą i myśleniem o niej, a cały ten czas żył w gorączce i niepamięci: do roboty

się nie brał, o biedzie nie myślał, w jutro nie patrzył, ino się po tych mękach ciężkich tulał i dał w sobie. Nieraz nocami, zrywał się z pościeli i leciał na wieś, błakał się po drogach, w ciemnicach się krył i marzył zemstę srogą, poprzysięgał, iż nie daruje swojego.

Śniadanie zjedli w cichości, a on wciąż siedział osowiały i przeżuwał te wspominki kiej oset kołący a gorzki.

Dzień się już duży zrobił, ogień przygał, a przez odmrożone nieco szybki biło białawe, zimne światło śniegów; lodowe, smutne brzaski roztrzęsały się po kątach i obnażały izbę, że stanęła w całej nędzy.

Mój Boże, Borynowa chałupa, dworem się widziała przy tej ruderze; co chałupa, nawet obora ojcową, sposobniejszą była la ludzi. Chlew to przegniły nie dom; kupa zmurszałych bali, nawozu i śmiecia zgniłego. Ni jednej deski na ziemi, gliniany tok pełen wybojów, błota przymarzłego i śmieci wdeptanych, że niech ino odgrzało od komina, to smród bił gorszy, niżli z gnojówki, a z tego trzęsawiska dźwigały się ściany spaczone, struchlałe, przegniłe, że wilgoć lała się po nich, a w kątach mróz trząś siwą brodą; ściany pełne dziur pozapychanych gliną a miejscami słomą z nawozem! A nizki pułap wisiał kiej to stare sito podarte, że słomy opajęczonej więcej w nim było niżli desek. Jedne sprzęty i statki, co coś niecoś przykrywały tę nędzę, a te parę świętych obra-

zów na ścianach, zaś drąg z ubiorem rozwieszonym i skrzynia przysłaniały przegrodę chróścianą, za którą mieściły się krowy.

Hanka, chocia powoli, a rychło obrządziła gospodarstwo; juści: niewiela tego było; krowa, jałowica, prosiak, gąsków parę i kurków, to i cała parada, i bogactwo całe. Ubrała chłopaków, że wnet się przetoczyli do sieni zabawić z Weronczynemi dziećmi, wrychle też jazgoty a wrzaski szły stamtąd, a sama przygarniała się nieco, jako że kupcy przyjść mieli, i na wieś trza było iść.

Właśnie chciała się z mężem naredzić i coś niecoś pogadać przódzi o tej sprzedaży, ale nie śmiała zacząć, bo Antek wciąż siedział przed wygasłym kominem, zapatrzoney gdzieś, ponury, aż strach ją obleciał.

— Co mu jest? Zezuła trepy, bych go ino nie jątrzyć hałasem, ale coraz częściej spozierała na niego z trwożliwą czułością i niepokojem.

— Ciężej mu, bo nie taki kiej drugie, ciężej — myślała i okrutna chęć ją wzięła zagadać, popytać, uzalić się nad nim, już przystanęła z boku, już miała to dobre słowo w sercu wzruszonym — nie śmiała jednak. Jak tu i rzec było, kiej na nią nie zważa, jakby całkiem nie widział nic koło siebie! Westchnęła boleśnie; nie letko jej było na duszy, nie — nie drujkosę czuła ano w sercu miodową a ten gorzki piołun! Mój Jezu, inaczej mają drugie, choćby i te komornice, a lepiej. — A tu na jej głowie wszystko leży, turbuj się, zabiegaj, sta-

runek o wszystkim miej, kłopotcz się, ani zagadać do kogo, ni się przed kim wyżalić! Niechby ją skrzyczał, niechby nawet i zbił, wiedziałaby, że w chałupie jest chłop czujny, nie drewno. A ten nic, czasem burknie kiej pies zły, abo i spojrzy, że jakby kto mrozem oblał duszę — ani przemówić do niego, ni przystąpić z tem szczerem sercem, jak to zwyczajnie bywa w małżeńskim stanie abo i w przyjacielstwie. Hale, powiesz co, użalisz się, juści! Co mu ta kobieta, co żona — tyła bych chałupy pilnowała, jeść uwarzyła i dziecisków strzegła. Abo to dba o co? bo to kiej przyhołubi, popieści, dobrością zniewoli, przygarnie mocno, ugwarzy się? Nie stoi on o to wszystko, nie! ino się ciągiem myśleniem górno nosi, jak obcy zachowuje, że i nie wie co się wedle niego dzieje! A ty człowieku sama bierz wszystko na swoją głowę, sama cierp, wydzieraj się, turbuj, a jeszcze ci i tem dobrem słowem nie odpłacą!...

Nie mogła już powstrzymać bolesnego zalewu żalości, ni łez, uciekła do krów, za przegrodę, wsparła się na żłobie i cicho chlipała, a gdy krasula poczęła sapać i lizać ją po głowie i plecach buchnęła głośną skargą...

— I ciebie zabraknie bydlątka, i ciebie... przyjdą tu wnet... stargują... postronek ci za rogi założą... poprowadzą... we świat cię powiedą żywicielko nasza... w cały świat!... — szeptała, obejmując ją za szyję i tuląc rozbolałą duszę do tego stworzenia czującego. Nie powstrzymywała jęków, ni

płaczu, bo wstawał w niej nagły, mocny bunt. Nie, tak być nie może dłużej, krowę sprzedadzą, jeść nie ma co, a on siedzi, roboty nie szuka, do młocki choć proszą, nie idzie a choćby i ten złoty groszy dwadzieścia zarobił na dzień, na sólby było, na okrasę, kiej już i tej kapki mleka zbraknie!

Wróciła do izby.

Antek! — powiedziała ostro, śmieie, gotowa wszystko wypowiedzieć.

Podniósł na nią ciche, zaczerwienione oczy i tak spojrzał smutnie a żałośnie, że jej dusza struchlała, opadł ją gniew a serce zatłukło się litością...

— Mówiłeś by przyszli po krowę? — rzekła cicho i dziwnie miękko.

— Pewnie już idą, bo tam na drodze coś pieski jazgoczą...

— Ni, w Sikorowem obejściu naszczekują, — powiedziała wyjrzawszy.

— Przed południem się obiecali, to ino ich patrzeć.

— Musimy to sprzedać, co?

— Jakże, grosza potrzeba, paszy też la dwóch niestarczy... musimy Hanuś, coś poradzę... szkoda krowy... juści... ale kto niema grosza nie umacza i nosa... — mówił cicho i z taką dobrocią, że Hance stajała dusza a serce zaczęło się trzepotać radością i nadzieją; patrzyła mu w oczy jak ten pies wierny i słuchliwy, że już w tem oczymgnienu nie żałowała krowy ni niczego. Spoglądała ino pilnie, bez udręki w tę twarz umiłowaną, a słuchała

tego głosu, co jak ogień szedł przez serce i rozgrzewał ją dobrocią i rozczuleniem.

— Juści, że trzeba. Jałowica ostanie, ocieli się jako w półpoście, to się jeszcze tej kapki mleka doczekamy — powtórzyła, byle ino on mówił dalej.

— A jakby zabrakło paszy, to się dokupi.

— Owsianki chleba, bo żytniej starczy do zwiesny. Ociec, odwalcie kopczyk, trza zajrzeć czy ziemniaki nie przewiane.

— Siedźcie, za ciężka la was robota, ja odkopię.

Podniósł się, zdjął kozuch, zabrał łopatę i wyszedł przed dom!

Śniegu było prawie równo z dachem, bo dom stał na wydmuchu, za wsią prawie, o dobrą staję od drogi, a nie osłonięty ni płotem, ni sadem, kilka dzikich, pokręconych trześni rośło przed oknami, ale tak były zasypane, że ino gałęzie wysuwały się ze śniegu, kiej te palce chorością poskręcane. Z przed okien, to tam stary jeszcze do dnia śnieg przekopał, zaś kopczyk z ziemniakami tak zawiało, że ani go było rozeznąć z pod śniegów.

Antek wziął się ostro za robotę, bo śniegu było na chłopa, a chociaż świeży, uleżał się już i stężał nieco, że trza go było krajać w cegły: zapocił się też niezgorzej nim odwalił, ochotnie jednak robił i był dobrej myśli, bo raz wraz rzucił pecyną na dzieci, baraszkujące przed progiem, ino

chwilami gdy mu się przypominały udręki dawne, mdlały mu ręce, zaprzestawał roboty, wspierał się grzbietem o ścianę i niósł oczami po świetle. Wzdychał i znowu się błakał duszą, jak ta owca zgubiona w noc ciemną. A dzień był chmurnawy, szarawy, a przebielone niebo wisiało nisko, śniegi rozścielały się grubym, puszystym kożuchem i leżały jak okiem sięgnąć modrawą i ogłuchłą, martwą równiną; mgliste i przejęte stężałpmi szronami powietrze, przesłaniało świat wszystek niby przędzą; że to chałupa Bylicowa była jakby na wzgórku to wieś widniała kieby na dłoni, rzędy kopiec albo i tych kretowisk śnieżnych, siedziały wpodłe siebie i wiedły się wydłużonym wiankiem dookoła zasypanego stawu, ani dojrzał gdzie chałupy całej, wszystkie zniknęły pod śniegiem. kajś niekajś ino czerniały ściany stodół, kłębiły się rude torfowe dymy, to szarzały drzewiny pod śniegowemi czapami, ino głosy rażno się rozlegały w tych białościach, leciały z końca w koniec wsi, a monotonne capanie cepów dudniało głuch, jak gdyby z pod ziemi. Drogi leżały puste i zasypane, a na zaśnieżonych polach ni żywa dusza nie majaczyła nic, ino ta przeogromna pustka biała i martwa, zastygła w śniegach. Przemglone dale tak się stapiały, że ani rozeznać było nieba od ziemi, jedne lasy modrzały niecoś z bielm, jakby tam chmura wisiała.

Ale Antek nie długo się błakał po śnieżnem pustkowiu, nawrócił znowu oczy na wieś, za oj-

cową chałupą gonił, niezdążył zaś i pomyśleć, bo Hanka ano wlaźła do dołu i stamtąd skrzeczała.

— Nie przemarzły! Wachnikom tak wiatry przeziębily, że z pół dołu musieli świniami spaść, a naze zdrowe.

— A dobrze. Wyjdź no, widzimi się, że idą żydy! Trza krowę wywieść przed dom!

— Juści, że żydy a nie kto drugi, juści że te zapowietrzzone — zawołała ze złością.

Jakoż od karczmy, przez drózkę do cna zasypaną i ledwie co poznaczoną Stachowemi trepi-skami, kopało się dwóch żydów, juści, że pieski prawie z pół wsi goniły za nimi z wielgą uciechą i szczekaniem, a tak zajadle dobierały się do nich, aż Antek wyszedł naprzeciw i obronił.

— Jak się macie, no? Spóźnilim się, bo takie śniegi, takie śniegi! ani przejść, ani przejechać, wiecie? — A w boru to już szarwarkiem przekopują drogę!

Nic się nie ozwał na ich gadanie, ino do izby poprowadził, by się nieco rozgrzali.

Hanka zaś wytarła krowie ognojone boki, od-doła mleko, co się jej tam od rana uzbierało i przewiedła przez izbę na dwór. Krowa się opierała, szła niechętnie a przestąpiwszy próg wyciągała gembulę, wachała, to śnieg ją zlizywać, aż ni stąd ni zowąd zaryczała przeciągle, cicho a żałośnie i tak się rwała z postronka, że ledwo ją stary udzierzał.

Hanka już nie mogła tego przenieść, żal ją

przejął srogi i tak świdrujący, aż buchnęła płaczem, a za nią i dzieci, czepiając się matczynego wełniaka, uderzyły w krzyk i lament. — Antkowi też nie było wesoło, nie, ino zęby zasiekł, wsparł się o ścianę i patrzył na wrony, co się zleciały na rozgrzebany z dołu śnieg, a handlerze zaś szwargotali między sobą i wzięli krowę macać a oglądać ze wszystkich stron.

Juści, że Antkom zrobiło się w sercach kiej na pogrzebie, aże się odwracali od bydłatka, co próżno się targalo na uwięzi, darmo wykręcało do gospodarzy wybałuszone i zestrachane oczy, darmo porykiwało głucho.

— Jezu!... Na tom cię krówko pasła, na tom zabiegała, na tom starunek o tobie miała... by cię na rzeź powiedli... na zatracenie... — lamentowała Hanka, tłukąc głową o ścianę, a dzieci też w płaczliwy wtór biły.

Ale po próżnicy lamenty a płacze, na darmo, bo musu człowiecze nie przeprosz, doli nie przemożesz, ni tego, co być ma...

— Co chcecie? — spytał wreszcie starszy, siwy żyd.

— Trzysta złotych.

— Trzysta złotych, za tę chabaninę! Wy Antoni chory jesteście, czy co?

— Ty mi od chabanin na nią nie pyskuj, byś czego nie oberwał! Widzisz go, krowa młoda, na piąty rok ledwo idzie, spaśna — wrzeszczała Hanka.

— Sza.. sza... w handlu gniewu niema o to słowo... bierzecie trzydzieści rubli?

— Powiedziałem swoje!

— I ja mówię swoje, trzydzieści jeden... no trzydzieści jeden i pół... no trzydzieści dwa — dajcie rękę... no trzydzieści dwa i pół... zgoda!

— Rzekłem.

— Ostatnie słowo, trzydzieści i trzy! Nie, to nie! — powiedział flegmatycznie młodszy i oglądał się za swoim kijem, a starszy zapinał chałat.

— Za telachną krowę... adyć bójcie się Boga ludzie... krowa kiej obora, sama skóra warta z dzieścięć rubli... za telachną krowę... oszukańce. Chrystobije... — jękał stary, oklepując krowę, jeno, że nikt nie zważał na niego.

Żydzi rozpoczęli zajadłe targi. Antek, też stał twardo przy swoim, opuścił coś niecoś, ale nie wiele, bo po prawdzie, krowa była dużo warta, i żeby tak na zwiesne i gospodarzowi sprzedać, dostałby pięćdziesiąt rubli, jak nic. — Ale gdzie mus pogania, tam bieda za orczyki ciągnie — żydy dobrze o tem wiedziały i chocia wrzeszczeli coraz głośniej, i coraz zapalczywiej bili w Antkową dłoń na zgodę, przyrzucali mało wiele, najwyżej po pół-rublu...

Już było tak, że odchodzili zagniewani, już Hanka krowę ciągała z powrotem do zagrody i nawet Antek się rozsierdził i gotów był sprzedaż poniechać, ale kupcy wrócili i jak zaczęli krzyczeć, handryczyć, a przysięgać, że więcej dać

nie mogą, a w ręce przebijać i krowę znowu penetrować, tak i stanęła zgoda na czterdziestu rublach i dwóch złotych postronkowego la Bylicy.

Wyplacili zaraz, na rękę; stary powiódł za nimi krowę do sań, które czekały przed karczmą, Hanka zaś z dziećmi odprowadziła krasulę aż do drogi, a co trochę to ją gładziła po gembuli, to pokładała się na niej a oderwać się nie mogła od bydłatka ni przyciszyć frasunku i żalości...

Jeszcze na drodze przystanęła patrzeć za nią i pomstować z całej duszy na tych żółtków niechrzczonych!

Tylą krowę stracić, to i niedziwota, że kobiecie zagrała wątroba pomstą.

— Jakby kogo z chałupy na mogiłki wywieźli, tak pusto — rzekła z nawrotem i co trochę zaglądała do pustej zagródki, to przez okno patrzyła na ścieżkę zdeptaną, poznaczoną łajnem i śladami kopyt, a raz wraz wybuchała płaczem i wyrzekaniem.

— Przestałabyś, a to jak to ciele buczy i buczy — krzyknął Antek, siedząc przed rozłożonemi na stole pieniędzmi.

— Kogo nie boli, temu wszystko powoli. Nie bolała cię bieda, kiejś krowę zmarnował i żydom na rzeź wydał!

— Hale, ozedrę się pewnie i z lelit ci pieniądze wypuszczę, co?

— Jak te ostatnie komorniki ostalim, jak te dziadaki, ani tej kapki mleka, ani pociechy żadnej!

Tylem się dorobiła na swoim, tyle! Mój Jezu, mój Jezu! Drugie zabiegają, jak te woły orzą i jeszcze coś do domu przykupują, a ten ostatnią krowę com od ojców dostała, sprzedaje... Już chyba ostatnia marnacya przyjdzie, ostatnia! — zawodziła nieprzytomnie.

— Rycz, to ci ano odełba odciągnie jakieś głupia i wyrozumienia niemasz! Naści pieniądze, popłać gdzieś winna, kup coś potrzeba a resztę scho-
waj! — podsunął kupkę pieniędzy, a pięć rubli pa-
pierowe schował do pularesu.

— Na co ci tyle pieniędzy?

— Na co! z kijem tylko nie pójde.

— Gdzie się to wybierasz?

— We świat, roboty poszukam, gnił tutaj nie
będę!

— We świat! Wszędzie psi boso chodzą, wszę-
dzie biednemu wiater w kłęby wieje! Sama to
ostanę, co? — podnosiła głos bezwiednie i groźnie
się przysuwała do niego, nie zważał na to — przyo-
dział się w kożuch, pasem opasał i za czapką
oglądał.

— U chłopów robił nie będę, żebym miał ska-
pieć, nie będę! — powiedział.

— Organista potrzebuje do młocki!

— Hale, ciarach jeden, ciołek taki co ino na
chórze bękuje a gospodarzom w garście patrzy
i żyje tem co uprosi, lebo co wycygani, do ta-
kiego na wyrobek nie pójde.

— Kto niema chęci, ten wie jak wykręcił

— Nie dogaduj! — wrzasnął ze złością.

— Mówię ci co_kiedy, naprzykrzam się, a dyc robisz co chcesz!

— Do dworów pójde — mówił znów spokojnie — o służbie się jakiej przewiem, może od godów dostanę, choćby na rataja a pójde, byle tutaj nie śmierdzieć i krzywdy na oczach nie mieć cięgiem, bo nie zdzierzę. Dość mi tego, dość mi tego ludzkiego politunku i tego patrzenia kiej na parszywego psa... We świat iść, gdzie oczy poniesą, byle ino z dała... byle ino prędko!... — zaczął krzyczeć i unosić się.

Hanka zamarła w przerażeniu i stała bez ruchu; jeszcze go takim nie znała.

— Ostaj z Bogiem, za parę dni wrócę.

— Antek! — krzyknęła rozpaczliwie.

— Czego? — Już z sieni nawrócił.

— A to nawet tego słowa dobrego żałujesz... nawet tego...

— Cóżto, ceckał się z tobą będę, może jamorował! Nie to mi w głowie — zatrzaskał drzwi i poszedł.

Poświstywał przez zęby, wspierał się kijem i szedł rażno aż śnieg skrzypiał pod nogami, obejrzał się na chałupę. Hanka stała pod ścianą i zanosiła się od płaczu, a przez drugie okno wyglądała Weronka.

— Ścierwa, buczy i buczy — do tego to rozum ma! — We świat! we świat — szeptał i rozglądał się dookoła, leciał z oczami wskrós prze-

szraniałych bielizn śnieżnych! Rwała go tęsknota jakaś, parła, rzucała przed się, że z radością myślał o innych wsiach, o ludziach nowych, i życiu innem. Niespodzianie mu to przyszło, samo z siebie nań spadło, i tak go porwało z nagłą, jak kieby wezbrana woda kierz słaby bierze, że ani oprzeć się temu, ni nawrócić. Dola go rzuciła we świat.

Jeszcze godzinę temu, ani myślał, że pójdzie, ani wiedział. Samo przyszło, że świata, z wiatrem pewnie nawiała ta chęć, i rozżarzyła mu serce niepowstrzymanem pragnieniem ucieczki. Wyrobek nie wyrobek, byle ino stąd iść... Hej! uleciałby jako ten ptak, we wszystek świat niósłby się, na bory, na te nieobjęte ziemnice... Juści, co mu tu kapieć, czego doczekać? Już go te wspominki przeżarły, że dusza na wiór wyschła, a co mu z tego?... Ksiądz jest prawy, dobrze mu wyłożył że w sędzie z ojcem nie wygra, a jeszcze sporo grosza dołoży. A z pomstą poczeka w sposobniejszy czas, w sposobniejszy; jeszcze takiego niema któremuby darował krzywdy... A teraz ino iść przed się, gdzie bądź, byle z daleka od Lipiec...

— Gdzieby najpierwej?...

Staął na skřęcie w topolową drogę, i nieco wahajęco rozględał się po zgubionych w omgleniu polach, zimno go przejęło, że zęby mu szczyękały i trzął się we środku.

— Przez wieś i drogę za młynem pójdę. — Zdecydował prędko, i skręcił do wsi, nie uszedł,

jeszcze i pół stają, gdy usunąć się musiał w bok, pod topole — środkiem drogi, wprost na niego waliły jakieś sanie w kłębach kurzawy, a ostro i z dzwonieniem.

Jechał Boryna z Jagusią, sam powoził, konie rwały z kopyta, podrywając sankowe pudełko kiej piórkiem, a stary jeszcze podcinał batem, przynaglał i coś ze śmiechem powiadał. Jaguś też w głos mówiła, urwała naraz spostrzegłszy Antka, wplili się oczami w siebie na mgnienie, na ten jeden błysk i roznieśli w dwie strony, sanki przesunęły się wnet i utonęły w kurzawie, ale Antek z miejsca się nie ruszył, skamieniał zgoła, jeno patrzył za nimi... wychylali się czasem ze śnieżycy, to zaczerwieniły się Jagusine wełniaki, to dzwonki mocniej zajęczały i ginęły, przepadali, jakby wskrós tej bielizny pędzili... pod dachem oszroniałych gałęzi, co splątane jakby sklepienie czyniły, jakoby ducht przebity w śniegach, a podstępłowane czar-niawemi pniami topoli, które stały z obu stron drogi i pochylone, przyginały się niby w ciężkim, utrudzającym chodzie pod wzgórze... Patrzył wciąż w jej oczy, stały przed nim, skrzyły się w śniegach kiej te nowe kwiatki, na drodze wyrastały, wszędzie, a patrzyły zestrachane i żałosne, zdumione, a radosne zarazem, przejmujące i żywym ogniem rozbłysłe.

Przygasła mu dusza, omgłiła się, jakby te szrony przysypały go do dna i na wskrós przejęły, że ino te modre oczy same jędne w nim jaśniały.

Zwiesił głowę i powlókł się wolno, odwracał się raz i drugi, ale już nic nie było widać pod topolami, czasem jeno dzwonek zajęknął w oddali i kurzawa zamajaczyła.

Zapomniał o wszystkim, jakby znagła duszę zgubił, pamięć go odeszła, oglądał się bezradnie, nie wiedzący co począć... gdzie iść... co się stało? — jakby w sen na jawie się pogrążył i ocknąć nie mógł.

Prawie nie wiedzący nawrócił do karczmy, wymijając parę sań wypełnionych ludźmi, ale choć pilnie patrzył, nie rozeznał nikogo.

— Gdzie taką hurmą walą? — spytał Jankla, stojącego na progu.

— Do sądu. Sprawa z dworem o krowy, o pobicie pastuchów, wiecie! Ze świadkami jadą, a Boryna pojechał przodem.

— Wygrają to?

— Po co mają przegrać! Dziedzica z Woli skarżą, sędzi dziedzic z Rudki, to i dlaczego ma dziedzic przegrać? A ludzie się przejadą, drogi przetrą, zabawią się — w mieście też potrzebują nasi utargować. Wszyscy po trochu wygrają, wszyscy.

Antek nie słuchał przekpiwań, kazał dać okowitki, wsparł się o szynkwasy i stał tak zapatrzony przed się, nieprzytomny prawie, z dobrą godzinę, nie tknąwszy nawet kieliszka.

— Wam coś jest?

— I... coby zaś miało być... — puście do alkierza.

— Nie można, tam siedzą kupcy, wielkie kupcy, oni drugą porębę kupili od dziedzica, te na Wilczych dołach, to potrzebują spokojności, może nawet i śpią.

— A to parchów za brody powyciągam i na śnieg wyciepne — krzyknął i rzucił się zapamiętale ku alkierzowi, ale od drzwi zawrócił, zabrał butelkę i wcisnął się za stół, w najciemniejszy kąt.

Pusto było w karczmie i cicho, tyla co tam żydy coś zakrzyczały po swojemu, że Jankiel biegł do nich, albo ktoś wszedł na kieliszek, wypił i wynosił się.

Dzień się już przetaczał na drugą stronę a i mróz brać musiał, bo skrzypiały płozy sań na śniegu, i chłód wiał po karczmie. Antek zaś siedział, popijał zwolna, niby to medytował, a zgoła niewiedział co się działo w nim i dookoła.

Pił kwaterkę po kwaterce, a te oczy wciąż modrzały przed nim, tak blisko były, tak blisko, że je powiekami prawie dotykał; wypił trzecią... jaśniały wciąż, jeno się jęły kołować, chwiać i po karczmie nosić jako te światła. Mróz go przeszedł ze strachu, zerwał się na nogi, trzasnął butelką o stół, że w kawałki się rozprysnęła i szedł ku drzwiom.

— Zapłaćcie! — krzyczał Jankiel, zabiegając

mu drogę. — Zapłaćcie, ja wam borgować nie będę.

— Z drogi psiakrew żydzie, bo cię zakatru-
pię! — wrzasnął z taką mocą, że żyd zbladł i spie-
sznie się usunął.

Antek ino gruchnął w drzwi i wybiegł.

II.

Jakoś o samem południu, dzień się nieco rozjaśnił, ale ino tyła, coby kto łuczywem przeciągnął po świetle, bo wnet zgasło i omroczało, jakby śnieg narastał i sposobił się znowu.

W izbie Antków też było dziwnie mroczno, chłodno i smutnie; dzieci bawiły się na łóżku i z cicha do się krzekorzyły, kiej te kurczątka zestraszone, a Hanką tak podrzucała niespokojność, że rady sobie dać nie mogła. Chodziła z kąta w kąt, wyglądała przez okno, to przed domem stała i z rozpalonemi oczami wodziła po śniegach. Hale, ani żywej duszy nie ujrzał na drogach, ni na polach — parę sań przewlekło się od karczmy i zginęło pod topolami, jakby się zapadły w tej śniegowej topieli, że ni znaku, ni głosu nie zostało po nich. Nic, jeno ta cichość zmartwiała i pustka nieprzejrzana!

— Żeby choć ten dziad jaki zajrzał, żeby choć z kim zagadać! — westchnęła.

— Kucusie! kucu, kucu, ku-cu! — zaczęła gonić po śniegach kury, bo się rozłaziły i szukały miejsc na trześniach. Pozanosila je na grzędy, a z powrotem, wywarła gembę na Weronkę, bo jakże, tamta wystawiła do sieni cebratkę z pomyjami dla gadziny, a te zapowietrzone świńtuchy rozlały na ziemię, że kałuża stanęła pod drzwiami.

— ...to świń pilnuj, kiej się za gospodynię masz, dzieciom przykarz... ja bez ciebie nie będę się taplała w błocie... — wykrzykiwała przez drzwi.

— ...sprzedała krowę, to głos tu będzie zabierać, ale, błoto już jej przeszkadza, wielka pani, a sama kiej w chlewie siedzi...

— ...Tobie wara gdzie siedzę, i wara ci do mojej krowy!

— ...To i do moich prosiaków ci wara, słyszysz!

Hanka ino trzasnęła drzwiami, bo co miała odpowiadać takiej piekielnicy — rzecz jej to jakie słowo, to ona i na półkopku nie poprzestanie, a jeszcze i do bicia gotowa. — Przywarła drzwi na haczyk, wydobyła pieniądze i wzięła się biedzić nad rozliczaniem. Nie mało się utrudziła nad ty-lachnem pieniędzy a i myliło się jej wciąż; zgniewana jeszcze była na Weronkę i niespokojna o Antka, to znowu widziało się jej często, że krasuła czegoś postępuje... albo ją zalewały przypominki ojcowego domu.

— ...juści, że jakby w chlewie siedzimy, juści! — szeptała rozglądając się po izbie — a tam i po-

dłoga, okna jak się patrzy, ściany bielone, i ciepło, i czysto, i wszystkiego po grdykę... Co oni tam robią?... Józka zmywa statki po obiedzie, a Jagna prządzie i przez czyste, niezamarzłe szyby na świat spogląda... brak jej to czego!... wszystkie koraliki dostała po nieboszczce, a tyle wełniaków, tyle szmat, tyle chust... Nie narobi się, nie umartwi niczem, tłusto zje... Stacho powiadał przecie, że Jagustynka za nią robi, a ona do białego dnia się wyleguje pod pierzyną i herbatę popija... ziemniaki jej nie służą... a stary się ino przymila i kiej koło dzieciątka zabiega...

Gniew ją przejął nagły, aż się porwała od skrzynki i pogroziła pięścią.

— Złodziej, ścierwa, złodziej, lakudra jedna, tłuk! — wykrzyknęła w głos, aż stary, co był na przypiecku drzemał, zerwał się przestraszony.

— Ociec, przytkajcie ziemniaki ocipką i dół obwalcie śniegiem, bo na mróz się ma — szepnęła spokojniej, zabierając się znowu do liczenia.

Staremu coś niesporo szła robota, śniegu była kupa, a sił wiele nie miał, a i te dwa złote postronkowego nie dały mu spokoju, na stole świeciły się dwie złotówki, prawie nowe, dobrze pamiętał.

— Może i dadzą... — myślał — komuż to się przynależą?... aż mu kulas stergł od postronka, tak się krasuła wydzierła... wstrzymał przeciech... a kupcom to nie zachwalał... słyszeli... chleba dadzą... Zarazby starszemu, Pietrusiewi, na pierwszym od-

puście kupił organki... młodszemu by też trza... We ronczyńm dzieciom też... zbóje są i uprzykrzone, ale trza... a sobie tabaki... krzepkiej ino, jażby we wątpiach zawierciło, bo Stachowa słaba... ani człek nie kichnie od niej... Rozliczał a tak żwawo robił, że gdy w godzinę jaką Hanka wyrzżała, to ledwie słoma była pokryta śniegiem.

— Za chłopa to zjecie, ale i za dziecko nie zrobicie...

— Adyc się spieszę Hanuś, inom się zadychał zdziebko tom tego powietrza łapał... pierunem będzie... pierunem... — jękał przestraszony.

— Wieczór już pod lasem, mróz bierze, a cały dół rozwalony jakby go świnię spyskały. Idźcie do chałupy dzieci pilnować.

Sama się zabrała do śniegu i tak ostro, że w jakie dwa pacierze, dół był przywalony i galanto oklepamy.

Ale mroczeć już poczynąło, gdy skończyła, w izbie chłód się podnosił przejmujący, gliniany, mokry tok tężał i dudnił pod trepami kiej klepisko, mróz brał z miejsca i znowu a wzorzysto pokrywał szybki, dzieci skwierczały z cicha jakby przyglodne nieco, nie przyciszała ich, bo czasu nie było. A to sieczki musiała urznąć dla jałowicy, prosiaka nakarmić, bo pokwikiwał i cisnął się do drzwi, gąski napoić, a to jeszcze raz przepowiedziała sobie, ile i komu miała zapłacić, aż obrządziwszy wszystko zabrała się do wyjścia.

— Ociec, napalcie ogień a miejcie baczenie na

dzieci, za parę pacierzy przyjdę, a jakby Antek wrócił, to kapusta jest w rynce na blasze...

— Dobrze Hanuś, napalę, przypilnuję, a kapusta jest w rynce, baczę Hanuś, baczę...

— A te postronkowe wzięłam, nie potrza wam przecież, jeść macie, szmaty macie, czegoż wam więcej?...

— Juści... wszystko mam Hanuś, wszystko... — szeptał cichutko, odwrócił się szybko do dzieci, bo łyzy posypały mu się z oczów.

Mróz ją obwionął na powietrzu, że mocniej zaciągnęła zapaskę na głowę, śnieg skrzypiał pod nogami, na ziemię sypał się mrok modrawy, suchy i dziwnie przejrzysty, niebo było jasne, kieby szklane, odśłonięte w dalach i już kajś niekajś w wysokościach trzęsła się gwiazda jedna i druga.

Hanka raz wraz macała za pazuchą czy ma pieniądze, a rozmyślała, że przepyta się tu i owdzie a może znajdzie, może uprosi robotę jaką dla Antka, a we świat mu iść nieda! Teraz dopiero przyszło jej do głowy, co był wygadywał, i aż ją zamroczyło to przypomnienie. Nie, póki życia na drugą wieś się nie przeniesie, pomiędzy obcych nie pójdzie, adyby uschnęła z tęsknicy!

Ogarnęła oczami drogę, zasypane domy, sady ledwie widne z pod śniegów i te szarzejące, nieskończone pola. Wieczór cichy i mroźny opadał coraz prędzej, gwiazd przybywało jakby je kto rozsiewał pełną garścią, a na ziemi przygasłej wskrósł śnieżnych bielizn, wyblyskiwały światelka

chałup, dymy czuć było w powietrzu, ludzie snuli się po drodze, głosy jakieś leciały nisko, nad śniegami.

— Z tegom wyrosła i jako ten wiatер nie będę się tłukła po świecie, nie! — szeptała z mocą, zwolniła nieco, bo zapadała miejscami w chrupiący śnieg aż po kolana, że trepy trzeba było wyciągać!

— Tu mnie Pan Jezus dał na świat, to już tutaj do śmierci zostanę. Aby ino do zwiesny przetrzymać, to już łacniej będzie, lekciej. A nie zechce Antek robić, to i tak po proszonym nie pójdę, do przedzenia słę wezmę, do tkania, do czegoś, byle ino pazury zaczepić i biedzie się nie dać... prawda, dyć Weronika a tkaniem zarabia tele, że jeszcze i ten grosz zapaśny mają... Rozważała skrecając do karczmy, pochwaliła Boga. Jankiel odrzekł: Na wieki, i kiwał się zwyczajnie nad książką, nie baczac na nią, dopiero gdy położyła przed nim pieniądze, uśmiechnął się przyjaźnie, rozjaśnił więcej światło w lampie wiszącej, pomógł jej liczyć i nawet wódką poczęstował. O Antkowym zaś długu, ni o nim samym nie rzekł ni słowa; zmyślna jucha była, bo co ta kobiecie wiedzieć o chłopskich jenteresach, w głowie dobrze nie weźmie, nie wyrozumie jak potrza, a ino z pyskiem wyjechać gotowa. Dopiero kiej się zabierała do wyścia powiedział!

— A wasz co robi?

— Antek... a poszedł szukać roboty!

— Bo to we wsi brak — we młynie tartak robią, ja też potrzebuję kogo sprawnego do zwózki drzewa.

— Hale, w karczmie mój robił nie będzie! — wykrzyknęła.

— Niech sobie śpi, niech wypoczywa kiedy taki pan! Wy macie gęsi, podpaście trochę, kupię na święta.

— Zaśbym tam sprzedawała, ostawiłam ino tyła, co na chowanie!

— Kupicie na wiosnę młode, mnie potrzeba podpasionych. Chcecie, to możecie brać na bórę wszystko, a zapłacicie gęsiami, policzymy się...

— Nie, gąsków nie sprzedam.

— Sprzedacie, jak krasulę zjecie, to nawet tańszo sprzedacie.

— Niedoczekanie twoje parchu jeden! — szepnęła wychodząc.

Mróz brał aż w nozdrzach wierciło, niebo iskrzyło się już gwiazdami a od borów pociągał mroźny, szczypiący wiatr, szła jednak wolno środkiem drogi i ciekawie się rozpatrywała po chałupach: świeciło się u Wachników, którzy siedzieli ostatni przed kościołem; z obejścia Płoszków buchała wrzawa głosów i kwiki świń; w plebanii gorzały wszystkie okna i jakieś konie biły niecierpliwie kopytami przed gankiem; u Kłębów zaś, co w poddle księdza siedzieli, też jaśniało światło i ktosik chodził koło obór, bo słysząc było skrzypienie śniegu pod trepami, a dalej, z przed kościoła, skąd wieś się

rozchodziła kieby w te dwie ręce obejmujące staw, mało co było widać, wskrós nocy, ino gdzie niegdzie z mrocznej bielizny mżyło światełko jakieś, albo pies naszczekiwał.

Hanka popatrzyła ku ojcowej chałupie, westchnęła i zawróciła z przed kościoła w długie opłótki, wiodące między Kłębowym sądem a księżym ogrodem, do organistów. Dróżka była zasypana, ledwie co przetarta, wązka, a tak przysłonięta krzami obwisłymi pod śniegiem, że co chwila sypał się na nią z trąconych gałęzi.

Dom stał w głębi, w księżem podwórzu a ino wyjazd miał osobny, krzyki jakieś odeń szły i płacze, a przed sienią czerniała skrzynka, to leżały na śniegu porozrzucane szmaty, pierzyna, rupiecie jakieś... Magda, dziewczka organistów zanosila się płaczem i krzyczała w niebogłosy pod ścianą.

— Wygnali mię! Wypędzili mię! Jak tego psa na mróz, w cały świat! A gdzie ja się sierota podzieję teraz, gdzie!

— Nie krzycz mi tu świnio jedna! — wrzasnął głos z sieni wywartej. — Wezmę kija, to wnet zmilkniesz! A wynoś mi się w te pędy, do Franka idź łajdusie jeden!

— Jak się macie Borynowa! Moiściewy, a to już od jesieni wiadomo było... a mówiłam, prosiłam, zaklinałam, strzegłam — a bo to łajdusa ustrzeże! Wszyscy spać a ona we świat, wypacerowała teraz sobie bękartą! A bo to raz mówiłam: Magda zastanów się, pomiarkuj, on się z tobą

nie ożeni... to mi się w żywe oczy zapierała wszystko. Juści, zobaczyłam, że dziewczka grubnieje i rośnie jak na drożdżach, to jej jak komu dobremu, powiadam: idź, skryjsie gdzie na drugą wieś póki czas, póki ludzie nie widzą jeszcze... A bo to usłuchała... Aż ją dzisiaj wzięty boleści w oborze przy dojeniu... cały skopek mleka wylała... a moja Frania przylata zestraszona i krzyczy, że Magdzie się coś stało! Jezus Marya, w moim domu, taki wstyd, a coby to i ksiądz proboszcz na to powiedział! A wynoś mi się z przed domu, bo cię na drogę wyrzucić każą! — wrzasnęła raz jeszcze, wyskakując przed dom.

Magda porwała się z pod ściany i z płaczem a wyrzekaniem, zaczęła zbierać szmaty i wiązać w toboły.

— Chodźcie do mieszkania, bo zimno. Żeby mi tu i znaku po tobie nie zostało! — krzyknęła na odchodem.

Powiedła Hankę przez długą sień.

Ogromną, niską izbę rozświetlał ogień płonący na trzonie komina. Organista rozdziany, w koszuli tylko i z podwiniętymi rękawami, czerwony jak rak, siedział przed ogniem i piekł opłatki... co chwila czerpał łyżką z michy rozrobione, płynne ciasto, rozlewał je na żelazną formę, ścisnął aż syczało, i kładł nad ogniem, wspierając na cegle sztorcem ustawionej, przewracał formę, wydymował opłatek i rzucał na niski stółek, przed którym siedział mały chłopak i obcinał nożyczkami do równa.

Hanka pozdrowiła wszystkich, a organiścinę pocałowała w rękę.

— Siadajcie, rozgrzejcie się, coś tam u was słyszać?

Juści, tak zaraz nie mogła się zebrać na to jakie słowo, nieśmiała, rozglądając się po stancyi i zazierając ukradkiem do drugiego pokoju, gdzie wprost drzwi, na długim stole pod ścianą, bieleły się stosy opłatków przyciśnięte deską, a dwie dziewczyny składały je w paczki, okręcając papierowymi paskami, zaś w głębi już niedojrzanej, brzęczał monotennie głos klawikordu — muzyka snuła się jak pajęczyna, raz wyżej brała, górniej kieby w śpiewie, to znowu cichła, że ino to brzękliwe przebieranie było słyszać, abo zasię cosik się rwało nagle i piskało przenikliwie, aż dreszcz Hanke przenikał, a organista wykrzykiwał.

— Te, trąba, zjadłeś fis, jak skwarek! — powtórz od Laudamus pueri...

— Na Gody to już? — spytała, że to nieobyczajnie było siedzieć jako ten mruk.

— Tak, parafia wielka, porozrzucana, a wszystkim przecież trzeba opłatki roznieść przed świętami, to i wczas zaczynać muszę.

— Z pszenicy to?

— Spróbujcie.

Podał jej jeszcze gorący opłatek.

— Zaśbym tam śmiała jeść!

Wzięła go przez zapaskę i przeglądała pod światło ze czcią i trwogą jakąś.

— Jak to na nim wyciśnięte historye różne, Jezus!

— Na prawo w pierwszym kółku, to Matka Boska, św. Jan, Pan Jezus, a w drugim kółku... widzicie... żłób, drabinę, bydlątka... dzieciątko Jezus na sianie, św. Józef, Matka Boska, a tu klęczą trzej królowie... — objaśniała organiścina.

— Rychtyk prawda, jak to zmyślnie wszystko udane, prawda!

Obwinęła w chustkę opłatek i schowała za pazuchę, bo chłop jakiś wszedł i coś powiedział, że organista krzyknął.

— Michał! Do chrztu przyjechali, weź klucze i idź do kościoła, bo Jambroży posługuje na plebanii, ksiądz już wie...

Muzyka umilkła i przez izbę przeszedł wysoki, blady chłopak.

— Po bracie sierota, na organistę u mojego praktykuje, z łaski jeno mój go uczy, cóż robić, trza się i nadszarpnąć a krewniakowi pomódz...

Hanka się rozgadała, pomału, jękliwie a dała upust żalom swoim i turbacyom. Od trzech tygodni, pierwszy raz mogła się wygadać do syta.

Słuchali jej. Powiadali swoje, a choć się strzegli, aby o Borynie nie powiedzieć słowa, użalali się nad nią tak poczciwie, aż się pobeczała, a organiścina, że to mądra kobieta, wnet zmiarkowała i pierwsza rzekła:

— Czasu może wam co zbędzie, tobyście oprzędli mi wełnę. Pakulinie miałam dać, ale

weźcie wy; tylko na kółku oprzędźcie, bo na przęślicy nie wyjdzie nic równo.

— Bóg zapłać, adyc mi trza roboty, inom prosić nieśmiała..

— No, no, nie dziękujcie; człowiek powinien pomagać drugiemu. Wełna już grempłowana, a będzie jej ze sto funtów.

— Uprzędę, umiem dobrze, przecież u ojca samam dla wszystkich i przędła, i tkła, i farbowała, nie kupowali na przyodziewek, nie.

— Obaczcie, sucha i miętka.

— Musi być z dworskich owiec, śliczna wełna...

— A jakby wam było potrzeba mąki, kaszy, grochu, to powiedzcie, dam wam, policzymy się w robocie.

Wprowadziła ją do komory, gdzie pełno było worów i beczek ze zbożem; półcie słoniny wisiały na ścianie; przędza całymi pękami zwieszała się od belek, a płótno grubachnymi wałami leżało na kupie, a co grzybów suszonych, serów, słojów różnych, a na półkach cały rząd bochnów kiej koła, a inszego dobra toby i niezliczył.

— Równiuško oprzędę, na kółku, Bóg zapłać pani za wspomóżenie, ale widzimi się, co nieudźwignę sama wełny.

— Odeślę wam przez parobka.

— Dobrze, bo to i na wieś jeszcze mi potrza.

Jeszcze raz podziękowała, ale ciszej jakoś i chłodniej — zazdrość ją ugryzła w serce.

— Naród wszystkiego da, naniesie, przyspo-

sobi, to mają pełne komory; albo to i presentami nie zdziera! Kto ma owce ten ma co chce! Niechby tak sami wyrabiali. Hale!... — rozmyślała, wychodząc w opłotki; po Magdzie nie było już śladu, tyla ino, że jakieś stare trepisko czerniało na śniegu, przyspieszyła kroku, bo późno już było, zasiedziała się nieco u organistów.

— Gdzieby to, u kogo przepytać się o robotę la Antka?

Jak gospodynią była, to i przyjaciółstwo z nią trzymali wszyscy, ciągiem ktoś do chałupy zaglądał, czegoś potrzebował i w oczy dobrość świadczył... a teraz stoi oto w pośrodku drogi i biedzi się gdzie iść, do kogo?... Nie, napraszała się nie będzie nikomu, radaby ino z kobietami pogwarzyć po dawnemu.

Postała przed Kłębami, postała przed Szymonową chałupą, ale wejść nie weszła, nie śmiała i przypomniało się jej, że Antek przykazywał zadawać się z ludźmi. — Nie poradzą, nie wspomogą, a użalać się będą nad tobą, jak nad zdechłym psem, mówił.

— Oj prawda, święta prawda! — szepnęła przypominając organistów.

Hej, żeby to ona chłopem była, zarazby się jęła roboty i zaradziła wszystkiemu. Nie skomlałaby, i ludziom przed oczy nie świeciłaby swoją biedą.

Poczuła w sobie taki wilczy głód pracy, takie rozpieranie sił, aż się przeciągnęła i mocniej stąpała, raźniej. Ciągnęło ją też, ciągnęło by przejść

obok ojcowej chałupy, by zajrzeć choćby ino w opłotki, by choć oczy nacieszyć, ale zawróciła z przed kościoła na ścieżynkę utorowaną środkiem zamrzłego stawu i biegnącą ku młynowi, i szła prędko, nie rozglądając się na boki, tem ino zajęta by się na ślizkim lodzie nie pośliznąć, i by prędzej przejść i nie widzieć, nie rozkrwawiać sobie duszy przypomnieniem, ale nie zdzierżyła, bo tak jakoś na wprost Borynów, przystanęła nagle i nie miała mocy oderwać oczów od światła mżących w oknach.

— A przecież to nasze, nasze... jakże to iść we świat... Kowalby wnet zabrał... nie, nie ruszę się stąd... jak pies warowała będę, czy Antek chce czy nie... Ociec nie wieczny, a może co się jeszcze przemieni... dzieciaków na poniewierkę nie dam, ni sama nie pójdę... toć to ich... nasze... — marzyła wpatrzona w ośnieżony sad, z którego występowały zarysy budynków, białe rozsrebrzone dachy, czerniały ściany, występował w głębi za szopą ostry szczyt brogu. Jakby jej wrosły nogi w lód, że ruszyć się nie mogła, ni oderwać oczów, ni serca rozkołatanego.

Noc cicha, mroźna, granatowa, osypana gwiazdami jakoby tym piaskiem srebrnym obtulała zasnieżoną ziemię, drzewa stały bez ruchu, pochyłone pod ciężarem śniegów, uśpione, niepojęte w tej cichości jaka się rozlewała nad światem, niby białe cienie widm, niby stężale opary, śniegi skrzyły się ledwie uchwytkie, głos wszelaki zamarł,

że tylko coś, jakby szelest drgających gwiazd, jakby tętna ziemi przemarzłej, jakby senne dychanie drzew zmartwiałych — drżały w mroźnem powietrzu. A Hanka stała wciąż nie pomna na czas biegnący, ni na szczypiące, ostre zimno. Przywarła oczami do domu, piła go, obejmowała sercem i brała w siebie z całą mocą głodu i marzenia.

Zbudził ją dopiero skrzyp śniegu, ktoś zeszedł z drogi na staw i kierował się ku niej, a po chwili spotkała się oko w oko z Nastką Gołębianką.

— Hanka! — wykrzyknęła zdumiona.

— Dziwujesz się, jakbym już storgła i po śmierci straszyla!

— Co wam też do głowy przychodzi, dawnom waja nie widziała, tom się zdziwiła. — W którą stronę idziecie?

— A do młyna.

— To i mnie droga, bo Mateuszowi niosę kolacyę.

— We młynie teraz robi, na młynarczyka praktykuje?

— Gdzieby tam zaś na młynarczyka się sposobił. Na tartaku, co go to postawili przy młynie, a pilno mają, że już i wieczorami robią.

Szły obok siebie, Hanka mało które słowo rzekła, a ino Nastka trzepała wciąż, ale się strzegła by o Borynie nic nie powiedzieć, juści, że o to Hanka nie spytała, nijako było, choć radaby posłuchała.

— Dobrze młynarz płaci?

— Po pięć złotych i groszy piętnaście, bierze Mateusz...

— Aż tyła! Pięć złotych i...

— Przecież jego to głową wszystko idzie, to i niedziwota.

Hanka milczała, ale przechodząc wprost kuźni, z której przez wybite szyby buchały czerwone światła i krwawiły śniegi, szepnęła:

— Ten judasz zawsze ma co robić.

— Czeladnika se przybrał, a sam ciągiem jeździ, pono z żydami spółkę trzyma w lesie i razem ludzi oszukują.

— Tną to już poręby?

— W lesie to siedzicie, czy co, że wam nie wiadomo?

— Nie w lesie, ale za nowinami nie biegam po wsi.

— Ato żebyście wiedzieli, rąbią, ale na przykupnem.

— Juści, naszego przecież nie pozwolą tknąć...

— Ino nie wiada kto zabroni, wójt trzyma ze dworem, sołtys też i wszyscy co bogatsi.

— Prawda, kto ta bogaczów zmoże, kto ich przeprze... A zajrzyj Nastuś do nas.

— Idźcie z Bogiem, przylecę którego dnia z kądzielą.

Rozstały się przed młynarzowym domem. Nastka poszła do młyna, na dół nieco, a Hanka przez podwórze do kuchni, ledwie się tam dostała, bo pieski się zleciały i zaczęły doszczekiwać i przypierać ją

do ściany, aż Jewka obroniła i powiedła, ale nim się rozgadały, weszła młynarzowa, i zaraz prosto z mostu rzekła:

— Do męża macie interes? Jest we młynie.

Nie czekała ino poszła, ale spotkała się z nim w pół drogi, poprowadziła ją do pokoju, zaraz też zapłaciła mu co była winna za kaszę i mąkę.

— Krowę zjadacie! — powiedział, zgarniając pieniądze do szuflady.

— Cóż poradzić, kamieni przeciech nie ugryzie. Zła była.

— Wałkoń jest wasz chłop, to wam powiem.

— Jest wałkoń abo i nie jest! Cóż to będzie robił, gdzie, u kogo?

— Niema to młocki we wsi?

— Parobkiem ni wyrobnikiem nie był, to i niedziwota, że się do tego nie rwie.

— Przyzwyczaj się jeszcze, przyzwyczaj! Szkoda mi chłopca, choć wilkiem patrzy i nieustępliwy, rozonego nie uszanował, ale szkoda człowieka...

— A dyć mówili... że jest robota u pana młynarza... dopraszam się... możeby pan Antka wziął do roboty... dopraszam się... — buchnęła płaczem, obłapiała go za nogi, całowała po rękach, a prosiła gorąco.

— Niech przyjdzie, prosił go nie będę, robota jest, ale ciężka, przy obróbce drzewa pod piły...

— Dyć poradzi, sposobny do wszystkiego, jak mało kóten we wsi...

— Wiem, dlatego mówię, żeby przyszedł do

roboty, ale swoją drogą źle wy swojego pilnujecie — źle.

Stała wystraszona, nic nie rozumiejąc.

— Chłop ma dzieci i żonę, a za drugimi się ugania.

Zbladła i poczęła się trząść w sobie.

— Prawdę mówię, wałęsa się po wsi nocami, widzieli go ludzie nieraz jeden...

Odetchnęła z ulgą ogromną, wiedziała przecież o tem, i dobrze rozumiała, że go tak pamięć krzywdy rzuca po nocach i spać nie daje... a ludzie zaraz to sobie farbują na swoje.

— Mógł się już wziąć do roboty, zarazby mu wywietrzały z głowy kochania.

— Gospodarski syn to...

— Dziedzic jucha, w robocie będzie przebierał, jak ta świnia w pełnym korycie, kiedy taki przebierny, to trzeba było żyć w zgodzie z ojcem, a za Jagusią nie latać... boć to i grzech nie mały i wstyd...

— Co też panu w głowie powstało, co? — zawołała prędko.

— Mówię wam jak jest, cała wieś o tem wie, pytajcie się — zawołał głośno i prędko, że to popędliwy był wielce i zawsze rad prawdę rznać prosto z mostu.

— Czy to ma przyjść? — zapytała cicho.

— Niech przyjdzie, choćby jutro. Co to wam, czego becycie?...

— Nie, nie, to ino z mrozu...

Wolno powracała, ciężko, jakby ją przygniatało do ziemi, że ledwie nogi podnosiła. Ściemniał świat i śniegi tak poszarzały, że jakoś trafić nie mogła na ścieżkę, próżno przecierała oczy z łez marznących u rzęs, próżno, nie odszukała, nie widziała nic i szła już w tej ciemnicy nagłej a bolącej; Jezus jak bolącej.

— Za Jagusią lata, za Jagusią...

Tchu nie mogła złapać, a serce się jej tłukło jako ten ptak przetrącony, a w głowie kołowało, kołowało, aż wsparła się o jakieś drzewo nad stawem i cisnęła się doń mocno, do bólu.

— Może i nieprawda, może ino cyganił...

Uczepiła się tego ze strachem i oburącz trzymała.

— Mój Jezus, nie dość biedy, nie dość ponievierki, a tu jeszcze i to się zwala na moją biedną głowę, i to — jęknęła rzewnie i aby stłumić ból zaczęła biedz prędko aż do utraty tchu i przytomności, jakby ją wilki goniły, wpadła do izby zadyszana, ledwie żywa.

Antka jeszcze nie było.

Dzieci siedziały przed kominem na dziadkowym kożuchu, a stary strugał im wiatrak i zabawiał.

— Przywieźli wełnę Hanuś, we trzech workach przywieźli...

Rozwiązała wory i w jednym z nich, na wierzchu znalazła bochen chleba, kawał słoniny i z dobre pół garnca kaszy.

— Niech ci Pan Jezus odpłaci za dobrość —

szepnęła rozrzewniona i zaraz też narządziła sutą kolację i rychło dzieci spać położyła.

Uciszyło się wnet w całym domu, bo u Weroniki już spali, a stary też wkrótce przyległ na przypiecku i zasnął, Hanka zaś wyporządziła kółko, siadła przed kominem i przędła.

Długo w noc siedziała, do pierwszych kurów, a wciąż, jak ta nić, wiło się przez nią młynarzowe powiedzenie: za Jagną lata, za Jagną.

Kółko warczało z cicha, jednostajnie, niestru-dzenie, noc zaglądała w okno miesięczną, mroźną twarzą i jakby pobrzękiwała w szybki i wzdychający tuliła się do ścian, a chłód wypełzał z kątów, za nogi chwytął i siwą pleśnią rozrastał się po glinianym toku; świerszcz strzykał za kominem, ino czasem przerwał, gdy które dziecko zakrzy-czało przez sen, lubo rzuciło się na łóżko — i znowu stawała głęboka przemarznięta cichość! Mróz brał coraz tęższy i kieby żelaznemi pazurami ścisnął, bo raz wraz trzaskały deski w szczycie, to po-gięte stare ściany łupnęły, jakby kto strzelił, to belka niektóra pęczniała od mrozu, potrzaskując z cicha, to snać ziaęb przejął na wskrós przyciesie, że zadygotały zagnała boleśnie i cały dom kurczył się, przywierał do ziemi a drgał z zimnicy.

— Że mnie też do głowy nie przyszło! Juści, taka urodna, taka spaśna, taka przypochlebna, a ja co?... Chuchro takie, skóra i gnaty, cóż ja! Czy to umiem go zniewolić do się, czy to śmiem! A choć-

bym i żyłę każdą wypruła la niego, nic to, kiej serca la mnie niema. — Cóż ja! cóż?..

Niemoc ją ogarnęła, niemoc ogromna, cicha i bolesna, tak strasznie bolesna, że nawet płakać nie mogła, nie miała sił, trzęsła się ino w sobie jako ta drzewina drętwiejąca z zimna, co ani uciecze od męki, ni poratunku uprosi, ni obronić się poradzi — jako ta drzewina skrzytowała Hancyna dusza. Wsparła głowę na kółku, opuściła ręce i zapatrzyła się przedsię, w swoją dolę nieszczęsną, w gorzką bezmoc swoją, i długo, długo tak trwała, ino kiedy niekiedy z pod silnych powiek wysuła się łza jaka paląca i padała na wełnę i zamarzała tam w krwawy różaniec boleści.

Ale nazajutrz wstała spokojniejsza nieco, bo i jakże, miała to czas na turbowanie jak jaka dziewcziczka! Może tak jest jak młynarz powiadał a może i nie jest! Opuści to ręce, płakać będzie i wyrzekać, kiej wszystko na jej głowie, i dzieci, i gospodarstwo, i bieda cała! Kto temu zaradzi jak nie ona? Tylko pomodliła się gorąco przed Matką Bolesną, i żeby Pan Jezus odmienił, to się ochfiarowała iść na zwiesnę do Częstochowy, na trzy msze dać i kiedyś, jak się zapomůže, zanieść cały kamień wosku do kościoła, na światło przed wielki ołtarz.

Ulżyło jej bardzo jakby się wyspowiadała i ten sakrament święty wzięła, że ostro zabrała się do przędzenia, tylko dzień chociaż był słoneczny i ja-

sny, dłużył się jej niepomrotnie i rozbierała ją troska o Antka.

Przyszedł dopiero wieczorem, na samą kolację, ale był taki zbiedzony, zmarnowany i cichy, a tak się witał pocziwie, dzieciom bułek przyniósł, że prawie zapomniała o podejrzeniach, a gdy jeszcze urznął sieczki, i pomagał jej przy obrządku jak mógł, rozczuliła się tak głęboko, że i wypowiedzieć trudno.

Nie mówił tylko gdzie był i co robił, juścić nie śmiała oto pytać.

Po kolacyi przyszedł Stach jakto był często zaglądał choć mu Weronka broniła, a w jakiś czas po nim, najniespodziewaniej, zjawił się stary Kłęb.

Nie mało się zdziwili, bo pierwszy to był człowiek ze wsi, od czasu ich wygnania, i tak rozumieli, że z jakimś interesem przychodzi.

— Że to nikt ani się pokaże, tom umyślił waju odwiedzić — rzekł prosto.

Dziękowali mu też ze szczerą i głęboką wdzięcznością.

Siedli se rzędem na ławie, blisko komina i pogadywali wolno, poważnie, a stary dorzucał gałązek na ogień.

— Mróz niezgorszy, co?

— Że i młócić bez kożucha i rękawic trudno — powiedział Stacho.

— A co gorsza, że i wilki się pokazują.

Ze zdumieniem spojrzeli na Kłęba.

— Prawdę mówię, dzisiejszej nocy podkopy-

wały pod wójtów chlew, musiało je coś spłoszyć, że prosiaka nie wzięły, a wygrzebały jamę aż pod przycieś, sam chodząc w południe oglądać, pięciu ich musiało być najmniej!

— To ani chybi, na ciężką zimę znak.

— Przeciech mrozy dopiero co wzięły i tu już wilki wychodzą...

— Widziałem pod Wolą, na tej drodze za młynem, wiecie, gęsty ślad jakby całe stado szło na ukos drogi, przyglądałem się, alem myślał, że to pańskie psy polowe, a to wilki musiały być... — powiedział żywo Antek.

— Byliście to i w porębie? — zagadnął Kłęb.

— Nie, powiadali ino ludzie, że tną ten przykupny las, przy wilczych dołach.

— Powiedział i mnie borowy, że dziedzic nikogo z Lipiec wołać nie będzie do roboty, pono przez złość, że się o swoje upominają.

— Któż mu to las wytnie, jak nie Lipczaki? — wtrąciła Hanka.

— Moiściewy, tyla wszędy narodu próżno siedzi po chałupach i czeka roboty kiej zmiłowania. Mało to w samej Woli, mało to tych kołtunów w Rudce albo i tamtych smoluchów w Dębicy! Niech ino dziedzic krzyknie, to w jeden dzień stanie paręsto najzdatniejszego chłopca. Póki na przykupnem rąbią, niech sobie rąbią, niech się wspomogą, nie wiele tam tego a i dla naszych zdaleko.

— A jak nasz bór zaczną?... — zapytał Stacho.

— Nie damy! — rzucił krótko i mocno Kłab — Pobarujemy się, niech dziedzic zobaczy kto mocniejszy, on czy cały naród, niech zobaczy.

Nie mówili już o tem, zbyt to leżało wszystkim na wątrobie i piekło, ino jeszcze Bylica powiedział jākajāco i nieśmiało.

— Znam ja to plemię dziedzicowe z Woli, znam, figła on. wam wystroi...

— Niechaj stroi, nie dziecim, to nas nie zwie-dzie — zakończył Kłab.

Pogadali jeszcze o wypędzeniu Magdy przez organistów, o czem Kłab rzekł swoje.

— Juści, po ludzku to nie jest, ale i szpitala trudno im było w chałupie zakładać, że to im przecież Magda ni swat ni brat.

Pogadali o tem i owem i rozeszli dosyć późno, a na odchodnem, Kłab po swojemu prosto i krótko powiedział, żeby do niego zachodzili, a jak im czego potrza, niech ino rzekną — to czy z leguminy, czy paszy dla jałówki a choćby i te parę złotych — znajdzie się po somsiedzku...

Antkowie ostali sami.

Hanka po długim wahaniu, po wielu nieśmia-łych wzdychach, spytała wreszcie:

— Znalazłeś jaką robotę?

— Nie, byłem we dworze jednym i drugim, przewiadywałem się i u ludzi a nie znalazłem... — odpowiedział cicho, nie podnosząc oczów, bo choć prawda, że był tu i owdzie, ale o robotę się nie starał a ino cały ten czas przewałęsał.

Położyli się, dzieci już spały, ułożone w nogach łóżka dla ciepła; ciemność ogarnęła izbę tylko księżycowe światło lało się przez zamarzniete, roziskrzzone szybki i przenikało wskrós izby świetlistym pasem, nie zasnęli jednak; Hanka przewracała się z boku na bok i medytowała: teraz powiedzieć o tartaku czy też dopiero jutro rano?

— Szukałem ale choćbym i dostał, nie pójdę ze wsi, nie będę się tłukł po świecie jak ten pies beapański — szepnął po długim milczeniu.

— To samo umyśliłam, tak samo! — zawołała radośnie — po co szukać chleba po świecie, i we wsi trafia się niezgorszy zarobek, a to młynarz mi powiedział, że ma robotę la ciebie przy tartaku choćby i od jutra a płaci dwa złote i groszy pięnaście.

— Chodziłaś pytać? — krzyknął.

— Nie, płaciłam com mu była winna a on sam powiedział, że miał przysłać po ciebie; nawet i nie wspomniałam — tłumaczyła się zestraszona.

Nic już nie odrzekł a i ona milczała, leżeli koło siebie nieruchomie, bez słowa, sen ich odleciał zupełnie, roili coś w utajeniu głębokiem, czasem wzdychali, to roztapiali duszę w tej głuchej, martwej ciszy — psy jakieś naszczekiwały we wsi, daleko, daleko i słabo, koguty biły skrzydłami i piały już z północka a szum cichy jakby wiatru zahuczał nad chałupą.

— Spisz to? — przysunęła się nieco bliżej.

— Kiej śpik mię odszedł.

Leżał w znak, z rękami pod głową, tak blisko przy niej a tak daleko sercem, daleko myślami — leżał nieruchomy, bez oddechu prawie, bez pamięci, bo Jagusine oczy znowu wyjrzały z ciemności i modrzyły się w księżycowej poświacie...

A Hanka przysunęła się bliżej jeszcze, przywarła gorącą twarzą do jego ramienia, przywarła sercem całym. — Nie, już w niej nie było podejrzeń żadnych, ni żalów, ni goryczy, a ino tem miłowaniem serdecznem, tą lubością duszną pełną dufności i oddania się, cisnęła się do jego serca.

— Jantoś, pódziesz to jutro do roboty? — spytała drżąco, byle ino co rzec, byle ino usłyszeć głos jego i zgwarzyć się z jego duszą.

— Może i pójdę, juści, trzeba iść, trzeba... — odpowiadał nie myśląc o tem.

— Idź Jantoś, idź... — prosiła miętko i zarzucała mu rękę na szyję i szukała gorącemi ustami jego ust ledwie dyszących.

Ale on nie drgnął nawet, nie odpowiedział, nie poczuł jej uścisku, nie wiedział o niej, szeroko otwartemi oczami patrzył w tamtej oczy, w Jagusine modre oczy.

III.

Na dobrym już dniu, po śniadaniu, młynarz przywiódł Antka na robotę; ostawił go na zajęździe wśród kloców zwalonych na wielkie kupy, a sam poszedł do Mateusza, któren akuratnie przyrchtowywał drzewo na tartaku i puszczał piły, pogadał z nim cosik i zawołał:

— Róbcie tu sobie a we wszystkim słuchajcie Mateusza, on tu za mnie rządzi — i poszedł zaraz, bo przykry, przejmujący ziąb ciągnął od rzeki.

— Pewnie topora nie macie? — zagadnął Mateusz, schodząc na dół i witając się z nim przyjaźnie.

— Z siekierą przyszedłem, bom nie wiedział.

— To jakbyście się z zębami wybrali, drzewo przemarzło i kruszy się kiej szkło, niczyście siekierą nie zrobili, nie chyci albo tyła co zębem. Pożyczę wam na dzisiaj topora, trza go ino przyostrzyć a na płask więcej, widzicie... Bartek, weźcie no się do pary z Boryną i tego dąbka rychło wyrchtujcie, bo tam z pił zejdzie niedługo.

Z za olbrzymiego kłoca leżącego w śniegu, wyprostował się suchy, wysoki a przygarbiony chłop z fajką w zębach, w baranicy siwej na głowie, w żółtym kożusku, w trepach i czerwonych pasiastych portkach, wsparł się na błyszczącym toporze, strzyknął przez zęby i rzekł wesoło:

— Do mnie to się przyżeniecie, nie bójcie się, zrobimy taką parę co to w zgodzie żyje, bez wrzasków i bijatyk.

— Sielny las, drzewa kiej świece.

— Ale sękate juchy, że niech Bóg broni, jakby krzemieniem nabijane, rzadki ten dzień, w którym topór się nie wyszczerbi. Ino swojego nie ostrzcie do sucha i gładka, trzeba z włosem ciągnąć po kamieniu, w jedną stronę, to ostrze mocniejsze, z żelazem to jak i z drugim człowiekiem, utrafisz w co lubi a powiedziesz kiej tego pieska na postroneczku, gdzie ino ci się uwidzi; taczalnik stoi w młynicy pod jaglakiem...

Może w jakiś pacierz Antek już stanął do roboty naprzeciw Bartka i jął odwalać szczapy a ociesywać drzewo wzdłuż, do ostrego kantu, wedle Bartkowego nasmolenia, nie odzywał się jeno, bo go mocno dotknęło, że taki Mateusz a przewodzi jemu, Borynie — ale kiej brzuch błądzi — koszula nie rządzi, to jeno spluwał w garście i przypinał się ze złością do topora.

— Niezgorzej wam idzie, niezgorzej! — zauważył Bartek.

Juści że poradzić poradził, nie dziwna mu była

obróbka drzewa a i pomyślenie też miał niezgorse, tylko że robota była ciężka dla niewłożonego, to się rychło zziajał i zapocił, aż kożuch zciepnął z siebie.

A mróz był tęgi, nie folgował, a że to wciąż trza było stać i grzebać się w śniegu, to ręce grabiały i przywierały do steliska, i czas się tak dłużył, że ledwie się doczekał południa.

Ale w obiad przegryzł ino suchego chleba, popił wodą prosto z rzeki i nawet pod dach, do młynicy nie poszedł z drugimi, bał się tam natknąć na znajomków co byli przywieźli do młyna i czekali swojej kolei. Jeszczeby wydziwiali nad nim a cieszyli się między sobą z jego poniżenia i biedy, niedoczekanie ich... Ostał na mrozie, przysiadł pod młynicą, gryzł chleb i wodził oczami po tartaku, któren stał nad samą rzeką, węglem ino przywarły do szczytu młyna, że woda z czterech kół waliła pod niego grubym zielonym wałem i poruszała piły.

Ale i nie wytchnął jeszcze całkiem, ni odpoczął jak się patrzy a już Mateusz wracając od młynarza z obiadu, z daleka krzyczał.

— Wychodź! Wychodź!

To chcąc niechcąc, postępując na krótkie przy-południe, a trza się było dźwigać i do roboty stawać z drugimi.

A ruchali się żwawo, bo mróz prażył i poganiał galanto.

Młyn turkotał wciąż, a woda z pod kół obro-

śniętych w lody kieby w te kłaki zielone i zwite w długie kołtuny, waliła z krzykiem pod tartak, piły trzeszczały bezustannie, jednakowoż jakoby kto szkło gryzł i pluły żółtymi trocinami. Mateusz zaś uwijał się niestrudzenie, rychtował kłocę, zastawiał wodę, puszczał, przybijał drzewo kłami do burt, rozmierzał a wciąż hukał i poganiał ludzi, i wszędzie go było pełno, zwijał się jako ten szczygieł przy konopiach, ino migał jego czerwony w zielone pasy spencerek i siwa baranica po podjeździe, na podeptanych zawiórzonych śniegach, gdzie obrabiali drzewo, to do młyna biegł, to do ludzi zagadywał, rozrządzał, naganiał, śmiał się, przekpinki powiadał i pogwizdywał a siarczyście robił, ale najczęściej widny był na pomoście przy piłach, ile że tartak bokowych ścian nie miał i świecił na przestrzał, a wznosił się nad rzeką dość wysoko na czterech tęgich słupach, o które tak biła woda, że trzcinowy dach wsparty ino na szczytach drygał niekiedy, niby ta wiecha na wietrze.

— Sprawny jucha! — szepnął Antek z uznaniem, ale nie bez złości.

— Mało to bierze! — odmruknął Bartek.

Zabili ręce o ramiona, bo skrzytwa była coraz tęższa i robili w milczeniu.

Narodu było dość przy robocie ino że na pogwarę czasu nie było — dwóch warowało przy piłach, zwałało porznięte kłocę na ziem a wciągało nowe, dwóch zaś drugich rozcinało niedorznięte końce i układało tarcice w szychty wielgachne

albo co cieńsze i mokrzejšie, chronili przed mrozem pod szopami, a jeszcze dwóch, obłupywało ze skóry dęby, jodły i świerki, że często gęsto, Bartek krzykał do nich, przekpiwając.

— Te, drzyki zapowietrzone, kiej się wyzwoliła na hyclów!

Żli byli na to, boć nie psów łupili ze skóry, ale swarzyć się o przezwisko nie było czasu, Mateusz tak popędział, że ledwie niekiedy, ukradkiem ino, leciał któren do młynicy by rozgrzać zgrabiące ręce, a z nawrotem nieledwie w dyrdy pospieszał bo i sama robota poganiała.

O dobrym już zmroku Antek powlókł się do domu, a tak był przemarznięty, utrudzony i wyzbyty z sił, tak go bolały wszystkie kości, że zaraz po kolacyi poszedł pod pierzynę i zasnął kamieniem.

Hanka nie miała serca wypytywać się go o nic, ale dogadzała mu jak mogła, przyciszała wciąż dzieci, starego nagnała by buciarami nie hałasował, sama boso chodziła po izbie, by go ino nie przebudzić, a na świtanu, kiedy się zabierał do roboty, uwarzyła mu garnuszek mleka do ziemniaków, by se podjadł i rozgrzał się lepiej.

— Psiakrótką, tak mię gnaty bolą, że ruchać się nie mogę! — wyrzekał.

— To ino tak zrazu, boście niezwyczajni, niewłożeni... — tłumaczył stary.

— Przejsć przejdzie, wiem. Przyniesiesz to Hannus obiad?

— Przyniesę, a gdziebyś to latał taki karwas drogi, przyniesę...

Poszedł zaraz, bo trzeba było równo z dniem stawać na robocie.

I tak mu się zaczęły dni ciężkiej, znoјnej pracy.

I czy mróz choćby i największą skrzytwą prażył, czy zawierucha dęła, i biła wichurą i śniegiem, że oczów nie było można ozewrzeć, czy odwilż przychodziła, że trzeba było stać dni całe w rozmiękłym śniegu a przykry, wilgotny ziąb w kości wlażył, czy śniegi sypały, że topora własnego mało co widział — trzeba było zrywać się do dnia, bieżyc i dni długie pracować aż gnaty trzeszczały i każda żyła z osobna pruć się z utrudzenia, a spieszyć się do tego, bo cztery piły tak zażerały drzewo, że ledwie mogli nastarczyć, i Mateusz poganiał.

Ale nie to mu się mierziło, nie ciężka praca, nie wichry złe, skrzytwy, pluchy czy śniegi srogie, wzwyczajał się był do tego po trochu — bo jak się człek przyłoży, to mu i w piekle niezgorzej — powiedają mądre ludzie, jeno czego znieść nie mógł, to tego Mateuszowego przodownictwa i tych jego ciągłych doskwierań.

Inni już na to nie baczyli, a on za każdą razą kiej posłyszał, wrzał złością, a nieraz tak odwarknął, że tamten ino ślepiami błyskał, a znowu, jakby z rozmysłem do wszystkiego się czepiał, niby nie prosto w oczy, ale tak zawždy utrafił

w słabiznę, aż skóra cierpła na Antku i pięście mu się zwierały, hamował się jednak jeszcze jak mógł, przyciszał a tylko te przygryzki w pamięć zgarniał, czuł dobrze, że Mateusz na okazyę czekał by go z roboty wygonić...

Antkowi zaś tak o robotę nie chodziło wiele, a ino o to, by się nie dać przeprzeć i zmódz bele komu — takiema łachmytkowi jak Mateusz.

Dość, że się zawzinali na się coraz srożej, bo na samem dnie złości, jak zadra boląca, tkwiła Jagusia. Obaj oni a już z dawna, jeszcze od wiosny, a może i od zapust, chodzili za nią na przyprążkę, i przepierali jeden drugiego kryjomo, dobrze jednak wiedząc o sobie. Jeno Mateusz robił to prawie na oczach wszystkich i w głos powiadał o swoim miłowaniu, a Antek kryć się z tem musiał, to i głucha, paląca zazdrość parzyła mu serce.

Nigdy oni nie trzymali ze sobą przyjacielstwa a zawdy się boczyli na siebie i odgrażali przed ludźmi, że to i każdy z nich miał się za najmocniejszego chłopca we wsi, ale teraz, z dnia na dzień rosła w nich złość do siebie i zawziętość, iż po jakimś tygodniu, to się już nie witali a przechodzili mimo, krzesząc ślepiami jako te dwa wilki rozsrożone.

Mateusz nie był zły ni nieużyty a na sprzeciw, serce miał wspomogliwe i szeroką rękę, jenó zbyt dufał w siebie, zbyt się wynosił nad drugie i za nic je sobie ważył, a i te miał jeszcze wadę, że

za takiego się miał kawalera, któremu żadna dziewczucha się nie oparła, lubił się tem puszyć, rozpowiadać, byle ino przodować we wszystkim. Więc i teraz w smak mu to szło i rad gadał, że Antek robi u niego i słucha się we wszystkim, a w oczy pokornie patrzy jak ta trusia, byle go ino z roboty nie wygonił.

Dziwno to było znającym Antka, ale tak miarkowali, że się chłop upokorzył i przygiął, byle ino roboty nie stracić, a drugie zasie dowodzili, że z tego wyjdą jeszcze historye, bo Antek nie daruje i nie dziś to jutro odbije swoje i gotowi byli nawet o zakład iść, że Mateusza spierze na kwaśne jabłko.

Juści, że Antek o tych gadkach nie wiedział, bo do chałup nie zaglądał, znajomków wymijał bez słowa a z roboty wprost do domu szedł i naodwrot, ale dobrze czuł, że tak być musi, bo nie- zgorzej przezierał Mateusza.

— Przyrządzę ja cię ścierwo na taką kapustę, że cię psi nie zjedzą, zmięknie ci rura, nie będziesz się puszył i wynosił — wyrwało mu się jednego razu na robocie aż Bartek posłyszał i rzekł:

— Poniechajcie go, płacą mu za to by poganiał! — Nie rozumiał stary.

— Nawet pies mnie mierzi, kiej po próżnicy szczeka.

— Za bardzo bierzecie do serca, jeszcze się

wam zapieczę wątroba, a uważam, że i do roboty gorączujecie się..

— Bo mi zimno — rzucił byle co.

— Zwolna trza wszystko, po porządku, zwolna, a i Pan Jezus, mógł świat stawić w jeden dzień, a wołał go robić bez cały tydzień, odpoczywający... robota nie ptak, nie pofrunie, a narywać się la młynarza czy tam innego, jaka wam wola i mus... a Mateusz jest od tego, kieć ten piesek co strzeże chudoby, będziecie się to nań żlili za szczekanie?...

— Powiedziałem jak to uważam. Gdzieście to latową porą bywali, żem was we wsi nie ujrzał? — zapytał, aby zmienić rozmowę.

— Niecoś się robiło, niecoś świat Boży oglądało, oczy pasko i duszy rosnąć pomagalo... — powiadał wolno, obcieszając drzewo z drugiej strony, prostował się czasem, rozciągał aż mu stawy trzaśkały, a fajki z zębów nie puszczał i rad prawić.

— Robiłem z Mateuszem przy nowym dworze, ale że poganiał i zwiesna była na świecie, pachniało słonko, tom go rzucił, a szli natenczas ludzie do Kalwaryi — poszedłem z nimi, by odpustu dostąpić i świata coś niecoś przejrzeć.

— Daleko to do onej Kalwaryi?

— Dwa tygodnie szlim, aż za Krakowem, alem nie doszedł. W jednej wsi, gdzieśmy połedniowali, stawiał gospodarz chałupę, a tyle się na tem rozumiał, có koza na pieprzu, zeżliłem się, skłąłem juchę, bo drzewa namarnował i ostałem u niego,

że to i prosił. Bez dwa miesiące wyrychtowałem mu dom, że na dwór patrzył, aż mnie za to chciał swatać ze swoją siostrą, wdową, co w podłe na pięciu morgach siedziała.

— Pewnikiem stara.

— Bogać ta młoda, ale niczego jeszcze, a jakże, tyła że ino łysawa dziebko, koślawa i świdrem patrzała, ale na gembie gładka, kiej bochen, którego myszy bez parę niedziel obgryzały, galanta kobieta, dobra, wyżerkę miałem sielną — a to jajecznicę z kielbasą, a to gorzałka z tłustością, a to inne smaki były, a tak się znarowiła do mnie, że dzień w dzień pod pierzynę była puszczać gotowa... ażem w nocy się wyniósł we świat...

— Nie było się to przyżenić, zawždy pięć morgów...

— I zawszony kożuch po nieboszczyku. A mnie co po kobiecie? Z dawna mi już obmierzło to babie nasienie, z dawna! A to nic jeno krzyczy, wrzeszczy, lata, jako te sroki na płocie, wy słowo a ona dwudziestu kiej grochowinami trzęsie... wy macie rozum a ona ino ozorem zamięta. Mówisz kiej do człowieka, a ta ni wyrozumie, ni rozważy, jeno bele co klepie. Powiadają, że Pan Jezus dał kobiecie ino pół duszy i musi być to prawda... a drugą połówkę dyabeł miał narządzić...

— Są i mądre pono, są... — rzekł melancholijnie.

— To i białe wrony pono są, ino że nikto ich nie widział!

— Nie mieliście to swojej kobiety, co?

— Miałem, miałem!... — urwał nagle, wyprostował się i zapatrzył siwemi oczami w dale, stary już był, zeschły na wiór, żylasty, prosty — ino się jakoś przygarbił teraz i fajka mu latała w zębach a łypał powiekami prędko, prędko.

— Schodzi, wciągać! — wrzeszczał chłop od pił.

— Prędzej tam Bartek, nie stójcie, bo i piły staną — wrzeszczał Mateusz.

— Hale, głupi, rychlej nie można niżli poradzi. Wlazła gapa na kościół, kracze i myśli, że jest księdzem na ambonie — mruknął ze złością, ale musiało mu się cosik zrobić na wnątrzu, bo częściej odpoczywał, wzdychał i za południem się oglądał.

Dobrze, że zaraz przyszło, bo jakoś i kobiety się już pokazały z dwojakami, a Hanka wychodziła z za węgła młyna. Tartak stanął, poszli wszyscy jeść do młynicy. Antek zaś, że dobrze znał się z młynarczykiem bo niejedną flachę wypili ze sobą, wpakował się do jego izdebki, nie uciekał już od ludzi, nie stronił od nich, ino im takie oczy pokazywał, że sami go omijali.

W gorącu takim, że ledwie można było dychać siedziało paru chłopów w kożuchach i pogadywało wesoło, byli to ludzie z dalszych wsi, co do młyna przywieźli i czekali na zmielenie, dokładali torfu, do czerwonego już piecyka, kurzyli papierosy, że cała izdebka tonęła w dymie i rajcowali.

Antek usiadł na jakichś workach pod okien-

kiem, dwojaki wziął pomiędzy kolana i łakomie pojadał kapustę z grochem, a potem kluski ziemniaczane z mlekiem, a Hanka ukucnęła mimo i z rozczuleniem wpatrywała się w niego, wysechł był od pracy, poczerniał, a od tego robienia na mrozie, twarz mu miejscami łuszczyła się ze skóry, ale mimo to, urodny się jej widział jak nikt drugi na świecie: — juści, że tak było, wysoki, prosty, śmigły, w pasie cienki, w barach rozrosły, gibki; a twarz miał długawą, suchą, nos kiej ten dziób jastrzębi jeno nie tak garbaty, oczy wielkie, siwozielone, a te brwie, to jakby kto węglem krychę pociągnął przez całe czoło od skroni prawie szły do skroni, że kiedy je w gniewie ściągnął, to aż straszno było patrzeć, a czoło miał wyniosłe ino na pół przysłonięte równo obciętymi, ciemnymi, prawie czarnymi włosami, i wąsy golił do cna jak wszyscy, że mu ino te białe zęby grały w czerwonych wargach, jako sznur paciorków... urodny był całkiem, że nigdy dość napatrzyć się nie mogła na niego.

— Nie mógł to ociec przynieść, będziesz to co dzień tyle drogi biegała!

— Gnoju mieli urzucić z pod jałówki, a samam wołała ci przynieść!

Zawsze tak kierowała, by samej obiad przynosić i chociaż popatrzyć na niego.

— Cóż tam? — spytał dojadając.

— A cóżby! — oprzędłam już worek wełny i odniosłam organiścinę pięć proników. Kuntenta

była wielce... Pietruś ino jakiś rozpalony, jeść nie je i matyjasi ciągiem...

— Obżarł się i tyła.

— Pewnie że tak, pewnie... A i Jankiel zachodził po gęsi...

— Sprzedasz to?

— Hale, a na zwiesnę to kupowała będę!

— Jak uważasz tak zrób, twoja w tem głowa.

— I u Wachników] znowu się pobili, aż po księdza chodzili, żeby rozbroił... a u Paczesiów ciele pono się udławiło marchwią.

— Co mi ta potem — mruknął niecierpliwie.

— Organista jeździł po snopkach — powiedział po chwili, ale już nieśmiało.

— Cóżes dała?

— Dwie przygarście lnu oczesanego i cztery jajka... Powiedział, że jak nam będzie potrzeba, to da wóz owsianki i poczeka na pieniądze do lata albo i na odrobek da. Nie wzięłam, pocóż nam brać od niego... przecież... należy się nam jeszcze paszy od ojca, wielim ino dwa wozy a z tylu morgów...

— Nie pójde się upominać i tobie zakazuję. Weź od organisty na odrobek, a nie, to się ostatnie bydlę sprzeda, a pókim żyw ojca o nie prosić nie będę, rozumiesz...

— Rozumiem, od organisty wziąć...

— A może i zarobię tyła, że starczy, nie buczo ino przy ludziach!

— Dyc nie płaczę, nie... ale weź od młynarza

z półkorczyka jęczmienia na kaszę, to taniej wyjdzie, niżli gotową kupować.

— Dobrze, powiem dzisiaj i zostanę na którym wieczór, to się zmele.

Hanka wyszła, a on pozostał jeszcze, kurząc papierosa, nie wtrącając się do rozmów jakie chłopci wiedli, a mówili właśnie o bracie dziedzicowym z Wólki.

— Jacek mu było, znałem go dobrze! — zawołał Bartek, wchodząc na ten czas do izdebki.

— To wiecie pewnie, że powrócił z dalekich krajów.

— Nie, myślałem nawet, że już dawno zmarł!

— Żywie, bo coś ze dwie niedziele temu jak przyjechał.

— Wrócił, ale powiadali, że coś niespełna rozumu. We dworze nie chce mieszkać i przeniósł się do lasu, do borowego, sam se wszystko narządza czy jadło, czy też ubiór aż to dziwno wszystkim, a wieczorami na skrzypkach wygrywa, często gęsto to i po drogach go spotykają, po tych mogiłkach różnych, na których przygrywa..

— Mówili mi, że po wsiach chodzi i wszystkim się wypytuje o jakiegoś Kubę..

— O Kubę! nie jednemu psu łysek.

— Przewiska nie powiada, Kubę jakiegoś szuka, którym go miał pono z wojny wynieść i od śmierci uchronić!

— Był ci u nas Kuba, którym do boru z pa-

nami poszedł, ale ten pomarł! — rzucił Antek i podniósł się, bo już Mateusz wrzeszczał za ścianą.

— Wychodźta, co to, do podwieczorku będzieta poledniowali!

Antka porwała złość, że wybiegł i zawołał:

— Nie drzyj się po próznicy, słyszymy wszyscy.

— Obżarł się mięsem, to krzykaniem ulgę sprawia kałdunowi — powiedział Bartek.

— I... krzyczy, by się przed młynarzem zasłużyć — dorzucił któryś.

— Przy jadł się wylegają, poradzają, gospodarzy juchy udają a całych portek nie pokażą... — mamrotał wciąż Mateusz.

— Do was pije Antoni, do was!

— Zawrzyj pysk i weź ozór na zęby, bym ci go nie przyciął, a od gospodarzy ci wara! — wrzasnął Antek, gotowy już na wszystko.

Ale Mateusz zamilkł, ino jak ten zbój spoglądał a już cały dzień słowa nie przemówił do nikogo, ale za robotą Antkową pilnie baczył i stróżował go na każdym kroku, ino przyczepić się nie mógł, bo tamten tak robił rzetelnie, że sam młynarz, którego parę razy dziennie przychodził na robotę, to spostrzegł i przy pierwszej wypłacie tygodniowej, postąpił mu na całe trzy złote.

Mateusz się wściekał potem, młynarzowi do oczów skakał, ale ten rzekł:

— Dobryś mi ty, dobry mi i on, dobry mi każdy, którego rzetelnie pracuje.

— To ino mnie przez złość, pan jemu postąpił.

— Wart jest tyle co Bartek, a może i więcej, tom postąpił. Sprawiedliwy człowiek jestem, niech każdy o tem wie.

— A, bo cisnę wszystko do stu dyabłów, i niech se pan sam staje do roboty — groził.

— A ciśnij, poszukaj bułek kiedy ci chleb nie smakuje, idź, tartak poprowadzi Boryna i do tego za cztery złote na dzień! — powiedział młynarz ze śmiechem, bo ano tak z rozmysłem wszystko rychtował, by mieć taniej robotnika.

Pomiarkował się wnet Mateusz, że młynarz nie ustąpi i nie da się nastraszyć, to nienastawał więcej, schował złość do Antka głęboko za pazuchę, że go tam żywym ogniem piekła, ale dla ludzi zrobił się jakby miększym i wyrozumialszym, spostrzegli to w lot, a Bartek splunął na to i rzekł do drugich:

— Głupi jako ten psiak co nie mógł zgryźć buta, dostał w zęby, to się teraz do niego łąsi. Myślał, że łaskę posiadał, a tak samo go przegonia, niech się tylko lepszy trafi... zawždy tak z bogaczami bywa...

Antkowi zaś zarówno wszystko było, ani rad był z podwyżki, ani cieszyło go zbytnio, że Mateuszowi zmiękła rura, i że wieś z niego przekpiwała, o czem powiadali na robocie, tyle go to obchodziło razem, co ten łoński rok, albo i mniej. Nie dla płacy robił, to ino Hanke cieszyło, robił

bo mu się tak podobało, a gdyby zechciał brzu-chem do góry wylegiwać — wylegiwałby się, choćby się tam nie wiem co stało. A że upodobał sobie w robocie, to się w niej prosto zapamiętał i chodził jak ten koń w kieracie, co i niepopędzany a w kółku biega, póki go nie zatrzymają.

I tak szedł dzień za dniem, tydzień za tygodniem aż do samych Godów w ciężkiej i bezustannej pracy, aż mu zwolna przycichła dusza i jakby skrzepła na lód, że zgoła niepodobny był do dawnego, dziwowali się temu ludzie i różnie o tem mówili. Ale to było jeno z wierzchu, dla ludzkich oczów, bo na wnątrzu całkiem było różnie — jako w tej wodzie bystrej i głębokiej, którą mróz w lody okuje i śniegi przysypią — a bełkocze ciągiem, szumi, huka, że ani człek się spodzieje, kiej pęknie powłoka i wody luną... Tak ci było i w nim; robił, harował, pieniądze co do grosza oddawał żonie, w domu przesiadywał wieczorami, a dobry był jak nigdy, cichy, spokojny, dzieci zabawiał, pomagał w gospodarstwie, marnego słowa nie rzekł nikomu, nie wyrzekał i jakby o wszystkich krzywdach zapomniał — ale nie zwiódł tem wszystkim Hancynego serca, nie; juści, że radowała się tej przemianie i dziękowała za nią Bogu gorąco, a zabiegała koło niego jak mogła, w oczy mu ciągiem patrzyła, by odgadnąć czego potrzebuje, służką mu była najwierniejszą i najpamiętliwszą, ale i często łapała oczami jego smutne spojrzenia, często nasłuchiwała strwożona jego

wzdychów cichych, często opadały jej ręce i z zamartwiałym sercem oglądała się dokoła, chcąc przewidzieć, skąd przyjdzie nieszczęście, bo dobrze czuła, że w nim waży się cosik strasznego, cosik co ino przez moc zdzierża, co ino przywarło, przysitało się a ssie mu duszę, ssie...

On zaś ani słowa nie rzekł, źle mu jest czy dobrze, z roboty wracał prosto do domu, o oświataniu się zrywał, kiedy przedzwaniiali na roraty, że co dnia przechodził koło oświetlonego kościoła, co dnia zatrzymywał się wprost kruchty posłuchać grania organów, tych muzycznych głosów, tych brzmień rozdzwonionych, cichych, przejmujących — co jakby z mrozów dźwięczały, jakby z tej przedświtowej szarości się rodziły, jakby z tych zórz miedzianych pobrzękiwały, z lodowych przysłon i z ziemi przemarzłej niosły się tęsknem, łamiącym marzeniem długiego snu, ciężkiego snu zimy, i co dnia przyspieszał kroku by go nie ujrzeli zasłuchanego i biegł drugą stroną stawu, dłuższą, byle ino nie przechodzić koło ojcowego domu i nie spotkać nikogo.

Nikogo!

Dlatego też i w niedzielę przesiadywał kaminem w domu, mimo próśb Hanki, by szedł z nią do kościoła. Nie i nie. Bał się spotkania z Jagną, dobrze wiedział, że nie zdzierży, nie wytrzyma!

A przytem wiedział od Bartka, z którym się niezgorzej stowarzyszył, i sam czuł, że wieś

wciąż się nim zajmuje, że go pilnują i śledzą na każdym kroku jak złodzieja, jakby się zmówili na niego — nieraz bowiem spostrzegał przy czajone za węglami oczy, nieraz czuł jak się oglądają za nim, jak lecą ciekawe, chwytne spojrzenia, co radeby do dna duszy sięgnąć i wypatroszyć ją z każdego zamysłu i przejrzyć na wskrós. Bolały go te oczy, bo jakby świdrem szły przez dusze, srodze bolały.

— Nie przegryziecie ścierwy, nie przegryziecie — szeptał nienawistnie, zacinając się w coraz sroższym gniewie na wszystkich, że jeszcze bardziej unikał ludzi.

— Nie potrzeba mi nikogo. Tyle mam ze sobą przyjacielstwa, że ledwie temu poradzę — powiedział Kłębowi, który mu wyrzucał, że nigdy do niego nie zajrzy.

I prawdę rzekł, że ledwie ze sobą poradził, prawdę; wziął się był mocno w garść, skiełznał duszę niby w ten kantar żelazny i trzymał krzepko, nie popuszczał z uwięzi — ale już mu coraz częściej mdlała dusza z utrudzenia, i coraz częściej chciało mu się ciepnąć wszystko i zdać na dołę. — Zła będzie czy dobra — zarówno mu było, bo życie mu mierzło i przeżerał go smutek — głęboki smutek, co jak ten jastrząb wczepił się w serce pazurami i darł i ozdierał.

Ciężko mu było w tem jarzmie, ckno, ciasno i duszno, jak temu spętanemu koniowi w zagro-

dzie, jak temu psu na łańcuchu, jak... że i niewypowiedzieć!

Czuł się jako to drzewo rodne, obłamane przez wichry i na zagładę skazane, a schnące powoli w samym środku kwitnącego, zdrowego sadu.

Boć wokoło żyli ludzie, była wieś, życie wrzało zwykłym głębokim bełkotem, pluskało jako ta woda bieżąca, rozlewało się wciąż jednakim, bujnym, rzeźwym strumieniem. Lipce żyły zwykłym, codziennym życiem; a to chrzciny wyprawiali u Wachników; zrękowiny odbywały się u Kłębów, choć i bez muzyki, ale zabawiali się jak na adwent przystało; to znowu zmarło się komuś, bodaj że temu Bartkowi, którego to po kopalniach, zięciaszek tak pobił, że chyrlał, kwękał, aż się i przeniósł do Abramka na piwo; to Jagustynka zapoznała znowu dzieci do sądów o wycugi; to insze jeszcze sprawy szły, drugie, a w każdej niemal chałupie coś nowego, że naród miał o czym radzić, z czego się śmiać albo i markocić; a zaś po różnych chałupach, w długie wieczory zimowe, zbierały się kobiety z kądzielą na oprzęd — co tam śmiechu było, mój Jezus, co zabawy, co gałek, co krzykań, że aż po drogach szły te gzy wesole. A wszędy co swarów, przyjacielsstw, zmaowań, zalecanek, wystawań przed chałupami, krętaniny, bijatyk, przemawiań uciесznych — jakoby w tem mrówczem albo pszczelnem rojowisku — że ino huczało w chałupach.

A kaźden żył po swojemu, jak mu się widziało,

jak mu sposobniej było a społecznie z drugimi, jak Pan Bóg przykazał.

Kto biedował, zabiegał, kłopotał się, kto się zabawiał i rad w kieliszki przedzwaniał z przyjaciół, kto się puszył i wynosił nad drugie, kto za dzieuchami się uganiał, kto chyrlał i na księżą oborę poglądał, kto na ciepłym przypiecku legiwał — komu radość była, komu smutek, komu zaś ni jedno ni tamto — a wszyscy żyli gwarno, z całej mocy, duszą całą.

Ino on jeden był jakby poza wsią, poza ludźmi, i czuł się jako ten ptak obcy, strachliwy a głodny, — że choć się tłucze koło jarzących okien, choć wzdycha do pełnych brogów, choć radby duszą całą do ludzi — a nie wleci; kołuje ino, zagląda, nasłuchuje, męką się żywi, tęsknicę pije, a nie wleci.

Chyba, żeby Pan Jezus co przemienił... a na dobre.

Ale bał się jeszcze myśleć o takiej przemianie.

Jakoś na dni parę przed Godami, spotkał się rano z kowalem, chciał go wyminąć, ale tamten zastąpił mu drogę, pierwszy wyciągnął rękę i rzekł miętko, jakby z żalem.

— Czekałem, że przyjdiesz jak do rodzonego... poradziłbym, pomógł, chociaż i u mnie się nie przelewa.

— Mogłeś przyjść i pomódz!

— Jakże, pierwszy to miałem się napraszać, żebyś mnie wygonił jak Józkę...

— Juści, kogo nie boli, temu zawsze powoli.

— Nie boli! Jednaką nas krzywda spotkała, to i bolenie jednakie.

— Nie cygań w żywe oczy, hale, myśli, że z głupim ma sprawę...

— Jak tego Pana Boga kocham, tak czystą prawdę rzekłem.

— Lis jucha; leci, wywąchuje, kręta się a ogonem ślad zaciera, żeby nawet wiatru za nim nie złapać i szkody nie pomścić.

— Że na weselu byłem, oś widzę krzyw na mnie! Prawda, byłem, nie wypieram się, musiałem ano pójść, sam ksiądz namawiał i niewolił, żeby obrazy boskiej z tego nie wyszło, że dzieci osobno a ociec osobno.

— Z namowy księdza poszedłeś — powiedz to drugiemu, uwierzy, ale nie ja. Drzesz ty starego za to przyjacielstwo, jak się ino da, z próżnemi rękami nie odchodzisz...

— Ino głupie nie biorą jak im dają, ale przeciw tobie nie nastaję, nie, niech cała wieś powie, spytaj się Jagustynki, ona cięgiem przesiaduje u starego, już nawet mówiłem ojcu o zgodzie z tobą... zrobi się to... uładzi... wyrychtuje na glanc...

— Psów se zgódź, nie mnie, słyszysz! Nie prosiłem cię o wojnę, to mnie i ze zgodą nie żeń, widzisz go, jaki mi przyjaciel! Zrobiłbyś zgodę, byś ino mógł mi zwlec z grzbietu choćby ten kożuch ostatni... Mówię ci raz jeszcze, całkiem mnie po-

niechaj i z drogi mi schodź, bo jak mnie kiedy złość rozbierze, to ci tych wiewiórczych kudłów nadrę i żeber pomacam, nie obronią cię i strażniki, choć z nimi trzymasz. Zapamiętaj to sobie.

Odwrócił się i poszedł, nie obejrzawszy się nawet na tamtego, którego z rozdziawioną gembą na środku drogi ostał.

— Cygan ścierwa, ze starym trzyma i do mnie z przyjaciółstwem występuje, a obuby nas z torbami puścić, by ino mógł.

Nie uspokoił się rychło po tem spotkaniu, bo do tego, nie wiedło mu się jakoś dzisiaj od samego rana; ledwie był wziął się do ciesania, wyszczerbił się topór na sęku, a potem zaś, zaraz z przypołudnia, drzewo przygnietło mu nogę, cud prawdziwy, że nie pękła, ale musiał but zezuwać i okładać lodem, bo napuchła i srodze bolała... A do tego i Mateusz dzisiaj był rozżarty jak ten pies, kłócił się ze wszystkimi, wciąż mu było źle, wciąż mało, krzyczał, poganiał, a z nim to jakby wyraźnie zwady szukał, że ino ino do czego gorszego nie przyszło.

Tak się już dziwnie składało, bo nawet tej kaszy, którą miał Franek zrobić na dzisiaj, a o którą Hanka mu co dnia głowę suszyła, nie zrobił i zastawiał się brakiem czasu.

W chałupie też było niezwykajnie. Hanka chodziła strapiona i zapłakana, bo Piotruś leżał w gorączce jakoby w ogniu, że musiała wołać Jagu-

stynki, aby chłopca okadziła i przemierzyła, bo obsunąć się musiał.

Właśnie przyszła podczas kolacji, przysiadła przed kominem, rozglądała się kryjomo po izbie i dziwną ochotę miała gadać, ino że mało wiele odpowiadali oboje, to zaraz wzięła się oglądać chłopca i lekować...

— Pójdę do młyna, przypilnuję, bo inaczej nie zrobią! — powiedział, biorąc za czapkę.

— Ociec nie mogliby to iść zasypywać!..

— Sam pójdę, to pewniej kasza będzie! — I poszedł spiesźnie, zły był, wzburzony i tak na wewnątrz rozciepany, jako to drzewo samotne na wichurze, a przytem drażniło go wszystko w chałupie, niecierpliwiło, a najbardziej te obmacujące, złodziejskie oczy Jagustynki.

Wieczór był cichy, nie mroźny, bo jakoś od rana sfołżało mocno, gwiazd było nie wiele, ino gdzieniegdzie, jak przez zasłony, drgała jaka w dalekościach, wiatr pociągał od lasów, a z nim szedł daleki szum, głuchy, jakby przed odmianą, psy gęsto naszczekiwały po wsi, a co trochę suły się kurzawą śniegi otrząsane z drzew... dymy tłukły się po drodze — a powietrze było wilgotnawe, przejmujące.

We młynie, że to przed świętami, sporo było ludzi; ci, których zboże się męło, warowali przy gankach, reszta siedziała w izdebce młynarczyka, a w pośrodku nich Mateusz, znać coś ciekawego powiadał, bo co chwila wybuchali śmiechem.

Antek cofnął się prawie z progu izdebki i poszedł na młyn szukać Franka.

— Rozprawia się na grobli z Magdą, wiecie tą wypędzoną od organistów.

Młynarz chciał go wygonić, jeśli dziewczkę raz jeszcze spotka w młynie, a przesiadywała tu całe noce, bo i gdzież się podzieje biedota! — objaśnił go chłop jeden.

— Kto na zwiesnę za czem bryka, od tego zimą umyka! — dorzucił ze śmiechem inny.

Antek przysiadł pod cylindrem, gdzie się najprzedniejszą mąkę robiło, a tak jakoś wprost wywartych drzwi izdebki, że widział Mateuszuwe plecy i głowy innych pochylonych ku niemu i zasłuchanych, mógł być słyszeć nawet co mówili, bo niedaleko było, ino turkot młyna nie pozwalał, a i sam słuchać nie chciał.

Uwalił się prawie na worach i jakby drzemał nieco ze znużenia.

Młyn turkotał bez przerwy, trząsł się cały, dygotał i pracował wszystkimi gankami, koła trzepały się tak mocno, jakby sto kobiet prało kijankami a bez przerwy, woda z bełkotliwym krzykiem waliła się przez nie, rozbijała w piany wrzące, w śnieżyste drzazgi i waliła z rykiem do rzeki.

Antek czekał może z godzinę na Franka, ale podniósł się wreszcie, by iść go poszukać na dworze, a zarazem by się orzeźwić nieco, bo spik go morzył. Drzwi wychodne prowadziły tuż przy

izdebce, przeszedł i biorąc już za klamkę, przystanął nagle, posłyszał prawienie Mateusza.

— ...a stary sam warzy mleko, to herbatę i do pierzyny jej nosi... — mówili, że nawet sam koło krów chodzi i z Jagustynką wszystko obrządza, byle ino ona se rączków nie powalała... pono kupił w mieście porcelenę, by się nie przeziębila za stołę wychodzić...

Gruchnęli śmiechem ogromnym i dowcipy jak grad się posypały. Antek sam nie wiedząc dlaczego cofnął się na dawne miejsce, padł na worki i bezmyślnie patrzył w długą, czerwoną smugę światła, bijącą przez wywarte drzwi izdebki. Nie słyszał nic, turkot przygłuszał rozmowy, młyn dygotał bezustannie, szary tuman pyłów mącznych przysłaniał młynnice, lampki wiszące u sufitu, gdzie-niegdzie migotały z kurzawy białej, żółciły się jak te kocie oczy zaczajone i drygały raz po raz na sznurach. Ale nie mógł wysiedzieć, podniósł się znowu, i cicho, na palcach podsunął się pod same drzwi i słuchał.

— ...wszystko mu wytłumaczyła — mówił Mateusz — bez płot pono się spieszyła i bez to — Dominikowa przytwardziła, jako się to często przytrafia dzieuchom, że i ją to samo spotkało w panieństwie... Każda teraz może zganiać na przełaz ostry... a stary baran uwierzył. Taki mądrała a uwierzył...

Śmiali się tak, aż ten rehot po młynicy się rozlegał, aż się pokładali.

Antek przysunął się bliżej, prawie w progu stanął a blady jak trup z zaciśniętymi pięściami, skurczony w sobie, gotowy do skoku.

— A to co o Antku powiadali — podjął znowu Mateusz, gdy się wyśmiali — że się tam z Jagusią dobrze znali, nie prawda, wiem najlepiej. Sam sły-
szałem jak skamlał u drzwi komory niby ten pies,
aż go mietłą musiała odganiać. Przyczepił się do
niej jak rzep do psiego ogona, ale go przega-
niała...

— Widzieliście to, inaczej na wsi mówili... —
zapytał któryś...

— Jakże, raz to byłem u niej w komorze, raz
mi się to żaliła na niego!

— Łżesz jak ten pies! — krzyknął Antek,
przestępując próg.

Mateusz się porwał w ten mig do niego, ale
nim mógł zmiarkować cobądź, już Antek skoczył
jak ten wilk wściekły, chycił go jedną ręką za
orzydle, przydusił aż tamten dech i głos stracił,
drugą ujął za pas, wyrwał z miejsca jak kierz,
nogą drzwi wywalił na dwór, i poniósł go prędko
za tartak, do rzeki ogrodzonej płotem i cisnął
z całej mocy, aż cztery żerdki trzasły kiej słomki,
a Mateusz niby kloc ciężki padł we wodę.

Rejwach się uczynił i krzyk wielki, bo rzeka
w tem miejscu bystra była i głęboka, rzucili się
ludzie na ratunek i wyciągnęli go rychło, ale był
nieprzytomny, ledwie się go docucili. Przyleciał
wnet młynarz, przywiedli w parę pacierzy Jam-

broża, naszło się ludzi ze wsi, aż go przenieśli do młynarzowego domu, bo ciągiem mdlał i żygał krwią. Po księdza nawet posłali, tak się źle z nim widziało, myśleli, że i ranka niedoczeką.

Antek zaś, kiedy Mateusza wynieśli, siadł spokojnie na jego miejscu przed kominem i grzał sobie ręce i pogadywał z Frankiem, który się znalazł — a skoro ludzie popowracali i uspokoiło się nieco, rzekł tak głośno, by wszyscy słyszeli, a mocnoby sobie każdy zapamiętał.

— Kto ino będzie mnie szarpał i nastawał na mnie, każdemu tak zrobię, albo jeszcze lepiej!

Nikt się nie odezwał, patrzyli na niego z głębokim podziwem, z szacunkiem, bo jakże, żeby takiego chłopca jak Mateusz wziąć tak lekko niby ten snopek słomy, ponieść i rzucić do wody! Jeszcze nikto o takim mocarzu nie słyszał!... No bo żeby się pobili, zmagali i jeden drugiego przemógł, poprzetrącał mu kości, zabił nawet — rzecz zwyczajna! Ale nie, ino wziąć kiej tego szczeniaka za uszy i ciepnać do wody! Że mu ta żebra popękały od żerdeń, nic to, wylekuje się, ale taki wstyd, taki wstyd, tego chyba Mateusz nie przemiesie!... Tak owstydzić człowieka na całe życie!..

— No, no, wiecie, moiściewy, tego jeszcze nie było — szeptali między sobą.

Ale Antek na nich nie zważał, zmeł kaszę i koło północkska poszedł do domu; świeciło się jeszcze u młynarza w tej izbie, gdzie złożyli Mateusza.

— Nie będziesz się ścierwo przechwalał wię-

cej, żeś u Jagny w komorze bywał! — szepnął nienawistnie i splunął.

W domu nic nie powiedział, choć Hanka jeszcze nie spała, zajęta przędzeniem, ale rano nie poszedł do roboty, był pewny, że go odprawią, zaraz jednak po śniadaniu przyleciał sam młynarz.

— Chodźcież do roboty, co macie z Mateuszem, to wasza sprawa, nic mi do tego, a tartak stać nie może, dopóki nie ozdrowieje; prowadźcie robotę, cztery złote i obiad będę wam płacił.

— Nie pójdę, da pan tyle, co Mateuszowi, stanę i nie gorzej poprowadzę.

Młynarz się wściekał, targował, ale przystać musiał, bo nie było rady, zaraz go też zabrał i poszli.

Hanka nic z tego jeszcze nie pojęła, bo o niczem nie wiedziała.

V.

W wigilię przed Godnemi świętami, już od samego świtania, wrzał przyspieszony gorączkowy ruch w całych Lipcach.

W nocy, czy też dopiero na odedniu, mróz był znowu krzepko chycił, a że przyszedł po paru dniach miętkich i wilgnych mgieł, to obwalił drzewa sadyą jakby temi szklanemi stróżynami, albo zasie puchem co najbielszym; słońce się nawet całkiem wyłupało i świeciło na modrem, jakby oprzędzonem w cieniuśkie, przejrzyste mgły niebie, jeno że blade było, ostygłe, kiej ta hostya w monstrancyi utajona, nic nie grzejące, a na-przeciw, bo mróz brał na dzień, podnosił się jeszcze i przejmował taką skrzytą, że dech zapierało i stworzenie wszelkie chodziło w parach oddechów niby w kłębach mgieł, ale świat się cały rozstłonecznił i stanął w takich migotliwych, jarzących blaskach, w takich ostrych skrzeniach, jak żeby kto dyamentową rosą przyokrył śniegi, aż oczy bolały patrzeć.

Okólne pola przywalone śniegiem, leżały białe, roziskrzzone, a głuche i martwe, ino czasami ptak jakiś łopotał wśród bielizn mieniących, że ino cień jego czarny migotał po zagonach, albo to stadko kuropatw skrzykiwało się pod zasypnymi krzami i płochliwie, czujnie, ciągnęło chyłkiem ku ludzkim siedzibom, pod brogi pełne; gdzie znów ale nie często, zajączek jaki zaczerniał, kicał po śniegach, stawał słupka i drapał stwardniałą skorupę, dobierając się do zboża, ale spłoszony szczekaniem psów, uciekał z nawrotem do borów oszroniałych, zawalonych śniegiem, zmartwiałych z zimna. — Pusto i głucho się czyniło na tych nieobjętych okiem równinach śnieżnych, a tylko gdzieś, w dalekościach modrawych, majaczyły wsie, siwiały sady, mrozczały gąszcze, połyskiwały zamarzłe strumienie.

Chłód przejmujący i od tych mroźnych brasków świetlisty, wionął światem całym i przenikał nawskrós zlodowaciałą ciszą.

Żaden krzyk nie rozdarł zakrzepłego milczenia pól, żaden głos żywy nie zadrgał, ni nawet poświst wiatru nie zaszeleścił w suchych roziskrzonych śniegach — ledwie niekiedy, czasami od dróg zgubionych w zaspach, tłukł się jękliwy głos dzwonka i skrzyp sanic, ale tak słabo i odlegle, że jeszcze nie chycił całkiem, nie rozeznał skąd i gdzie, a już przebrzmiało i zgoła przepadło w cichościach.

Ale po Lipeckich drogach, z obu stron stawu, rojno było od ludzi i wrzaskliwie; radosny nastrój

święta drgał w powietrzu, przenikał ludzi, nawet w bydłatkach się odzywał; krzyki dźwięczały w słuchliwym, mroźnem powietrzu, kieby muzyka, śmiechy rozgłosne, wesołe leciały z końca w koniec wsi, radość buchała z serc; psy, jak oszalałe, tarzały się po śniegach, czekały z uciechy i ganiały za wronami, tłukącemi około domów, po stajniach rżały konie, z obór wyrывały się przeciągłe, tęskne ryki, a nawet ten śnieg jakby radośniej skrzypiał pod nogami, płozy sań piskały na twardych wyszlichtanych drogach, dymy były modrymi słupami, a prościuteńko jakby strzelił, okna zaś chałup grały tak w słońcu, aż raziło — a wszędzie pełno było wrzawy, dzieci, rwetesu, gęgliwych głosów gęsi, co się trzepały po przyrębłach, nawoływały; pełno było po drogach ludzi, przed domami, w opłotkach, a wskrós ośnieżonych sadów raz po raz czerwieniły się wełniaki kobiet, przebiegających z chałupy do chałupy, że raz po raz trącane w biegu drzewiny i krze, sypały strugami okiści niby ta srebrna kurzawa.

Młyn nawet dzisiaj nie turkotał, stanął na święta całe, a tylko zimne szkliwo wody przejrzystej, puszczonej na upust, dzwoniło bełkotliwie, a gdzieś za nim, w błotach i w oparzeliskach, z oparów kurzących się mgłami, wydzierały się krzyki dzikich kaczek i całe ich stada kołowały.

A w każdej chałupie, u Szymonów, u Maćków, u wójtów, u Kłębów i kto ich tam zliczy a wypowie wszystkich, przewietrzano izby, myto, szu-

rowano, posypywano izby, sienie, a nawet i śnieg przed progami, świeżem igliwem, a gdzie indziej to i bielono poczerniałe kominy, a wszędzie na gwałt pieczono chleby i one strucle świąteczne, •
oprawiano śledzie, wiercono w niepolewanych donicach mak do klusek.

Boć to Gody szły, Pańskiego dzieciątka święto, radosny dzień cudu i zmiłowania Jezusowego nad światem, błogosławiona przerwa w długich, pracowitych dniach, to i w ludziskach budziła się dusza z zimowego odrętwienia, otrząsała się z szaryzny, podnosiła się i szła radosna, czująca mocno, na spotkanie narodzin Pańskich!

I u Borynów był taki sam rwetes, krętanina i przygotowania.

Stary jeszcze był do dnia pojechał do miasta po zakupy z Pietrkiem, którego przyjął do koni, na Kubowe miejsce.

A w chałupie uwijano się żwawo, Józka przyśpiewywała cichuśko i strzygła z papierów kolorowych one cudackie strzyżki, które czy na belkę, czy też na ramy obrazów nalepić, to widzą się kieby pomalowane w żywe kolory, od których aż gra w oczach. A Jagna, z zakasanemi po ramiona rękawami, miesiła w dzieży ciasto i przy matczynej pomocy piekła strucle tak długachne, że widziały się jako te lechy w sadzie, na których pietruszkę zasiewają, to chleby bielsze nieco z pyłowej mąki — a zwijała się żywo, bo ciasto już kipiało i trza było wyrabiać bochenki, to zaglądała

za Józiną robotą, to zaglądała do placka z serem i miodem, któren wygrzewał się już pod pierzyną i czekał na piec, to latała na drugą stronę do szabaśnika, w którym buzował się tęgi ogień!

Witek miał przykazane, aby pilnował ognia i dokładał polan, ale tyle go ino widzieli co przy śniadaniu, bo zaraz się gdziesik zapodział. Próżno Józka, to Dominikowa szukały go po obejściu i nawoływały, ani się odezwała jucha; siedział ano za brogiem w szczerem polu pod krzami i zakładał sidła na kuropatki, a gęsto je przysypywał plewami dla niepoznaki i przynęty. Łapa z nim był i ten Bociek, którego to był w jesieni chorego przygarnął, wykurował, ochraniał, żywił, sztuk różnych wyuczył i tak się z nim pokumał, że niech ino zagwizdał nań po swojemu, to ptak chodził za nim nie gorzej od Łapy, z którym był w wielkiej zgodzie, bo razem wyprawiali się na szczury w stajni.

Rocho zaś, którego na całe święta Boryna do chałupy przyjął, siedział już od rana w kościele i tam do spółki z Jambrożym przystrajali ołtarze i ściany jedliną, jakiej nawiózł księży parobek.

Południe już dochodziło, gdy Jagna skończyła z chlebem, ułożyła bochenki na desce i jeszcze oklepywała i smarowała je białkiem, by zbytnio w ogniu nie popękały, gdy Witek wraził głowę w drzwi i krzyknął:

— Kolendę niesą!

Jakoż już od rana, starszy organiściak, Jasio,

ten co był w szkołach, roznosił opłatki do spółki z młodszym bratem.

Dojrzała ich Jagna już przed gankiem, że czasu nie było nawet coś uprzątnąć, gdy do izby weszli z pochwalonym.

Zafrasowała się wielce, że to w izbie rozgardyasz był taki, to ino schowała pod zapaskę gołe ręce i zapraszała, by siedli odpocząć, bo kosze mieli wielkie, a młodszy dźwigał niezgorsze torbeczki i niepróżne.

— Jeszcze mamy pół wsi obejść, a czasu nie wiele!... — wzbraniał się.

— Niech pan Jasio choć się ogrzeje, zamróz taki!

— A może zdziebko gorącego mleka, to uwarzę — proponowała Dominikowa, wymawiali się, ale przysiedli pod oknem, na skrzyni. Jasio zaś tak się wpatrzył w Jagnę, aż poczerwieniała i jęła spieszenie ściągać na ręce rękawy, że i on pokraśniał jak burak i wziął w koszu szukać opłatków, a wyjął lepszą i grubszą paczkę, bo w złoty pasek okręconą i poprzekładaną kolorowymi opłatkami. Jaguś wzięła ją przez zapaskę i położyła na talerzu, pod pasyjką, a potem wyniosła z dobrego garniec siemienia lnianego i sześć jajek.

— Pan Jaś dawno przyjechał?

— Dopiero w niedzielę, trzy dni temu!

— Pewnikiem ckni się im w tych szkołach? — zapytała matka.

— Nie bardzo, ale to już niedługo, bo tylko do wiosny!

— A mówiła pani organiścina jeszcze w moje wesele, że pan Jasio na księdza idzie...

— Tak, od Wielkiej nocy, tak! — rzekł ciszej i spuścił oczy.

— Mój Boże, to dopiero pociecha się ojcom ściele, to dopiero radość, że oni księdzem ostaną, a może da Bóg, to i w naszej parafii.

— Cóż tu u was słyhać? — zapytał, aby przerwać pytania niemiłe.

— A cóżby, dał Bóg, że nic złego. Pomaluśku wszystko, pomaluśku a dookoła, kieby w tym kieracie, jak zwyczajnie w chłopskim stanie.

— Chciałem przyjechać na wasze Jaguś wesele, ale mnie nie puścili.

— A taka zabawa była, że bez całe trzy dni tańcowali! — wykrzyknęła Józka.

— Kuba podobno w tym czasie umarł!

— A zmarło mu się, zmarło chudziaczkowi, krew go uszła i nawet bez świętej spowiedzi skończył. Mówią po wsi, że pokutuje, że widzieli, jak się cosik nocami po drogach tłucze, na rozstajach jęczy, to pod krzyżami wystaje i zmiłowania Boskiego czeka!... Kubowa dusza to być musi, nie druga!

— Co wy też mówicie!

— Juści, prawdę mówię, nie widziałam sama to i nie przysięgnę na to, ale może być, może, są takie sprawy na świecie, że człowiekowi rozum,

choćby i największy a nie wyrozumie, nie przejrzy — Boskie to ano są urządzenia, nie ludzkie, nie, bo co my chudziaki możemy, to możemy, a resztę Bóg może!

— Szkoda Kuby, sam ksiądz, jak mi opowiadał o jego śmierci, to aż płakał z żalu.

— Bo pocziwości to był parob, że i drugiego nie znalezę, a cichy, pobożny, pracowity, cudzego nie ruszył, a z biednym to gotów się był kapotą ostatnią podzielić.

— Tak się zmienia ciągle w Lipcach, że co przyjadę, poznać się nie mogę. Byłem dzisiaj u Antków, dziecka im chore, bieda u nich aż skrzypi, a on sam tak się zmienił, tak wychudł, że ledwiem go poznał!

Nie odezwały się na to ani słowem, jeno Jagna odwróciła szybko twarz i zaczęła nakładać chleb na łopatę, a stara łypnęła oczami, że zaraz pomiarkował, jako w tem jest dla nich coś przykrego, chciał naprawić, myślał o czemby dalej mówić, gdy Józka przystąpiła zapłoniona i jęła prosić, aby dał parę kolorowych opłatków.

— Na światy mi potrzebne, były z łońskiego roku, ale się we wesele do cna pomarnowały.

Juści, że dał jej kilkanaście i coś aż w pięciu kolorach.

— Aż tyle! Mój Jezus, adyc to starczy i na światy, i na księżyce, i na gwiazdy! — wołała ucieszona, poszeptaly z Jagną i zesromana, przy-

słaniając twarz zapaską, wyniosła mu za nie coś sześć jajek.

Boryna na ten czas powrócił z miasta i wchodził do izby, a za nim wciskał się Łapa z Boćkiem, bo Witek też się zjawił równo z gospodarzem.

— Zawierajcie prędko drzwi, bo się ciasto oziębi, — krzyczała stara.

— Jak kobiety zabierają się do porządków, to chłopom trza komornego szukać choćby w karczmie, by przy pieczeniu nie zwalili na nas zakalca! — śmiał się Boryna, rozgrzewając skostniałe ręce. — Droga jak po szkle i sanna sielna, ale i taki mróz, że trudno w saniach wysiedzieć! Daj Jaguś Pietrkowi choćby chleba, bo przemarzył na kość w tym sołdackim szynelu. Jasio na długo do domu?

— Aż do Trzech Króli.

— Ojciec ma z Jasia niezgorszą wyrękę, bo to i przy organach i w kancelaryi! juści staremu żal puścić pierzyny na taki mróz.

— Nie dlatego, a tylko, że krowa się dzisiaj ocieliła, to został w domu i pilnuje.

— W dobry czas, będzie mleko na całą zimę.

— Hale, Witek, dałeś pić źrebięciu?

— Samam nosiła, ale nawet i po palcu pić nie chciał, baraszkuje ino, a do kłaczy się tak wydiera, że przeprowadziłam do większej gródki.

Chłopcy wyszli, ale Jasio jeszcze z opłotków się odwracał za Jagną, bo też jakby jeszcze mroźniejszą była, niżli na jesieni przed weselem.

Nie dziwota też, iż starego całkiem zawojowała, iż świata za nią niewidział. Dobrze na wsi powiadali, że całkiem zgłupiał z tego kochania, bo choć kwardy był i nieustępliwy la wszystkich po dawnemu, ale Jagusia mogła z nim robić co ino zechciała, słuchał się jej ze wszystkim, jej oczami patrzył, jej się radził a i Dominikowej też, że do cna go opanowały! Dobrze mu z tem było, gospodarstwo szło, wszystko było w porządku, wygodę swoją miał, a użalić się przed kim i poradzić, że już o niczem nie myślał, i o nic nie stał, co ino nie było Jagusią, w którą jak w ten obrazek święty, patrzył.

Nawet teraz oto, wygrzewał się przed kominem, a ciągiem chodził za nią rozmiłowanymi oczami i kieby przed weselem, słodkie słówka wciąż prawił, a jeno o tem myślał, czemu by się jej jeszcze więcej przypodchlebić.

Ale Jagna tyle dbała o jego kochanie, co o ten śnieg z łońskiego roku, jakaś mroczna była, zniecierpliwiona jego amatorami, zła, wszystko ją drażniło, że jak ten luty wichur nosiła się po izbie — robotę spychała na matkę, to na Józkę, a często i starego do niej zaganiała cierpkimi słowami, a sama szła, niby to zajrzeć na drugą stronę do pieca albo do żrebaka w stajni, a głównie po to, by ostać samej i zamyślać się o Antku.

Jasio go jej przypominał, że jak żywy stanął przed nią, jak żywy...

Prawie trzy miesiące go niewidziała, bo jeszcze

na długo przed ślubem, tyła ino, co wtedy przejazdem na drodze pod topolami... juści, czas płynął jak ta woda; a to ślub, przenosiny, kłopoty różne, gospodarstwo, że i kiej to miała o nim pomyśleć! Nie widywała go, to i na myśl nie przychodził, a ludzie też wagowali się mówić o nim przed nią... A teraz nie wiada dlaczego, tak z nagłą, stanął przed oczami i patrzył z taką żalością, z takim wyrzutem, aż się jej dusza zatrzęsa ze zgryzoty.

— Nicem ci nie winowata, nie, to czemu stajesz przede mną jak ta dusza pokutująca, czemu straszysz! — myślała żalostnie, broniąc się przed wspominkami... ale dziwno jej było, czemu się tak mocno przypomniał, czemuż to ani Mateusz, ani Stacho Płoszka, ni inni?... Nikto drugi tylko on jeden! Zadać jej cosik musiał, że się biedzi teraz i wydiera z siebie, i w męce się pławi, bo taka tęskność ją rozpierała aż ją w dołku gnietło, a tak cosik we świat duszę niesło, że poszłaby gdzie ino oczy ponieść, na bory i lasy.

— Co on tam chudziak porabia, co se myśli? I ani sposobu by z nim pomówić, ani sposobu i... nie wolno! Prawda, nie wolno, Jezus kochany adyćby to był śmiertelny grzech, śmiertelny! — mówił to ksiądz na spowiedzi, mówił... — inoby z nim pomówiła raz jeden, choćby przy świadkach, choćby... a to już ani dziś, ani jutro, ani nigdy! Borynowa jest na wiek wieków amen...

— Jagusia, a chodźże, chleb trzeba przesadzić!—
wołała stara.

Pobiegła do domu, zwiјаła się jak mogła, ale myśli o nim nie zatraciła, wciąż jej wracał na oczy, i wszędzie przypominały się jego niebieskie ślepie i te brwie czarne i te wargi czerwone, słodkie, łakome!

Próżno zapamiętała wzięła się do roboty, paliło się jej w rękach, uprzątała izbę, wzięła się pod wieczór do obrządku krów, czego prawie nigdy nie robiła, nictο jednak nie pomogło, bo ciągle stał przed nią i tęsknica rosła w niej i rozdzierała duszę, co ją tak strasznie rozdrażniło, że przysiadła na skrzyni przy Józce, czyniącej pospiesznie światy i buchnęła płaczem.

Uspokajała ją matka, uspokajał mąż wystraszony, chodzili koło niej jak koło tego dzieciątka rozgrymaszonego, głaskali, patrzyli w oczy, nic nie pomogło, wypłakała się do woli, i wnet się w niej cosik przemieniło z nagła, bo się podniosła ze skrzyni prawie wesół, pogadywała ze śmiechem, śpiewać nawet była gotowa, gdyby to był nie adwent!

Popatrzył zdziwiony Boryna, popatrzała matka, a potem na siebie długo i ważnie spoglądali, wywiedli się do sieni, coś tam poszeptali i wrócili rozradowani, weseli, roześmiani i nuż ją brać w ramiona, całować, a tacy byli dobrzy, że stara zakrzyknęła gorąco:

— Nie dźwigaj dzieży, Maciej wyniosą!

7*

School of Liberal Arts and Sciences
St. Hyacinth Seminary
Granby, Massachusetts

— Abo to mi nowina brać i cięższą!

Nic nie rozumiała.

Ale stary nie pozwolił, sam wyniósł, a potem przy sposobności, przyparł ją gdzieś w komorze, srodze całował, a radośnie coś szeptał by Józka nie usłyszała.

— Wam z matką we łbach się poprzewracało, nie prawda co powiadacie, nie!...

— Oboje z matką znamy się na tem, już ja ci mówię, że tak jest. Zaraz, co to mamy. Gody... toby dopiero na Lipca wypadło, w same żniwa... Czas nie rychtowny, gorąc, roboty, ale cóż pora dzi, trza i zato Panu Bogu podziękować... — I znowu chciał ją całować, wyrwała mu się ze złością i pobiegła do matki z wymówkami, ale stara potwierdziła stanowczo.

— Nie prawda, zdaje się wam ino! — zaprzeczała gorączkowo.

— Nie cieszy cię to widzę?

— Coby zaś miało cieszyć, mało to kłopotów, a tu jeszcze nowe utrapienie.

— Nie wyrzekaj, by cię Pan Jezus nie pokarał.

— A niechta, a niechta!

— Czemuż to się tak wyrzekasz tego, co?

— Bo nie chce i tyle!

— Przecież, gdyby było dziecko, to w razie śmierci starego, czego Boże broń, do zapisu i jego częściby przyszła, a porówno z drugimi, może i na całym grunciebyś ostała...

— Wam ino jedno w głowie: grunt i grunt, a la mnie to tyła stoi, co nic...

— Boś młódka jeszcze i głupia, a pleciesz bele co! Człowiek przez grunt, to jak bez nóg, tula się ino, tula, a donikąd nie zajdzie. Nie powiadaj tylko na sprzeciw Maciejowi, bo mu markotno będzie...

— Nie będę wstrzymywała w sobie, co mi tam Maciej!

— To pyskuj-że sobie choćby przed całym światem kiej nie masz rozumu, a mnie daj spokojnie chleb wysadzić, bo się na węgiel spieczę; zajmij się lepiej robotą, śledzie ano przełoż z wody do mleka, to więcej soli stracą, Józka niech maku utrże, jeszcze tyła do zrobienia a wieczór ino, ino.

Jakoż i prawda była, wieczór już stał u proga, słońce padało za bory, a czerwone zorze rozlewały się po niebie krwawemi zatokami, że śniegi gorzeć się zdawały, jakby zarzewiem posypane — ale wieś głuchła i przycichała; nosili jeszcze wodę ze stawu, rąbali drwa, to ktoś się spieszył saniami aż koniom śledziony grały, biegali jeszcze przez staw, skrzypiały wrótnie gdzie niegdzie, zrywały się tu i owdzie głosy różne, ale z wolna, wraz z gasnięciem zórz i z tą popielną sinością, jaka się sypała na świat, ruch zamierał, przycichały obejścia i pustoszały drogi. Dalekie pola zapadały w mrokach, zimowy wieczór prędko nastawał i brał ziemię w moc swoją, a mróz się podnosił i tak

ściskał, że głośniej grały śniegi pod tępami i szyby malowały się w różgi i kwiaty dziwne!..

Wież zginęła w szarych, śnieżystych mrokach, jakby się rozlała, że ani ujrzał domów, płotów i sadów, jedne tylko światełka migotały ostro a gęściej niżli zwykle, bo wszędy się szykowano do wigilijnej wieczerzy.

W każdej chałupie, zarówno u bogacza, jak i u komornika, jak i u tej biedoty ostatniej, przystrajano się i czekano z namaszczeniem, a wszędy stawiono w kącie od wschodu — snop zboża, okrywano ławy czy stoły płótnem bielonym, podściełano sianem i wyglądano oknami pierwszej gwiazdy.

Jakoś nie widne były zaraz z pierwszego wieczoru, jak to zwykle przy mrozie, bo skoro ostatnie zorze się dopalały, niebo zaczęło się zasnuwać jakby dymami sinymi i całkiem zatapiało się w burościach.

Józka z Witkiem, dobrze byli przemarzli, bo stali na zwiadach przed gankiem nim pierwszą gwiazdę uwidzieli.

— Jest! Jest! — wrzasnął naraz Witek.

Wyjrzał na to Boryna, wyjrzeli i drudzy, a na ostatku Rocho.

Juści że była, tuż nad wschodem jakby się rozdarły bure opony, a z głębokich granatowych głębin rodziła się gwiazda i zda się rosła w oczach, leciała, pryskała światłem, jarzyła się coraz bystrzej, a coraz bliżej była, aż Rocho uklęknął na śniegu a za nim drugie.

— Oto gwiazda Trzech Króli, Betleemska gwiazda, przy której blasku Pan nasz się narodził, niech będzie święte imię Jego pochwalone!

Powtórzyli za nim pobożnie i wpili się oczami w tę światłość daleką, w ten świadek cudu, w ten widomy znak zmiłowania Pańskiego nad światem.

Serca im zabiły rzewliwą wdzięcznością, wiarą gorącą, dufnością i brały w siebie to światło czyste, jako ten ogień święty pleniący złe, jako sakrament.

A gwiazda olbrzymiała, niosła się już niby kula ognista, błękitne smugi szły od niej niby szprychy świętego koła, iskrzyły się po śniegach i świetlistymi drzazgami rozdzierały ciemności, a za nią jako te służki wierne wychylały się z nieba inne, a liczne, nieprzeliczoną i nieprzejrzaną gęstwą, że niebo pokryło się rosą świetlistą i rozwijało się nad światem modrą płachtą poprzebijaną srebrnymi gwoździami.

— Czas wieczerzać kiedy słowo ciałem się stało! — rzekł Roch.

Weszli do domu i zaraz też obsiedli wysoką i długą ławę.

Siadł Boryna najpierwszy, siadła Dominikowa z synami, bo się dołożyła aby razem wieczerzać, siadł Rocho w pośrodku, siadł Pietrek, siadł Witek kole Józki, tylko Jagusia przysiadła na krótko, bo trzeba było o jadle i przykładaniu pamiętać.

Uroczysta cichość zaległa izbę.

Boryna się przeżegnał i podzielił opłatek pomiędzy wszystkich, pojedli go ze czcią kieby ten chleb Pański.

— Chrystus się w onej godzinie narodził, to niech każde stworzenie krzepi się tym chlebem świętym! — powiedział Rocho.

A chociaż głodni byli, boć to dzień cały o suchym chlebie, a pojadali wolno i godnie.

Najpierw był buraczany kwas, gotowany na grzybach z ziemniakami całymi, a potem przyszły śledzie w mące obtaczane i smarzone w oleju konopnym, później zaś pszenne kluski z makiem, a potem szła kapusta z grzybami olejem również omaszczona, a na ostatek, podała Jagusia przysmak prawdziwy, bo racuszki z gryczanej mąki, z miodem zatarte i w makowym oleju uprażone, a przegryzali to wszystko prostym chlebem, bo placka ni strucli, że z mlekiem i masłem były, nie godziło się jeść dnia tego.

Jedli długo i mało kiedy, jeśli tam które rzekło jakie słowo, więc ino skrzybot łyżek o wręby się rozlegał i mlaskanie — tylko Boryna raz po raz rwał się pomagać Jagusi a wyręczać, aż go stara skarciła.

— Siedźcie, nic się jej nie stanie, daleko jeszcze do czasu, a pierwsze święta na swoim, to niechaj się wkłada!...

Ale Łapa skomlał z cicha, trykał łbem o zady, łasił się a przypochlebiał by mu prędzej dali, a Bocięk, którego miał swoje miejsce w sieni, to często

gęsto kuł dzióbem w ścianę, to klekotał, aż się kury odzywały na grzędach.

Nie skończyli jeszcze, gdy ktosik zapukał do okna.

— Nie puszczać i nie obzierać się, to złe, wciśnię się i na cały rok ostanie! — wykrzyknęła Dominikowa.

Opuścili łyżki i słuchali strwożenia, pukanie znowu się ponowiło.

— Kubowa dusza! — szepnęła Józka.

— Nie pleć, ktosik potrzebujący; w ten dzień, nikt nie powinien być głodny, ni ostawać bez dachu — odezwał się Roch, podnosząc się drzwi otwierać.

Jagustynka to była, stanęła pokornie u proga i przez łyzy co się jej jak groch sypały, prosiła cicho:

— Dajcie kąt jaki, i choćby to, co psu wyrzucicie! Zmiłujcie się nad sierotą... Czekałam, że mnie dzieci zaproszą... czekałam... w chałupie mróz... na darmo wyziębłam... na darmo... Mój Jezus... a teraz, jak ta dziadówka... jak... rodzone dzieci... samą mię ostawiły i bez tej okruszyny chleba... gorzej niżli tego psa... a tam u nich gwaro, pełno ludzi... chodziłam koło węglów... w okna zaglądałam... na darmo...

— Siadajcie z nami. Trzeba było przyjść wam zaraz z wieczora a na dziecińską łaskę nie czekać... jeno do trumny to ochotnie wbiją gwoździe ostatnie, by się upewnić, że nie wrócicie już po nie.

I z wielką dobrością zrobił jej miejsce wedle siebie.

Ale nie mogła nic przełknąć choć jej Jagusia niczego nie żałowała i szczerem sercem zniewalała do jadła, cóż, kiej nie mogła, siedziała cicho, skulona i zaparta w sobie, że jeno po dryganiu pleców było widno, jaka ją męka ozdierała.

Cicho się w izbie stało, ciepło, serdecznie, nabożnie i tak uroczyście, jakby między niemi leżało to święte dzieciątko Jezus.

Ogromny a ciągle podsycany ogień wesoło trzaskał na kominie i rozświeślał całą izbę, aż lśniły się szkła obrazów i czerwieniały zamrożone szyby, a oni siedzieli teraz wzdłuż ławy, przed ogniem i poradzali z cicha a poważnie.

Potem Jaguś nagotowała kawy, to słodzili ją suto i popijali z wolna...

Aż Rocho wyjął z zanadru książkę okręconą w różaniec i zaczął z niej czytać cichym a głęboko wzruszonym głosem:

»jako, to stała się nam nowina, panna porodziła syna; aż w Judejskiej ziemie, w Betleem, nie bardzo podłem mieście, narodził się Pan w ubóstwie; na sianie, w stajni lichej, między bydłatkami, co w tej radosnej nocy cichej, były mu braćmi. — A ta sama gwiazda co i dzisiaj świeci, spłonęła wówczas dla tej świętej dzieciny — i drogę wskazywała Trzem królom, co chociaż pogany i czarne jako te sagany, a serca mieli czujące i z krajów dalekich, a za mórz nieprzejranych,

z za gór srogich przybiegli z darami, by prawdzie dać świadectwo».

Długo czytał opowieść oną, a głos mu się wznagał i rozmadlał i w śpiew prawie przechodził, że jakby tę świętą litanię wygłaszał, a wszyscy siedzieli w milczeniu pobożnem, w ciszy serc zasłuchanych, w drzeniu dusz olśnionych cudem i w najszczerzszym odczuciu łaski Pańskiej narodowi danej!

Hej, mój Jezus kochany! W stajence ci to lichej urodzić się przyszło, tam w tych krajach dalekich, między obcemi, między żydy paskudne, między heretyki srogie! a w ubóstwie takim, w taki mróz! O biedoto przenajświętsza, o dziecineczko słodka!... Myśleli i serca były współczuciem a dusze się zrywały i niesły we świat jako ci ptakowie, aż do tej ziemi narodzin, do tej szopy, przed ten żłób, nad którym śpiewali aniołowie, do świętych nóżek dzieciątka przypadali sercami i całą mocą wiary ognistej i dufności oddawali mu się w te służki najwierniejsze aż po wiek wieków amen!

A Rocho wciąż czytał, aż Józka, że to miętkie dzieuszysko było i wielce czujące, zapłakała rzewliwie nad Pańską niedolą, a Jaguś wsparłszy twarz na dłoniach też płakała, aż jej łzy ciekły przez palce, że chowała głowę za Jędrzycha, którego z otwartą gembą wpodłe słuchał, a tak się wielce dziwował słyszanemu, aż raz po raz szarpał Szymka za kapotę i wykrzykiwał:

— Cie!... słuchasz to Szymek! — ale wnet milknął, karcony srogim wzrokiem matki.

— Nawet tej kolebeczki nie miała biedota!

— Dziw, że to nie zamarzło!

— I że to chciał Pan Jezus tyle wycierpieć!

Powiadali rozważając, gdy skończył, a Rocho im na to:

— Bo ino ochfiarą swoją i cierpieniem mógł zbawić naród, a gdyby nie to, to jużby Zły całkiem zapanował nad światem i wybierał dusze la siebie.

— Rządzi on tu i tak nie mało — szepnęła Jagustynka.

— Grzech panuje, to złość rządzi, a to są kumy złego!

— I... co tam rządzi, co panuje komu tam wiada, jeno to jest pewne, że nad człowiekiem zła dola ma moc swoją i to cierpienie.

— Nie powiadajcie, złość na dzieci was ślepi, byście nie zgrzeszyli!...

Postrofował ją surowo, ale się już nie przeciwiała, pomilkli też wszyscy i rozważali, a Szymek powstał z miejsca i chyłkiem chciał się wynieść.

— Gdzie ci tak pilno! — syknęła stara, bacząca na wszystko.

— Na wieś pójde, gorąc mię rozbiera... — bełkotał zestraszony.

— Do Nastki cię niesie, na gzy, co?

— Zabronicie to, przytrzymacie!... — mówił ostrzej, ale już czapkę cisnął na skrzynię.

— Do chałupy idźta z Jędrzychem, dom na boskiej opatrności został, zajrzenie do krów i czekajcie, przyjdę po was i razem do kościoła pójdziemy. — Zarządziła, ale chłopaki wołały pozostać niżli w pustej chałupie siedzieć, nie wyganiała ich też więcej, ale się zaraz podniosła i wzięła ze stołu opłatek.

— Witek, zapal latarkę, do krów pójdziemy. W tę noc narodzenia i każde bydłątko rozumie człowieczą mowę i przemówić jest zdolne, że to między nimi Pan się narodził, kto ino bezgrzeszny zagadnie — ludzkim głosem odpowiedzą; równe są dzisiaj ludziom i społecznie z nimi czujące, więc i opłatkiem trza się z nimi podzielić..

Ruszyli wszyscy do obory a Witek ze światłem przodem.

Krowy leżały rzędem obok siebie i przeżuwały głamiąc powoli, ale na światło i głosy, jęły postękiwać, zbierać się ciężko do powstawania a odwracać ciężkie, ogromne łby.

— Tyś gospodynią Jaguś, to prawo twoje rozdzielić między wszystkie. Darzyć ci się będą lepiej i nie chorować; jeno jutro rano doić nie można, aż wieczorem, straciłyby mleko.

Jagna połamała opłatek na pięć części i przychylając się nad każdą krową czyniła krzyż święty między rogami, a wtykała po kawałku w gembulę, na szerokie ostre ozory.

— A koniom to nie dacie? — zagadnęła Józka.

— Nie było ich w onym czasie przy Narodzeniu, to nie można.

Wracali do izby a Roch mówił:

— Kuźde stworzenie, trawka kuźda, choćby i ta najmarniejsza, kamuszek najmniejszy, nawet ta gwiazda ledwie dojrzana — wszystko dzisiaj czuje, wszystko wie — że Pan się narodził.

— Jezus kochany! Wszystko! to i ta ziemia, i te kamienie! — wykrzyknęła Jagna.

— Prawdę rzekłem, tak ci to i jest — wszystko ma swoją duszę. Co ino jest na świecie czującym jest i na swoją godzinę czeka, aż Jezus się zmiłuje i rzeknie:

— Wstań duszo, ożyj, zasługuj się nieba! Bo i robaczek najmniejszy i ta trawka chwiejna, wszystko się po swojemu zasługuje, i po swojemu chwały Pańskiej dostępuje. A w tę noc jedną na rok cały, wszystko się podnosi, przecyka, nasłuchuje a czeka tego słowa!

Dla jednych ono przychodzi, la drugich jeszcze nie kolej, to legną potem w mrok cierpliwie czekający świtu, kto kamieniem, wodą, ziemią, drzewem, kto jeszcze czem innem, jak tam któremu Pan naznaczył...

Zamilkli, rozważając co powiedział, bo mądrze był rzekł, prosto do serca, ale się to Borynie ni Dominikowej nie widziało czystą prawdą, bo ją sobie w głowie przekładali i tak, i owak a pojąć tego nie mogli. Juścić moc Boska jest nieodgadniona a cuda czyniąca, ale żeby kamienie i wszystko

duszę swoją miało... nie mogli tego wymiarkować. I nie myśleli już nad tem dłużej, bo przyszli kowalowie z dziećmi.

U ojca razem posiedzim i społem pójdziem na pasterkę — tłumaczył kowal.

— Siadajcie, siadajcie... milej będzie w kupie, a toć wszystkie będziemy razem, Grzeli ino brak.

Józka srogo spojrzała na ojca, bo się jej Antkowie przypomnieli, ale bała się rzec o tem.

Obsiedli znowu ławy przed ogniem, tylko Pietrek ostał na podwórzu i rąbał drzewo, aby nie brakło opału na święta, a Witek nosił naręczami i układał drwa w sieni.

— Ale, o tobym zapomniał! Dogonił mnie wójt i prosił, byście Dominikowa zaraz szli do niej, już tam krzyczy i wydziera się, że pewnie tej nocy zlegnie!

— Do kościoła chciałam ze wszystkimi, ale kiedy mówicie, że już krzyczy, to polecę zajrzeć. Byłam rano, myślałam, że jeszcze parę dni przetrzyma.

Pogadała po cichu z kowalową i pobiegła do chorej, że to znająca była na chorobach i niejednego lepiej wylekowała niżli dochtory.

A Rocho jął opowiadać historye różne, przygodne na dzień dzisiejszy, a między drugimi i taką:

— «Dawno już temu będzie, bo tyle roków, co ich jest od Narodzenia, chłop jeden, gospodarz bogaty, szedł był sobie z jarmarku, gdzie sprzedał

parę tęgich ciołków; talary miał dobrze schowane, w cholewie, kij niezgorszy w garści i krzepki też był, że może we wsi najmocniejszy, ale się spieszył, aby przed nocą do domu się dostać, bo podówczas zbóje kryły się w lasach i pocziwym ludziom drogę zastępowały.

Latową porą musiało to być, bo bór był zielony, pachnący i żywymi głosami rozbrzmiały, a wiatery były duże, to drzewa się kołysały i szum srogi szedł górą. Pospieszał chłopina jak ino mógł, a rozglądał się strachliwie dookoła, ale nic nie dojrzał... chojary ino stały przy chojarach, dęby przy dębach, sosna przy sośnie, a nigdzie żywej duszy, tyle co te ptaszyska przeciągały między pniami. Strach go brał coraz bardziej, bo przechodził koło krzyża, przez taki gąszcz gdzie się i oczami nie precisnął, a kędy właśnie najczęściej zbóje następowali, to się przeżegnał, pacierz w głos mówił i w dyrdy pobiegł...

Już się szczęśliwie wydostał z wysokiego lasu, już ino tą karłowatą sośniną a jałowcami się przebiegał, już nawet widział pole zielone, rozkołysane już mu plusk szedł od rzeki, skowronki śpiewały, już ludzi zoczył przy pługach, a nawet boćki jak kluczem ciągnęły na bagniska, a nawet poczuł z wiatrem sady wiśniowe, co były kwitły... gdy wtem z tych krzów ostatnich wyskoczyli zbóje! Dwunastu ich było i wszyscy z nożami! Bronił się, ale wnet przemogli, a że pieniędzy oddać po dobrości nie chciał, a krzyczał, to powalili go na

plecy, przygnietli nogami, podnieśli noże i już, już mieli go żgnąć... a w tem skamienieli z nagła i zostali tak z podniesionymi nożami, zgarbieni, srodzy a nieruchający się — i wszystko się w ten mig zatrzymało w miejscu... Ptaki pocichły i wisały w powietrzu... rzeki stanęły... słońce jakby zakrzepło... wiatr zmartwiał... drzewa ostały jak je był wicher przyjął... zboża także... bociany zaś kieby wrosły w niebo z rozłożonemi skrzydłami... nawet ten chłop orzący, stał z podniesionym batem — świat się cały zaląkł w to oczymgnienie i skamieniał.

Jak to długo było, nie wiadomo — aż rozległ się nad ziemią anielski śpiew:

— «Bóg się rodzi, moc truchleje!»

Ruszyło się naraz wszystko, ale zbóje poniechali chłopą, widząc w tym cudzie przestrogę i razem już poszli za tymi głosami anielskimi do stajenki onej, pokłonić się Narodzonemu! wraz z nimi co ino żyło na ziemi i w powietrzu.

Dziwowali się wielce temu, co Rocho opowiadał, ale potem Boryna, to i kowal też opowiadali różne różności.

A wkońcu Jagustynka, która cały czas w cichości siedziała, rzekła cierpko:

— Mówicie, mówicie, a tyle jest z tego, że wam czas się nie dłuży! Hale, prawda to była, że przódzi z nieba przychodziły opiekuny różne, co biednemu i uciśnionemu zmarnieć nie dawały. Cze muż teraz takich nie uwidzi? Mniej to biedy, mniej

mizeracyi, mniej tego dusznego skrzybotu?... Człowiek jest jako ten ptak bezbronny na świat puszczony — a to go jastrząb, a to go zwierz, a to głód, a wkońcu i ta kostucha dodusi — a ci prawią o miłosierdziu i głupie żywią i manią obietnicami, że zbawienie przyjdzie! Przyjdzie, ale Antychryst i ten sprawiedliwość wymierzy, ten się zmiłuje jak ten jastrząb nad kurczątkiem.

Porwał się Rocho i zaczął wielkim głosem wołać:

— Nie blźnij kobieto, nie grzesz, nie słuchaj podmów dyabelskich, bo na potępienie się wiedziesz i wieczny ogień! — Ale upadł na ławę, łzy mu zalały głos, trząsł się cały ze zgrozy świętej, z bólu nad tą duszą zgubioną, a gdy nieco przyszedł do siebie, z całej mocy duszy wierzącej wykladał prawdę i na dobrą drogę wyprowadzał.

I długo, długo mówił, że lepiej i ksiądz na ambonie nie potrafił.

A tymczasem zaś Witek, głęboko tknięty słowami, że w noc tę krowy mowę ludzką mają, wywołał po cichu Józkę i poszli oboje do obory.

Trzymając się za ręce i dygocząc ze strachu a żegnając się raz po raz wsunęli się do obory, pomiędzy krowy.

Przyklęknęli przy największej, jakby przy matce całej obory; tchu im brakowało, dusze się trzęsły, łzy nabiegały do oczów, serca przenikał strach, święty, jakoby w kościele podczas podniesienia, ale dufność serdeczna i wiara w nich była, bo Wi-

tek nachylił się aż do samego ucha i szepnął drżąco:

— Siwula, siwula!...

Nie odrzekła ni tem słowem jednym, postękiwała ino, żuła, ruchała gembulą, pomlaskując ozorem.

— Cosik się jej stało, że nie odpowiada, może za karę.

Przyklęknięli przy drugiej i znowu Witek zapytał, ale już z płaczem prawie...

— Łaciata! Łaciata!...

Przywarli oboje do jej pyska, słuchali z zamartym tchem, ale nic nie usłyszeli, ani słowa, nic...

— Grześniśmy pewno, to nie usłyszemy, ino bezgrzesznym odpowiadają, a my grzeszne...

— Prawda Józia, prawda, grzeszne my, grzeszne... Mój Jezus... prawda... juści, wziąłem gospodarzowi postroneczki... a i ten rzemień stary... a i te... nie mógł mówić więcej, płacz go chył, żal i to poczucie winy, że aż się zanosił, a Józka też mu serdecznie wtórowała i tak płakali społem, nie mogąc się utulić, aż wypowiedzieli przed sobą przewiny swoje a grzechy wszystkie...

Ale w izbie nikt nie spostrzegł ich braku, śpiewali teraz pieśni pobożne, że to nie czas przed północkiem na kolendy.

Na drugiej zaś stronie, mył się i pucował do czysta Pietrek a przebierał całkiem, bo mu Jagna nowe przyobleczenie, które miał w komorze, wyniesła.

Aż krzyknęli z podziwu, gdy wszedł potem do izby; pozbył się bowiem szynela i tych sołdackich ubiorów, a stanął przybrany zwyczajnie po chłopsku.

— Śmieli się ze mnie, burkiem przezywali tom się i przeodział! — wybełkotał.

— Mowę odmień, nie szmaty! — rzuciła Jagustynka.

— Sama mu powróci, sama, bo duszy widno jeszcze nie stracił całkiem.

— Pięć roków we świetle był, mowy swojej nie słyszał, to i niedziwota!...

Umilkli naraz, bo ostry, przenikliwy głos sygnaturki przedzierał się do izby.

— Sygnują na pasterkę, trza się nam zbierać!

Jakoż w pacierz może, wyszli wszyscy prócz Jagustynki, która ostała domu pilnować, a głównie by dać folgę uciśnionemu sercu.

Noc była mroźna, roziskrzona gwiazdami, modrawa.

Sygnaturka wciąż dzwoniła i jako ten ptaszek świergotała zwołujący do kościoła.

Naród też już wychodził z chałup, gdzie niegdzie otwieraniem drzwiami lunął potok światła i zamigotał jak błyskawica, gdzie niegdzie gasły okna, czasem głos jakiś się podniósł w mrokach, kaszel, skrzyp śniegu pod nogami, to słowo Boże, którem się pozdrawiali, a coraz gęściej majaczeli w tej szaro modrawej nocy, tłumami walili, że ino tupot rozlegał się w suchym powietrzu.

Kto był żyw do kościoła ciągnął, ostały ino po chałupach całkiem stare, chore albo kaleki.

Już z daleka widniały rozgorzałe okna kościelne i główne drzwi na rościęz wywarte a światłem buchające, naród zaś płynął przez nie i płynął jak woda, zwolna zapełniając wnętrze przystrojone w jodły i świerki, że jakby gęsty bór wyrósł w kościele, tulił się do białych ścian, obrastał ołtarze, z ław się wynosił i prawie sięgał czubami sklepień, a chwiał się i kołysał pod naporem tej żywej fali, i przysłaniał mgłą, parami oddechów z za których ledwie migotały jarzące światła ołtarzów.

A naród wciąż jeszcze nadchodził i płynął bez końca...

Nadeszli hurmą całą aż z Polnych Rudek, a szli ramię w ramię, ostro i ciężko, bo chłopcy były ogromne, rozrosłe, w granatowe kapoty przyodziane, białasy same, jakby włosy mieli ze lnu uprzedzone, a kobiety ich urodne co do jednej, w podwójnych zapaskach i w czepcach pookręcanych w czerwone chusty.

Nadciągali z rzadka, kapaniną, po dwóch, po trzech i ci z Modlicy, cherlaki i mizerota sama, w łatanych siwych kapotach, z kijami, bo na piechty wędrowali; po karczmach szły o nich przekpiwy, że samymi piskorzami się żywią, bo to na niskich rolach siedzieli, wśród błot, a dymem torfowym od nich wiało.

I z Woli nadchodził naród, a wiedli się całemi

familiami, jak te krze jałowcowe co zawsze zwartą kupą rosną; nie wyrosłe, średniaki same, a pękate kiej wory, prędkie jednak, wyszczekane, sielne procesowniki, zabijaki nie małe, a szkodniki leśne, w szare kapoty ze sznurami czarnymi przybrane, i pasami czerwonymi okręcen.

Nadciągnęła i szlachta Rzepecka, co to wedle gadki: »worek ino a płachta«, albo, że się ich pięciu krowiego ogona trzyma a we trzech jedną czapkę mają — ci szli kupą, milczkiem, z podełba patrzący i z góry, a kobiety swoje, jakoby dwórki jakie wystrojone i w wielce urodne, białe na gembie, świergotliwe, wiedli w pośrodku i mocno uważali.

A zaraz po nich walili ludzie z Przyłęka, szli zaś jak ten bór sosnowy wyrosnięci, śmigli i mocni, a postrojeni aż oczy raziło; kapoty mieli białe, kamizele czerwone, wstęgi u koszul zielone i portki żółto-pasiaste, a pchali się środkiem nieustępliwie, nie bacząc na nikogo, przed sam ołtarz.

Za nimi zaś, prawie już na ostatku, jak jakie dziedzice, wchodziły chłopcy Dębickie, nie wiele ich było, a każdy z osobna szedł, z paradą, a puszył się, wynosił i po ławkach przed wielkim ołtarzem zasiadał, i pierwszeństwo brał przed innymi, dufny w bogactwo swoje — a kobiety ich były z książkami, w czepeczkach białych wiązanych pod brodę i w katanach z cienkiego sukna... a potem jeszcze szli z wsi dalszych, z przysiołków różnych, z domów w lasach rozsypanych, z trackich bud, ze dworów, że ktoby tam zapamiętał i wyliczył!...

A między tym gąszczem zwartym kolebiącym się i szumiącym jak bór, gęsto się bieliły kapoty Lipczaków i czerwieniały chusty kobiet.

Kościół był zapchany do cna, aż do tego ostatniego miejsca w kruchcie, że którzy byli ostatni, to już na mrozie pod drzwiami pacierze mówili.

Ksiądz wyszedł ze mszą pierwszą, organy grały a naród się zakołysał, pochylił i na kolana padł przed majestatem Pańskim.

I już cicho było, nikt nie śpiewał a modlił się każdy wpatrzony w księdza i w tę świeczkę, co płonęła wysoko nad ołtarzem, organy huczały przyciszoną a tak tkliwą nutą, że mróz szedł przez kości, czasem ksiądz się odwrócił, rozkładał ręce, powiadał w głos łacińskie święte słowo, to naród wyciągał ramiona, wzdychał głęboko, pochylał się w skrusze pobożnej, bił się w piersi i modlił żarliwie.

Potem zaś, gdy się msza skończyła, ksiądz wlaź na ambonę i prawił długo, nauczał o tym dniu świętym, przestrzegał przed złem, gromił, rękami wytrząchał, i grzmiał tem słowem palącym, że jaki taki westchnął ciężko, kto się bił w piersi, kto się w sumieniu z win kajał, kto się zamedytował, któren znów co miętszy, o kobiety zwłaszcza, płakał — bo ksiądz mówił gorąco a tak mądrze, że każdemu to szło prosto do serca i do rozumu, juści, że tym ino co słuchali, bo wiele było takich, których śpik morzył z gorąca.

A dopiero przed drugą mszą, kiej już naród

skruszał nieco modleniem się, huknęły znowu organy i ksiądz zaśpiewał:

— «W żłobie leży, któż pobieży».

Naród się zakotysał, powstał z klęczek, wraz też pochwycił nutę i pełnemi piersiami a z mocą ryknął jednym głosem:

— «Kolendować małemu!»

Zatrzęsły się drzewa i zadygotały światła od tej serdecznej wichury głosów.

I już tak się zwarli duszami, wiarą i głosami, że jakby jeden głos śpiewał i bił pieśnią ogromną, ze wszystkich serc rwiącą aż pod te święte nóżeczki dzieciątka.

Gdy już i drugą mszę wysłuchali, organista jął wycinać kolendy na taką skoczną nutę, że ustoić było trudno, to się kręcili, przedeptywali, odwracali do chóru i wesoło pokrzykiwali kolendy za organami.

Jeden ino Antek nie śpiewał z drugimi, przyszedł był z żoną i ze Stachami, puścił ich na przód, a sam ostał przy ławkach, nie chciał już zabierać dawnego miejsca, pomiędzy gospodarzami przed ołtarzem, właśnie się był rozglądał gdzieby przysiąść, kiedy spostrzegł ojca wraz z całym domem, przepychali się środkiem a Jagna szła na przedzie.

Usunął się pod świerk i już z niej oka nie spuścił, bo widna była z dala przez wzrost, siadła w ławce z brzoza zaraz, przy przejściu — nawet nie myśląc o tem i nie wiedząc, cisnął się przez

gęstwę uparcie aż dostał się obok niej, a gdy podczas mszy przyklękali, uklęknął i tak się przychylił, że głową dotykał jej kolan.

Nie spostrzegła go odrazu, bo stoczek przy którym modliła się na książce, rozkręcał tak mdłe światło i gałęzie świerków tak przysłaniały, że nic pobok nie dojrzał, dopiero w czasie podniesienia, gdy uklękła i bijąc się w piersi pochyliła głowę — spojrzała w bok bezwiednie — zamarło jej serce, skamieniała z radości, nie śmiała się ruszyć, nie śmiała spojrzeć po raz drugi, bo snem się jej wydało to widzenie, majakiem, niczem więcej... Przywarła oczy i długo, długo klęczała pochyłona, zgięta do ziemi, nieprzytomna prawie ze wzruszenia... aż usiadła raptem i spojrzała mu prosto w twarz.

Tak, on ci to był, Antek, on, wymizеровany wielce, poczerniały, wynędzniały, że łącno nawet w tym mroku dojrzała, a te jego wielkie, napastliwe i harde oczy, tak się słodko patrzyły, a tak żałości były pełne, że ścisnęła się jej dusza trwogą i współczuciem, a łzy same napływały do oczów.

Siedziała sztywno jak i drugie kobiety, w książkę patrzała, ale ani jednej litery nie rozeznała, ni kart nawet, nic, bo te jego oczy smutne, oczy żałosne, oczy patrzące blaskami, stały przed nią, jaśniały jak gwiazdy, świat cały przysłoniły, że zatraciła się całkiem, przepadła zgoła — a on wciąż klęczał, słyszała jego krótki i gorący oddech i czuła tę moc słodką, tę moc straszną, jaka biła od niego,

szła jej prosto do serca, krępowała niby powrozami i przejmowała strachem a słodkością, dreszczem, od którego rozum odchodził, miłowania krzykiem tak potężnym, że trzęsła się w niej każda kosteczka a serce tłukło się jako ten ptak, gdy mu dla swywoli skrzydła przybiją do ściany!...

Msza się odprawiła, kazanie było, druga msza przeszła, naród śpiewał spodem, modlił się, wzdychał, płakał — a oni byli jakby poza światem całym, nie słyszeli nic, nie widzieli nic, i nie czuli nic prócz siebie.

Strach, radość, miłowanie, przypomnienia, obietnice, zaklęcia i pożądania paliły się w nich naprzemian, szły z serca do serca, wiązały ze sobą, że jednak już czuli, jednak im serca biły, jednakim ogniem grały im oczy.

Antek przysunął się jeszcze bliżej, wsparł się ramieniem w jej biedro aż ją przytomność odchodziła i rumieńce oblewały, a podczas gdy znowu przyklęknęła, szepnął jej gorącemi jak węgiel ustami, w same ucho:

— Jaguś! Jaguś!

Wstrząsnęła się iomal nie padła ze wzruszenia, tak głos ten przeszył ją lubością, jako tem ostrzem przesłodkiem i radością.

— Wyjdź którego dnia za bróg... o każdym wieczorze czekał będę... nie bój się... pomówić mi z tobą pilno... wyjdź... — szeptał namiętnie, i tak blisko, tak blisko, aż ją twarz paliła od jego oddechów...

Nie odpowiedziała, sił jej zbrakło, głos uwiązł w gardle, serce dygotało i tak biło, że chyba słyszeć musieli dokoła — ale uniosła się nieco, jakby już iść chciała tam... gdzie prosił... gdzie miłowaniem nakazywał... za bróg...

Wczas jakoś gruchnęli pierwszą kolendę, kościół zatrząsł się od śpiewów, że ona opamiętała się nieco i usiadła rozglądając się po ludziach i po kościele...

Ale Antka już nie było, odsunął się nieznacznie i zwolna wycofał aż na cmentarz.

Długo stał na mrozie, pod dzwonnica, rzeźwił się i nabierał powietrza, przytomniał... ale taka radość rozpierała mu serce, taki krzyk miał w sobie, taki wicher mocy, że nie słyszał śpiewu, jaki bił z drzwi kościelnych i szedł na świat, ni jakichś cichych, skamlących głosów rozlegających się w dzwonnicy... Nic, o niczem nie wiedział,abrał garść śniegu i połykał chciwie, a potem skoczył przez mur, na drogę — i poniósł się jak wicher na pola.

V.

Borynowie dopiero na samem świtanu powrócili z kościoła i ledwie w pacierz potem już cały dom chrapał aż się rozlegało, tylko jedna Jagusia, choć była wielce utrudzona, nie zasnęła; próżno się wciskała w poduszki, próżno oczy przywierała i nawet pierzyną zasłaniała głowę — nie pomogło, sen nie przychodził a jeno jakby zmora zwała się na nią i na piersi padła takim ciężarem, że ani odetchnąć mogła, ni krzyknąć, ni się porwać z łóżka; leżała nieruchoma, w odrętwieniu takiego pół snu, pół jawy, w którym rozum niczego nie rozeznaje, a ino sama dusza się wyprzędza ze wspominek jak gdyby z kądzieli, i omotuje sobą świat cały, cudności różne patrzy, nad ziemią się nosi, w słońce się ubiera — a tyle sama jest, co te odbicia na wodzie czystej a zwichrzonej... tak było z Jagną, że chociaż nie zasnęła a zczczo z jej pamięci wszystko i jako ten płak niesła się duszą po cudeńkach — po onych dniach pogasłych, po czasach pomarłych a we wspominiach

jeno żywiących... w kościele się być czuła... Antek klęczał pobok... mówił wciąż i parzył ją oczami, parzył ją słowami, przejmował słodką męką i strachem zarazem... to śpiew jakiś się rozlegał i organy huczały tak przenikliwie, aż każdą nutę z osobna czuła w sobie... to czerwona groźna twarz księdza się jej widziała i wyciągnięte nad narodem ręce... to światła... to potem inne, dawne wspominki przychodziły... spotkania się z nim... całunki... uściski... aż gorąc ją przenikał i taka lubość, że się prężyła cisnąć mocno do poduszek... to znowu wyraźnie, głośno słyszała: wyjdź! wyjdź!... aż się podnosiła i jakby szła w sobie, szła... chyłkiem pod drzewami, w mrokach... a strach w niej dygotał, krzyk jakiś leciał za nią, przerażenie wiało z ciemności.

I tak wciąż w kółko, to jedno, to drugie, to dziesiąte przychodziło na nią, że się opamiętać ni wyrwać z pod tego nie mogła — nic, tylko zmora musiała ją dusić albo Zły nagabywał i do grzechu sposobił.

O dużym już dniu podniosła się z pościeli, ale czuła się jak z krzyża zdjęta, wszystkie kości ją bolały, biała była, roztrzęsiona i strasznie smutna,

Mróż był sfolżał nieco, ale poczerniało jakoś na świecie, śnieg chwilami pruszył, a czasem znów mocny wiatr powiewał, targał drzewami, że stawały w śnieżnej kurzawie i po drogach prześwistywał, ale mimo to, wieś huczała świąteczną radością, pełno ludzi snuło się po drogach, często saniami

ktoś walił, to gromadami wystawali w opłotkach poredzając, to odwiedzali się po sąsiedzku, a dzieci całem stadem, kiej te żrebaki na paśniku, baraszkowały na stawie, aż na wieś całą roznosiły się wrzaski.

Ale Jaguśi nie było w sercu wesoło ni drujko, nie: ziać ją przejmował, chociaż ogień wesoło bużował na kominie, głucho jej jakoś było, mimo ciągłego gwaru i Józin śpiewek dzwoniących po chałupie, obcą się czuła w pośrodku swoich, tak obcą, że ze strachem patrzała na nich i jakby wśród zbójów się czuła.

A często, nie mogąc się oprzeć, zasłuchiwała się w tych gorących szeptach Antkowych, co wciąż, z jednaką siłą dzwoniły w sercu...

— «Gniew boski i potępienie wieczne na takie» — usłyszała wyraźnie głos księdza i jego czerwoną twarz i wyciągnięte, grożące ręce, widziała przed sobą.

Zakłęta się srodze, struchlała w głębokiem poczuciu winy; nie, nie wyjdę! Grzechby był śmiertelny, śmiertelny! powtarzała, krzepiąc się tem słowem i odżegnując od zła, ale dusza jej krzyczała w żalu i męce bo rwała się do niego, rwała całą mocą, całą potęgą życia, jak to drzewo przywalone zwałami, rwie się o wiośnie do słońca, jak ta ziemia prężąca się pod pierwszym tchnieniem ciepła...

Ale strach grzechu przeważył jeszcze że zmoęła się w sobie i usiłowała zapomnieć o nim, za-

pomnieć na zawsze... nie wychodziła z chałupy, bała się wychylić w opłotki, bo może tam gdzie przyczajony czeka i zawoła na nią... a oprze mu się to wtedy, wstrzyma duszę, nie poleci za tym głosem!...

Ostro się wzięła do gospodarstwa, cóż, kiedy nie było wiele do roboty, Józka już obrządziła wszystko, a do tego stary chodził za nią ciągiem i niczego się tknąć nie pozwalał.

— Odpocznij, nie narywaj się, by ci się przed czasem nie stało co złego.

To i nie robiła, a ino tłukła się po izbach bez celu, wyglądała na świat bez potrzeby, w ganku stawała a coraz większa cność ją przejmowała i rozdrażnienie zarazem, bo gniewały ją te stróżujące mężowe oczy, gniewała radość i gwar całego domu, gniewał nawet ten bociek łączący po izbie, że z rozmysłem potrącała go wełniakiem, aż nie mogąc już wytrzymać a upatrzawszy sposobną chwilę pobiegła do matki, ale stawem poleciała, na przełaj i jeszcze się trwożnie rozglądała, czy gdzie nie stoi za drzewem zaczajony.

Matki nie było, rankiem pono zajrzała i powróciła do wójtowej, Jędrych zaś dym puszczał w komin, a co trochę wybiegał przed dom patrzeć na drogę, bo Szymek przysrajał się w komorze.

Odmieniło się w niej, opadły wszystkie zgryzoty skoro jeno poczuła się po dawnemu, w swojej izbie, na starych śmieciach, poweselała całkiem i bezwiednie prawie zaczęła się krzątać, zajrzała

do krów, przecedziła mleko, które od rana jeszcze stało w skopkach, rzuciła kurom ziarna, zamietła izbę, uprzątnęła co było potrza i wesoło pogadywała z chłopakami, bo Szymek wystrojony w nową kapotę, wyszedł był na izbę i przyczesywał się przed lusterkiem.

— Kędy się to szykujesz?

— A na wieś, u Płoszków zbierają się chłopaki.

— Da ci to matka iść, co?

— Pytał się ciągiem o przyzwolenstwo nie będę, swój rozum też mam i swoją wolę... i co mi się jeno uwidzi — zrobię!...

— Pewnikiem to zrobi, pewnikiem! — dogadywał Jędrzych, trwożnie wyglądając na drogę.

— A żebyś wiedział, zrobię, na złość zrobię, do Płoszków pójdę, do karczmy pójdę, z chłopakami pić będę! — wykrzykiwał hardo.

— Daj głupiemu wolę, to jak ten cielak w cały, świat się poniesie, choć mu ino do cycka iść potrza! — rzekła cicho, nie przeciwiąc mu się w niczem, choć wygadywał na matkę i wygrażał się srodze, nawet mało wiele słyszała, bo ano wracać było potrzeba do domu, wracać, a jej tak było żal wychodzić stąd, że prawie z płaczem się podniosła i wolno a ciężko poszła.

A w domu gwarniej jeszcze było i weselej, niżli przódzi. Nastka Gołębianka przyleciała i gziły się z Józką, aż na drodze było słycać.

— Wiecie, a to moja różga zakwitła! — krzyknęła do wchodzącej Jagny.

— Jaka różga?

— A tom ją ucieła w Jędrzejki, zasadziłam w piasek, trzymałam na piecu i zakwitła! Zaglądałam wczoraj, nie było jeszcze ani jednego kwiatuszka, a przez noc całkiem zakwitnęła, patrzcie!

Przyniosła ostrożnie garnczek wypełniony piaskiem, w którym tkwiła spora gałąź wiśniowa, obsypana delikatnym kwiatem.

— Trześnia, kwiatuszki różowe i pachnące! — szepnął Witek poważnie.

— A prawda, trześnia!

Obstąpili dokoła i z dziwną radością a podziwem poglądali na okwiecioną, woniejącą gałąź, na to weszła Jagustynka, ale dzisiaj była już po dawnemu, dufna w siebie, wrzaskliwa, harda i bacząca, aby ino dogryźć komu a dobrze.

— Zakwitła różga, prawda, ale nie la ciebie Józia, tobie jeszcze rzemień potrzebny, abo i co twardsze! — rzekła zaraz na wstępie.

— A la mnie zakwitła, samam w noc Jędrzejkową ucieła, samam...

— Młódka jeszcze jesteś, to pewnie la Nastki ślub wróży! — tłumaczyła Jaguś.

— W garnczek wsadzałyśmy razem, ale sama ucinałam, to la mnie zakwitła... — wrzeszczała i aż na płacz się jej zbierało, że nie przytwierdzają.

— Jeszcze ci czas ganiać za parobkami i wy stawać na przełazach, starszym przódzi pora, star-

szym! — mówiła, nie patrząc na nikogo a uśmiechała się ku Nastce — cichono Józia. Wiecie, a to w nocy Magda od organistów zległa w kruchcie!

— Cudeńka prawicie!

— Żeby to cudeńka, ale prawdziwą prawdę! Jambroży szedł dzwonić i nastąpił na nią...

— Mój Jezus! I nie przemarzał!

— Bogać ta nie, dziecko na śmierć zamarzło! a Magda ledwie zipie. Wzięli ją na plebanie i cucą jeszcze... a lepiej żeby nie docucili... co jej za niewola żyć, co za dobro ją czeka: cierpienie ano i harowanie.

— Powiadał Mateusz, że jak ją organisty wypędziły, przychodziła ciągiem do młynarza i tam przesiadywała, ale potem Franek ją sprął i wygonił, pono z młynarzowego przykazu.

— Cóż to miał z nią zrobić, w ramki oprawić i na ścianie powiesić! Chłop on jest jak i drugie, przysięgał jak sięgał, a dostał, zaprzestał! Juści, bez winy on nie jest, ale najwięcej winowate organisty! Póki zdrowa była, to orali w nią kiej w te dwa woły, sama jedna robiła wszystko, a małe to gospodarstwo mają! samych krów pięć, a dzieciaków tyle, świń, gadziny, pola tyle! A jak zachorowała, to ją wyгнаły, ścierwy nie ludzie!

— A pocóż się zadawała z Frankiem! — wykrzyknęła Nastka.

— To samobyś zrobiła nawet z Jaśkiem, byś ino wierzyła, że na zapowiedzi poniesie!

Zaperzyła się o to Nastka i jęła przegadywać, ale wszedł Boryna, więc obie przycichły.

— Wiecie o Magdzie! Już żywie, domacali się w niej ducha, Jambroży powiada, że jeszcze z pacierz, a jużby pięty pokazała światu; Rocho trze ją jeszcze śniegiem i poi, ale pono lekować się będzie musiała długo.

— A gdzie się to podzieje biedota, gdzie?

— Chyba Kozły muszą ją wziąć do siebie, boć to ich krewniaczka!

— Kozły! Same tem ino żyją, co gdzie urwią, wycygania, albo i ukradną, to za co będą ją lekowali! Tyle gospodarzy we wsi, tyle bogaczy, a nikto z poradunkiem nie spieszy!

— Juści, gospodarze to mają studnie nieprzebrane, samo im z nieba leci, że ino rozdawać na wsze strony! Każdy ma dosyć swojego, co mu do obcych! Jeszczeby, żebyśmy każdego, komu potrzeba z drogi zbierał, do dom zwoził, jeść dawał, lekował i może jeszcze dochtarów płacił! Stara jesteście, a w głowie wama przewiewa.

— Prawda, że musu nikt nie ma pomagać drugim, ale człowiek też nie bydle, żeby zdychał pod płotem.

— Takie już jest i będzie urządzenie na świecie, zmienicie to?

— Baczę, że dawniej, przed wojną, jeszcze za pańskich czasów, był we wsi szpital dla biednych, w tym domu, gdzie teraz organista siedzi, dobrze baczę, iż z morga płacili.

Boryna się zniecierpliwiał i nie chciał o tem mówić więcej.

— Gadanie nasze tyle robi, co umarłemu kadzenie! — zakończył chmurnie.

— Pewnie, że nie pomoże, pewnie! Kto niema serca miłosiernego la ludzkiego skrzybotu, temu i płakania są zbędne! Komu jest dobrze, temu się widzi, że wszystko się dzieje na świecie jak przynależy, jak Pan Bóg przykazał!

Ale już na to Boryna się nie odezwał, więc Jagustynka zwróciła się do Nastki.

— Jakże tam Mateuszowe boki, lepiej?

— Mateusz, cóż mu się to stało?...

— Nie wiecie?... — zawołała Nastka. — A to przed świętami jeszcze, we wtorek widzi mi się, wasz Antek go pobił; za orzydle wziął, wyniósł z młynicy i tak ciepnał o płot, że cztery żerdki pękły, wpadł do wody i ledwie się nie utopił. Choruje teraz, krwią pluje, ruchać się nie może. Jambroży powiadają, że mu się macica przewróciła i cztery żebra pękły! A tak jęczy ciągiem, tak stęka!

Rozpłakała się.

Jagna porwała się na pierwsze słowa jakby ją kto żgnął w same serce, bo zaraz jej przyszło do głowy, że to pewnie o nią, ale wnet przysiadła znowu na skrzyni, i jęła przyciskać łypiące powieki do wiśniowych kwiatów a chłodzić...

Wszyscy w domu byli zdumieni, bo o niczem

nie wiedzieli, po całej wsi mówiono o tem od początku, a do Borynów nie doszło.

— Trafił swój na swego, zbój na zbója, nie ukrzywdzą się zanadto! — mruknął stary, ale zły być musiał, bo się namarszczył i jął drewka rzucać do komina.

— O co się pobili? — spytała później Jagna.

— O ciebie! — warknęła ze złością stara.

— Juści, mówcie prawdę.

— Rzekłam! Mateusz się chwalił we młynie przed chłopami, że często bywał u ciebie w komorze, Antek to posłyszał i pobił go! Jak te psy o sukę, tak się o ciebie zagryzają.

— Nie powiedajcie do śmiechu, bo mnie słuchać nie letko.

— Rozpytaj się na wsi, kiej mnie nie wierzysz, każdy ci to samo przytwierdzi, przeciech nie prawię, że Mateusz prawdę gadał, a ino co mówił ludziom...

— Cygan paskudny, cygan!

— Ochroni cię to chto od pleciuchów! i za grobem często nie darują.

— Dobrze, że go pobił, dobrze, jeszczebym sama dołożyła! — syknęła zawzięcie...

— Widzisz ją, jak to kurczęciu pazury jastrzębieją.

— Za nieprawdę, tobym zabiła zaraz! Cygan ścierwa!

— To samo wszystkim mówię, ino że nie wierzą i na zęby cię biorą.

— Jak im Antek przytnie ozory, to zmilkną!

— Hale, z całym światem zawiedzie wojnę o ciebie, co? — skrzywiła się złośliwie.

— A wy jak ten Judasz, podpowiadacie swoje, a cieszycie się z cudzej biedy.

Jaguś srodze się rozeźliła, może pierwszy raz w życiu do tego stopnia, taka była zła na Mateusza, że gotowa była lecieć i drzeć go choćby tymi pazurami! Nie zniesłaby tej złości, gdyby nie wspominki o Antku i o jego dobroci! Zalewała ją wielka czułość, niewypowiedziana wdzięczność gorzała w jej sercu, że ją obronił i okrzywdzić nie dał. Ale mimo to, tak się ciskała po domu, tak o byle co krzyczała na Józkę i Witka, aż się stary zaniepokoił, przysiadł do niej, zaczął głaskać po twarzy i pytał:

— Co ci to Jaguś, co?

— A cóżby, nic. Odsuńcie się, przy ludziach będą się umilali!

Odsunęła go szorstko.

— Hale, będzie ją głaskał i wpół jeszcze brał, dziadyga jakiś, niedojda! — myślała ze złością, bo pierwszy raz spostrzegła jego starość, pierwszy raz obudził się w niej wstręt do niego i głęboka niechęć, nienawiść prawie. Z przyczajoną a radosną wzgardą przyglądała mu się teraz, bo istotnie, w ostatnich czasach postarzał się mocno, powłóczył nogami, garbił się i ręce mu się trzęsły.

— Dziad ten, niezguła!

Otrząsnęła się z obrzydzenia, i tem usilniej myślała o Antku, i już się nie broniła przed wspominkami, i nie uciekała od tych kuszących, słodkich szeptów.

A dzień się dłużył ogromnie, nie do wytrzymania, że co chwila wychodziła na ganek, to do sadu za dom i przez drzewa patrzyła na pola... albo wspierała się o chruściany płot, dzielący sad od drogi biegnącej za wsią, wzdłuż sadów i zabudowań, i tęskliwemi oczami leciała we świat, na białe śnieżne pola, do borów ciemniejących jeno, że nic nie rozeznawała, tak ją całą przejmowała głęboka radość, że za nią się ujął i skrzywdzić nie dał.

Taki dałby radę wszystkim! Mocarz ci on, mocarz! — myślała z tklivością. — Gdyby się zjawił teraz, w tem oczymgnieniu! nie oparłaby mu się, nie!

Bróg stał niedaleczko, zaraz za drogą, w polu nieco, wróble w nim świerkały i całemi bandami chroniły się do wielkiej dziury, jaka była wybrana w sianie; parobkowi nie chciało się włożyć i z wierzchu zrucać, choć tak Boryna przykazywał, to skubał se po ździebku, kłakami, aż i jamę wyskubał, że parę ludzi mogło się w niej pomieścić.

— Wyjdź! za bróg! wyjdź — powtarzała bezwiednie Antkową prośbę.

Uciekła do chałupy, bo zaczęli dzwonić na nieszpory, a jej się zachciało samej iść do kościoła, w głuchej, niejasnej nadziei, że go tam spotka.

Juści, że nie było go w kościele, ale za to spotkała się zaraz przy wejściu, w kruchcie, z Hanką, pochwaliła Boga, wstrzymując rękę przed kropielnicą, by tamta pierwsza umaczała palce, Hanka zaś nie odrzekła pozdrowieniem i nie sięgnęła po wodę święconą, a przeszła mimo i tak ją uderzyła oczami jakby kamieniem.

Aż jej łzy stanęły w oczach z tego spostpowania i jawnej złości, ale siedziała w ławce i nie mogła oczów oderwać od jej zmizerowanej, bladej twarzy.

— Antkowa kobieta, a takie chuchro, taka mizerota, no, no! — snuło się jej po głowie, ale rychło zapomniała o niej, bo śpiewali na chórze i organy tak pięknie przegrywały, tak cicho a uroczyście, że się zatopiła całkiem w muzyce. Nigdy jeszcze nie było jej tak dobrze i słodko w kościele, przenigdy; nie modliła się nawet, książka leżała nie otwarta, różaniec tkwił w palcach niezaczęty, a ona wzdychała ino, chodziła oczami po mrokach zwolna płynących z okien, po obrazach, po skrzeniach światła i złoci, po tych farbach ledwie widnych i niesła się duszą w zaświaty, w te cudności i nieba obrazów, w przygasłe cichnące dźwięki, w rozmodlone śpiewy, w święty spokój ekstazy i piła takie zapomnienie wszystkiego, że już nie baczyła, gdzie jest, jeno się jej widziało, że święci zstępują z obrazów, że idą ku niej z uśmiechem przenajśłodszym, że te błogosławiące ręce wyciągają się nad nią i dalej idą, nad całym

narodem aż się przechylił jako ten łan, a nad nim wieją szaty błękitne, szaty czerwone, spojrzenia miłosierne, grania niewypowiedziane, pieśnię dziękczynne — że już i nie wypowiedzieć!

Ocknęła, gdy się nieszpory skończyły i umilkły organy, cisza ją zbudziła z tego sennego rozmarzenia, z żalem się podniosła i wychodziła z drugimi, ale przed kościołem znowu się spotkała z Hanką, która przystanęła na wprost jakby chciała co rzec, ale ino spojrzała nienawistnie i poszła.

— Wytrzeszcza ślepie i myśli, że mnie tem nastraszy, głupia — pomyślała Jagna, wróciwszy do domu.

Wieczór też już był zapadł, wieczór cichy, omdlały jakiś, świąteczny; mroczno było na świecie, światłości gwiazdne pomdlały w mętnej niebie, że ino gdzieniegdzie tryskał promień jakiś, śnieg pruszył, opadał zwolna, bez szelestu, migotał za szybami i snuł się nieskończonem kłaczastem przędzywem.

W izbie było cicho również i nieco sennie, przyszedł Szymek zaraz z wieczora niby w odwiedziny, a głównie by się z Nastką spotkać, siedzieli też w podłe i ciche wiedli rozmowy. Boryny jeszcze nie było. Jagustynka siedziała przed kominem, obierając ziemniaki, a po drugiej stronie, Pietrek przegrywał z cicha na skrzypicy, ale tak jakoś żałośliwie, że Łapa czasami skomlał i wył przeciągle, Witek też tam siedział z Józką, aż

Jagna, którą rozbierało to granie, krzyknęła przez drzwi:

— Przestań Pietrek, a to się aż na płacz zbiera z tej muzyki.

— Ja tobym zaś spała najlepiej przy graniu — zaśmiała się Jagustynka.

Ale skrzyпки ucichły, dopiero po czasie jakimś ozwały się cichutką, ledwie dosłyszananą nutą, z za stajni, bo tam się przeniósł Pietrek i długo w noc grał. Kolacya się też dogotowywała, gdy powrócił stary.

— A to wójtowa zległa, rwetes tam nie mały, aż Dominikowa przepędza ludzi, tyła się naszło. Trzebaby ci Jaguś zajrzeć do niej jutro.

— A zaraz polecę, zaraz! — zawołała skwapliwie, a w ogniach cała.

— Możesz i zaraz, pójdę z tobą.

— E... to już jutro może... powiadacie, że tyła tam narodu, wolę po dniu, śnieg pada, ćma!.. — tłumaczyła zniechęcona nagle, a on i na to się zgodził i nie nastawał, ile że i weszła akuratnie kowalowa z dziećmi.

— A gdzież to twój?

— Zepsuła się młockarnia we Woli, to go pozwal, bo dworski kowal nie umie sobie poradzić...

— Coś często teraz jeździ do dworu! — rzuciła znacząco Jagustynka.

— Przeszkadza to wama.

— Coby zaś, uważam ino, miarkuję i czekam co z tego wyjdzie...

Ale na tem się skończyło, bo nikomu nie chciało się wieść głośnej rozmowy la drugich, każdy pogadywał z cicha i leniwie, senność ogarniała wszystkich bez mała z wczorajszego niewywczasowania, że nawet kolacyę jedli bez smaku, a ino ten i ów, z podziwem spoglądał na Jagusię, która gorączkowo uwijała się po izbie, zapraszała do jadła choć już łyżki pokładli, buchała ni z tego ni z owego śmiechem, to znowu przysiadła się do dziewczyn i rajcowała trzy po trzy, a niedokończywszy leciała na drugą stronę, ale już z sieni nawracała z powrotem. Była w gorączce męczącej, bo pełnej obaw i niepokoju. Wieczór włókł się wolno, ociężałe, sennie, a w niej rosła i wzmagala się nieustępliwie chęć wybieżenia za dom... do brogu... Ale nie mogła się zdecydować, bała się, że spostrzegą... bała się grzechu... powstrzymywała się całą mocą i dygotała z męki, skowyczała w niej dusza jak ten pies na łańcuchu, rwało się serce... nie, nie mogła, nie mogła... a on może już tam stoi... czeka... wypatruje... może koło chałupy błądzi... może gdzie w sadzie przyczajony w okna zagląda i patrzy teraz na nią... i prosi... i truchleje z żalości, że nie wyszła... Poleci chyba, nie wytrzyma dłużej... ino na tę minutkę, na to jedno słowo, by mu rzec: idź, nie wyjdę, grzech... Już się za zapaską oglądała, już szła ku drzwiom... szła... ale cosik jakby ją ułapiło za kark i przytrzymało na miejscu... bała się... i, Jagustynki oczy chodziły za nią w ślad, jak te psy tropiące, Nastka

też dziwnie spoglądała... stary również... Wiedzą co?... miarkują?... Nie, nie wyjdę dzisiaj, nie...

Zmogła się wreszcie, ale czuła się tak zmordowaną, że ani wiedziała, co się dzieje dookoła. Przecknęła dopiero, gdy Łapa zaczął szczekać przed domem, w izbie było prawie pusto, jedna Jagustynka drzemała pod kominem, a stary patrzył w okno, bo pies szczekał coraz zajadlej.

— Pewnie Antek, nie doczekał się i... — porwała się zestraszona.

Ale to stary Kłęb stanął we drzwiach, a za nim wchodzili wolno, otrzepując się i obijając o próg buty ze śniegu — Winciorek, kulawy Grzela, Michał Caban, Franek Bylica, brat Hanczynego ojca, Walenty z krzywą gembą i Józef Wachnik...

Dziwował się tej procesyi Boryna, ale juści, że pary z gemby nie puścił, na pozdrowienia odpowiadał, rękę podawał, siedzieć zapraszał, ławki podsuwał i tabaką częstował...

Usadzili się rzędem, tabakę ochotnie zażywali, ten kichnął, ów nos ucierał, tamten zaś oczy, bo tabaka była krzepka, jenszy rozglądał się po izbie, któren znów, to jakie słowo rzucił, drugi zaś poważnie i z namysłem odrzekał — tamten o śniegach prawił, kto z turbacyjami wyjeżdżał, kto ino wzdychał a kiwaniem przytwierdzał — a wszystkie razem mądre dyskursu wiedli i zwolna prowadzili do tego, z czem przyszli...

Boryna się kręcił na ławie, w oczy im patrzył, za języki pociągał i z różnych stron zabiegał.

Nie dali się jednak wywieźć; siedzieli w rząd, siwi wszyscy, wyschli, wygoleni, równiaki latami, czerstwi jeszcze choć już starością i pracą przygięci do ziemi, niby te głazy polne omszali, surowi, kwardzi, nieprzystępni a mądrali, to się strzegli wymówić przed czasem i kołowali po miedzach sprawy jako te zmyślne psy owczarskie, kiedy chcą owce zagnać we wrota.

Aż w końcu Kłęb odchrząknął, splunął i rzekł uroczyście:

— Co tu marudzić i zwlekać; przyślim się dowiedzieć, czy trzymacie z nami?...

— Bez was stanowić nie możemy...

— Boć pierwszym we wsi jesteście.

— A rozumu też wam Pan Jezus nie poskapił.

— I choć przez urzędu, a gromadzie przewodzicie...

— Kuźden się na was ogląda.

— Ile, że o wszystkich krzywdę chodzi. — Powiedział każdy swoje, a przypochlebnie, że Boryna poczerwieniał, ręce rozłożył i zawołał:

— Ludzie kochane, kiej nie miarkuję, z czym przychodzicie?

— A wedle naszego lasu, mają go rąbać po Trzech Królach!

— Przeciech już na tartaku rzną jakieś drzewo.

— Rzną żydoskie z Rudki, nie wicie to?

— Nie wiedziałem, czasu niema chodzić pomiędzy ludźmi i przepytywać...

— A samiście najpierwsi pomstowali na dziedzica...

— Bom myślał, że nasze poręby sprzedał...

— A czyjeż to sprzedał, czyje? — zakrzyczał Caban.

— Juści, że na przykupnem.

— Sprzedał i na przykupnem, ale sprzedał i na Wilczych dołach i ma ciąć...

— Bez naszego przyzwolenstwa ciął nie będzie.

— Juści, drzewo już wycechowali, las rozmierzili i po Trzech Królach rąbać zaczną.

— Kiedy tak, trzeba jechać ze skargą do komisarza — rzekł Boryna po namyśle.

— Od zasiewów do żniw, nie każdy będzie żyw! — mruknął Caban.

— A jak kto na śmierć chory, na nic mu i dochtory! — dodał Walenty z krzywą gembą.

— Skarga tyle sprawi, że nim urząd zjedzie i zabroni, to już i pniaków nie ostanie po naszym lesie, a jak to było w Dębicy, baczycie?

— Z dworem, to jak z wilkiem, niech ino jedną owcę spróbuje, wnet całe stado wybierze.

— Nie trza dać, by się znarowił.

— Rzekliście mądre słowo Macieju; jutro, po kościele, mają się gospodarze zebrać u mnie, by cosik postanowiła gromada, tośwa przyśli waju zaprosić na naradę.

— Wszystkie przyjdą?...

— Wszystkie, a zaraz po kościele...

— Jutro... Cóż kiej koniecznie muszę jutro jechać do Woli, prawdę mówię, dzielą się tam gospodarką krewniaki, a swarzą i procesują, obiecałem się rozsądzić, by się sierotom krzywda nie stała, jechać muszę, ale co postanowicie to tak wezmę, jakbym uradzał spółem.

Wyszli markotni nieco, bo chociaż wszystkiemu przytwardzał i zgadzał się na wszystko, co mówili, dobrze poczuli, że z nimi szczerze nie trzyma.

— Hale, uradzajcie sobie, ale bezemnie! — myślał — wójt, ni młynarz, ni co pierwsi nie pójda z wami! Niech się dwór dowie, że nie nastaje na niego, prędzej zapłaci za krowę... i będzie się chciał godzić z osobna... Głupie... do ostatniego chojaka pozwolić mu ciąć... a potem dopiero w krzyk, do sądów, areszt położyć, przycisnąć — dałby więcej niżli zgoda. Niech se radzą, poczekam na boku, nie pilno mi, nie!

Dom już cały legł spać, a Maciej siedział, kredą na ławce pisał, liczył i długo w noc deliberował.

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, nakazał parobkowi rychtować sanie.

— Jakom wczoraj powiedział, pojedę do Woli, pilnuj tu domu Jaguś, a jakby się kto dowiadywał, rozgłaszaj, że musiałem jechać i do wójtowej zajrzyj.

— Późno to wróćcie? — pytała z przyczajoną w sercu radością.

— Na odwieczrze, a może i później.

Przyodziewał się świątecznie, a ona znosiła mu z komory ubrania, wiązała wstążkę u koszuli pod szyją, pomagała we wszystkim i z gorączkową niecierpliwością przynaglała Pietrka, by prędzej konie zakładał, trzęsła się cała, nie mogła ustać na miejscu, radość w niej krzyczała, radość, że pojedzie na cały dzień, późno wróci, może dopiero w nocy, a ona zostanie sama i o zmroku — o zmroku wyjdzie za bróg... Wyjdzie! Hej! Rwała się już jej dusza do wylotu, śmiały się oczy, wyciągały ręce, prężyła pierś i ognie błyskawicami upalnymi chodziły po niej i słodką męką oblewały... Ale z nagłą, niespodziewanie chwycił ją dziwny lęk i ścisnął za serce, że zmilkł, przycichła w sobie i jak błędna patrzyła za Boryną, gdy się okręcił w pas, nadział czapę i wydawał jakieś przykazania Witkowi.

— Weźcie mnie ze sobą! — szepnęła cicho.

— Hale. Któż w chałupie ostanie? — zdziwił się mocno.

— Weźcie mnie, św. Szczepan dzisiaj, roboty wiele nie ma, weźcie mnie, tak mi się markoci, weźcie — prosiła tak gorąco, że chociaż się dziwował, ale się nie oparł i przyzwolił.

W parę chwil już była gotowa i ruszyli zaraz z przed domu ostro, z kopyta, aż sanie zamietły.

VI.

— Myślałam, żeś gdzie w śniegach uwięzła! — szepnął przekąśliwie.

— Hale, można to przyspieszyć na taką wieję, po omacku szłam całkiem, bo tak ciepie śniegiem, że oczów nie można ozewrzeć, a takie zaspy na drogach, taki mął, że i na dwa kroki nic nierozeczna przed się.

— Matka w chałupie?

— A juści, gdzieby ta szli na taki psi czas: rano byli u Kozłów, ale z Magdą jest krucho, na księżą oborę patrzy, to i nic poradzić nie poradzili — opowiadała Jagna, otrzepując się ze śniegu.

— Cóż tam na wsi? — zagadnął naśmieszliwie.

— Idźcie pytać, to wiedzieć będziecie, po nowinki nie latałam!

— Dziedzic przejechał, nie wiesz to?

— Psu wytrzymać trudno na takiej wiejbie, a dziedzicowiby się tam chciało...

— Kogo mus pędzi, ten i na zakurki patrzeć nie będzie.

— Pewnie, jak komu mus... — uśmiechnęła się wąpiąco.

— Sam się obiecał, nikto go nie prosił — powiedział Boryna surowo, odłożył ośnik, wstał z ko-bylicy i podszedł do okna wyrzeć, ale na świetcie była taka kurzawa, tak kotłowało, że ni płotów, ni drzewin widać nie było.

— Widzi mi się, że śnieg już nie sypie — powiedział łagodniej.

— A nie, kręci ino, rwie, zamiata i tak kurzy, tak ciepie, że drogi nie rozezna — rzekła Jagna, rozgrzała ręce i wzięła się do motania nici z wrze-cion na motowidło, stary zaś powrócił do roboty, ale coraz niecierpliwiej spoglądał w okno i nasłu-chiwał.

— Gdzie to Józka? — spytał po chwili.

— Pewnikiem u Nastki, ciągiem tam prze-siaduje.

— Lofer dzieucha, że tego pacierza w chału-pie nie usiedzi.

— A bo jej się cni, powiada.

— Ale, zabawy se będzie szukała.

— Tak p'owiada, by ino się od roboty wy-kręcić.

— Nie możesz to przykazać.

— Juści, raz to mówiłam abo dwa, pysk na mnie wywarła jak na tego psa, jak wy jej nie przykróćcie, to ona ma gdzieś moje przykazy.

Ale stary puścił mimo uszów te skargi, bo co-raz niecierpliwiej nasłuchiwał, coś kiej żaden głos

ludzki nie dochodził ze dworu, wichura ino wyła, przewalała się po świecie, biła niby barami w ściany aż dom trzeszczał i pojękiwał.

— Pójdziecie to? — spytała cicho.

Nie odrzekł, bo dosłyszał otwieranie drzwi do sieni, jakoż w tej chwili wpadł zziajany Witek i krzyknął z progu.

— Dziedzic już przejechał!

— Dawno? Przywieraj drzwi prędko.

— Adyc jeszcze słysząc brzękadła!

— Sam jechał?

— Kiej takie zakurki, żem ino konie rozeznał.

— Bieżyj w ten mig i dowiedz się gdzie stanął!

— Pójdziecie do niego? — zapytała cicho, z tchem przytajonym.

— Poczekam aż zawołają mnie, napraszał się nie będę ale bezemnie przeciech nic nie uradzą...

Umilkli oboje, Jagna motała, licząc nici i przewijając je w pasma, a stary, że mu robota leciała z rąk z niecierpliwości, rzucił wszystko i zaczął się przybierać do wyjścia, nim jednak skończył, przyleciał Witek.

— Dziedzic siedzą u młynarza w izbie ode drogi, a konie stoją w podwórzu.

— Cóżes się tak utyłał?

— A bo mię wiater przewrócił w zaspę...

— Pewnie — dobrześ się musiał z chłopakami za łby po śniegu wodzić...

— Wiater mię obalił...

— Drzyj obleczenie, drzyj, jak cię jucho rzemieniem pogrzeję to zapamiętasz.

— Kiej prawdę mówię... tak wieje, tak ciepło, że ustoić trudno...

— Puść komin, w nocy się dość wygrzejesz, powiedz Pietrkowi, niech się do młocki weźmie, pomóż mu, nie ganiaj po wsi jak ten psiak z wywieszonym ozorem.

— Idę, ino jeszcze drewek przyniesę, bo gospodyni kazała... — szeptał żałośnie i markotnie, że nie mógł opowiadać co widział na wsi, zakręcił się po izbie, gwizdnął na Łapę, ale pies zwinął się w kłębek i ani chciał słuchać, więc sam poszedł, Boryna zaś ubrany do wyjścia, łąził z kąta w kąt, poprawiał w kominie, zachodził do stodoły, to oknem wyglądał, to przed dom wychodził i coraz niecierpliwiej czekał, ale nikt po niego nie przychodził.

— Może zapomnieli... — zauważyła Jaguś.

— Jakże, o mnieby zapomnieli...

— Bo wy kowalowi wierzycie, a on cygan najpierwszy...

— Głupiaś, nie powiadaj na czym się nie rozumiesz...

Zamilkła obrażona, próżno zagadywał łagodnymi słowami, aż wkońcu sam się zeźlił, nadział czapę i z trzaskiem poszedł.

Jaguś narządziła kądziel, przysiadła się pod okno i przędła, spoglądając od czasu do czasu, w śnieżycę srozącą się za oknem.

Wiatr huczał przeraźliwie, śnieżne tumany kłębamami jak domy, abo jak te drzewa wielgachne, rozstrzępione, taczały się po świecie i raz po raz biły w chałupę, aż wszystko w izbie dygotało, szczękały miski poustawiane w szafce, i kolebały się u pułapu opłatkowe światy. Zimno przejmujące, wiejne tak ciągnęło od okien i drzwi, że Łapa wciąż szukał cieplejszego legowiska a Jagna przyokryła się w zapaskę.

Witek wsunął się cicho i rzekł nieśmiało:

— Gospodyni!

— Czego?

— Wiecie, a to dziedzic w ogiery przyjechał! Cuganty kiej hamany, kare całkiem, w siatkach czerwonych, z piórami na łbach, a brzękadła na pasach, to łysnią się od złota kiej te obrazy w kościele! A jak szły, to niczem ten wiatier!

— Nie dziwota, dworskie przecież, nie chłopskie!

— Jezus, jeschcem takich smoków nie widział!

— Jeszczeby, nic nie robią i na czystym owsie stoją!

— Pewnie że tak, ale żeby naszą żrebicę wypaść, ogon jej obciąć, grzywę zapleść i sprzedaż z wójtową siwką, toby tak samo rwały, co? gospodyni...

Pies się zerwał nagle, nastraszył i zaczął szczekać.

— Wyjrzyj-no, ktosik jest w ganku.

Ale nim zdążył, jakiś obwalony śniegiem czło-

wiek stanął w progu, pochwalił Boga, otrzepywał czapkę o buty i rozglądał się po izbie.

— Pozwólcie się ogrzać i wytchnąć nieco! — rzekł prosząco.

— Siadajcie, Witek przyrzuć na ogień — zarządziła zmieszana.

Nieznajomy siadł przed kominem, ogrzał się nieco i zapalił fajkę.

— Borynowy to dom, Macieja Boryny? — zagadnął, odczytując z papierka.

— Juści, Borynowy — przytwardziła ze strachem, bo się jej uwidziało, że to jakiś z urzędu.

— Ojciec w domu?

— Mój poszli na wieś.

— Poczekam, pozwólcie, że posiedzę przed ogniem, przemarzłem.

— A siedźcie, przeciech ławki ni ognia nie ubędzie.

Nieznajomy zdjął kozuch, ale snąć zimno mu było, bo wstrząsał się cały, zacierał ręce i coraz bliżej przysuwał się do ognia.

— Ciężka zima latoś — szepnął.

— Pewnie, że nie letka. A może mleka zgotować na rozgrzewkę.

— Dziękuję, gdybyście mieli herbatę!..

— Była ci, była, jeszcze jesienią, kiej mój chorzał na brzuch, przywiezłam z miasta, ale wyszła, a nie wiem u kogoby na wsi znalazł..

— A dobrodziej pono ciągiem arbatę piją — wtrącił Witek.

— Hale, polecisz to do niego pożyczać, co!

— Nie potrzeba, nie, herbatę mam ze sobą, zagotujcie mi tylko wody...

— Wrzątku niby!

Przystawiła garnczek z wodą do ognia i siadła z powrotem do kądzieli, ale nie przędła, tyla co czasem furknęła wrzecionem dla niepoznaki i spozierała na niego pilnie pełna głuchego niepokoju i ciekawości; co za jeden, czego chce, może z urzędu, po jakim spisie, bo ciągiem zaglądał do książeczeki?... Ubiór też miał prawie pański, szary z zielonem jaki to noszą strzelcy dworscy! a to znowu kozuch chłopski i czapkę też! Cudak ci jakiś abo ten obieżyświat! A może i co drugie! Rozmyślała, porozumiewając się oczami z Witkiem, którego niby podkładał na ogień a głównie rozglądał nieznajomego i mocno się dziwował, że ten cmoknął na Łapę.

— Ugryzie, pies zły! — szepnął mimowoli.

— Nie bój się, mnie psy nie gryzą — uśmiechnął się dziwnie i gładził tulący mu się do kolan psi łeb.

Przyszła wkrótce Józka, a za nią zaraz zajrzała Wawrzonowa, to któryś z sąsiadów, bo się już było roznieśło w sąsiedztwie, że jakiś obcy siedzi u Borynów.

A on wciąż się nagrzewał, nie bacząc na ludzi, ni ich szeptu i uwagi, dopiero gdy się woda zagotowała, wydobył z jakiegoś papierka herbatę, zasypał, sam sobie wziął z półki biały garnuszek,

nalął wrzątku i przegryzając kawałkiem cukru, popijał i chodził po izbie, a przyglądał się obrazom, sprzętom, to stawał na środku i tak przenikliwie spoglądał w oczy, że ludziom miętko robiło się w dołku.

— Kto to lepił? — wskazał na światy wiszące u sufitu.

— To ja! — pisknęła rozczzerwieniona Józka. Chodził znowu długo a Łapa krok w krok za nim.

— Kto tak wymalował? — zawołał zdumiony, przystając przed wycinkami, jakie były nalepione na ramach obrazów, a gdzie niegdzie i wprost na ścianie.

— Kiej to nie malowane ino wystrzyżone z papierów!

— Nie może być! — wykrzyknął.

— Samam strzygła, to juści wiem!

— I samiście to wymyślili, co?

— Sama, adyc każde dziecko we wsi to potrafi.

Umilkł znowu, nalął sobie drugi raz herbaty, usiadł przed kominem i z dobre parę pacierzy nie rzekł ani słowa.

Ludzie się porozchodzili, bo wieczór nadchodził i zamieć się uciszała, że ino czasami zrywał się jeszcze ostry wicher, zakręcał, mącił i bił w chałupy, ale coraz rzadziej i słabiej się trzepotał, niby ten ptak wyzbyty z sił dalekim lotem.

Jagna też wkońcu odstawiła kądziel i wzięła się do wieczorowych obrządków.

— Służył u was Jakób Socha? — zagadnął nieznajomy.

— Niby Kuba! Juści, że służył, ale się pomarło chudziakowi jeszcze na jesieni.

— Mówił mi ksiądz o tem. Mój Boże, szukałem go od lata po wszystkich wsiach okólnych i znalazłem po śmierci...

— Naszego Kuby szukaliście? — zawołał Witek wzruszony.

— A to pan muszą być dziedzicowym bratem z Woli?

— Skądże mnie znacie?

— Powiadali nieraz ludzie, że dziedzicowy brat wrócił z dalekich krajów i szuka po wsiach jakiegoś Kuby, ale nikt nie miarkował którego.

— Sochy, dopiero dzisiaj się dowiedziałem, że służył u was i że umarł.

— Postrzelili go, krew go uszła i pomarł, pomarł! — wołał Witek przez łzy.

— Długo był u was?

— A zawsze, jak ino pamięcią sięgnę, to zawsze służył u Borynów.

— Poczciwy był podobno? — pytał nieśmiało.

— I jak jeszcze, cała wieś może przyświadczyć, wszyscy, nawet dobrodziej płakali na pochówku i nic nie wzięli za nabożeństwo.

— A mnie pacierza uczył i strzyłać uczył i kiej rodzony ojciec opiekę trzymał na demną! i po dzie-

siątku czasem dawał i... wybuchnął płaczem na przypomnienie.

— A pobożny był, cichy, pracowity parobek, że nieraz dobrodziej sam go chwalił...

— Na waszym cmentarzu pochowany?

— Zaśby indziej?

— Ja wiem gdzie, pokażę. Jambroży mu krzyż dostawił a Rocho wypisał na deseczce wszystko, że choć zawiane śniegiem, trafię i doprowadzę — zawołał Witek.

— A to zaraz pójdźmy, aby przed nocą zdążyć.

Nieznajomy odział się w kożuch i przez długą chwilę stał na środku izby, gdzieś przed się zapatrzony. Stary już był, przygarbiony nieco, siwy, suchy jak wiór; twarz miał poradloną i ziemistą, dziurę w prawym policzku — stary ślad od kuli, a czerwoną, długą krychę nad okiem, nos długi, krzaczastą, rzadką bródkę i ciemne oczy, głęboko wpadnięte i jarzące mocno; fajki z zębów nie popuszczał ani na chwilę i ciągiem ją zapalał. Poruszył się wreszcie i chciał jakieś pieniądze dać Jagusi, ale cofnęła ręce za siebie i poczerwieniała.

— Weźcie, za darmo nic na świecie nie dają...

— Hale, we świecie może taka moda; żyd to jestem albo ten handlarz, co za wodę i ogień każe sobie płacić! — szepnęła obrażona.

— Bóg wam zapłać za gościnność! Powiedzcie waszemu, że był Jacek z Woli. Przypomni mnie sobie, zajrzę tu jeszcze do was kiedy, teraz mi pilno, bo noc nadchodzi, zostajcie z Bogiem.

— Panu Bogu oddajem!

Chciała go pocałować w rękę, ale wyrwał się i żwawo ruszył z chałupy.

Na ziemię sypał się pierwszy, ledwie dojrzany mrok, wicher ustał, jeno z zasp co groblami leżały w poprzek drogi, kurzył suchy miałki śnieg, kieby kto pytle wytrzepywał z mąki, ale ino dołem szła mątwą i kurniawa, bo górą już było przycichło, że domy i sady wychyliły się na jaśnie i stały widne w omdłym, sinawym tumanie mroczenia.

A wieś jakby przecknęła z odrętwienia, zaroili się drogi, zawrzały głosami opłotki, gdzie niegdzie brali się do odwalania śniegów z przed chałup, rąbali w stawie przeręble, nosili wodę, wywierali wrótnie do stodół, że bicie cepów donośniej rozlegało się po drogach, gdzie niegdzie już i sanie z trudem torowały sobie drogę, nawet wrony pokazały się w obejściach, co było niechybnym znakiem, że szło na odmianę.

Pan Jacek rozglądał się ciekawie dokoła, czasem pytał o ludzi spotykanych, to o chałupy a szedł tak rażno, że Witek ledwie nadążył, ino Łapa biegł przodem i wyszcze kiwał radośnie.

Przed kościołem piętrzyły się tak srogie zasy, że całkiem ogrodzenie przywały i prawie po gałęzie drzew sięgały, musieli obchodzić drugą stroną pobok plebanii, naprzeciw której cała hurma chłopaków ganiała się z wrzaskiem i biła śniegiem, a że Łapa czekał na nich, chycił go któryś za grzbiet i rzucił w puszystą, dymiącą jeszcze zaspe-

Witek skoczył na ratunek, ale i jemu dostało się niezgorzej pecynami, że ledwie się wygramolił, coś niecoś oddał i poleciał chybcikiem, bo pan Jacek nie czekał.

Ledwie się przekopali na cmentarz, a i tam śniegu było na dobrego chłopą, tyła, że ino ramiona krzyżów czerniały się nad groblami i garbami śniegów; miejsce zaś było nieco otwarte, to wiatr jeszcze przeciągał czasami i kurzawa raz po raz przysłaniała wszystko mgławicą, że ino drzewa nagie targały się w niej i majaczyły pniami. Pola zaś naokół zasnute były bielmem, oślepte zgoła i sine mrocnością, że nic nie rozeznał, ni drzew, ni kamionek, ni borów, — jeno tuż za smętarem, na dróżce zasypanej ciągnęło kilkanaścioro ludzi, ciężko obrzemienionych i przygiętych do ziemi, kurzawa ich przysłaniała co trochę, że przepadali całkiem, ale gdy się przyciszyło, coraz bliżej czerwieniały wełniaki kobiet i widni byli pojedynczo.

— Co to za ludzie, z jarmarku wracają?

— Hale, komorniki, po drzewo chodzili do lasu.

— I na plecach je noszą!

— A juści, koni nie mają, to muszą na plecach dygować.

— Dużo takich we wsi?

— Przeciech nie mało. Ino gospodarze mają gronta, a insze na komornem siedzą i na wyrobki chodzą, abo do służby się godzą.

— I często po drzewo chodzą, co?

— A raz w tydzień dwór pozwala każdemu przychodzić z kulką, bo co se suszu obłamię a zbierze w płachtę i udźwignie to jego, ino gospodarze mają prawo z wozem jeździć i z siekierą do lasu... Myśwa z Kubą jeździli ciągiem, i nieraz jeden z dobrą duszą we wozie wracalim... bo Kuba umieli tak ściąć jakiego grabka i schować pod gałęzie, że ani borowy poznał — zawołał z dumą.

— Długo Kuba chorował, opowiedz wszystko.

Juści, że Witek prosić się nie dał i opowiedział co ino wiedział. Pan Jacek przerywał mu pytaniami, przystawał aż z gorącości, rozkładał ręce, cosik w głos wołał, ale chłopak nie wymiarował o co mu szło i dlaczego się tak dziwował, bo po prawdzie nie baczył dobrze, strach go zdziebko przejmował, że to już mrocząło i cały cmętarz jakoby się w śmiertelne gżło przyodziewał, i różnemi głosami gadał, więc biegł przodem i zestrachanemi oczami wypatrywał Kubowego krzyża, odnalazł go wreszcie, stał pod samym parkanem, wpodłe tych rozwianych mogilek pobitych na wojnie, przy których modlił się w Zaduszki.

— A dyć tutaj, na krzyzie stoi wypisane, Jakób Socha! — przesylabizował, wodząc palcem po białych, wielkich literach! — To Rocho wypisali, a krzyż sporządził Jambroży!

Pan Jacek dał mu dwie złotówki i kazał spiesznie wracać do domu.

Chłopak w dyrdy uciekał, a ino jeden raz się

odwrócił, by gwizdnąć na Łapę i spojrzeć co tamten robi.

— Jezus! Dziedzicowy brat a klęczy przy Kubowym grobie — szepnął zdumiony, ale że mrok zapadał i przygięte drzewa trzęsły się jakoś strasznie, strach go przejął taki, że galopem i na przełaj poleciał do wsi. Dopiero koło kościoła się zatrzymał by złapać nieco powietrza i popatrzeć na pieniądze trzymane mocno w garści, pies go też właśnie dopędził, że wracali już razem i wolno do chałupy.

A koło stawu natknął się na Antka wracającego z roboty, pies się rzucił do niego przyłazszyć, szcekać i skomleć radośnie, aż go Antek jął głaskać.

— Dobry pies, pocziwy, dobry! Skąd to wracasz Witek?

Witek opowiedział wszystko, juści, że o pieniądzach nie rzekł.

— Zajrzałbyś do dzieci kiedy.

— Przyletę, przyletę, nawet la Pietrusia zrobiłem wózik i jednego cudaka...

— Przynieś go, naści dziesiątkę, byś nie zabaczył!

— A to chybikiem przylecę, obaczę ino, czy gospodarz nie przyszedł...

— Nie ma ich to w domu? — rzekł niby obojętnie, ale aż zadygotał.

— A u młynarza radzą cosik z dziedzicem i z drugimi!

— Gospodyni w domu? — zapytał ciszej.

— W domu, obrządzają. To ino obaczę i zaraz przylecę...

— Przychodź, przychodź! — szepnął, chciał go pytać, dowiadywać się, ale nie śmiał, ludzie się kręcili dokoła choć już mrocząło, a przytem chłopak głupi, wygadałby jeszcze, rozgłosił. Poszedł prędko ku domowi, ale przed kościołem rozejrzał się uważnie, czy kto nie patrzy i skreślił w bok, na dróżkę biegnącą za stodołami!

Witek zaś pobiegł do chałupy.

Boryny jeszcze nie było, w izbie panował mrok, bo ino na kominie żarzyły się główne. Jagna zwijała się koło obrządków wieczornych, ale zła była, gdyż Józka znowu gdzieś przepadła, a roboty było tyle, że niewiada za którą przódzi się imać! Nie słuchała nawet opowiadań Witka, dopiero gdy wspomniał o Antku, przystanęła nagle i nadstawiła uszów...

— Nie powiadaj nikomu, że ci dał dziesiątkę.

— Kiej przykazujecie, to i pary nie puszcze.

— Naści drugą, a zapamiętaj sobie. Do domu poszedł?...

Nie, nie czekała już jego odpowiedzi, porwała się z miejsca nagle, jakby ze strachem wybiegła na ganek i zaczęła wołać Pietrka, a zalęknionym i czatującym wzrokiem przebiegała sad i opłotki. Nawet za szepę, pod bróg zajrzała, nie było nikogo... Uspokoila się wnet, ale ją taka markotność rozebrała, że zaczęła krzyczeć na Józkę i pędzać

ją, by rychlej szykowała krowom picie, a wymawiać, że się ciągle po chałupach włóczy i nic nie robi, juści, że dzieucha też nie zmiłkła, harda była, pyskata i zawzięta, to się ząb za ząb kłóciła.

— Pyskuj, pyskuj, ociec przyjdą, to cię wnet rzemieniem przyciszą! — pogroziła Jagna, zapalając lampę i biorąc się znów do przedzenia, nie odpowiadała już na mamroty Józczyne, bo się jej wydało, że ktoś chodzi za szczytowem oknem...

— Witek, wyrzyj-no, musiał prosiak wyleźć z chlewa i chodzi tam ano po sadzie.

Ale Witek upewniał, że zagnał wszystkie i przymknął drzwi, Józka poszła na drugą stronę i wynosiła z Pietrkiem cebratki z piciem dla krów, a potem przyleciała po skopki do dojenia.

— Sama wydoję, odpocznij se, kiedyś się tak spracowała!

— A dójcie sami, znowu z połowę mleka ostawicie w wymionach! — dogryzała Józka.

— Zawrzyj gembę! — wrzasnęła rozgniewana, wdziała trepy, podkasła wełniaka, zabrała szkopki i poszła do obory.

Wieczór już był zapadł, wiatr ustał, kurzawa się uciszyła, ale niebo wisiało czarne, bezgwiezdne, wezbrane chmurzyskami, niskie; śniegi szarzały posępnie, jakaś żałosna, zmęczona cichość przygniatała świat, żaden głos ze wsi nie dochodził, a jeno gdzieś od kuźni, szło dalekie, głuche bicie młotów.

W oborze było ciemno i duszno, krowy chli-

pały picie i głośno szorowały ozorami dna cebratek a raz wraz postękiwały ciężko.

Jagna znalazła poomacku stołek, przysiadła się pod pierwszą z brzegu, namacała wymiona, wytarła je zapaską i wsparłszy głowę o kałdun krowi zaczęła doić.

Cichość ją ogarnęła, żeby najlżejszy szelest słyszała wyraźnie; mleko siurkało raz po razie do szkopka, ze stajni dochodziły końskie tupania, to od chałupy szły przytłumione a jazgotliwe rozprawy Józki.

— Rajcuję a ziemniaków nie obiera! — mruknęła i znikła nagle, nasłuchując bo śnieg zaskrzyphiał na podwórzu, jakby kto szedł z prawej strony, od szopy, śnać wolno... przystawał nawet... bo przyciszało się na mgnienie... znowu szedł... śnieg trzeszczał coraz bliżej... oderwała głowę i spoglądając w szary otwór drzwi... zamajaczyła w nim jakaś niewyraźna postać...

— Pietrek!... zawołała.

— Cicho Jaguś, cicho!

— Antek!

Struchlała całkiem i tak ją wszelka moc odeszła, że nie wykrztusiła ni słowa więcej, ruszyć się nie mogła, pomyśleć nie umiała, ciągnęła bezwiednie za wymiona, jeno że mleko strzykało na wełniak i na ziemię. Gorąc ją objął i kieby płomień palący wichrem wiał po niej, błyskawicami migotał w oczach a słodkością serce rozpierał,

a tak ją cosik ułapiło za grdykę i zatkało piersi, że dziw nie padła umarłą...

— Od samych Godów czatowałem na ciebie, co dnia, w każdy wieczór warowałem jak pies pod brogiem, nie wyszłaś... — szeptał.

A ten głos zduszony, namiętny, zapiekły mocą kochania, nabrzmiały lubością, warem ją oblewał, ogniami, słodkością, krzykiem potęgi... Stał na wprost, czuła, że się wsparł na krowie, pochylił i patrzy w nią tak zbliżka, aż jego gorący oddech palił ją w głowę.

— Nie bój się Jaguś. Nikto nie widział, nie boją się. A jużem nie zdzierzał, nie poradzę, a to i w dzień, i w nocy, i w każdy czas, ciągiem stoisz przedemną, na oczach mi wisisz, Jaguś; nic mi to nie powiesz?

— Cóż ci to rzeknę, co? — szepnęła rozpląkanym głosem.

Zmilkli oboje. Zbrakło im głosu, wzruszenie ich dławiło i ta bliskość, ta upragniona samotność, ta noc, niemocą się na nich zwała, ciężarem słodkim, ale i dziwnym lękiem! Rwali się do siebie, a teraz i tego słowa rzec było trudno i ciężko, pożąдали się nawzajem a i ręki do się wyciągnąć było niepodobna — milczeli.

Krowa głośno chlipała picie i tak chlastała ogonem po bokach, że raz po raz zacinała go w twarz, aż go przytrzymał mocno, przechylił się barzej przez kłęby i szepnął znowu:

— Ani śpię, ani jem, ani robić mogę bez ciebie Jaguś, bez ciebie...

— A mnie też nie letko, nie...

— Myślałaś to kiej o mnie Jaguś, myślałaś?...

— Mogłam to nie myśleć, kiej mi ciągiem do głowy przychodzisz, ciągiem, że już rady nijakiej dać sobie nie mogę. Prawda to, żeś o mnie pobił Mateusza?

— Prawda. Cyganił o tobie, tom mu pysk stulił, a każdemu zrobię to samo!

Drzwi trzasnęły od chałupy i ktosik prędko leciał przez podwórze, prosto do obory, że Antek ledwie zdążył skoczyć do żłobów i tam przywarować.

— A to Józia kazała przynieść cebratki, bo świniom trza żarcie narządzać.

— Weź obie, weź! — ledwie wykrztusiła.

— Kiej Łysula nie wypila jeszcze, potem przyletę.

Witek pędem poleciał, słysząc było jak znowu drzwi trzasnęły, dopiero Antek się wysunął z ukrycia.

— Wróci ścierwa... pójdę pod bróg, zaczekam, wyjdiesz Jaguś?

— Bojam się...

— Przyjdź, choćby godzinę albo i dwie, a czekał będę, przyjdź!... — błagał.

Przysunął się z tyłu, bo wciąż siedziała przy krowie, objął ją potężnie przez piersi, przechylił głowę w tył i wpił się tak mocno wargami w jej

usta, że straciła oddech, opadły jej ręce, szkopek poleciał na ziemię, straciła przytomność, ale prężyła się coraz mocniej i tak zapamiętała cisnęła się ustami do jego ust, że zwarli się na śmierć, padli w siebie i przez długą chwilę trwali w takim szalonym, dzikim, bezprzytomnym pocałunku.

Oderwał się wreszcie i chyłkiem wybiegł z obory.

Zerwała się wreszcie aby doń skoczyć, ale już cieniem mignął na progu i przepadł w nocy. Nie było go, jeno ten cichy, palący szept grał w niej tak mocno, a tak nakazująco, że się ze zdumieniem rozglądała po oborze... Juści nie było nikogój; krowy jeno przeżuwały paszę i chlastały ogonami. Wyjrzała w podwórze, noc stała za progiem nieprzeniknionymi mrokami, cisza gnietła świat, tyła, co te kucia młotów pobrzękiwały w dalekościach... A był przeciech, był... stał przy niej, obejmował ją, całował... jeszcze usta pałą, jeszcze ognie chodzą po niej błyskawicami a w sercu wzbiera taki krzyk radości, że nie wypowiedzieć! Jezus, mój Jezus! Poderwało ją cosik i niesło, że choćby w cały świat, zaraz, w ten mig, a poszłaby tam, z nim!... Jantoś! — krzyknęła bezwiednie i dopiero własny głos oprzytomnił ją nieco. Zwijała się z dojeniem ze wszystkich sił, ale była tak roztrzęsiona, że często pod przodkami krów szukała wymion, i tak roztkliwiona szczęściem, że dopiero idąc do chałupy, na mrozie, poczuła, że ma twarz mokrą od płaczu. Zanieśła

mleko, ale zapomniała je precedzić, pobięła na drugą stronę, bo dosłyszała głos Nastki, nic jej nie rzekła i powróciła, przystrajała się przed lustrem, to jeszcze polan dorzuciła na ogień, to rozmyślała, że ma coś pilnego zrobić... cóż, kiej nie mogła sobie niczegoj przypomnieć, niczegoj... bo ino to stało jej w myślach, że Antek czeka pod brogiem, czeka... Pokręciła się jeszcze błędnie po izbie, okryła się zapaską i poszła.

Przesunęła się cicho koło okien i poszła szczytową ścianą, do wąskiego przejścia między sadem a szopą, nakrytego niby dachem, obwisłemi pod śniegiem gałęziami, że musiała się przychyłać.

Antek czał się przy przełazie, skoczył do niej jak wilk, przeniósł ją prawie i pociągnął pod bróg, stojący zaraz za drogą.

Ale nie wiedło się im całkiem dnia tego, bo tyła co wleźli w bróg, co się tam zwarli w całunkach, rozległ się ostry, donośny głos Boryny.

— Jaguś! Jaguś!...

Kieby piorun w nich trzasnął tak się roznieśli, Antek skoczył w bok i chyłkiem pod ogrodami rwał, a Jagna pobięła w podwórze, nie bacząc, że gałęzie zdarły jej zapaskę z głowy i całą obsypały kurzawą. Przetarła twarz śniegiem, nazbierała pod szopą naręcz drzewa i wolno, spokojnie wróciła do izby.

Stary patrzył na nią z podełba, dziwnie jakoś.

— Zajrzałam do siwuli, bo cosik stęka i pokłada się...

... Szukałem cię w oborze a nie uwidziałem...

— Bom wtedy już musiała być pod szopą, drwa zbierałam.

— A gdzieżeś się to tak utyłała w śniegu?...

— Gdzie? Ze strzechy śniegowe brody wiszą, to ino trącić a na głowę się sypią — tłumaczyła się spokojnie, ale twarz odwracała od ognia, by ukryć wypięki.

Ale starego nie zwiedła, niby wprost, oczy w oczy, nie patrzył, dobrze jednak widział, że cała w ogniach, czerwona, a oczy rozjarzone błyszczą się kiej w chorobie. Jakieś głuche, niejasne podejrzenie wślizgnęło mu się do serca, zazdrość kąśliwa zawarczała w nim jak pies i jak pies się przy-czała. Długo się biedził i rozmyślał, aż wkońcu przyszło mu do głowy, że to pewnie Mateusz ją spotkał i przyparł gdzie do płotu.

Nastka właśnie weszła na to, więc dalejże ją pociągać za język.

— Cóż to, pono Mateusz już zdrowy, chodzi?...

— Hale, zdrowy tam!

— Mówił mi ktosik, że widzieli go na odwieczeru, po wsi chodził pono... — zagadywał chytrze a pilnie patrzył w Jagnę.

— Pleciuchy bają, co ino się im widzi, Mateusz ledwie się rucha, z łóżka nawet się nie podnosi, tyła, że już krwią nie oddaje. Jambroży stawał mu dzisiaj bańki, a teraz narządził okowitki z tłustością i lekują się tam obaj tak galanto, aże na drodze się rozlegają śpiewania.

Nie pytał się już więcej, ale podejrzeń się nie pozbył.

A Jagusia, że ciężyło jej milczenie i te jego szpiegujące oczy nie dawały spokoju, jęła szeroko opowiadać o bytności pana Jacka.

Zdumiał się tem wielce i zaczął wymiarkować coby to mogło znaczyć, biedził się nie mało, rozważał, deliberował, każde słowo z osobna w głowie obracał, aż wkońcu wyraźnie z tego wyszło, że dziedzic wysłał pana Jacka na niego, by się wywiedzieć co to naród powie o porębie.

— Kiej nic a nic o las nie pytał.

— Hale, kiej taki cię wywiedzie niby na postronku że ani zmiarkujesz kiedy, co i jak a wszystko wypowiesz. Ho, ho, znam ja ten dziedzicowy pomiot.

— Powiam wam, że ino o Kubeę pytał i o te strzyżki!

— Miedzami kołuje, by drogę wypatrzyć! W tem cosik jest, jakaś dziedzicowa sztuczka, bo jakże, dziedzicowy brat i stałaby tam o Kubeę! Głupi ino w takie bajdy uwierzy. Powiadają, że ten Jacek głupawy jest nieco, po wsiach ciągiem się nosi, na skrzypkach pod figurami wygrywa i trzy po trzy plecie. I powiedział, że przyjdzie?

— Powiedział i o was się wypytywał.

— No, no, w głowie się nie chce pomieścić.

— A widzieliście się z dziedzicem? — zaga-dnęła miękko, by ino nie dać mu rozmyślać.

Ciepnał się jakby go giez ukąsił w słabiznę.

— Nie, u Szymona cały czas siedziałem — powiedział i zamilkł.

Już nie śmiała pytać, bo ciepłał się po chałupie kiej ten pies wściekły, o bele co krzyczał, przyganiał, pomstował, że uczyniło się tak cicho, jakby kto makiem posiał, kuźden mu z oczów rad schodził bych czego nie oberwać.

I w takiej przykrej cichości siadali do kolacyi, gdy wszedł Rocho, siadł swoim zwyczajem przed ogniem, jeść nie chciał, a gdy skończyli, rzekł cicho:

— Nie od siebie przychodzę. Na wsi powiadają, że dziedzic się na Lipce zawziął i ani jednego chłopca nie zawoła do rąbania, przyszedłem się spytać czy to prawda?

— W imię ojca i syna, a skądże mnie to wiedzieć, pierwszy raz słyszę...

— Narada była dzisiaj u młynarza, stamtąd poszła nowina.

— Naradzał się wójt, młynarz i kowal, ale nie ja!

— Jakże, powiadali, że u was był sam dziedzic i żeście z nim poszli.

— Nie nareadzałem się z nimi, chcecie to wierzyć, prawdę wam rzekłem...

Nie przyznał się, jak wielce go bolało to pominięcie, i, że radzili bez niego!

Rozsrożył się znowu na przypomnienie, ale milczał, przeżuwał ino w sobie tę obrazę kiej po-

krzywy, powstrzymywał się jak mógł, bych Rocho nie zmiarkował co się z nim dzieje!

Jakże, czekał, wypatrywał jak ten głupi a oni bez niego radzili! Nie daruje im tego, popamiętają. Mają go widać za nic, to im pokaże co znaczy we wsi. Nie kto drugi jeno młynarz tak zrobił, parob jeden, obieżyświat, krzywdą ludzką się dorobił, a teraz nad wszystkich się wynosi, oszukaniec, zna on o nim takie sprawy, iż z tego może być i kryminał, zna... Abo i ten wójt! bydlę mu pasać nie przewodzić starszym, pijanica; zrobili go wójtem, ale tak samo mogą jutro go zrzucić i wybrać choćby Jambroża, jednaby z nich była pociecha! A kował, zięciaszek zapowietrzony! niech się jeno pojawi w chałupie! Albo i ten dziedzic, to jak wilk, ogania ino koło narodu, a zabiega, a węszy gdzieby co urwać! Pan, ścierwo, na chłopskich ziemiach siedzi, chłopski las sprzedaje z chłopskiej łaski żyje, a będzie się tu na naród zmawiał! Ścierwa, nie baczy, że i pańskiej skóry tak samo mają się cepy jak i kuźdego! — Ale nie rzekł ni słowa z tych deliberacyi, jakże, nie baba przeciech by się przed drugimi użalał i przyjacielstwa szukał! Gryzło go to srodze, bolało nawet wielce, ale zasie komu do tego! Zmiarkował się rychło, że to nieobyczajnie przy obcym tak siedzieć z zawartą gembą, to podniósł się z ławy i rzekł:

— Nowiny powiadacie, ale jak się dziedzic uweźmie i nie zawoła, nikto go nie zmusi.

— Prawda, ale żeby mu kto godny przełożył, ile narodu przez to bieduje, to możeby ustąpił.

— Prosił go nie będę — zawołał ostro.

— A ze dwudziestu komorników we wsi siedzi i roboty kiej zmiłowania wygląda! Wiecie sami które, a zima ciężka, śniegi, mrozy, niejednemu już ziemniaki przemarzły, a zarobku niema żadnego. Nim wiosna przyjdzie, to robi się taki przednówek, że strach pomyśleć! A i teraz już bieda taka, że niejeden raz na dzień gorącą warzę pojada i z głodnym brzuchem spać chodzi! Rachowali wszystkie, że skoro dziedzic zacznie ciąć przy Wilczych dołach, to się robota la wszystkich otworzy! A tu pono się zaprzysiągł, że ani jednego Lipczaka do roboty nie weźmie! Rozgniewał się o to, że podobno skargę na niego pisali do komisarza.

— Samem ja podpisywał i twardo będę przy tem stał, że ni jednej chojki nie zetnie, póki się z nami nie ugodzi i nie odda co nasze.

— Kiedy tak, to lasu może ciąć nie będą.

— Naszego nie będą.

— A cóż poradzą te biedaki, co? — jęknął.

— Nic im nie poradzę, a la tego by miały robotę, swojego przeciech nie dam. Bronił będę drugich, upominał się za kogo, a jak się mnie krzywda stanie, to chyba ten pies mi pomoże...

— Z tego widzę, że z dworem nie trzymacie.

— Trzymam ze sobą i ze sprawiedliwością, miarkujcie ino. Mam co innego na głowie. To

i płakał nie będę, że tam który Wojtek abo Bartek, niema co do gemby włożyć, księdzowa to sprawa, nie moja! Jeden żeby i chciał, nie uradzi wszystkiemu.

— Ale wiele pomódz może, wiele — rzucił smutnie Rocho.

— Popróbójcie wodę nosić przetakiem, a oba-
czycie co nanosicie, tak jest i z biedą; już takie urządzenie boskie jest, to widzimi się i ostanie, że jeden ma, a drugi wiatr po polu łapie.

Rocho ino pokiwał głową i wyszedł zgryziony, bo nie spodziewał się takiej twardości na biedę ludzką w Borynie, stary go wyprowadził w opłotki, i jak zwyczajnie to robił co dnia, poszedł w obejście zajrzeć do krów i do koni, bo późno już było.

Jagna słała łóżka i właśnie pierzynę roztrzępywała, pacierz mówiąc półgłosem, gdy Maciej wszedł i jakąś ośnieżoną szmatę rzucił jej pod nogi.

— Zapaski gubisz, znalazłem ją przy przełazie! — powiedział cicho, ale tak twardo, i tak spojrzał na nią przenikliwie, że zmartwiała z przerażenia i dopiero po chwili zaczęła się jękliwie tłumaczyć:

— To... ten Łapa... co ino może... wywłóczy z chałupy... wczoraj to mi trepy zaniósł do budy! ścierwa nie pies, taki szkodny...

— Łapa?... cie... no, no... — szeptał urągliwie, bo nic a nic nie uwierzył.

VII.

We Trzy Króle, które jakoś tego roku wypadły w poniedziałek, jeszcze przed skończeniem niesporów, bo słyhać było grania i przyśpiewy w kościele, a już naród zwolna ciągnął do karczmy, że to pierwszy raz po adwencie i Godach miała być muzyka, a i szykowały się zmówiny Małgośki Kłębianki z Wickiem Sochą, któren chociaż tak samo się pisał jak nieboszczyk Kuba, ale krewniactwa się z niem wypierał, jako, że parob był niepoczciwy i sielnie dufający w swoje morgi.

Powiadali też, jako i Stacho Płoszka, mający się już od kopania ku Ulisi Sołtysównie, pewnikiem dzisiaj zapije sprawę i wszystko ze starym uładzi, bo krzyw mu był i córki odmawiał, że Stacho był sielny zabijaka, wicher nieposkromiony i z rodzicielami ciągiem się wadził, a za Ulisją chciał całe cztery morgi, abo dwa tysiące spłaty na rękę i dwa krowie ogony w dodatku.

Wójt też dzisiaj wyprawiał chrzciny, jeno że

w chałupie, ale różni znajomkowie tak se rachowali, że jak się rozochoci, to w domu nie wytrzyma i z całą kompanią do karczmy zwali i fundował będzie.

Zaś prócz tych przynęt były jeszcze większe, ważniejsze sprawy, zarówno obchodzące wszystkich.

Bo tak się ano stało, że na sumie, od ludzi z drugich wsi, dowiedzieli się, że dziedzic co ino mu było potrzeba ludzi do poręby, to już zgodził i zadatki podawał: miało iść z Rudki dziesięciu, z Modlicy pietnastu, z Dębicy cosik ośmiu, a samej Rzepeckiej szlachty bez mała dwudziestu — a z Lipiec ani jeden. Prawda to już była jasna i pewna, bo i sam borowy, któren był na sumie, przytwierdził.

Nie mała z tego turbacya padła na biedotę, nie letka.

Juści że byli w Lipcach bogacze całą gębą, byli i pomniejsi, którzy zarówno o zarobki nie stali, byli takż jensi, u których aż piszczalo z biedy ale się do niej nie przyznawali bych ino przyjaćielstwa z bogaczami nie stracić i w jeden rząd zawżdy z nimi stawać — ale i komorników, i takich co ino chałupy mieli, też nie brakowało: którzy wyrabiali u gospodarzy młocką, którzy na tartaku siekierą, którzy zaś gdzie się ino zdarzyła robotą, a chyła tyła wyskrzybali, iż jakoś się tam z Boską pomocą przeżywili, ale ostawało jeszcze z pięć familii, la których zimową porą całkiem

brakowało we wsi roboty, ci to właśnie, jako zbawienia czekali na te poręby.

A teraz co począć?

Zima była sroga, mało kłóren miał jaki taki grosz zapaśny, niejednemu już i ziemniaki się kończyły, bieda była w chałupie a głód już zębce szerzył za węglem, do zwiesny daleko a wspomnienia znikąd, to i nie dziwota, że ciężki frasunek padł na dusze. Zbierali się po chałupach, medytowali, aż wkońcu kupą całą poszli do Kłęba, by ich ten powiedział do dobrodzieja na poradę, ale Kłęb się wymówił rzekomo zmówinami córki, jensi też podobnie wykręcili się kiej piskorze, bo stali ino o siebie i swoje wyrachowanie mieli. Zeżlił się tem srodze Bartek z tartaku, kłóren choć robotę miał, zawżdy z biednym narodem trzymał, przybrał do się Filipa z za wody, Stacha Bylicowego zięcia, Bartka Kozła, Warka z krzywą gembą i w pięciu, poszli do dobrodzieja prosić, by się wstawił za nimi do dziedzica.

Długo nie było ich widać, dopiero po nieszpórach, przyleciał Jambroży do Kobusów, i powiedział, że z księdzem radzą i do karczmy prosto przyjdą.

A tymczasem wieczór się już był uczynił, ostatnie zorze zetliły się do cna, że ino kajś niekaj na zachodzie, z tych szarych popiołów, żarzyły się kieby głównie dogasające, a świat zwolna otulał się w modrawą a lutą płachtę nocy. Księżyca jeszcze nie było, jeno od suchych, przemarzniętych

śniegów były ostygłe, lodowate brzaski, w których rzecz każda widniała jakoby w śmiertelne gźło przyodziana i zgoła umarła; gwiazdy też jęły się wysypywać na ciemne niebo, a tak rosły i trzęsły się w onych dalekościach, tak się jarzyły bystro, aż po śniegach szły skrzenia. Mróz zaś brał srogi i podnosiła się taka skrzytwa aż w uszach dzwoniło, i żeby najcichszy głos a leciał światym całym.

W chałupach zaś ognie zapalili i spieszyli z wieczorowymi obrządkami, jeszcze wodę nosili ze stawu, jeszcze czasem skrzypnęły wierzeje albo się jakie bydłatko ozwało, to ktosik podążał spieszno saniami, a ludzie w dyrdy ganiali po cbejściach, bo parzyło w twarze jakby rozpalo-nem żelazem i dech zapierało, ale już wieś cichła całkiem.

Jeno od karczmy coraz ostrzej rozlegały się muzyckie głosy, bo juści, że prawie z każdej cha-lupy, ktosik się tam przebierał na przewiady, a in-sze zaś, którym nie było do zmówin, ni do spraw, też ciągnęli, bo im gorzała pachniała. Że zaś i ba-bom cniło się ostawać samym a dziewczyny aż piszczały do gzów i na muzykę nogami przebie-rały, to raz wraz, nim się jeszcze do cna ście-mniało, leciały chyłkiem do karczmy, rzekomo by chłopów nagnać do domów, ale już ostawały. Juści, że za ojcami i dzieci ciągnęły co starsze, zwłaszcza chłopaki, zwolrywali się z opłotków gwi-zdaniem i szli kupą, zalegając karczmowe sienie i przyzby choć mróz prażył żywym ogniem.

A w karczmie kłębiła się już niezgorsza gęstwa.

Tęgi ogień buzował się na kominie, że z pół izby zalewało krwawe światło szczap, których żyd ciągiem przykładać kazał dziewczce, bo kto ino wszedł, otrzeptywał buciska o trzon, nagrzewał zgrabiałe ręce i szedł w ciżbę odszukiwać swojaków, że to mimo ognia i lampy nad szynkwasem, mrok zalegał kąty i trudno było zrazu rozeznąć. W jednym kącie ode drogi, na kłodach od kapusty siedziały muzykanty, pobrzękujący niekiedy, jakby od niechcenia, bo się jeszcze tany nie rozpoczęły na dobre, tyła, co tam jakaś niecierpliwsza para się pokręciła.

Na izbie zaś, pod ścianami, przy stołach kupili się kompaniami ludzie, ale mało kto ścisnął kieliszek i przepijał, a jeno rajcowali, rozglądając się wkoło, a bacząc na wchodzących.

Jeno przy szynkwasie był większy rejwach, bo stali tam całą kupą goście Kłębowi i familianci Sochy, ale też jeszcze z rzadka przepijali do się, a tylko poredzali, świadczyli sobie godności, jak to przystało na zmówinach.

Wszyscy zaś często a nieznacznie naglądali pod okna, gdzie za stołami siedziało kilkunastu Rzepczaków, przyszli jeszcze za dnia i ostali. Nikt im wstrętów nie czynił, ale i nikto się do nich nie kwapił, tyle, co Jambroży zaraz się z niemi pokumał i sielnie gorzałę ciągnął a ocyganiał co ino wlażło. A po bok nich, stał Bartek z tartaku ze

swojami i w głos opowiadał, co im rzekł dobrodziej, a sielnie pomstował na dziedzica, w czym mu najgłośniej wtórował Wojtek Kobus, chłop suchy, mały a tak zapalczywy, że ciągiem się podrywał, walił pięściami w stół i ciepął się, jako ten ptak, którego przezwisko nosił, z rozmysłem zaś to czynił, bo domyślali się, że Rzepczaki ciągną na jutro do boru, do rąbania, ale żaden z nich jakby nic nie słyszał, tak siedzieli spokojnie zajęci między sobą.

Nikto też z gospodarzy nie słuchał tych wyzwisk, ni zbyt do serca nie brał, że dobrodziej nie chciał się wstawiać za niemi do dziedzica, a naprzeciw odwracano się od nich i unikano, czem głośniej krzyczeli, w gąszczu bowiem jaki rozpierał karczmę stowarzyszał się kaźden do upodoby i kupił gdzie było dogodniej, nie bacząc na sąsiadów — tylko jedna Jagustynka chodziła od kupy do kupy, podjudzała, żarty stroiła, nowiny w uszy ludziom kładła, pilnie jednak bacząc, gdzie już pobrzękują flachy a kieliszek kołem chodzi.

I tak powoli, zwolna niepostrzeżenie wciągał się naród do zabawy, bo coraz większy gwar napełniał izbę, i coraz częściej podzwaniały kieliszki, i coraz gęściej się robiło, że już drzwi się prawie nie zamykały tak szli, i szli — aż muzykanci ucęstowani przez Kłęba, urznęli rześistego mazura i w pierwszą parę puścił się Socha z Małgością, a za niemi zaś kto ino miał ochotę.

Ale niewielu szło w tany, oglądając się na

pierwszych lipeckich kawalerów, na Płoszkę Stacha, Wachnika, wójtowego brata i drugih, którzy zmagali się po kątach z dzieuchami, wesołe rozmowy wiedli, a podkpiwali półgłosem z Rzepeckiej szlachty, którym wciąż basował Jambroży.

Na to właśnie pokazał się Mateusz, o kiju jeszcze szedł, bo ledwie się był z łóżka zwałókł, że mu się to cniło za ludźmi, kazał se wnet narzędzić gorzałki przegotowanej z miodem, usiadł z boku komina, popijał i rzucał tem słowem wesołem do znajomków, ale z nagłą ucichł, bo Antek stanął we drzwiach, spostrzegł go, podniósł hardo głowę, łypnął ślepiami i przechodził w podle jakby niepostrzegając.

Mateusz się uniósł i zawołał:

— Boryna! a chodźcie-no do mnie.

— Masz sprawę, to pierwszy przystąp — powiedział ostro, myśląc, że Mateusz zaczepia.

— Przyszedłbym, jeno się jeszcze ruchać bez kijaszka nie mogę — odparł miętko.

Antek nie dowierzał, zmarszczył groźnie brwi i podszedł, ale na to Mateusz chycił go za rękę i zniewolił by przysiadł na ławie.

— Siadaj przy mnie. Owstydziłeś mnie przed całym światem, pobiłeś tak jucho, że już mi księdza wołali, ale gniewu do ciebie nie mam nijakiego i pierwszy z tem słowem zgody przycho-dzę. Napij się ze mną. Nikt mnie jeszcze nie pobił i myślałem, że takiego na świecie nie ma. Mocarz

z ciebie prawdziwy, żeby takim chłopem jak ja rzucić kiej snopem, no, no...

— Boś mi na robocie przypiekał cięgiem, a potem i czekał paskudnie, to mię rozebrało, zem już i nie baczył co robię.

— Twoja prawda, twoja, sam to przytwierdzam i nie ze strachu a po dobrości... Aleś mnie przyrychtował, no, żywą krew oddawałem, ziobra mi popękały, do ciebie piję Antek, co tam, poniechaj złości, ja ci już nie pamiętam, choć mnie jeszcze plecy bolą... aleś ty chyba krzepciejszy, niżli Wawrzek z Woli?...

— Nie zbiłem go to na odpusście we żniwa, jeszcze się pono lekuje...

— Wawrzona! Powiadali o tem, alem wierzyć nie wierzył. Żydzie haraku z esencją a w ten mig bo przetrączę! — krzyknął.

— Ale coś pyskował przed chłopami, to nie prawda! — pytał cicho Antek.

— Nie prawda, przez złość ino gadałem, tak sobie... nie, gdzieby tam zaś... — wypierał się, przeglądając pod światło fiaskę, by mu prawdy z oczów nie wyczytał.

Przepili raz i drugi, potem Antek postawił kolejkę i znowu przepili, i już tak siedzieli w podłe siebie, pobratani zgoła, i w takim przyjacielstwie, aż się na karczmie dziwowano temu. Mateusz zaś, że sobie był podpiał niezgorzej, pokrzykiwał na muzykę, by raźniej grała, przytupywał, śmiał się

w głos do chłopaków, aż przycichnął i jął Antkowi do ucha powiadać.

— Juści i to prawda, że brać ją chciałem przez moc, ale mnie tak pazurami pobronowała, jakby mnie kto pyskiem po cierniach przewlókł. Tyś jej był miłszy, wiem o tem dobrze, nie wypieraj się, ty, i bez to na mnie nie chciała patrzeć!... Trudno wołu wodzić, kiej nie chce sam chodźć; zazdrość mnie kąsała, że i niewypowiedzieć, hej! Dziewka równa cudu, że i nienależi ślicniejszej, a poszła za starego na twoją krzywdę, tego to już wyrozumieć nie mogę...

— Na moją krzywdę i na moje zatracenie! — jęknął cicho i aż się zerwał tak ognie w nim zagrały na wspomnienie, że ino zaklął i cosik mruczał do siebie.

— Cichoj, ludzie ano posłyszą i roznieść gotowi.

— Bom to co rzekł?

— Juści, inom ja niedosłyszał, ale mogli drudzy.

— Bo już mi ścierpieć trudno, tak mię tu w pierśiach rozpiera, że samo się rwie ze mnie, samo...

— Mówię ci, nie daj się póki czas — radził chytrze, pociągając go zwolna za język.

— Mogę to, kiej kochanie gorsze choroby, ogniem po kościach chodzi, wrzątkiem w sercu bełkocze a taką tęsknością duszę przejmuje, że ni jeść, ni spać, ni robić nic, jenoby człowiek łbem tłuł o ścianę, albo i zgoła życia się pozbawił!

— Abo to nie wiem! Mój Jezus, abom to

— Jam za Jagną nie latał! Ale jest tylko jedna rada na kochanie: ożenić się, a jakby ręką odjął. Znalazłaby się i druga; kiej ożenkiem nie można, dostać kobietę a wnet smak do niej przejdzie i kochanie się skończy! Prawdę ci mówię, przecieżem niegorszy praktyk! — dowodził chętnie.

— A jak i potem nie przejdzie? — rzekł smutnie.

— Juści, któren z za płota postępuje, za węglami się czai a kiej kiecka zachręści, drygają mu kulasy — takiemu rychło się nie przemieni, ale to ciolak nie chłop, za takiego nie dałbym i tego grosza — rzucił pogardliwie.

— Czystą prawdę rzekłeś, ale widzi mi się, że są i takie chłopcy, są... — zamedytował się.

— Przepij-no do mnie, do cna mi zaschło w gardzieli! Psiachmać sobacza z babami, niektóra chuchro takie, co kieby dmuchnął, nakryłaby się nogami, a często i największego mocarza wodzi kieby to ciełę na postroneczku, mocy pozbawi, rozumu pozbawi i jeszcze na pośmiewisko świata poda! Dyable nasienie ścierwo, mówię ci pij do mnie!...

— W twoje ręce bracie, w twoje!

— Bóg zapłać, mówię ci pluń na to dyable nasienie, przecież rozum swój masz...

Przepili raz i drugi a pogadywali, Antek już był zdziebko napity, a że nigdy nie miał przed kim się wyżalić, to teraz brała go szalona chęć do wywnętrzenia, że ledwie się powstrzymał, tyła

co tam rzucił czasami jakie ważne słowo, z którego Mateusz i tak wszystko miarkował, jeno nie dawał tego poznać po sobie.

W karczmie zaś, zabawa już szła rzetelna, muzyka rznęła co sił i tany szły za tanami, pito już we wszystkich kątach, gdzie niegdzie już przychodziło do sporów, a wszędy gadano tak głośno, że wrzawa przepełniała izbę, a tupoty taneczników rozlegały się kieby bicie cepów. Kłębową kompania przetoczyła się do alkierza, skąd też niezgorzsy wrzask dochodził, jeno Socha i Małgośka, tańcowali zapamiętale, abo ujawszy się w pół na mróz biegli, na powietrze — Bartek z tartaku ze swoimi, wciąż stali na jednym miejscu, pili już z drugiej flachy, a Wojtek Kobus już wprost wykrzykiwał ku Rzepeckim ludziom:

— Ślachta, ścierwy, worek i płachta! — że to za szlachtę się uważali.

— Dziedzice, pół wsi jedną krowę doi! — dorzucił zjadliwie drugi.

— Kołtuniarze, przez koni się obywają, bo ich same wszy noszą.

— Żydoskie paroby!

— Dworskie pomietła, do psów się im godzić, kiej taki dobry wiatr czują!

— Poczuty też we dworze swoje i ciągną.

— Będą tu ludziom odbierać robotę.

— Wyczeszemy wam kołtuny, że bez łbów pouciekacie!

— Wycieruchy, obieżyświaty, brakło u żydów

palenia w piecach, to przyleciały! — dogadywali mocno, a jaki taki pięścią wygrażał i darł się do nich, a coraz więcej ludzi wrzało przeciwko, coraz zapalczywsze koło ich otaczało, że to już gorzałka ponosiła — ale oni się nie odzywali, siedzieli przy sobie kupą całą, kije ino ściskali między kolanami, popijali piwo, przygryzali kielbasę jaką mieli ze sobą, a hardo, nieustraszliwie poglądali na chłopów.

Byłoby może i przyszło z miejsca do bitki, ale Kłęb przyleciał, jął uspokajać, przekładać, a prosić, a za nim starsi i Jambroży, że Kobus zaprzestał pyskować, drugich też odciągnęli na poczęstunek do szynkwasu, potem muzyka sielnie zagrała, a Jambroź jął znowu cygańić niestworzone historye o wojnach, Napoleonie, Naczelniku, a później i insze ucieszne rzeczy, aż się niejedni pokłádali ze śmiechu; a on rad wielce, podpity niezgorzej, rozparł się przy stole i prawił:

»Na ostatek opowiem jeszcze jedną historyę, krótką, bo mi pilno tańcować a i dzieuchy krzywe, że do nich nie przychodzę! Wiecie, zmówiny dzisiaj Kłębianki ze Sochą Wickiem. Gdybym chciał, mojeby były z Małgoską, moje! Bo ano było tak, we czwartek zwalili się do starego Kłęba z wódką! Przyszli w jeden czas od Sochy i przyszli od Pryczka; jedni przepijają harakiem, a drudzy zaś słodką, od jednych Kłęb pije i od drugich nie wylewa. Jeden jest dobry a i drugi nie gorszy!

Swaty aż się pocą tak prawią i zalecają swoich kawalerów:

Ten ma morgi galante przez skowronków nawożone, a drugi też takie, na których ino pieskowie wesela swoje odprawują.

Jeden ma chałupę, do której świnię pod przy-ciesiami włożą a i drugi nie gorszą.

Obaj sielne bogacze, że szukać daleko!

Socha ma cały kołnierz od kozucha, bo resztę pieski rozniesły. Pryczek zaś ma obertelek od świątecznych portek i guzik świecący kiej ze złota!

Jeden chłopak śmigły, kiej ta kopica a i drugiemu brzucho wzdeno od ziemniaków!

Galante parobki!

Sosze ślina z gemby cieknie, a Pryczek ma ślepie kaprawe!

Równe we wszystkim a takie robotne i zapamiętałe, że choćby pół ćwiartki ziemniaków, naraz zjedzą i za drugą patrzą! Oba dobre na zięciów, oba krowy mogą popaść, izbę przymieść, gnoju urzucić; oba krzywdy dziewczce nie zrobią nijakiej, bo z boćkami kompanii nie trzymają.

Sielne parobki, rozmowne, mądralę, przemysłne, z jądłem zawsze do gemby trafiają a nie gdzie indziej.

Co tu począć, kiej oba się zarówno widzą starem, to się kręci, w nosie dłubie, a Małgośki pyta, którego chcesz?...

— Oba pokraki tatulu, pozwólcie, to już se Jambroża wybierę!

Stary głową kręcił, deliberował długo, wiadomo, że mądrała na całą chałupę, a tu chłopaki przynaglają, swaty swoje wciąż prawią, to się napił od jednych haraku, napił się od drugich słodkiej, i powiada: wagę przynieśta!

Przynieśli oną wagę, ustawili, a on prawí.

— Zważyta się chłopaki, któren będzie cięższy, tego na zięcia wybierę.

Zafrasowały się swaty, posłali po gorzałkę i medytują: któren? bo obaj byli, kieby te pluskwy zeschnięte!

Skoczyły po rozum do głowy Pryczkowe swaty, nasuły mu za pazuchę kamieni, to w kieszenie napały. Ale i Sochowe też nie były głupie, nie było co, to gęsiora wsadzili mu pod kapotę — i na wagę go stawia... liczą, aż tu cosik powiada S... s... s... Socha niby, i gęsior bęc na ziemię! Roześmiali się wszyscy a Kłęb powiada: zmyślna jucha jest choć wagi nie trzyma, ty będziesz moim zięciem!

Juści, że w tem prócz tego ważenia, innej prawdy nie było, jeno, że opowiadał tak śmiesznie aż się popłakiwali z uciechy i takim śmiechem buchali, że na całą karczmę szło.

Że wnet Kłębowi goście wywalili się z alkierza i cała hurmą szli w taniec, to wrzask się podniósł, tupot, krzyki, że już żadnego głosu z osobna nie rozeznał.

Ze łbów poczynąło kurzyć, gorącość rozbiegała, uciecha rosła, to i młodzi hulali z całej mocy

a starsi zasie zalegali stoły, stowarzyszali się gdzie ino mogli i gdzie kto ustojał, bo tanecznicy robijali i coraz większem kołem zataczali, a kaźden w głos gadał, przepijał, z drugimi się cieszył, swojego dowodził, święta używał.

Muzyka zaś rznęła siarczyście i tany szły zapamiętale, choć był taki gąszcz, że głowa przy głowie, plecy przy plecach, to i tak się trząchali, po izbie nosili, pokrzykiwali wesoło a obcasami bili, że ino dyle skowyczały i szynkwas podrygiwał!

Zabawa była sielna, boć wszyscy się dokładali z całej mocy, duszą całą.

Zima toć szła, naród oderwał ręce spracowane od matki ziemi, to i podnosił przygięte karki, podnosił zafrasowane dusze, prostował się, rozrastał i równał jeden z drugim w wolności, w odpoczynaniu, i w tej myśli swobodnej, że kaźden człowiek widniał z osobna i wyraźnie — jako ten bór z którego nie wydzielisz drzewin latem, bo w jednakim, równo zielonym gąszczu stoi przywarty do rodnej ziemi, a niech jeno śnieg spadnie, ziemia się przesłoni, a wnet kaźde drzewo dojrzyysz z osobna i w ten mig rozeznasz; dąbek lito, grabek lito, osiczyna lito!

Takuteńko było i z narodem.

Jeno Antek z Mateuszem nie ruchali się ze swoich miejsc, siedzieli przy się po przyjacielsku i z cicha ugwarzali o różnościach, ile, że ciągiem ktoś do nich przystawał i swoje dokładał; przy-

szedł Stacho Płoszka, przyszedł Balcerek, przyszedł wójtów brat i drugie, te wszystkie najpierwsze we wsi kawalery, którzy dróźbowali na weselu Jagusi. Z razu nieśmiało przystawali, że to niewiada było, czy Antek jakim ostrem słowem nie ciepnie, ale nie, podawał każdemu rękę a z dobrością patrzył, to i wnet otoczyli go zwartem kołem, pilnie słuchali, przyjacielstwo świadczyli i tak mu się umilali a zdawali we wszystkim, jak przódzi, kiedy to im przewodził jeszcze, uśmiechał się ino gorzko jakoś, bo mu się wspomniało, jak to jeszcze wczoraj a ci sami omijali go zdała na drodze.

— Ani cię nikaj nie ujrzyć, do karczmy nie zachodzisz! — powiedział Płoszka.

— Od rana do nocy robię, to kiej to mam czas na karczmę.

— Prawda, prawda! — przytwierdzili półgłosem, a potem, zwolna przeszli na różne sprawy wsiowe, na ojców, to o dzieuchach mówili, to o zimie, to rozmowa jakoś się nie wiedła, Antek mało mówił, a ciągiem spoglądał na drzwi, spodziewał się, że Jagna przyjdzie. Dopiero, gdy Balcerek ją opowiadać o naradzie, jaka się odbyła we święta u Kłębów, względem lasu, słuchał uważnie.

— Cóż uredzili? — zapytał.

— A cóż, skamlali, narzekali, żalili się, a rady nijakiej nie powzięli, prócz tej, że nie trza pozwolić na wyręb.

— A bo to co mądrego uradzą te słomiane wiechcie! — wykrzyknął Płoszka. — Zbierają się,

gorzały się napiją, wysapia, nawyrzekają i tyla z tych narad jest, co z łośńskiego śniegu, a dzie-dziec może sobie spokojnie ciąć choćby i wszystko las.

— Nie trza pozwolić — rzucił krótko Mateusz.

— Któż to go powstrzyma, któż zabroni! — zaczęli wykrzykiwać.

— Któż jak nie wy?

— A juści, pozwolą to na co, ozwałem się kiedyś, to ociec mię skrzyczał, żebym nosa pilnował, że to nie moja sprawa, a ich, gospodarzy! Juści mają prawo do tego, bo wszystko w garści dzierzą i choćby na tę minutę a nie popuszczą, a my cóż znaczymy, tyle co te parobki! — unosił się Płoszka.

— Żle jest całkiem, źle.

— A nie tak powinno być!

— Juści, że młodych powinni przypuścić do gruntów i do rządów.

— A samym na wycugi iść!

— Ja wojsko odsłużyłem, lata mi idą, a tego co moje dać nie chcą — krzyczał Płoszka.

— Każdemu czas na swoje.

— A wszyscyśmy tutaj pokrzywdzeni.

— A najbardziej Antek.

— Trzebaby we wsi zrobić porządki! — szepnął twardo Szymek, Jagusin brat, któren niedawno przyszedł i stał poza drugimi cicho, spojrzeli na niego zdumieni, a on wysunął się na czoło i jął gorąco prawić o swoich krzywdach a w oczy

wszystkim patrzył i czerwienił się, że to nieprzywykły był przed drugimi mówić i bojał się jeszcze nieco matki.

— Nastka go tak nauczyła rozumu! — szepnął któryś, roześmiali się wszyscy, aż Szymek zmiłknął i cofnął się w cień, wtedy wójtów brat, Grzela Rakoski, choć nie był rozmowny i nieco się zająkiwał, zaczął prawić.

— Że starzy trzymają grunta i dzieciom nie popuszczają, źle juści jest bo krzywda — ale to jest najgorsze, że się głupio rządzą. Przecie z tym lasem dawno byłby koniec, żeby się byli zgodzili z dziedzicem.

— Jakże, dawał po dwie morgi, kiedy się nam należy po cztery na półwłóczek.

— Należy, albo i nienależy, to jeszcze niewiadomo, to już urzędniki rozsądzą.

— Kiedy oni z dziedzicami trzymają!

— Hale, trzymają tam, przecież sam komisarz powiedział, by się nie godzić na dwie morgi, to dziedzic musi dać więcej! — tłumaczył Balcerek.

— Cichocie-no, bo kował ano ze starszym idzie! — szepnął Mateusz.

Obejrżeli się na drzwi, jakoż prawdziwie, kował wiódł się pod pachy ze starszym, obaj już byli napici niezgorzej, to się mocno przepychali przez gęstwę i rznęli prosto do szynkwasu, ale nie postali tam długo, żyd ich powiódł do alkierza.

— Na chrzcinach u wójta się uraczyli.

— Wyprawia to dzisiaj? — zapytał Antek.

— Adyć ojcowie nasi tam siedzą. Sołtys poszedł w kumy z Balcerkową, bo pono stary Boryna się pogniewał i nie chciał — tłumaczył Płoszka.

— A to co za jeden? — wykrzyknął Balcerek.

— To pan Jacek, dziedzicowy brat z Woli! — objaśniał Grzela, aż powstali by się przyjrzeć, bo pan Jacek przeciskał się zwolna a oczami kogoś szukał, aż i natknął się na Bartka z tartaku i z nim poszedł pod ścianę, do Rzepeckich.

— Czego on może chceć?

— Czego, a niczego, tak se chodzi ino po wsiach, z chłopami gada, niejednemu pomoże, na skrzypkach przygrywa, dzieuchy piesneczek uczy, głupawy jest pono.

— Kończno Grzela coś zaczął! kończ!

— O lesie zacząłem mówić; moja rada jest taka, aby tej sprawy samym starym nie ostawiać, bo zepsują.

— Cóż, na to jest tylko jedna rada, zacząć las ciąć, całą wsią iść, rozegnać, nie pozwolić dopóty aż się dziedzic ze wsią nie ugodzi! — rzekł mocno Antek.

— To samo uradzali u Kłęba.

— Uradzali, ale nie robią, bo kto pójdzie za niemi.

— Gospodarze pójda.

— Nie wszystkie.

— Jak Boryna poprowadzi, to i wszyscy pójda.

— Jenó nie wiada czy Maciej zechce.

— To Antek poprowadzi — wykrzyknął zapalczywie Balcerek.

Przytwardzili mu gorąco wszyscy, jeden tylko Grzela się sprzeciwiał, a że bywał we świecie i gazetę «Zorzę» czytywał, to jął naucznie i kiej z książki prawić, że gwałtu nie można czynić, bo wda się w to sąd i prócz kozy, nikt więcej nie wskóra, że trzeba, aby wieś sprowadziła z miasta adwokata, a tenby wszystko po sprawiedliwości wyrychtował.

Nie chcieli go słuchać długo i jaki taki przekpiwał, ozeżlił się też srodze i powiedział:

— Na ojców wyrzekacie, że głupie, a sami ani za grosz pomyslenia nie macie a jeno jak te dzieci co jeszcze bałykują, cudze powtarzacie!

— Boryna z Jagusią i dzieuchami! — zauważył któryś.

Antek, któren chciał coś opowiedzieć Grzeli, zmilknął i poleciał oczami za Jagną.

Późno przyszli, już po kolacyi, bo stary długo się opierał skamleniom Józki i namowom Nastki, czekała aż Jagusia poprosi, ale ona zaraz po obiedzie, zapowiedziała ostro, że pójdzie na muzykę, odparł jej ostro, iż się nogą z chałupy nie ruszy, nie poszedł do wójta, to nigdzie nie pójdzie.

Nie prosiła go już więcej, zawzięła się tak, że ani tem słowem więcej się nie odezwała, popłakiwała jeno po kątach, drzwiami trzaskała, wystawała przed domem, na mrozie i ciskała się po

chałupie jak ten zły wiatr, aże mroziło od niej złością, a gdy do kolacyi siadali, nie poszła jeść, jeno zaczęła wełniaki ze skrzyni dobywać, przy-
mierzać a przystrajać się.

To i cóż miał stary począc, kłął, przygadywał, zapowiadał, że nie pójdzie, wkońcu jeszcze ją siel-
nie musiał przepraszać i rad nie rad powiódł do
karczmy.

Hardo ano wchodził, wyniośle i mało z kim
się witał, bo i równych było nie wiele, jako że co
najpierwsi u wójta byli na chrzcinach, syna zaś
nie spostrzegł, chociaż się pilnie rozglądał w tłoku.

Antek zaś już nie spuszczał oczów z Jagusi,
stała właśnie przy szynkwasio, chłopaki się do niej
sypnęli zapraszać do tańca, odmawiała, pogadując
wesoło a ukradkiem przebierając oczami wskrós
ludzi — taka urodna widziała się dzisiaj, że choć
naród już był napity a spoglądali nań z podziwem.
Ponad wszystkie piękniejsza. A przecież była tam
i Nastka ano do malwy z czerwieni szmat i wy-
rostu podobna, była i Weronka Płoszkówna, kiej
georginia rumiana i w sobie wielce podufała, była
Sochówna, skrzat ledwie dorosły, gibki i z gem-
busią, kiej ten cukier słodką, były i drugie urodne,
wyrosłe, ciągnące oczy parobków, a jak Balcer-
kówna Marysia, na podziw wyrosła, biała, rzepiasta
dziewka i pierwsza we wsi tanecznicza — ale żadna
ani się równała z Jagną, żadna.

Przenosiła wszystkie urodą, strojem, postawą,
i temi modremi, jarzącemi ślepiami, jako róża

przenosi one nasturcye, a malwy, a georginie, a maki, że zgoła podlejsze się przy niej widzą, tak ci ona przenosiła wszystkie i nad wszystkie panowała. Przystroiła się też dzisiaj kiej na jakie wesele; wełniak wdziała gorąco-żółty w zielone a białe pasy, stanik zaś z modrego aksamitu dziergany złotą nitką i głęboko, do pół piersi wycięty, a na koszuli cienińskiej, która bieluchną fryzką burzyła się suto koło szyi i przy dłoniach, zawiesiła rzędy koralu, bursztynów i onych pereł, na włosach miała chusteczkę jedwabną, modrawą w różowy rzucik farbowaną, a końce od niej puściła na plecy.

Brały ją za to przystrojenie kobiety na ozory i przymawiały złośliwie; nie dbała ta o to wcale; dojrzała wnet Antka i pokraśniawszy z radości, jako ta woda pod zachód, odwróciła się do starego, któremu żyd cosik gadał i zaraz poprowadził do alkierza, gdzie i pozostał.

Juści, że Antek ino tego czekał, bo wnet bokiem karczmy się przecisnął i spokojnie witał się z niemi, choć Józka umyślnie się odwróciła.

— Przyszliście na muzykę, czy na zmówiny Małgośki!

— Na muzykę... — odparła cicho, bo głos jej całkiem odjęło wzruszenie.

Stali przy sobie czas jakiś bez słowa, jeno dychali prędeż, a ukradkiem zaglądali sobie w oczy, tanecznicy zepchnęli ich pod ścianę, Nastkę pojął

do tańca Szymek, Józka też się gdzieś zapodziała, że sami zostali.

— Co dnia wyczekuję, co dnia... — szepnęła cicho.

— A mogę to wyjść... pilnują mnie... — odparła ze drżeniem, ręce się ich spotkały same jakos, cisnęli się biodrami, pobledli oboje, tchu im brakowało, w oczach skry się jarzyły, a w sercach była taka muzyka, że i niewypowiedzieć.

— Odstąp dziebko, puść!... — prosiła cichutko, boć pełno było ludzi dookoła.

Nie odrzekł na to, jeno ujął ją mocno w pól, gęstwę roztrącił, wywiódł wkoło i krzyknął do muzykantów:

— Obertasa chłopacy, a ostro!

Juści, że trzasnęli z całej mocy, aż basica jęknęła, znali go przecież, że jak się rozochoci, to gotów całej karczmie fundować!

A za nim puścili się w tan i jego kamraty, tańczył Płoszka, tańczył Balcerek, tańczył Grzela, tańczyły i drugie, a Mateusz, że mu to żebra jeszcze nie popuszczały, to ino przytupywał a krzykał la zachęty!

Antek zaś hulał zapamiętale, wywiódł się na przód, przegonił wszystkich i wiał w pierwszą parę tak siarczyście, że już nic nie pamiętał i na nic nie zważał, bo Jaguś cisnęła się do niego słodko, a raz wraz, ledwie dech łapiąc, prosiła:

— Jeszcze Jantoś, jeszcze dziebko!

Długo tańczyli, odpoczęli tyła, by złapać

niecoś tchu i napić się piwa, i znowu poszli w tan, nie bacząc, że ludzie zwracają na nich uwagę, coś szepczą, a krzywią się i w głos dogadują.

Ale Antkowi już było wszystko jedno dzisiaj, skoro jeno poczuł ją przy sobie, skoro przycisnął do sie, że aż się prężyła i przywierała te lube modre oczy, to się już był całkiem zapamiętał! Radość w nim grała i takie wesele, jak kieby się ten zwiesznowy dzień w nim zrobił. Zapomniał o ludziach i świecie całym, krew w nim zawrzała i moc wstała taka harda, nieustąpliwa, aż mu piersi rozpierało! A Jaguś też była całkiem jakby utopiona w lubości i w zapamiętaniu! Unosił ją jak ten smok, nie opierała się temu, bo jakże, mogłaby to, kiej kręcił nią, ponosił, przyciskał, że chwilami mrozczało w niej i traciła z pamięci świat wszystek, a grało w niej takim weselem, młodością, uciechą, że już nic nie widziała, ino te jego brwie czarne, te oczy przepaściste, a te wargi czerwone, ciągnące.

A skrzypice wycinały siarczyście, zawodzący i niesły się piesneczką, jako ten żniwny wicher palącą, od której krew się w ogień przemieniała i serce grało weselem a mocą; basy zaś pobekiwały drygliwie do taktu, że same nogi niosły i trzaskały hołupce; flet zaś przegwizdywał i wabił kiej ten kos na zwiesznię, a taką lubością przejmował, tak serce otwierał, aż ciarki przechodziły, w głowie się mąciło, tchu brakowało, a zarazem chciało się płakać i śmiać, i krzykać, i tulić, i ca-

łować i lecieć gdzieś, we świat wszystek, w zapamiętanie — to i tańcowali tak ogniście, aż się karczma trzęsła i dygotały beczki z muzykantami.

Z pięćdziesiąt par mieniło się w tem kole wielgachnem, taczającym się od ściany do ściany, rozśpiewaniem, pijanem uciechą i taką mocą, że flachy się przewracały, lampy gasły, noc ich obejmowała i rozdrzany mrok, bo ino te głównie w kominie rozrzarzane wichurą pędu, sypały iskrami i buchały krwawym płomieniem, w którym ledwie majaczył zbity kłęb ludzki, wijący się dookoła taką gęstwą, że ani okiem uchwycił, ni rozpoznał, gdzie chłop, gdzie kobieta! Kąpoty wiewały górą kiej te skrzydła białe, wełniaki, wstążki, zapaski, rozpalone twarze, jarzące oczy, tupoty zapamiętałe, śpiewki, pokrzyki, wszystko się wraz mieszało, kręciło w kółko kieby jedno wrzeczono, od którego bił ogromny wrzask i leciał przez wywarte do sieni drzwi, w ośnieżoną, mroźną, zimową noc.

Antek zaś hulał wciąż na przedzie, bił obcami najgłośniej, zawijał kiej wichura, przypadał do ziemi, że myśleli: upadnie! Gdzie zaś, on już stał, już znowu ponosił, już krzykał, czasem jaką piesneczkę muzykantom rzucał i nosił się wskrós ciżby, rozbijał, trałował, jak burza szedł, aż strach brał niejednych, a mało kto za nim nadążył.

Z dobrą godzinę tak wywijał, bo chociaż inni przestawali zmęczeni, a nawet i muzyce mdały ręce, pieniądze im rzucał, przynaglał grać i tańco-

wał, że w końcu prawie ino we dwoje pozostali w kole.

Juści że przez to, baby już głośno wydziwiały z takiej hulanki, kiwały głowami, meły ozorami i litowały się nad Boryną, aż Józka, zła na Antka, a barzej jeszcze na macochę, poleciała do starego.

— Ociec, a to Antek tańcuje z macochą aż ludzie wydziwiają! — szepnęła.

— Niech tańczą, od tego karczma! — odpart i wziął się znowu trącać ze starszym i kowalem, a prawić cosik.

Wróciła z niczem, ale jęła nagłądać za niemi pilnie, bo po tańcu, stali przy szynkwasiu z całą gromadą dziewczyn i chłopaków. Wesoło im było, Jambroży bowiem, pijany już całkiem, prawił im takie przypowiadki, aż się dziewczyny przysłaniały zapaskami, a parobcy w głos śmieli, a jeszcze swoje dokładali, Antek fundował wszystkim piwo, pierwszy przepijał, niewolił, w ramiona brał parobków, ścisnął, a dzieuchom całemi garściami pchał za pazuchę karmelki, by módz przytem i Jagusi nakłaść, a mimo zmęczenia śmiał się najgłośniej, i rad się rozgadywał.

Na karczmie też się zabawiano niegorzej, naród się już całkiem rozochocił i rozgrzał, to ciągiem jakieś pary tańcowały, że drudzy gęstwili się gdzie się ino dało i radzili, przepijali, kumali się jedni z drugimi i wesołości całem sercem zażywali. Rzepecka szlachta ruszyła z za swojego stołu, bo się już byli pokumali przy gorzałce z Lipcza-

kami, a niektórzy i do tańca się brali, dzieuchy się niewymawiały, że to obejście mieli delikatniejsze, i grzecznie prosili.

Antkowa zaś gromada zabawiła się z osobna, że to młódź sama była i co najpierwsza we wsi, a on mimo, że ze wszystkimi pogadywał, prawie o bożym świecie nie wiedział i prosto jakby się dzisiaj zapamiętał, na nic już nie patrzył, z niczem się nie krył, bo i nieporadził nawet — to i nie baczył, że ludzie dookoła spozierają uważnie i pilnie nasłuchują. Hale, dbał tam o to, wciąż jej prawił do ucha, przypierał do ściany, obejmował, za ręce brał, ale ledwie się już wstrzymywał od całowania! Oczy mu ino latały nieprzytomnie i w pierśiach wzbierała taka burza, że gotów się był ważyć na wszystko, byle zaraz, przed nią, bo widział w jej modrych, rozplómienionych oczach — podziw i kochanie! To i rósł coraz bardziej, puszył się i hukął kiej ten wichur nim uderzy! Pił przytem tęgo i Jagusię niewolił, aż się jej w głowie mąciło, że ani wiedziała, co się z nią dzieje, jeno chwilami, gdy muzyka milkła i karczma nieco przycichała, przytomniała zdziebko, strach ją ogarniał, obzierała się ze zdumieniem jakby poratunku szukając, uciekać nawet pragnęła, ale stał pobok i tak patrzył, taki żar buchał od niego, takie kochanie w niej wzbierało, że w mig zapominała o wszystkim.

Ciągnęło się to dosyć długo, bo Antek już gorzałkę stawiał całej kompanii. Żyd chętnie dawał i każdą kwartę dwa razy na drzwiach znaczył.

Że zaś całej kompanii zaczęło w głowach się mącić, to kupą poszli tańcować, bych się nieco otrzeźwić, juści że i Antek z Jagusią tańczyli na przedzie.

Wyszedł na to z alkierza Boryna, przywiedły go kobiety zgorszone, popatrzył i wnet się we wszystkim pomiarkował, złość go poderwała sroga, zakąsił ino zęby, zapiął pętle kapoty, czapę naciśnął i jął się przebierać do nich. Ustępowali mu z drogi, bo blady był kiej ściana i oczami dziko świecił.

— Do domu! — powiedział głośno, gdy nadlecieli i chciał ją chycić za rękę, ale w ten mig Antek zakręcił w miejscu i poniósł dalej, że próżno chciała się wyrwać.

Podskoczył wtedy Boryna, rozwalili koło, wyrwał ją z Antkowych ramion, nie popuścił, i nie spojrzawszy nawet na syna, wiódł z karczmy.

Muzyka raptem ustała, cichość z nagłą padła na wszystkich, że stanęli jak wryci, nikt się i słowem nie ozwał, miarkowali bowiem, że staje się coś strasznego, gdyż Antek rzucił się za niemi, roztrącił ciżbę kiej snopki i wybiegł z karczmy, ale skoro go jeno mróz owionął, zatoczył się na drzewo leżące przed domem i padł w śnieg, rychło się jednak podniósł i dognał ich na skrócie drogi koło stawu.

— Idź swoją drogą i ludzi nie zaczepiaj! — krzyknął stary, odwracając się do niego.

Jagna z wrzaskiem uciekła do chałupy, a Józka wtykała w garście staremu jakiś kół i wrzeszczała:

— Bijcie tego zbója, bijcie tatulu!...

— Puśćcie ją, puśćcie! — bełkotał Antek zgoła nieprzytomnie i przysuwał się z pięściami gotowemi do darcia.

— Mówię ci odejdz, bo jak Bóg na niebie, zakatrupię cię jak psa! Słyszysz! — krzyknął znów stary, gotowy na wszystko, Antek cofnął się bezwiednie, opadły mu ręce, strach go uderzył tak mocny, że drzeć zaczął, a stary poszedł wolno ku domowi.

Nie skoczył już za nim, stał roztrzęsiony, nieprzytomny i wodził pustemi oczami dookoła, nie było już nikogo, księżyc świecił jasno, śniegi się skrzyły i posępna białość widniała wszędzie. Nic nie mógł wymiarkować, co się to stało, oprzytomniał nieco w karczmie dopiero, dokąd go przywiedli przyjaciele, którzy mu skoczyli na ratunek bo gruchnęło, że się z ojcem bije.

Zabawa się też skończyła, rozchodzili się do domów, że to i późno już było, karczma opustoszała rychło, jeno po drogach grzmiały jeszcze czas jakiś hukania i przyśpiewki, pozostali tylko Rzepecczaki, którzy mieli zanocować i pan Jacek przygrywał im ano na skrzypicy wielce żałośliwe pienia, że siedzieli za stołem powspierani na rękach i wdychali, no i Antek siedzący w kącie samotnie, bo że się nie mogli z nim dogadać, gdyż nic nie odpowiadał, opuścili go wszyscy. Siedział

tak martwy i niewiedzący, że darmo mu żyd przypominał, iż karcznię zamyka, nie słyszał i nierozumiał zgoła, przecknął dopiero na głos Hanki, której ludzie donieśli, że się pobił znów z ojcem.

— Czego ci potraza? — zapytał.

— Chodź do domu, późno już — prosiła, powstrzymując łzy.

— Idź sama, nie pójdę z tobą! Mówię ci odejść! — krzyknął groźnie, a potem, nagle, nie wiadała czego, nachylił się do niej i w samą twarz powiedział: — żeby mnie w kajdany skuli, w lochu zamknęli, wolniejszymbym był niżli przy tobie, słyszysz, wolniejszym!

Hanka zapłakała żałośnie i poszła.

I on się teraz podniósł, wyszedł na dwór i powlókł się ku młynowi.

Noc była jasna, rozgorzała miesięczną poświatą, drzewa kładły długie, zgoła niebieskie, przesrebrzone cienie, mróz taki ścisnął, że raz poraz słychać było trzaskanie żerdeń i jakby cichy, przemijający skowyt niósł się po roziskrzonych śniegach, cichość martwa, zeskrzytwała tuliła świat cały, wieś już spała, ani jedno okno nie błyskało światłem, ni pies nie zaszczekał, ni młyn nie turkotał, nic — jeno od karczmy dochodził schrypły śpiew Jambroża, którego swoim zwyczajem wyśpiewywał na środku drogi — ale słabo, kieby przez sen.

Antek włókł się ciężko i wolno dookoła stawu, przystawał, rozglądał się nieprzytomnie, nasłuchi-

wał trwożnie, bo wciąż huczały mu we łbie ojcowe straszne słowa, bo wciąż widział jego oczy rozstrożone, bijące w niego kiej nożem, że cofał się bezwiednie, lęk ścisnął go za gardło, serce zamierało, włosy się jeżyły — a z pamięci ginęła zawziętość, ginęło kochanie, ginęło wszystko, a ostawał jeno strach śmiertelny, dygocące przerażenia, i rozpaczliwa, żalna niemoc...

Sam nie wiedział, kiedy zaczął iść ku domowi, gdy z przed kościoła doszedł go bolesny płacz i głośnie wyrzekania; pod figurą stojącą przed samemi wrótniami na cmentarz, ktosik leżał rozkrzyżowany na śniegu, w cieniu, jaki padał od parkanu, nic nie można było rozpoznać, pochylił się, myśląc, że to jaki obcy wędrownik, albo i pijany — a to Hanka leżała, żebrząc miłosierdzia.

— Chodź do domu, ziąb taki, chodź Haniuś! — prosił, bo mu dziwnie zmiękła dusza, a że się nie odezwała, uniósł ją przez siłę i powiodł do domu.

Nie mówili nic ze sobą, bo Hanka rzewnie płakała.

VIII.

U Borynów było kiej w grobie po tem święcie — nie płacz, nie krzyki, nie pomstowania, a ino ciężka cichość, złowrogo przyczajona i pełna powstrzymywanych gniewów a żalów.

Cały dom zmilknął, osnuł się posępnością, a żył w ciągłej trwodze i oczekiwaniu czegoś straszego, jak kieby pod dachem któren lada chwila ma paść na głowy.

Stary, powróciwszy do domu, ni potem nawet, nazajutrz, ani marnego słowa nie rzekł Jagusi, nawet przed Dominikową się nie użalał, jakby się nic nie stało.

Rozchorzał jeno z tych przyczajonych w sobie złości, i z łóżka się podnieść nie mógł, że to go ciągiem mdliło, kolki spierały w boku i gorącość rozbierała.

— Nic to innego, tylko wątroba się sama zapiekła, albo macica opadła! — rzekła Dominikowa, smarując mu boki gorącym olejem; nic się nie

odezwał jeno postękiwał boleśnie i w pułap uparcie patrzył.

— Nie Jagusina to wina, nie! — zaczęła cicho by na izbie nie dosłyszeli, bo się już srodze frasowała, że ani słowa nie powiedział o wczorajszej sprawie.

— A czyja? mruknął.

— W czym to winowała? Wyście ostawili ją samą i poszli pić do alkierza, muzyka grała, tańcowały wszystkie, bawiły się, to cóż, jak ten samson miała stać w kącie, młoda przecież, zdrowa i zabawy jej potrzeba. Zniewolił ją, to i poszła tańcować. Mogła to nie iść, kuźden w karczmie ma prawo brać do tańca, która mu się jeno uwidzi, a że ją wybrał i niepopuszczał zbój ten jeden, to ino przez złość do was, ino przez złość!

— Smarujcie jeno i róbcie, bym wyzdrowiał rychło, a nie uczcie mnie rozumu, dobrze sam wiem jak było, nie trzeba mi waszego powiedania.

— Kiejście taki mądry, to i to wiedzieć powinniście, że kobieta młoda, zdrowa też swojej uciechy potrzebuje! Nie drewno jest ni starucha, za chłopą poszła, to chłopą jej potrza, nie dzia-dygi, by z nim różaniec przebierała, nie.

— A to czemuście mi ją dali? — rzucił urągliwie.

— Czemu? A kto to skamlał jak ten pies? Nie ja was molestowałam, byście ją wzieni, nie ja wam ją podtykałam, ni ona sama! Mogła se iść

za każdego drugiego i z tych najpierwszych we wsi, tyłu ich było...

— Było, jeno nie do żeniaczki...

— Ażeby wam ozór wykręciło za to pieskie szczekanie!

— Prawda was sparzyła kiej pokrzywa, żeście się tak ciepnęli!

— Cygaństwo paskudne to, nie prawda! Cygaństwo!

Naciągnął pierzynę na piersi, odwrócił się do ściany i ani już słowem się ozwał na jej dowodzenia gorące, dopiero gdy w płacz uderzyła, szepnął złośliwie:

— Jak baba kijanką nie poredzi, to myśli płaczem co wskórać!

Dobrze wiedział, co powiedział, dobrze! Teraz ano kiej się z łóżka podnieść nie mógł, przychodziło mu do głowy, co to o niej powiadano przódzi, rozważał to sobie, układał, do kupy ściągał, deliberował — i taka złość go przejmowała, taka zazdrość gryzła, że nie mógł wyleżeć, rzucał się na łóżku, kłął z cicha, to odwracał się twarzą do izby i temi złemi, jastrzębiami ślepiami chodził za Jagną... ona zaś była jakaś blada, zmizerowana, że jak senna chodziła po domu, a ino temi żaloszonymi oczami skrzywdzonego dzieciątka spozierała na niego i tak wzdychała, aż mu się żal robiło i serce zdziebko tajało, ale i zazdrość tem większa rosła.

Wlekło się tak blisko całą niedzielę, że już

w chałupie wytrzymać było trudno, miałać przecież duszę wielce czującą — jako ten kwiat niektóry, co niech jeno ziąb nań chuchnie, a wnet owarzy się i rozdygocze z bolenia. Mizerniała też w oczach, sypiać nie mogła, jadło nie smakowało, usiedzieć trudno było na miejscu, i robotą zając, bo wszystko leciało z rąk i strach ciągiem za nią chodził, bo i jakże, kiej stary wciąż leżał, postękiwał, dobrego słowa nie rzekł, a jako ten zbój spoglądał. Cięgiem czuła jego oczy na sobie, ciągiem, że już wytrzymać nie mogła. Ciężyło jej życie, bo i tęskności rozbierały nieopowiedziane, że to i o Antku nic nie wiedziała, nie pokazał się bowiem przez tę niedzielę, choć nieraz o zmierzchu, pod śmiertelnym strachem, wyglądała pod bróg! Nie śmiała się zaś pytać nikogo. Już się jej tak mierziło w chałupie, że po parę razy w dzień biegała do matki, ale Dominikowa mało siedziała w chałupie, do chorych chodziła, to w kościele przesiadywała, a jeśli była, to pokazywała srogą twarz i gorzkie wymówki czyniła, a chłopaki też łążyły omroczone, złe i strapione, bo stara Szymka pobiła miądlnicą, że to we Trzy Króle przepił był w karczmie całe cztery złote. Zaglądała potem do sąsiadów, by ino jakoś ten dzień zepchnąć, ale i tam dobrze jej nie było, juści, nie wyganiałi jej, ale przez zęby cedzili słowa, twardo spozierali, a wszyscy zarówno biadali nad chorobą starego, wyrzekając żałośliwie, jakie to teraz czasy nastają paskudne.

A Józka też jak ino mogła, dogryzała jej na każdym kroku, nawet Witek bojał się pleść po swojemu przy gospodarzu, że słowa nie było z kim przemówić, tyła było całej uciechy i rozerwania myśli, co tam Pietrek wieczorami, po robocie przegrywał z cicha na skrzypkach we stajni, bo w chałupie stary nie pozwalał.

A zima wciąż była sroga, mroźna i wiejna, że trza było w chałupie siedzieć!

Dopiero jakoś w sobotę, stary choć zdrowy nie był jeszcze, zwłókł się z łóżka, ubrał ciepło, bo mróz był trzaskający i poszedł na wieś.

Zachodził do różnych chałup niby to ogrzać się zdziebko, gdzie znowu ze sprawami, a nawet z takimi przestawał chętnie, jakich przódzi mijał bez słowa, i wszędy pierwszy zaczynał o karczmie i całą sprawę w śmieszki obracał, a rad rozpowiadał, jako się był tego napił i przezto zachorzał.

Dziwowano się temu, przytakiwano, głowami kiwano, ale nikt się w pole wyprowadzić nie dał. Znali przecież dobrze jego nieustąpliwą hardość, a i to, że skoro na ambit wziął, można go było żywym ogniem przypiekać, a głosyby nie wydał; wiadano również, jako się zawsze wynosił nad inne, puszył, za najlepszego we wsi miał, a wielce baczył, by go na ozorach nie obnosili.

Rozumiano też, że zapobiega i plotki gasi, jakie były powstały.

A nawet stary Szymon, sołtys, powiedział mu prosto w oczy, jak to u niego było zwyczajne:

— Baj baj, chłop śliwy rwie — a ino ich dwie! Ludzkie gadanie, jest jak ten ogień, nie przygasicie pazurami, sam się musi wypalić! A to wam jeno przypomnę, com był rzekł przed ślubem: jak stary bierze młodą — złego nie odeгна i święconą wodą!

Zeżlił się tem i prosto wrócił do chałupy, Jaguś zaś myśląc, że skoro wstał, to już wszystko przeminęło i powróci do dawnego, odetchnęła z ulgą i jęła do niego zagadywać, to w oczy naglądać, przymilać się i po izbie krzekorzyć słodko, jak przódzi... Ale wnet ją opamiętał takim ostrem słowem, że struchlała; a potem nie zrobił się in-szym, nie pieścił, nie hołubił, myśli nie zgadywał ni o jej łaski się starał, a ostro, kiej na dziewczkę krzyczał za nieporządki i do roboty zaganiał.

Od tego dnia wszystko z nawrotem w swoje garście ujął, przypilnował, i z rąk nie popuszczał. Całe dnie, skoro jeno wyzdrowiał, młócił z Pietrkiem i w stodole robił koło zboża, krokiem się prawie nie ruszając z obejścia, bo nawet wieczorami w chałupie narządzał uprząże albo na ko-bylicy wystrugiwał różne porządki gospodarskie, a tak pilnie stróżował Jagusi, że i kroku nie mogła zrobić, by za nią nie wyglądał, nawet jej świąteczne szmaty zamknął i klucz nosił przy sobie.

Nacierzpiiała się ona, nacierzpiiała! Mało tego bowiem, że o bele co krzyczał, i słowa dobrego nie powiedział, ale prosto tak wszystko robił, jakby nie ona była gospodynią, bo ino Józce rozporzą-

dzał co się ma robić, z Józką o różnych rzeczach
pawł, których i dziewczyna nie wyrozumiała,
i Józce o wszystkim kazał mieć baczenie!

A Jagny jakby nie było, przedła dnie całe,
chodziła kiej błędna, albo do matki uciekała na
wyżalenie i skargi, nie poradziła na to stara, bo
jej rzekł ostro:

— Była panią, robiła co chciała, nic jej nie
brakowało, a nie umiała tego poszanować, to niech
popróbuje czego innego! A to wam zapowiadam,
powiedzcie jej, że póki kulasami rucham, bronił
swojego dobra będę i niedopuszczę, żeby się prze-
śmiewano na mnie, kiej z kukły jakiej, zapamię-
tajcie to sobie.

— Bójcie się Boga, a dyć ona nic złego nie
zrobiła!

— Niechby zrobiła, nie takbym gadał i nie
tak postąpił! Ale dosyć i tego, że się z Antkiem
zadawała!

— W karczmie, w tańcu, przy wszystkich
przecież!

— Hale w karczmie tylko! Hale!... — wykal-
kułował bowiem, że kiedy to jej zapaskę znalazł
w opłotkach, musiała wychodzić do Antka.

Nie dał się więc przekonać, nie wierzył niczemu
i twardo stał przy swoim, a na zakończenie po-
wiedział:

— Dobry człowiek jestem, zgodliwy, wszyscy
o tem wiedzą, ale jak mnie kto chlaśnie batem,
gotówem oddać kłonicą.

— Bijcie kto wama winowaty, ale nie krzywdźcie, bo z krzywdy każdej pomsta rośnie.

— Którym swojego broni, nie krzywdzi!

— Jeno byście w porę uwidzieli, kaj się wasze kończy!

— Grozicie, widzę!

— Swoje tylko powiadam, a wy zbyt w siebie dufacie. Baczcie i na to, że kto na innych kładzie znaki — sam tak!

— Dosyć mi waszych nauk i przypowieści, swój rozum też mam! — rozgniewał się.

I na tem się skończyło, bo Dominikowa widząc jego zatwardziałość i nieustępliwość, nie ponawiała już tej sprawy, dufając, iż to samo przejdzie i jakoś się uładzi, ale on ani na dzień jeden nie pofolgował, zawział się i nawet w tej złości smak znajdował, a chociaż nieraz w nocy, słysząc Jagusine płacze, zrywał się bezwiednie by do niej biedz, w porę się jednak miarkował, udając, że wstał oknem wyrzeć albo czy drzwi pozamykanę

Ciągnęło się tak bez przerwy całych parę tygodni, Jagnie było markotno, smutno i tak źle, że ledwie już ścierpiała, na ludzi patrzeć nie śmiała, wstyd jej było przed wsią, boć wszyscy dobrze wiedzieli, co się tam u Borynów wyprawia!

Dom całkiem omroczał, że snuli się po nim cicho, lękliwie, kieby te cienie.

Co prawda, mało kto zaglądał, mając i u siebie dość swarów! Wójt się też nie pokazywał, zagniewany, że Boryna nie chciał mu podawać do

chrztu; tyle jeno, co tam chłopaki Dominikowej czasem zajrzały, Nastka Gołębianka przybiegła z kądzielą, ale ta więcej do Józki i by się z Szymkiem spotykać, że nie było z niej pociechy, to i Rocho czasem zaglądał, ale widząc twarze posępne, zagniewane, mało siedział.

Jeden tylko kowal przychodził co wieczór i długo przesiadywał, a jak tylko mógł podjudzał jeszcze starego przeciw Jagnie i w łaski się nowe wkładał, juści, że i Jagustynka często zachodziła, chętnie swoje dokładając gdzie się kłócili. Dominikowa też bywała co dnia i co dnia jedno przywtarzała, by Jagna pokorą starego ujmowała.

Cóż, kiej Jagna nie mogła się upokorzyć, za nic nie mogła, a naprzeciw, bunt się w niej podnosił i złość ją podrywała coraz częściej. Wielce jej w tem pomagała Jagustynka, bo raz z cicha zaczęła:

— Jaguś, a to mi cię żal okrutnie, kieby roźzonej! Ten stary pies cię ukrzywdził! a ty kiej ten baranek cierpisz! Nie tak inne kobiety robią, nie!...

— Jakże? — spytała dość ciekawie, bo już jej obmierzył ten stan.

— Złego dobrocią nie przeprzesz a ino jeszcze większą złością! Za dziewczkę cię ma, a ty nic; szmaty ci pono w skrzyni pozamykał, na każdym kroku pilnuje, dobrego słowa nie da — a ty co? Wzdychasz, trujesz się i boskiego zmiłowania wyczekujesz! Póki się człowiek nie przyłoży, to

mu i Pan Bóg nie dołoży! Żeby tak na mnie, wiedziałabym co zrobić! Józkę sprząbam niech się nie rządzi w chałupie, gospodynią przecież jesteś, chłopubym też nieustąpiła w niczem! Kiej chce wojny, to niech ma taką, ażę mu grdyką wylezie! Hale, pozwól chłopu panować nad sobą, to się wnet do bicia weźmie i niewiada na czem skończy!

— A najpierwsze — zniżyła głos i do ucha jej szeptała — odstaw go kiej tego ciołka od krowy, nie przypuszczaj do siebie ani na zdziebko, jak tego psa przed progiem trzymaj! Wnet zobaczysz jak zmięknie i jak się udobrzy!

Jagna zerwała się od kądzieli by ukryć twarz rozczzerwioną.

— Czegóż się głupia sromasz? Złego w tem niema! Wszystkie tak robią i robić będą, nie ja pierwsza wymyśliłam taki sposób! Wiadomo przeciech, że kiecką chłopą dalej zaprowadzi, niżli psa sperką, bo pies rychlej się pomiarkuje! A starego łacniej niżli młodziaka, bo łakomszy i trudno mu po cudzych chałupach szkodzić! Zrób tak, a wnet mi podziękujesz! A co tam pyskują na ciebie i Antka, do serca nie bierz, żebyś jak ten młody śnieg — była, sadzy się dowidzą! Na świecie jest takie urządzenie, że któren się da, to mu i kiwnąć palcem nie przepuszczą, a któren nie stoi, co o nim powiadają, mocny jest a hardy, to może robić co mu się żywnie podoba. Nikt nawet słówkiem nie piśnie naprzeciw, a łasić się będą kiej pieski! Do

krzepkich należy świat wszystek, do nieustępliwych a.. zawziętych! Na mnie się dosyć wygadywali, dosyć, a na twoją matkę też, że to z tym Florkiem wiadomo było...

— Nie tykajcie matki!

— Niech ci ta świętą ostanie! Prawda i to, że każdy potrzebuje świętości jakiejś.

Długo jeszcze prawila, nauczała ją, a z wolna, choć i nie pytana rozповідаła o Antku co ino mogła wymyślić! Słuchała tego chciwie Jagusia, nie zdradziwszy się jednak ani słówkiem, ale rady owe, mocno wzięła do głowy i cały dzień delibrowała nad nimi! Wieczorem zaś, kiedy był Rocho, kował i Nastka, rzekła do starego:

— Dajcie no klucze od skrzyni, muszę szmaty przewietrzyć!

Dał przywstydzony nieco, bo Nastka śmiechem buchnęła, ale mimoto, gdy skończyła przekładanie, wyciągnął rękę po klucz.

— Same moje są tam szmaty, to już sama se przypilnuję! — powiedziała hardo.

I od tego wieczoru zaczęło się piekło w chałupie! Stary się nie przemienił, ale i ona nie ustępowała, na słowo odpowiadała taką kopą a tak głośno, że na drodze słyszać było krzyki. Nie pomagało to wiele, to na złość zaczęła wszystko robić.

Do Józki przyczepiała się na każdym kroku a tak nieraz boleśnie karciła, że dziewczyna z płaczem biegła się skarżyć, nic to nie pomagało, bo

jeszcze barzej pieklowała, skoro nieszło po jej woli. Wieczorami zaś, umyślnie się przenosiła na drugą stronę, ostawiając starego w pierwszej izbie, tam Pietrka niewoliła do grania, przyśpiewując mu do wtóru różne piosneczki do późna w noc; to znowu w niedzielę, przystroiła się jak ino mogła najlepiej a nieczekając na męża, sama poszła do kościoła, wystając po drogach z parobkami.

Stary się zdumiewał tą przemianą, wściekał ze złości, próbował się nie dawać, zapobiegał by się to po wsi nierozniosło, nic jednak nie poradził na jej humory, a coraz częściej, dla świętego spokoju, ustępował.

— Mościowy! barankiem się widziała, tą owieczką pokorną, a teraz okoniem stawą! — wykrzyknął raz do Jagustynki.

— Chleb ją rozpiera i ponosi! — odrzekła z oburzeniem, bo zawsze temu przytwardzała kto z nią radził. — Ale to wam powiem, że póki czas, trza czemś twardem wyganiać humory, bo potem i kłonicą nie poradził

— Nie jest to we zwyczaju Borynów! — powiedział wyniośle.

— Widzi mi się, że i u Borynów do tego przyzniesz! — szepnęła złośliwie.

Jakoś w parę dni potem, zaraz po Gromniczej, dał znać wieczorem Jambroży, że ksiądz nazajutrz będzie jeździł po kolendzie.

Zakrzętnili się zaraz od rana koło porządków, że nawet stary, unikając piekła, bo Jagna sielnie

dunderowała na Józkę, sam się zabrał do odwalania śniegu z opłotków; wywietrzono izby, omieciono z pajęczyn ściany, Józka wysypała żółtym piaskiem ganek i sienie i spieszenie przebierali się odświętnie, bo ksiądz już był w niedalekiem sąsiedztwie, u Balcerków.

Jakoż wkrótce, stanęły księżę sanie przed ganekiem, a on sam w komży na futrze, poprzedzany przez dwóch organiściaków, przybranych kiej do mszy, wszedł do izby — odmówił łacińskie modlitwy, pokropił i poszedł w obejście poświęcić budynki i cały dobytek. Boryna niósł przed nim na talerzu wodę święconą, a on w głos się modlił i poświęcał wszystko po kolei, organiściaki zaś szli w podłę, przyśpiewując kolendy i gęsto potrząchając dzwonkami, a reszta, kieby za procesją szła z tyłu.

Skończywszy zaś wrócił do izby i przysiadł odpoczywać, a nim Boryna z parobkiem zsykali po sań pół korca owsa i grochu ćwiartkę, jął przesłuchiwać pacierza Józkę i Witka.

Tak galanto umieli aż się dziwił i pytał, kto ich uczył.

— Pacierza to mię nauczył Kuba, a katechizmu i na elementarzu Rocho! — odpowiadał śmiało Witek, aż go ksiądz pogłaskał po głowie, ale Józka tak straciła śmiałość, że się ino rozczzerwieniła, popłakała, i tego słowa nie wykrztusiła! Dał im po dwa obrazki, a nauczał by słuchali starszych, pacierze odmawiali i grzechu się strzegli, bo zły na

każdym kroku się czai a do piekła namawia. A potem, podniósłszy głos, spojrzał na Jagnę i groźnie zakończył.

— Powiadam wam, że nic się nie ukryje przed okiem sprawiedliwości Bożej, nic! Strzeżcie się dnia sądu i dnia kary, pokutujcie i poprawiajcie się póki czas!

Dzieci buchnęły płaczem, bo się im uwidziało, jakoby w kościele byli, podczas kazania, Jagusi też serce zabiło trwożnie i rumieńce powlekły twarz, bo dobrze zrozumiała, że to do niej mówił, ale skoro Maciej powrócił, wyszła zaraz nieśmiejąc księdzu spojrzeć w oczy.

— Chciałbym z wami pomówić Macieju! — szepnął, gdy zostali sami, kazał mu przy sobie siadać, odchrząknął, tabaki mu podał, nos wytarł chusteczką, od której szły zapachy kiej z trybularza, jak potem opowiadał Witek, palce z trzaskiem wyciągał ze stawów i z cicha zaczął:

— Mówili mi ludzie o tem, co się tam w karczmie stało, mówili!

— Juści, na oczach wszystkich było! — przywodził stary smutnie.

— Nie chodźcie do karczmy i kobiet tam nie prowadzajcie, tyle zakazuję, piersi zrywam, proszę, nic nie pomaga, macie więc za swoje, ale jednak Bogu gorąco dziękujcie, że grzechu większego tam nie było, mówię wam, nie było!

— Nie było! — Twarz mu się rozjaśniła, bo księdzu wierzył.

— Powiadali mi też, że ją srogo karzecie za to, niesłusznie robicie, a kto niesprawiedliwość czyni, grzeszy, mówię wam, grzeszy!

— Gdzie zaś, jenom ją chciał nieco przykrócić! jeno...

— Antek jest winien, nie ona! — przerwał mu popędliwie. — Umyślnie przez złość na was zmusił ją do tańcowania, widocznie, że chciał z wami awantury, mówię wam, że chciał awantury! — zapewniał uroczyście przyrychtowany przez Dominikową, na której słowach zupełnie polegał. — Ale, co tom miał jeszcze powiedzieć... aha... żróbka łązi po stajni, trzeba zamknąć w grudce, bo kopnie ją wałach i gotowe nieszczęście, w przeszłym roku przez to samo zmarnowali mi klaczkę! Po jakim to ogierze?

— A po młynarzowym!

— Zaraz poznałem z maści i z tego łyska na czole, tęgi żrebak! Ale z Antkiem powinniście zgodę zrobić koniecznie, przez te gniewy na nic się chłop rozpuścił.

— Nie gniewałem się z nim, to i o zgodę prosił go nie będę — powiedział zawzięcie.

— Radzę wam jak ksiądz, a zrobicie co wam sumienie dyktuje, ale to wam mówię, że z waszej winy człowiek się marnuje, dzisiaj jeszcze mi mówili, że ciągle w karczmie przesiaduje i wszystkich chłopaków buntuje, na starszych powstaje i podobno coś przeciw dworowi zamierza.

— Nic mi o tem nie powiadali.

— Jak się parszywa owca do stada wśliznie, wszystkie zarazi! A z tych zmawiań przeciwko dworowi może wypaść dla całej wsi wielkie nieszczęście — ale Boryna nie chciał o tej sprawie mówić, więc ksiądz pogadał o różnych rzeczach a wkońcu rzekł:

— Zgodą tylko moi drodzy, zgodą — zażył tabaki i nakładał czapkę. — Na zgodzie opiera się świat cały, zgodnie, po dobroci, to i dwórby się ugodził z wami, mówił, wspominał mi coś o tem dziedzic, dobry to człowiek i chciałby to załatwić po sąsiedzku...

— Wilcze sąsiedztwo, a na takiego najlepszy kół albo żelazo.

Ksiądz się zachnął, popatrzył mu w twarz, ale spotkawszy jego szare, zimne, nieubłagane oczy i zacięte wargi, odwrócił się spieszenie i zatarł ręce ze zdenerwowania, nie lubił bowiem sporów.

— Muszę już iść. To wam jeszcze powiem, że nie powinniście zbytnią surowością zrażać do siebie kobiety, młoda jest, pstro ma w głowie jak każda kobieta, to trzeba z nią mądrze i sprawiedliwie postępować; trzeba jedno nie widzieć, drugiego nie dosłyszeć a na trzecie nie zważać — by tym sposobem uchronić się przed niesnaskami, z tego wychodzą najgorsze rzeczy. Pan Bóg zawsze błogosławi zgodliwym, mówię wam, błogosławi! Kiż to dyabeł! — krzyknął, zrywając się, bo bociek stojący przy skrzyni nieruchomo kujnął z całej siły w błyszczący but księdza!

— Dyć bociek, Witek go jesienią przygarnął, bo ostało ptaszysko, wykurował, że to miał skrzydło złamane i teraz siedzi w chałupie i myszy łowi kiej kot.

— No wiecie, jeszcze nie widziałem oswojonego bociana, dziwne, dziwne!

Nachylił się do niego, chciał głaskać, ale bociek się nie dał ruszyć, przekreślił szyję i boczkiem czająco znów godził w księże buty.

— Wiecie tak mi się podoba, że chętniebym go kupił od was, sprzedacie?

— Cóżbym tam miał sprzedawać, chłopak go wnet zanieś na plebanię.

— Przyślę po niego Walka.

— Nie da się on tknąć nikomu, tylko jednego Witka słucha!

Zawołali chłopaka, ksiądz mu dał złotówkę i polecił przynieść o zmroku, skoro wróci z objazdu, ale Witek uderzył w bek i zaraz po wyjściu księdza, zabrał boćka do obory i tam ryczał prawie do wieczora, że stary musiał go przyciszać rzemieniem, przypominając odniesienie ptaka. Juści, chłopak usłuchać musiał, ale serce skwierczało mu z żalu i boleści, nawet rzemieni zbytnio nie czuł, chodził kiej ogłupiały, z zapuchłemi od płaczu oczami, a jak ino mógł, dopadał boćka, ogarniał go ramionami, całował a żalonym płaczem się zanosił...

O zmierzchu zaś, kiej ksiądz już ze wsi powrócił, okrył boćka w swoją kapotę by go uchro-

nić od mrozu i do spółki z Józką, ptak bowiem był ciężki, popłakując rzewnie, ponieśli go na plebanie, a Łapa pobiegł z nimi i też coś markotno czekał.

Stary im dłużej rozważał słowa księdza i te jego szczere zapewnienia, tem więcej się rozjaśniał, uspokajał, i zwolna, niespostrzeżenie zmieniał swoje postępowanie z Jagusią.

Wszystko powracało do dawnego stanu, ale już nie powróciła do chałupy dawna radosna wrzawa, ten spokój wewnętrzny i ta cicha, głęboka dufność!

Było jak z tym garnkiem rozbitym, co choć odrutowany i zgoła cały się widział, a gdziesik cieknął i przepuszczał wodę w takim miejscu, że i pod światło nie rozpoznał.

Tak i w chałupie się widziało, bo przez oną zgodę, nierozeznanemi szparutkami, ciekły przyczajone nieufności, żale przyplówiały dziebko, ale żywe jeszcze i zgoła nie zabite jeszcze podejrzenia.

Stary bowiem, mimo najszczerzych usiłowań, nie zatracił w sobie nieufności i prawie mimowoli, a dawał ciągłe baczenie na każdy ruch Jagny, ona zaś, ani na to oczymgnięcie nie zapomniała mu tych złości i srogich słów, wrzała wciąż odemstą nie mogąc uciec z pod tych jego przenikliwych, stróżujących oczów.

Może i dlatego, że pilnował i nie wierzył jej,

znenawidziła go jeszcze barzej, a coraz potężniej wydzieraa się do Antka.

Tak się już umiała zmyślnie urządzać, że co parę dni widywała się z nim pod brogiem. Pomagał im w tem Witek, któren całkiem serce stracił do gospodarza za tego boćka, a przylgnął do Jagny, że to mu i teraz dawała lepsze podwieczorki, więcej omasty, a często gęsto i parę groszy kapnęło od Antka. Ale głównie pomagała im Jagustynka, tak się umiała wkraść w łaski Jagny, i tyle zaufania wzbudziła w Antku, że prosto nie było sposobu widywania się bez jej pomocy. Ona to nosiła wieści między niemi, ona stróżowała przed starym i ochraniała przed niespodziankami! A wszystko to robiła przez czystą złość do całego świata! Mściła się na drugich za własną poniewierkę i krzywdy; niecierpiała bowiem Jagny ni Antka, ale jeszcze barzej starego, jak zresztą wszystkich bogaczy we wsi, że mają wszystko a jej niedostaje nawet tego kąta, gdzieby mogła głowę schronić, i tej łyżki warzy! Zarówno jednak nienawidziła biednych i jeszcze barzej prześmiewała.

Prosto dyabelska kuma, abo i co gorszego, jak o niej powiadali.

— Wezmą się za łby i pozagryzają jak te wściekłe psy — myślała często, wielce rada ze swojej roboty, że zaś zimą nie było wiele co robić, to łąziła po chałupach z kądzielą, podsłuchiwała, a judziła jednych na drugich, prześmiewając

ze wszystkich zarówno, nie śmieli drzwi zamykać przed nią, obawiając się jej ozora, a głównie tego, że pono złe oczy miała... zazierała i do Antków, ale najczęściej spotykała się z nim, gdy z roboty powracał i wtedy to mu w uszy kładła nowiny od Jagny.

Jakoś we dwie niedziele po bytności księdza u Borynów, przydybała go koło stawu.

— Wiesz, stary sielnie powstawał na ciebie przed księdzem.

— O cóż to znowu czekał? — pytał nie-dbale.

— Że ludzi podmawiasz na dwór, że trzebaby cię oddać strażnikom, i jeszcze drugie...

— Niech popróbuj! Nimby mnie wzięli, takiegobym mu na dach puścił koguta, że kamień na kamieniuby nie ostał! — zawołał namiętnie.

Poleciała zaraz z tą nowiną do starego, myślał długo i powiedział cicho:

— Podobne to do niego, taki zbój, podobne.

I więcej nie rzekł, nie chciał się z babą zadawać w poufałości, ale skoro Rocho przyszedł wieczorem, zwierzył się przed nim.

— Nie wierzcie wszystkiemu co Jagustynka przynosi, zła to kobieta!

— Może to i nieprawda, ale bywały podobne przypadki. Przecież stary Pryczek, spalił swojego szwagra, że go skrzywdził przy działach, siedział za to w kreminalu, ale spalił. To i Antek może to

zrobić, musiał coś napomknąć o tem, całkiem nie stworzyłaby sobie.

A Rocho, że to dobry był człowiek, wielce się tem strapił i jął namawiać.

— Pogódźcie się, odpuśćcie mu co gruntu, przecież i on żyć musi, usatkuje się prędzej, a nie będzie już powodów do kłótni i odgrazań...

— Nie, żebym miał zmarnieć, żebym miał z torbami iść — pójdę, a pókim żyw nie dam i tego zagona. Że mnie pobił i sponiewierał jak psa, darowałbym choć ciężko i trudno — ale jeśli on i co innego zamierzał...

— Napletli wam a wy to do serca bierzecie!...

— Juści, nie prawda to jest, juści... ale żeby się to mogło stać... aże mnie rozum odchodzi i zimno w kościach przewierca... kiej pomyślę, że mogłoby się to stać...

Zacisnął pięście i skamieniał ze zgrozy samego przypuszczenia możliwości onej. Nic nie wiedział, nie myślał nigdy o tem, był nawet pewnym w głębi Jagusinej niewinności, ale poczuł, że w tej synowskiej nienawiści do niego, musi być cosik więcej, niżli gniewy i żale o grunt, że ta zapamiętałość, którą wtedy uwiidział w jego oczach, z innego źródłiska bije, czuł to dobrze — i w tej właśnie chwili, poczuł sam w trzewiach taką samą nienawiść zimną, mściwą i nieubłaganą, zwrócił się do Rocha i cicho powiedział:

— Za ciasno dla nas obydwóch w Lipcach!

— Co wam znowu przychodzi do głowy, co? — krzyknął wystraszony.

— I niechaj Bóg broni, by mi wlaźł kiedy w pazury przy takiej okazji..

Uspokajał go Rocho, tłumaczył, ale nic nie wskórał.

— Spali mnie, zobaczycie!

I od tej chwili, mało już kiedy zaznał spokoju. O każdym zmierzchu stróżował niepostrzeżenie, czał się za węglami, obchodził dom i budynki, zaglądał pod strzechy, a w nocy się często budził, godzinami całemi nasłuchiwał i z najmniejszym traskiem, zrywał się z łóżka i z psem obiegał wszystkie kąty. Dopatrzył raz pod brogiem jakieś wydeptane, nawpół zawiane ślady, dopatrzył później i przy przełazie i jeszcze lepiej się utwierdził w pewności, że to Antek podchodzi nocami i wypatruje jeno sposobności podpalenia; co innego nie przychodziło mu jeszcze na myśl.

Kupił od młynarza wielce srogięgo psa i zrobił mu budę pod szopą, a jątrzył ciągiem, mało jeść dawał, podszczuwał, że nocami pies latał i użerał jak wściekły, a rzucał się na każdego, że niejednego dobrze skaleczył, aż skargi z tego powstały.

Ale przy tych ostrożnościach i pilnowaniach, stary mizerniał i tak chudł, że pas do pół bieder opadał, poczerniał, przygarbił się, nogami za sobą ciągał i na wiór się zesychał z tych utajonych myślników i turbacyi, że mu ino oczy gorzały kiej w chorobie.

Że zaś nikogo bliżej nie dopuszczał i zwierzać się a wyżalać nie miał przed kim, to go i barzej piekły te ognie i przepalały.

Nikt też się nie dorozumiewał, co mu ta we wąpiach siedzi a podgryza.

Baczył więcej na dobytek, sprawił złego psa, czuwał nocami, rozumieli bez to, że wilki się ano nad podziw rozmnożyły tej zimy, i mało której nocy nie podbierały się stadami pod wieś, nieraz słyhać było ich wycia, i często też się podkopywały do obór, i gdzie niegdzie coś uskubnęły. A przytem, jak to zawdy pod wiosnę i o złodziejach chodziły słuchy coraz częstsze; wzięli podobno chłopu z Dębicy parę kłaczy, wzięli w Rudce wieprza, to znowu krowę gdzieindziej — i jak kamień we wodę, ni znaku po nich! — to i niejeden w Lipcach w łeb się skrobał, opatrywał zamki i stajni strzegł, że to najlepsze mieli konie na okolicę.

I tak szedł czas wolno i równo, jak te godziny na zegarze, ani go wyprzedzić, ni wstrzymać!

Zima wciąż była sroga choć zmienna jak rzadko; bywały takie mrozy, jakich i najstarsi nie pamiętali, to śniegi spadały ogromne, to znowu były całe tygodnie odwilgi, że woda stała po rowach, a gdzie niegdzie i zagony czerniały, to przychodziły takie wiejby, takie kurzawy, że światła nie dojrzał, a po nich zaś, bywały dnie spokojne, ciche i tak słońce przygrzewało, że drogi roły się od dzieci, wywierano drzwi, ludzi ogarniała radość, a starzy się pod ścianami wygrzewali.

Zaś w Lipcach szło swoim odwiecznym porządkiem, komu śmierć była naznaczona — umierał, komu radość — weselił się, komu bieda — wyrzekał, komu choroba — spowiadał się i czekał końca — i pchało się jakoś z Bożą pomocą, z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, bych się ino zwiesny doczekać, abo tego, co komu przeznaczone.

Tymczasowie zaś, co niedziela grzmiała muzyka w karczmie, hulano, pito, czasem się wadzono, czasem za łby brano, aż ksiądz potem karccił z ambony, no i długie szły sprawy. Odbyło się wesele Kłębianki, trzy dni się zabawiali a tak hucznie, że powiadali, jako Kłąb dopożyczył pięćdziesiąt rubli od organisty na to wesele. Sołtys też wyprawił niezgorsze z mówiny córce z Płoszką. Gdzie znowu chrzciny się odbyły, ale z rzadka, nie pora jeszcze była, wiele bowiem kobiet spodziewało się dopiero na zwiesne.

Staremu Pryczkowi też się zmarło jakoś w tym czasie, tydzień ledwie chorzał, a miał chudziaczek dopiero na sześćdziesiąty i czwarty — cała wieś poszła na pogrzeb, bo dzieci stypę wyprawiali galantą...

Gdzie zaś zbierano się wieczorami na oprzęd, tam nachodziło się tyła dzieuch i parobków, że robiła się taka zabawa, śmiechy, radość — aż miło, bo to i Mateusz wyzdrowiawszy całkiem, przewodził młodzi i najbarzej dokazywał.

A te pogwary ciągle, obmowy, kwasy, kłótnie,

sąsiedzkie swary, nowinki — wieś się od nich trzęsła. A czasem trafił się dziad jaki bywały, to opowiadał różności o świecie i tygodniami we wsi siedział.

Czasem znów list przyszedł od którego chłopaka z wojska, co to było czytań, narad, opowiadań, wzdychów dzieuszyń a matczynych płaczów, że i na całe tygodnie starczyło!

A insze rzeczy! a to Magda poszła w służbę do karczmy, to pies Borynów pogryzł Walkowego chłopaka, że precesem się odgrażali, to krowa Jędrzejom udławiła się ziemniakiem, że dorzynać ją musiał Jambroży, to Grzela pożyczył sto pięćdziesiąt rubli od młynarza i dał w zastaw łąkę, to kował kupił parę koni, że dziwowano się temu wielce i mocno nad tem deliberowano, to dobrodziej chorował przez cały tydzień, aż ksiądz z Tymowa przyjeżdżał go zastępować — a to o złodziejach mówiono, o strachach różnych baby pletły, o wilkach też często, bo pono wydusiły owce we dworze, o gospodarstwie, o świecie, ludziach, a te insze rzeczy, że ni spamiętać, ni opowiedzieć któż poredzi! a tak ciągiem coś nowego, że wszystkim starczyło i na dnie i na długie wieczory, że to czasu zimową porą nikomu nie brakowało.

Tem samem zabawiali się i u Borynów, jeno z tą odmianą, że stary kamieniem siedział w domu i na żadne zabawy nie chodził a i kobietom też iść nie pozwalał, że już desperacya brała Jagusię, a Józka całe dnie mamrotała ze złości, bo się jej

dziwnie matyjasilo w chałupie siedzieć, tyła bywało całej uciechy, że nie wzbraniał chodzić z kądzielą, ale do tych jeno chałup, gdzie się same starsze kobiety zbierały.

Więc też przeważnie siedzieli wieczorami w domu.

Jednego wieczora jakoś już pod koniec lutego, zeszło się parę osób i siedzieli po drugiej stronie, bo tam tkala płótno Dominikowa przy lampce, a reszta z powodu tęgiego ziębu kupiła się przed kominem. Jagusia z Nastką przędły aż wrzeczona warczały, kolacya się dogotowywała, Józka kręciła się po izbie, a stary pykał z fajki w komin i coś sobie myślał głęboko, bo prawie się nieodzywał. — Przykrzyła się wszystkim ta cichość — bo ino ogień trzaskał, świerszcz skrzypiał z kąta, warstat hukał od czasu do czasu, a nikt jakoś się nieodzywał, więc Nastka pierwsza zaczęła:

— Pójdziecie to jutro z kądzielą do Kłabów?

— Zapraszała Marysia dzisiaj.

— Rocho obiecali, że jutro tam z książki będą czytać historie o królach.

— Poszłabym, ale nie wiem jeszcze... — spojrziała pytająco na starego.

— To i ja pójdę tatulu... — prosiła Józka.

Nie odpowiedział, bo pies mocno przyszczekiwał na ganku i zaraz wsunął się nieśmiało Jasiek, Przewrotnym nazywany z prześmiewiska.

— Zawieraj drzwi gapo, bo tu nie obora! — wrzasnęła Dominikowa.

— Nie bój-że się, nie zjedzą cię, czegoż się rozglądasz? — pytała Jagna.

— A bo... bociek musiał się kajś przytaić i jeszcze mie kujnie... — jąkał się, wystraszonemi oczami wodząc po kątach.

— Oho, boćka gospodarz wydali dobrodziejowi, nic ci już nie zrobi! — mruknął Witek.

— A bo i nie wiem po co go było trzymać, jeno ludzi krzywdził!

— Siadaj, nie marudź! — nakazała mu Nastka, wskazując miejsce w podłę siebie.

— Hale, kogo to ukrzywdził, cheba jednych głupich, abo psów obcych! Chodził se jak ten dziedzic po stancyi, myszy łowił, wszystkim ustępował, a wydali go! — szepnął z wyrzutem chłopak.

— Cicho, cicho, obłaskawisz se na wiosnę drugiego, kiej ci żal za boćkami!

— A nie obłaskawię, bo i ten będzie jeszcze mój, niech się jeno ciepło zrobi, to już umyśliłem taki sposób na niego, że nie wytrzyma na plebanii a przyleci!

Jasiek koniecznie chciał się dowiedzieć tego sposobu, ale Witek burknął:

— Głupi! kury se macaj, myśli, że co lepszego poradzi. Kto ma rozum, to se swój sposób wynajdzie, a nie będzie brał od drugich!

Skrzyczała go Nastka, biorąc w obronę Jaśka, boć wielce stała o niego; głupawy on jużci był, wieś się z niego prześmiewała, niezgraba, ale je-

dynak na dziesięciu morgach, to dziewczyna tak sobie rachowała, że Szymek miał tylko pięć morgów i to niewiadomo, czy mu Dominikowa pozwoli się żenić, więc znarowiła chłopaka do siebie, iż ciągiem łaził za nią — a trzymała w odwodzie, na ten przypadek.

Siedział ano teraz przy niej, w oczy poglądał i rozmyślał, coby tu rzecz takiego, gdy wszedł wójt, bo się już był ze starym pogodził, a zaraz od proga zawołał:

— Powiestkę wam przyniosłem, macie się jawnąć na sądy jutro w południe.

— Do zjazdu o krowę?

— Tak tu i stoi, o krowę ze dworem!

— Rano trzeba wyjechać, bo do powiatu kawał drogi. Witek idź zaraz do Pietrka i naszykujcie co potrzeba, a ty pojedziesz na świadka. A Bartek uwiadomiony?

— Byłem dzisiaj w kancelaryi i la wszystkich przywiozłem powiestki, kupą całą pojedziecie, ale dwór winowaty, to niech płaci.

— A bogać tam nie winien, tylachna krowa!

— Chodźcie na drugą stronę, mam z wami pogadać! — szepnął wójt.

Prześli i siedzieli tak długo, że tam im kolację Józka podała.

Wójt go namawiał już nie po raz pierwszy, by się do nich przyłączył, z dworem nie zrywał, przewłóczył sprawę, czekał, z Kłębem i drugimi razem nie szedł i tym podobnie. Stary dotychczas

się wahał, kalkulował, nie odmawiał, ale na tę ni na drugą stronę się nie przechylał, bo był się mocno zagniewał, że go to wtedy dziedzic nie wezwał na naradę do młynarza.

Wójt zaś widząc, że nie poradzi, na ostatku już, na przynętę powiedział:

— Wiecie o tem, jako ja, młynarz i kowal, zrobiliśmy ugodę ze dworem, że sami we trzech zwozić będziemy drzewo na tartak, a potem deski do miasta.

— No juści, że wiem, dosyć się przecież napomstowali na was inni, że nikomu zarobić nie pozwalacie.

— Dużo ta o to stoję co pyskują, szkoda na to czasu, to wam zaś chce powiedzieć, cośmy we trzech uredzili — słuchajcie jeno, co powiem.

Stary ino łysnął ślepiami i rozważał jaki to będzie podstęp.

— Uradziłim przypuścić waju do spółki. Woźcie tyła co i my! sprzężaj macie dobry, parobek się jeno wałkoni a zarobek pewny, płacą od kubika. Nim się w polu roboty zaczną, jak nie zarobicie ze sto rubli.

— Kiedy zaczynacie zwózkę — rzekł po długim namyśle.

— A choćby od jutra zaczynać! Tną już na bliższych porębach, drogi też niezgorsze, to póki sanna siła można nawieść, mój parobek wyjeżdża we czwartek.

— Psia krótka, żebym to wiedział jak wypadnie ta moja sprawa o krowę.

— Przystańcie jeno do nas a dobrze wypadnie, już ja wójt to wama mówię...

Stary długo deliberował, spozierając pilnie na wójta, kredą se cosik na ławie pisał, po łbie skrobał aż i rzekł:

— Dobrze, wozit będę i sprzęgnę się z wami.

— Kiej tak, zajrzyjcie jutro po sądach do młynarza a poredzimy jeszcze, muszę już bieczyć, bo mi kował sanie podkuwa.

Odszedł wielce uradowany, myśląc, iż starego kupił tą zwózką i na swoją stronę przeciągnął.

Juści, młynarz mógł się z dworem godzić, grunty miał nie tabelowe i do lasu mu było nic; wójt też siedział na ziemiach poduchownych, kował toż samo, ale nie on, Boryna! Rachował sobie, że zwózka zwózką, sprawa zaś o las osobno; nim zgoda z dziedzicem nastanie, albo li do wojny przyjdzie, upłynie dość czasu... a co mu szkodzi tamtym przytwierdzać, głupiego udawać, z niemi trzymać, kiej i tak swojego nie daruje przy sposobie, a tymczasem dobrze zarobić te kilkadziesiąt rubli, konie i tak trza żywić i parobka płacić! — uśmiechał się do siebie, ręce zacierał a mruczał zadowolony.

— Głupie juchy jak te barany, myślą, że mnie wywiedły w pole kiej ciolaka, głupie.

Wrócił do kobiet wielce rozradowany, Jagusi w izbie nie było.

— Gdzież to Jagusia?

— Świniom ponieśli żarcie! — objaśniła Nastka.

Pogadywał wesoło, żartował z Jaśkiem, to z Dominikową, a coraz niespokojniej czekał na żonę, bo jakoś długo nie przychodziła, nic nie dał znać po sobie i wyszedł w podwórze. Chłopaki w stodole, na klepisku szykowali sanie na jutrzejszą jazdę, bo trza było na płozy włożyć półkoszki i umocować. Obejrzał, pogadał, zajrzał do koni, zajrzał do świń, to do obory — Jagny nigdzie nie było. Przystanął pod okapem w cieniu nieco i czekał. Noc była ciemna, wiatr się zrywał zimny i szumiął, wielkie, ciężkie chmury gnały po niebie stadami, śnieg pruszył chwilami.

Może w pacierz abo i dwa cień jakiś zamajaczył w przejściu od przełazu — stary się szybko wysunął, przyskoczył i szepnął ze wściekłością:

— Gdzieżeś to była, co?

Ale Jagna choć się wystraszyła zrazu, odrzekła urągliwie:

— Obaczcie, łącno za wiatrem traficie! — i poszła do chałupy.

Nic już o tem w domu nie zaczynał, a gdy się szykowali do spania, powiedział dobrotliwie i całkiem miętko, nie podnosząc oczów na Jagnę.

— Chcesz to jutro bieżyć do Kłębów?

— Kiej nie bronicie, to z Józką pójdziemy.

— Chcesz to cię nie wstrzymuję... ale do sądu

pojadę, dom zostanie na boskiej opatrności, lepiej
byś w chałupie ostała...

— A bo to nie wróćcie do zmroku?...

— Widzi mi się, że chyba dopiero późno
w noc... na śnieg się ma, daleko, nie pośpieszę...
ale kiej się napierasz, idź, nie wzbraniam...

IX.

Już od wczesnego rana miało się na kurzawę; dzień nastał chmurny, wietrzny i wielce swarliwy, śnieg pruszył drobny, suchy a ostry kiej kasza ledwie przetarta w żarnach, porówno zaś zrywał się coraz mocniejszy wiatr, hukliwy sielnie i kołujący niespodzianymi nawrotami, że jako ten pijanica, taczał się na wszystkie strony, skowyczał, przegwizdywał a śniegami niecił zapalczywie.

Nie bacząc jednak na pogodę, zaraz z pierwszego południa, Hanka ze starym Bylicą a z niemi jeszcze parę komornic, wybrali się po susz do lasu.

Czas był nieopowiedzianie przykry; wiatr tłukł się po polach, ciepłał drzewinami, hurkotał po wsi, o co trochę podrywał tumany śniegów, zakręcał z poświstem i wytrzepywał je nad światem kieby te chusty pełne białych a klujących paździerzy, że wszystko topiło się w nierozpoznanej mątwie i świstach.

Zaraz za wsią poszli gęsiego przywianemi miedzami, ku borom ledwie czubami widnym w kurzawie a jeszcze dalekim.

Wiatr wzmagał się jeszcze, bił ze wszystkich stron, tańczył, kręcił i tak w nich siepał, że ledwie mogli się utrzymać na nogach, przyginali się ino barzej ku ziemi, a on zabiegał z przodu, darł suchy śnieg pomieszany z piaskiem i prażył w twarze aż oczy trza było przysłaniać.

Szli w milczeniu, jako że wiatr zatykał i rwał słowa, a postępując nieco i ręce rozcierając śniegiem, bo ziąb był przenikliwy i na wskrós lichą przyrodziewę przejmował i zaspę się czyniły od kamionek, to od drzew i groblami zastępowały, że każdą trza było wymijać, nakładając niemało drogi.

Hanka szła na przedzie, często się obzierając za ojcem, któren skulony, z okręconą w zapaskę głową, w starym kożuchu Antkowym, przepasany powrośtem, włókł się na końcu, ledwie się poruchając pod wiatr, zatykało go ciągiem, przystawać musiał co trochę by wytchnąć i obetrzeć załzawione od wiatru oczy, potem zaś w dyrdy śpieszył cicho pojękując:

— Idę Hanuś, idę... Nie bój się nie ostanę!

Juści, wołałby pozostać na przypiecku, wołał, ale cóż, kiej ona biedaczka szła, śmiałby to ostać! a i w chałupie ziąb nie do wstrzymania, dzieci skwierczą z zimna, warzy już nie było przyczem zrobić, że jeno suchego chleba pojedli... a tu zimny wiaterek tak przebiera po kościach, kieby tymi lodowymi palicami... przemyśliwał, dyrdając za nimi.

Pewnie, że kiedy mus ułapi za łeb, nie wyślizgniesz się człowieku, nie.

To Hanusia jeno zasiekała zęby i szła ano po drzewo razem z komornicami. Prawda, na to już zeszło, że w parze z Filipką, z Krakaliną, ze starą Kobusową i Magdą Kozłową, z temi największemi biedotami w jeden rząd, razem.

Wzdychała jeno ciężko, zaciągała zęby, a szła i to nie poraz pierwszy, nie.

— A niechta! A niechta! — szeptała twardo moc w sobie wzbierając i cierpliwość.

Trzeba, to chodzi po drzewo, dyguje na plecach, w jeden rząd z dziadówkami jak Filipka stawia, a płakać nie będzie, ni żalić się nie będzie, ni o poratunek zabiegać.

Gdzie to i pójdzie? Dadzą chyba, ale to jakie słowo litościwe, od którego dziw krew nie tryśnie z serca... Pan Jezus ją doświadcza, krzyże zsyła, to może kiedyś i wynagrodzi... A niechta, przetrzyma wszystko, nie pomarnuje się z dziećmi i rąk nie opuści, a na politowanie ludzkie ni pośmiewisko się nie da!

Wycierpiała się ona ostatnimi czasy tyła, że każda kosteczka trzęsła się w niej i łamała z osobna z tego bolenia — wycierpiała!

Nie to, że bieda i poniewierka, że często głód iż ledwie dzieciom starczyło, nie, że Antek w karczmie przepijał z kamratami, o dom nie stał a kiej ten pies zwleczony chyłkiem się do chałupy wsuwa i na jakiegobądź słowo napomknienia za kij chwyta — bywa to bowiem nierzadko i gdzieindziej, możnaby odpuścić; ot przyszła na niego taka zła godzina,

to aby jeno cierpliwie przeczekać, przejść jeszcze może. — Ale tego przeniewierstwa nie mogła mu zapomnieć, przeboleć i darować!

Nie, nie poredziła. Jakto, ma żonę i dzieci, a o wszystkim zapominała tamtej... To ją kieby rozpalonemi obcęgami ścisnęło za serce, przegryzało na wskrós i rozrastało się w niej piękną, nieustępliwą pamięcią.

— Za Jagną lata, ją miłuje, przez nią to wszystko!

Zdało się jej, że zły idzie pobok a wciąż szepta do ucha te straszne przypominki, nie uciec od nich ni zapomnieć, nie! Ból poniewierki dusznej, poniżenia, wstyd, zazdrość, pomsta i te wszystkie jędze nieszczęścia, wsadzały kolczate łby do jej serca i tak szarpały, że choćby krzyczeć w niebogłosy a łbem tłuc o ścianę!

— Zmiłuj się Panie, pofolguj Jezu! — jęczała w sobie, podnosząc rozpalone, nigdy nie wysychającemi łzami oczy, ku niebu.

Zaczęła przyspieszać kroku, bo tak wiało na tych podleśnych wyżniach, że już nie mogła wytrzymać z zimna; baby zaś ostawały nieco i szły wolno, kiej te czerwone kłęby ledwie widne w kurzawie, a bór już był niedaleko, gdy tumany opadały na chwilę, wyrastał nagle z bielizny ogromną, ciemną ścianą pni zwartych, przez które mrozczały ciche lodowate głębie.

— Chodźcie prędzej, w lesie będzieta odpoczywały! — nawoływała niecierpliwie.

Ale kobietom się nie spieszyło, odpoczywały często, przykucając na śniegu, głowami od wiatru kiej to stado kuropatew i rajcowały z cicha, zaś na jej wołania, Filipka mruknęła niechętnie.

— Hanka gania jak ten pies za wroną i myśli, że rychlej co złapie.

— Na co to jej zeszło chudziaczce — szepnęła współczująco Krakalina.

— Nawygrzewała się dosyć w Borynowej chałupie, najadła tłusto, nasmakowała dobrości, to może teraz i biedy popróbować. Człowiek całe życie przymiera głodem, haruje jak wół, a nikt nawet nie polituje.

— A przódzi to nas nawet nie pozdrawiała...

— Mościemy, chleb daje rogi, a głód nogi, powiedają.

— Chciałam kiejś pożyczyć terlicy, powiedziała, że ma ją siebie.

— Prawda, że ona ta otwartej ręki ją ludzi nie miała, wynosiła się nad drugie, jak wszystkie Boryny, ale szkoda kobiety, szkoda.

— Po sprawiedliwości, ale ten Antek łajdus, no.

— Juści, że łajdus, juści. Ale i to wiadomo, że kiej suczka nie chce, pies nie weźmie, każdy chłop poleci jak go kiecką przywabią.

— Gdyby na mnie padło, na środku drogi zdarłabym Jagnę za łeb, a wyzwała, a skłeła, a kudłów naczesała, żeby całe życie pamiętała.

— Przyjdzie i do tego, jeśli czemś gorszem się nie skończy!

— To już takie Paczesiowe nasienie, a Dominikowa nie insza była, nie.

— Chodźma; wiatery nisko podbiera to na noc może ustać.

Dowlekli się wnet do lasu i porozchodzili a blisko, by móż się skrzyknąć łącno do powrotu.

Mrok ich ogarnął i pochłonał całkiem, że ledwie gdzie niegdzie, ślad jaki ostał.

Bór był stary, ogromny, wyniosły; sosna stała przy sośnie nieprzeliczoną ciżbą, gęstwą nieprzebraną a tak śmignęła, prostą i mocarną, że widziały się kiej te wielgaczone słupy z opleśniałej miedzi, majaczące w mroku szaro-zielonych sklepień nieprzejrzany mi rzędami — posępne, lodowe brzaski były z dołu od śniegów, zaś w górze, przez strzępiaste konary niby wskrósł zdiurawionych strzech, świeciło niebo białawe i mętne.

Wichura przewalała się górą, że czasami cichość się czyniła jakby w kościele, kiedy to z nagłą organy zmilkną i śpiewy ustaną — a jeno szemrzą wzdychy ostatnie, tupoty, pogasłe brzmienia pacierzów i te przytające, konające nuty — bór stawał wtedy nieruchomy, onie miały, jakby wsłuchany w grzmotliwą wrzawę, w ten dziki krzyk pól trawianych, co rwał się g dziesik ze świata i niósł wysoko, daleko, że tylko jęikliwym świegotem drgał po lesie.

Wnet jednak wichery uderzał w bór całą mocą, wszystkiemi kłami trzaskał o pnie, wżerał się w lute

głębią, porykiwał w mrokach, targał olbrzymami, ale na darmo, nie przemógł, bo wyzbyty z sił, opadał, głuchnął i marł ze skowitem w gęstych, przyziemnych krzaczach — a las ani drgnął, ni jedna gałąź nie trzasnęła, ni jeden pień się zakołysał, ciachość była jeszcze głębsza i bardziej przerażająca, że tylko ptak jaki niekiedy załopotał wskrós mroków.

A czasami znowu wichura spadała tak nagle, niespodzianie i potężnie, jak ten jastrząb spada zgłodniały, tak łomotała skrzydłami, rwała wierzchoły, gnioła i rozwalala wszystko ze wściekłym rykiem — aż bór drgał jakby przebudzony, otrząsał się z martwoty, chwiał z końca w koniec, drzewa kolebały się od drzew, pomruk leciał groźny, przyduszony i z nagła bór się prostował, podnosił, szedł jakby, przyginał ciężko i uderzał ze strasznym krzykiem, a bił już jak ten mocarz oślepy gniewem i pomstą, że wrzask się zrywał, bój napelniał las, strach padał na wszelkie stworzenia przyczajone w podszyciach, a oszalałe z trwogi ptactwo, tłukło się wśród śniegów lejących się wzburzonemi strugami i wśród podruzgotanych gałęzi i wierzchołów.

A potem nastawały, długie zgoła martwe cisze, w których słyszeć było wyraźnie jakieś dalekie, ciężkie łomoty.

— Las rąbią przy Wilczych dołach, gęsto się wali — szepnął stary, nasłuchując nad ziemią głuchych drgań.

— Nie marudźcie, do nocy siedzieć nie będziemy.

Zaszyli się w wysoki, młody zagajnik, w taki gąszcz splecionych i zwartych ze sobą gałęzi, że ledwie się mogli przeciskać do środka, cisza ich otoczyła grobowa, żaden głos się już tam nie przedzierał, nawet światło jeno z trudem sączyło się przez grubą pokrywę śniegów, wiszącą na czubach niby dach. Ziemista, spopieliała szarość zapępiała głębię, śniegu prawie nie było na ziemi, a tylko opadły z dawna, zwietrzały susz zaścierał miejscami po kolana, kajś niekajś zieleniły się półka mchów, to jakby przytające przed zimą żółkle jagodziny albo muchar zaschnięty.

Hanka obłamywała kulką co grubsze gałęzie, przycinała je do jednego wymiaru, układając w rozpostartą płachtę, a robiła tak zapalczywie, aż chustkę zrzuciła z gorąca i może w jaką godzinę narychtowała takie brzemiono drewek, iż ledwie mogła je sobie zadać, stary też narządził pęk niezgorszy, obwiązał sznurem i włókł go, rozglądając się za niem, by z niego łacniej wziąć na plecy.

Hukali na kobiety, ale w dużym lesie znowu się srożyła wichura, to się i nie skrzyknęli.

— Hanuś, do topolowej nam się przebrać, lepiej będzie, niżli przez pola.

— To chodźmy, pilnujcie się mnie i daleko nie ostajcie.

Wzięli się zaraz z miejsca na lewo, przez kawał starej dębiny, ale ciężko było, śnieg leżał po

kolana, to gurbił się miejscami w zagony, bo drzewa stały rzadko i bez liści, tyle, że gdzie niegdzie wśród rozłożystych potężnych konarów trzęsły się siwe brody, tu i owdzie jaki młody dąbek pokryty zrudziałymi kudłami przyginał się do ziemi ze świstem. Wiatr dał z całej mocy i tak kurzył śniegami, że iść było nie podobna, stary się wnet zmęczył i ustał, a i Hance sił brakowało, to jeno wspierała się brzemieniem o drzewa, wystrachanemi oczami szukając lepszej drogi.

— Nie przejdziemy tędy, a za dębiną mokradła, nawróćmy do pól.

Jakoż nawrócili w duży i zwarty las sosnowy gdzie ciszej było nieco i śniegi nie zalegały tak wysoko, a pokrótce wyszli na pola — ale tam szły takie zakurki, że światła nie rozpoznał nawet na to śmignięcie kamieniem, nic, jeno biała, rozklebiona, przewalająca się ćma. Wicher zaś wciąż parł ku borowi, odbijał się kiej od ściany, przewalał w znak na pola, ale wstawał niezmożony, zgarniał całe góry śniegów i niby tą białą chmurą prał w drzewa aż jęk leciał po lesie, a tak mącił, zakręcał i bił, że ledwie weszli na zagony, starego ciepnał o ziemię aż dźwigać go musiała, sama ledwie mogąc się utrzymać na nogach.

Wrócili do boru i przykucnąwszy za pniami medytowali którądy pójść, bo całkiem już nie wiada było w jaką stronę się obrócić.

— Tą dróżką na lewo, a wyjdziemy niechybnie do topolowej, przy krzyżu.

— Kiej całkiem nie baczę tej dróżki.

Tłumaczył długo, bo się bała puścić na nie pewne.

— A miarkujecie aby, w jaką stronę się wziąć?

— Od lewej ręki widzi mi się.

Powlekli się wzdłuż lasu, pobrzeżem, skrywając się nieco od naporu wichury.

— Chodźcie prędzej, nocy tylko co patrzeć.

— Jenó tego powietrza złapię i letę Hanuś, letę...

Juści, nie letko się im było przebierać, dróżkę całkiem zasypało, a do tego z boku, od pól, wciąż grzmocił wicher i ciepła śnieżycą, próżno się chronili za drzewa, to przywierali jak te zajączki pod jałowcami, wszędzie przewiewało do kości, za głębią straszno było iść, drzewa szumiały dziko, cały las się kolebał i prawie ziemię zamiatał konarami, gałęzie siekły po twarzach, to czasami z takim trzaskiem padały chojary, iż się wydawało jako cały bór runie zdruzgotany.

Biegli też co ino sił i tchu starczyło, aby rychlej dopaść drogi i zdążyć przed nocą, która mogła spaść leda chwila, bo już szarzało nieco na polach, i wskrós skołtunionych śniegów, przewijały się ślepe smugi, kieby te dymy jeszcze nikłe.

Dorwali się wreszcie drogi i padli pod krzyżem, ledwie żywi z utrudzenia.

Krzyż stał na kraju lasu, tuż przy drodze, broniły go od boru cztery ogromne brzozy w białych głązach, z obwisłymi niby warkocze gałęziami,

na czarnem drzewie był rozkrzyżowany Chrystus z blachy, pomalowanej w takie kolory, że jak żywy się widział, śnać wiatr oderwał go, bo wisiał tylko na jednej ręce, trząsał sobą o drzewo i skrzypiał zadrzewiałym głosem, jakby litości prosił i poratunku. Brzozy targane wichurą okrywały go cięgiem sobą, trzęsły się, przyginały, a śniegowe tumany zasypywały kurzawą, że stał cały w mgłach, przez które migotało Jezusowe sine ciało i jego blada okrwawiona twarz, wychylała się raz po raz z bielisz, aż się luto robiło na sercu.

— Stary spoglądał nań z przerażeniem, żegnał się, ale nie śmiał się odezwać, bo Hanka miała twarz srogą, zaciętą, nierozpoznaną, jak ta noc, co już szła przyczajona wskrós wichrów, śniegów, tumanów — wskrós świata.

Zdawała się nic nie widzieć i na nic nie baczyć, siedziała zatopiona w mrocznych myśleniach, a wciąż o jednym: o Antkowem przeniewierstwie; tuman się w niej kłębił pełen okrwawionych wzdychów jako to Jezusowe ciało na krzyżu, pełen zakrzepłych w lód a palących łez, pełen żywych, a zapiekłych w boleści głosów.

— Wstydu niema, Boga się nie boi, toć jakby z rodzoną matką się sprzągł! Jezus! Jezus!

Zgrozą ją poderwała kieby huragan, strach nią zatrzęsł, a potem zawrzała gniewem tak dzikim i mściwym, jak ten bór, co się był przygiął naraz i rzucił rozsrożony na wichurę.

— Chodźmy prędzej, chodźmy! — wołała, za-

rzucając brzemień i przygięta pod ciężarem, weszła na drogę, nie oglądając się za starym, poganiała ją niezmierzona, zawzięta złość.

— Zapłacę ci za wszystko, zapłacę! — skowyczała dziko, kiej te topole nagie, rozkrzyczane, zmagające się z wichurą.

— Dosyć już tego, a to i kamień jużby się rozpękł, gdyby go robak taki przewiercał! Antek chce to niech przepada, niech w karczmie przesieduje, ale swojej krzywdy nie daruję, nie, zapłacę jej za wszystko! Zgniję za to w kreminalu, to zgniję, ale jużby sprawiedliwości na świecie nie było, żeby taka spokojnie chodziła po świętej ziemi... — przemyśliwała srogo, ale zwolna przygasały w niej złości i bładły kiej te kwiaty na mrozie, bo sił zaczynało brakować, ciężar ją przygniatał, sęki wpijały się w plecy i chociaż przez zapaskę i kaftan a wgniatały się w żywe mięso, ramiona ją strasznie bolały, a zaś ten węzeł płachty zakręcony w kij, wrzynał się w gardziel i dusił, szła coraz wolniej i ciężiej.

Droga była kopna, zawałona zaspami i otwarta na przestrzał la wiatrów, że topole z obu stron ledwie były widne w kurzawie, stały chwiejnym, nieskończonym szeregiem, szumiały rozpacznie, targając się kiej te ptaki poplątane we wnykach, bijące na oślep skrzydłami, rozkrzyczane. Wicher jakby już tracił na mocy, przycichał górą, ale natomiast coraz wścieklej tarzał się na polach, z obu stron drogi, na równiach, w poszarzałych i mętnych

dałach, kotłowała wciąż zawieja, tysiące wirów zawodziło dyabelski tan, tysiące kłębów zrywało się z ziemi, toczyło, narastało kieby te wielgachne białe wrzeciona furkoczące, tysiące kup ogromnych, stogów powichrzonych, grobel szło po polach, ruchało się, kłębiło, w oczach rośło, podnosiło w górę, sięgało zda się z nieba, przysłaniało świat i pękało ze świstem i wrzawą. Jakby tym kotłem gotującym się, przepełnionym białym wrzątkiem, rozkipionym, okrytym osiedzielizną i parami lodowemi, widziała się cała ziemia. A zewsząd, wraz z nocą szło tysiące głosów, podnosiły się z ziemi, syczały górą, grzmiały wszędzie, jakieś poświsty kieby batami siekły naokół, to grania nierozeznane drgały nad ziemią, to szumy borów huczały niby ta organowa muzyka w czas podniesienia, to jakieś krzyki, długie, żałosne rozdzierały powietrze, jakby krzyków ptaków zbłąkanych, jakieś skowyczące, straszne łkania, to cichoty, to te ostre, suche poświsty topoli, kołyszących się w mętnych, białawych kurzawach, niby straszne majaki z powyciąganemi ku niebu ramionami!

Nic nie rozeznał i na krok jeden, że Hanka omackiem prawie się wlekła, od topoli do topoli, odpoczywała często, z przerażeniem nasłuchując tych głosów.

Pod jakąś topolą czerniał przyczajony zajączek, któren na jej widok rymnął w zawieję, że go porwała jakby w pazury aż bek się rozległ bolesny w kurzawie. Patrzała za nim z politowa-

niem, bo już ruchać się nie mogła, przyginała się coraz niżej i ledwie nogi potrafiła wyciągać ze śniegu, tak ją przygniatało to brzemie, iż zdawało się jej chwilami jako dźwiga na sobie zimę, śniegi, wichry, cały świat zgoła, i, że zawsze tak szła śmiertelnie wyczerpana, lewie żywa z utrudzenia, z okrwawioną przesmutną duszą w sobie, i zawsze do końca świata tak wlec się będzie, zawsze. Strasznie się jej dłużyło, droga jakby nie miała końca, a ciężar tak przygniatał, iż coraz częściej przywierała pod drzewami i coraz dłużej siedziała omroczona, na pół przytomna, chłodziła śniegiem rozpaloną twarz, przecierała oczy, trzeźwiła się jak mogła, a wciąż jakby zapadała na samo dno tej rozkrzyczanej, lutej rozwiei żywiołów. Jeno popłakiwała żałośnie, łązy same się łąły, tryskając z tych najgłębszych, utajonych smutków człowieczych, z samego dna serca rozdartego, z tego skrzybotu ginących bez ratunku; czasem zaś, ale rzadko, bo zapominała o wszystkim, modliła się, szentowała pacierze jęklwym głosem, ćwierkała je w sobie porwanemi słowy, kiej ten ptaszek marznący, którego tylko kiejś niekiedy zatrzepie skrzydłem, a że już mocy nijakiej nie ma, to przysiada, tuli się, piuka i wraz zapada w coraz głębszą senność!

Drgała naraz, porywając się z miejsca wystraszona, zdało się jej bowiem, iż słyszy jakieś płakania i przyzywy dziecińskie, jakby to jej Pietruś wołał!...

I biegła znowu całą mocą, potykała się o zwały, plątała w zaspach a szła gnana trwogą o dzieci, która wstała w niej z nagłą i kieby biczem popędzała, że już nie czuła zmęczenia ni zimna.

Z wiatrem dobiegło ją jakieś dzwonienie, brzęk orczyków i głosy ludzkie, ale tak rozpadłe, że choć przystanęła, nasłuchując, nie zebrała ni słowa, ktoś jednak jechał za nią i był coraz bliżej aż się wyłoniły z kurzawy łby końskie.

— Ojcowie! — szepnęła, dojrawszy białą łysicę żrebicy i ruszyła nie czekając.

Nie omyliła się, Boryna to powracał ze sądów z Witkiem i Jambrożym; jechali zwolna, gdyż przez zasy ledwie się było można przekopać a nawet w gorszych miejscach musieli konie przeprowadzać za uzdy; śnać byli niezgorzej napici, bo rajcowali z prześmiechami głośnymi a Jambroży często podśpiewywał po swojemu, nie bacząc na zamieć.

Hanka ustąpiła z drogi, naciągając chustkę barzej na oczy, ale mimo to, stary przy wymijaniu poznał ją zaraz z pierwszego rzutu i przyłożył koniom po bacie, by prędzej przejechać, szkapy poderwały się z miejsca i wnet utknęły w nowej zaspie; wtedy obejrzał się i wstrzymał konie, a gdy się wyłoniła z kurzawy i zrównała z saniami, powiedział:

— Zwał drzewo w półkoszki, przysiadź, podwiezę cię.

Tak była nawykła do ojcowych przykazów, że spełniła wszystko bez wahania.

— Bylicę zabrali Bartek, siedział ano pod drzewem i płakał, jadą za nami.

Nie odrzekła zapatrzona ponuro, w mątwę nocy i kurzawy, jaka się srożyła dookoła, siedziała skulona na przednim siedzeniu, dygocząc z utrudzenia i nie mogąc jeszcze myśli pozbierać, a stary przyglądał się jej długo i uważnie. Zmizerowana była, że aż litość brała patrzeć na jej twarz wychudzoną, siną, poodmrażaną, oczy miała zapuchłe od płaczów a usta zacięte boleśnie, trzęsła się cała z umęczenia i zimna, próżno obtulając w podartą chuścinę.

— Powinnaś się ochraniać, w takim stanie nie trudno o chorobę...

— A któż to za mnie zrobi! — szepnęła cicho.

— Na taki czas wybierać się do boru!

— Drzewa zbrakło, warzy nie było przy czym zgotować...

— Chłopaki zdrowe?

— Pietruś chorzał bez parę niedziel, ale już tak całkiem wydobrzał, że teraz dwa razy tyleby jadł — odpowiadała śmiało, budząc się z odrętwienia, odstąpiła z twarzy chustę, spozierając mu prosto w oczy bez dawnego lęku i zestrachanej pokorności, stary zaś wciąż zagadywał i pytał a zdumiewał się wielce nad jej przemianą, nie mógł się bowiem doszukać dawnej Hanki. Dziwny, mrożący spokój bił od niej, a jakaś moc skamieniała, nie

ustępliwa widniała w jej zaciętych wargach. Nie przerażała ją jak dawniej, mówiła niby z równym a obcym o różnych rzeczach, nie skarżąc się ani słówkiem, nie żaląc... Odpowiadała prosto, do składu a głosem dziwnie surowym, przecierpianym i przez to jakby stężałym w chropawą grudę utajonych boleń, jeno w oczach niebieskich, wypłakanych, tliło się ostre zarzewie czującej mocno duszy.

— Odmieniłeś się widzę.

— Bieda łącniej przekuwa człowieka, niżli kowal żelazo.

Zdumiał się nad odpowiedzią, że nie wiedział co na to rzec, więc zwrócił się do Jambroża mówić o sprawie ze dworem, którą wbrew zapewnieniom wójta, przegrał i jeszcze koszta musiał zapłacić.

— Odbierę se com stracił, odbierę... — mówił spokojnie.

— Trudno to będzie, dwór ma długie ręce i wszędzie poradzi się zastawić.

— I na zastawę jest sposób, na wszystko jest sposób, by ino cierpliwość mieć i poczekać na porę.

— Wasza prawda Macieju, ale też ziąb, no, wartałoby do karczmy na rozgrzewkę wstąpić.

— Wstąpimy, ma być kwaśno, niech będzie kiej ocet. Ale powiedam wam, że ino kowal musi kuć żelazo póki gorąc trzyma, człowiek jeśli chce co wygrać, na zimno musi kuć dolę a w cierpliwości hartować.

Dojeżdżali do wsi, mrok się już był zrobił gęsty i wichura przechodziła, kurzyło jeszcze galanto, po drodze, że domów nie rozpoznał, ale zwolna przycichało na świecie.

Na wprost dróżki do chałupy, stary wstrzymał konie i gdy wysiadła pomagał jej wziąć brzemień na plecy, a wreszcie rzekł z cicha do niej tylko:

— A zajrzyj do mnie którego dnia, choćby jutro. Miarkuję, że musi być z wami krucho, ten łajdus przepija wszystko a ty pewnikiem mrzesz głodem z dziećmi.

— Wygnaliście nas, to gdziebym zaś śmiała przyjść...

— Głupiaś, jensza to rzecz, nie twoja, mówię ci przyjdź, znajdzie się jeszcze i dla was.

Pocałowała go w rękę i odchodziła bez słowa, tak ją ułapiło rozrzewnienie za grdykę, że głosu nie mogła wydobyć.

— Przyjdziesz to? — zapytał za nią dziwnie miętko i ciepło.

— Przyjdę. Bóg wam zapłać, kiej przykazuje to przyjdę...

Popędził konie i zaraz skręcał przed karczmę, a Hanka już nie czekając na ojca, któren akuratnie wysiadał z Bartkowych sani, poleciała do chałupy.

W izbie było ciemno i tak zimno, że gorzej się widziało, niżli na dworze, dzieci spały pokulone w łóżku pod pierzyną, zakrzętnęła się żwawo koło warzy i obrządków; a wciąż przemyśliwała o tem dziwnem spotkaniu z Boryną.

— Nie, żebyś skapiał nie przyjdę, dałby mi Antek! — wykrzyknęła ze złością, ale równocześnie i inne, bardzo spokojne myśli przychodziły a z niemi i bunt srogi przeciwko mężowi.

Jakże, przez kogóż to wycierpiała najwięcej, jeśli nie przez niego!

Stary zapisał grunt tej świni i wygnał ich, prawda, ale Antek go pierwszy pobił i zawsze czekał na niego, to się i ozeźlił... Miał prawo, każdyby to zrobił, grunt jego i dzieciński, ale póki żyje, jego wola dać lub nie. A jak to miętko powiedział: Przyjdź! o dzieci pytał, o wszystko! Juści, a i pół tej biedy i poniewierkiby nie było, gdyby się Antek nie sprzągł z tą suką, temu stary nie winowaty, nie.

Rozmyślała różnie i tłumaczyła i coraz bardziej ustępował z niej gniew do starego.

Przywłókł się i Bylica tak przemarzły i zmęczony srodze, że z dobrą godzinę rozgrzewał się przed kominem nim zaczął opowiadać, jako już był całkiem ustał a możeby i zamroził się na śmierć pod drzewem, gdyby nie Boryna.

— Dojrzał mnie i chciał brać na sanie, ale gdym mu rzekł, iżes przodem poszła, ostawił mnie Bartkowi a sam pognał konie, by cię dogonić...

— Tak było? Nic mi o tem nie powiedział.

— Kwardy on jeno z wierzchu, la niepoznaki.

Po kolacyi, gdy dzieci nakarmione do syta, poobtulane w pierzyny, znowu zasnęły, Hanka siedła przed ogniem do przędzenia resztek wełny

organiściej a stary wygrzewał się wciąż, spoglądał nieśmiało, chrząkał, zbierał odwagę aż wkońcu zaczął lękliwie:

— Zrób z nim zgodę, na Antka się nie oglądaj a ino siebie i dzieci miej na widoku.

— Łacno to powiedzieć.

— Kiedy on pierwszy przystąpił do ciebie z dobrem słowem, poniechał złości. Tam u niego w chałupie piekło... nie dziś, to jutro Jagnę wygoni i ostanie sam... Józka nie poredzi w tylem gospodarstwie, stary jeszcze nie jest, ale też wszystkiego nie robi, nie dojrzy... dobrzebyś jego łaskę na ten czas miała... a toś zabiegać powinna... Byłabyś mu pod ręką w sposobną porę... to niewiada jakby się stało... możeby przyzwał z powrotem... nie zdzierzysz tej biedzie, nie...

Opuściła na te słowa wrzeczono, wsparła głowę o prześlicę i zadumała się głęboko nad swoją dolą, rozważając powoli rady ojcowe.

A stary przyszykował sobie spanie i cicho zapytał:

— Mówił w drodze z tobą?

Opowiedziała jak było.

— To idź córko, bieżyj choćby zaraz jutro, staw mu się kiej przyzywa, bieżyj... bacz ino na siebie i dzieci... starego się trzymaj... oczami mu świeć... dobrą mu bądź... pokorne cielę dwie matki sšie... złością jeszcze nikto świata nie zwojował... Antek jeszcze powróci do ciebie... opętało go złe i rzuca po świecie... ale wnet przejrzy i powróci...

Pan Jezus podaje ci taką godzinę by z biedy wyciągnąć... to nikogo nie słuchaj a bieżyj...

Długo ją namawiał i przekonywał, a niedoczekawszy się żadnej odpowiedzi, zmilknął pomarłotniały i narządziwszy sobie spanie, legł cicho, Hanka zaś przędła dalej, rozmyślając nad jego radami.

Czasem zaś wyglądała oknem, czy Antek nie wraca, ale nie było ani słychu.

Siadała znowu do roboty, ale nie mogła prząść dzisiaj, nitka się rwała, to wrzeczono wypadało z palców, bo coraz pilniej rozważała słowa Borynowe.

— A może się tak stanie, może przyjdzie taka godzina, że ją przyzwie...

I zwolna, zwolna, kołująca jeszcze, pełna wahań wstawała w niej niezmożona chęć zgody i powrotu do starego.

— Troje nas cierpi biedę a nieza długo będzie czworol! Dam to wtedy radę, co?

Antka już nie wliczała, nie brała w rachubę w tej chwili, widziała tylko siebie i dzieci, sama się czuła gotową do stanowienia za wszystkich. Jakże, na kogo się to spuści? Kto to pomoże, chyba Bóg jeden, albo i Boryna!

Zaczęła marzyć, że niechby się jeno dorwała z powrotem gospodarstwa, niechby znowu poczuła ziemię pod nogami, to się tak przypnie do niej, tak weprze całą duszą i pazurami, że nic ją nie oderwie i nie zmoże. Nadzieja w niej rosła wraz

z takim nabierem sił, aż ją rozpierało we środku od mocy, nieustępliwości a odwagi, ognie chodziły po niej, oczy się roziskrzały... już się nawet czuła tam, u Borynów, rządziła wszystkim, gospodynią była...

Długo, może do samego półnoka tak się rozmarzała, postanawiając równocześnie, że zaraz z rana, jak przykazywał, zabierze jeno dzieci i pójdzie do starego, choćby Antek nie wiem jak zakazywał, choćby ją nawet skatował, nie posłucha i pójdzie, a tej dobrej okazji nie popuści. Moc w sobie poczuła niezmogoną do walki choćby z całym światem, nie wahała się już, ni bała niczego!

Wyjrzała jeszcze na dwór, wiatr całkiem ustał, uspokoiło się zupełnie, noc była ciemna, że ledwie te śniegi szarzały, na niebie kłębiły się ogromne chmury i przewalały się kiej wody, od borów dalekich czy też z tej ciemnicy nieprzejrzanej szły jakieś głuche szумы.

Zgasiła światło i szepcząc pacierze zaczęła się rozbierać...

Naraz jakiś wrzask daleki, przytłumiony zadrgał w ciszy, rósł, rozlegał się coraz wyraźniej a wraz z nim i blask krwawy uderzył w szyby.

Wybiegła przed dom wystraszona.

Paliło się, gdziesik ze środka wsi buchały słupy ognia, domów i skier.

Dzwon zaczął bić na trwogę i krzyki się wzmagaly.

— Gore! wstawajta, gore! — zakrzyczała do Stachów, przyodziła się naprędce i wypadła na dróżkę, ale zaraz prawie natknęła się do Antka biegnącego pędem ode wsi.

— U kogo się pali?...

— Nie wiem, wracaj do chałupy.

— Może to u ojca, bo jakoś w pośrodku! — bełkotała w trwodze śmiertelnej.

— Wracaj psiakrew! — ryknął, porywając ją przez siłę do izby.

Okrwawiony był, bez czapki, kożuch miał porozrywany, twarz osmoloną i dziki, nieprzytomny ogień w oczach.

X.

Tegoż samego dnia, po obrządkach a już o dobrym wieczorze zaczęli się schodzić do Kłębów na oną prześlicową wieczornicę.

Kłębowa sprosiła głównie same starsze kobiety, powinowate swoje, albo w kumostwie będące, przychodziły też w porę, jedna za drugą nie zawodząc ni się zbytnio opóźniając, boć każda kuma rada ciągnęła do drugiej, aby się zgwarzyć społecznie i co nowego posłuchać.

Najpierwsza, jak to miała we zwyczaju, przyszła Wachnikowa z kłakiem wełny w zapasce i z wrzecionami zapasowemi pod pachą; potem przyszła Gołębową, Mateusza matka, skrzywiona kiej po occie, z obwiązaną gębą, narzekająca wiecznie i ciągiem się skarżąca na wszystko; a po niej, niby ta rozgdakana, odęta kwoka przyszła Walentowa; po tej zaś, Sikorzyna, chuda kiej mie-tła, turkot baba i w sąsiedzkich swarach najzawziętsza; a po niej wtoczyła się gruba kiej beczka Płoszkowa, czerwona na gembie, spaśna, zestro-

jona zawdy, dufna w siebie, dworująca nad wszystkie i wyszczekana jak mało która, ale ogólnie nie-lubiana; tuż za nią wsunęła się cicho, czająco kiej ten koczur Balcerkowa, sucha, mała, zawiędła, ponura a sielna procesownica, która z pół wsią za łeb się wodziła, i co miesiąc stawiała na sądy; a po nich wlaźła hardo, choć i nieproszona Kobsowa, Wojtka żona, pleciuch najgorszy i zazdrośnica niepomierna, że strzegli się jej przyjacielstwa kiej ognia. Przyszła jeszcze zasapana i zgonia Grzeli z krzywą gembą kobieta, pijak baba, wykpis i fortelnica jakich mało a szkodnik w cudzem najgorszy! Przyszła i Stara Sochowa, mać Kłębowego zięcia, cicha kobieta, pobożna wielce i wraz z Dominikową, najwięcej w kościele prze-siadająca; przyszły i drugie jeszcze, insze, ale już tak wybrane, o których nie wiada co rzec, bo podobne sobie kiej te gąski w stadzie, że nierozpoznał jednej od drugiej, chyba jeno po obleczeniu — a zeszło się razem sporo babiego narodu i z czem która miała: to z wełną do oprzędu, to ze lnem, to z pakułami a niektóre z szyciem, albo z tą przygarścią pierza do zdarcia, bych ino nie dać pozorów jako się zeszły po próżnicy, na rajcowanie.

Sadowiły się wielkiem kołem w pośrodku izby pod lampą wiszącą u pułapu, kiej te krze na szerokiej grzędzie, rozrosłe, dostałe, i późną jesienią owarzone, bo starsze już były a prawie jednolatki.

Kłębowa wszystkim zarówno była rada, witając się z każdą cicho, że to słabowała na piersi i głos miała cedzący, zadychliwy; Kłąb zaś jako człowiek ludzki, mądry i zgodę ze wszystkimi trzymający, to prawil miłe słowa i sam stołki a ławy podsuwał...

Nadeszła później nieco Jagusia z Józką i Nastką, a z nimi jeszcze parę dziewczyn, za którymi ścigali w pojedynkę parobcy.

Sporo ludu się nabrało, boć i wieczory były długie, roboty nie mieli żadnej. Zima szła sroga i przykre dnie, to cknioło się chodząc spać razem z kurami, gdyż i tak do świtania tyła się jeszcze wyspał i wyleżał aż boki bolały.

Porozsadzali się jak mogli, kto na ławach, kto na skrzyniach, którym zaś jak parobkom, Kłębiaki pieńki przynosili ze dwora, a jeszcze miejsca dosyć ostawało w izbie, bo dom był wielki choć niski, starą modą pobudowany, pono jeszcze przez Kłębowego pradziada, że rachowali mu ze sto pięćdziesiąt roków z okładem, w ziemię też już zapadał, przygarbił się kiej staruch i strzechami płotów dotykał, aż musieli podporami go wspierać, by się do cna nie zwałił.

Gwar się czynił zwolna, bo cicho jeszcze pogadywały, między sobą tylko, wrzeczona jeno furkotały i dudniły po podłodze a gdzie nigdzie i kółko warczało, ale nie wiele, bo niedowierzały zbytnio tym nowomodnym wymysłom, woląc prząc po staremu na przęślicach.

Kłębiaki, a czterech było młodziaków wyrosłych jak sosny i już prawie pod wąsem, skręcali powróśla przy drzwiach, reszta zaś parobków rozwałała się po kątach, kurząc papierosy, szczerząc zęby i prześmiewając się z dziewczynami, że co trochę cała izba się trzęsła od chichotów, a starsze jeszcze rade dokładały swoje, bych więcej było do śmiechów i zabawy.

Przyszedeł wkońcu i wyczekiwany Rocho, a tuż za nim Mateusz.

— Wieje to jeszcze? — spytała któraś.

— Całkiem ustało i ma się na odmianę.

— Od borów coś huczy, pewnikiem przyjdzie odelga — dorzucił Kłęb.

Rocho siadł na uboczu do zastawionej miski, bo u Kłębów teraz dzieci nauczał, mieszkał i jadł, Mateusz zaś witał się z niektórymi, nie patrząc nawet na Jagnę, jakby jej nie dojrzał, choć siedziała w pośrodku i najpierwsza mu w oczy wpadła, uśmiechnęła się na to leciutko, nieznacznie stróżując oczami drzwi wchodowych.

— A wiało też dzisiaj, że niech ręka boska broni. Kobiety na pół żywe przywlekły się z lasu, a pono Hanka z Bylicą jeszcze nie powróciła — zagadnęła Sochowa.

— Juści, biednym to zawdy wieje w plecy — mruknęła Kobusowa.

— Na co to ano i tej Hance zeszło! — zaczęła Płoszkowa, ale spostrzegłszy, że na Jagnę

uderżyły ognie, urwała prędko, zagadując czem innym.

— Jagustynki nie było? — zapytał Rocho.

— Plotkami ni obmową nie pożywi się u nas, to za nic ma taką kompanię.

— Pleciuch baba, tak dzisiaj najurzyła u Szymków, że sołtysowa skłęła się z wójtową i żeby nie ludzie, do bicia by przyszło.

— A bo jej pozwalają przewodzić.

— I ustępują kiej przed czem pocziwem.

— Nikto się nie znajdzie, żeby jej zapłacił za te ciągłe swary i kłyżnienia.

— Przeciech wiedzą wszyscy jaka, to czemu szczekaczowi wiare dają.

— Juści, kto wymiarkuje, kiedy prawdę powie a kiej zcygani!

— Wszystko jest bezto, że każda rada słucho na drugą — zakończyła Płoszkowa.

— Niechby się mnie czepiła, nie darowała-bym! — wykrzyknęła Tereska żołnierka.

— Hale, jakby o tobie co dnia nie pyskowała po wsi... — szepnęła urągliwie Balcerkowa.

— Słyszeliście, powtórzcie! — zakrzyzczała rozczzerwieniona, boć wiadomem było, że z Mateuszem dobrze się znała.

— Powtórzę, nawet prosto do oczów powiem, niech jeno twój z wojska powróci!

— Wara wam do mnie, ale, będą tu bele co powiadać!

— Nie drzyj się, kiej cię nikt nie zaczepia —

zgromiła ją surowo Płoszkowa, ale Tereska długo nie mogła się uspokoić, mamrocząc cosik z cicha:

— Byli już z niedźwiedziem? — zagadnął Rocho, aby zwrócić uwagę w inną stronę.

— Ino ich patrzeć, bo są u organistów.

— Które to chodzą?

— A dyć te wisielaki Gulbasowe i Filipki chłopaki!

— Idą już, idą! — zaczęły wołać dziewczyny, bo się rozległ przed domem długi ryk, a po nim głosy różnych zwierząt zaczęły się rozlegać w sieni, to kogut piał, owce beczały, koń rżał, a przewodził im ktosik na piszczalcie, wreszcie drzwi się otwarły i przodem wlał chłopak przyodziany w kożuch do góry wełną, z czapką wysoką, przysmolony na gembie, że jak cygan się widział, a ciągnął za sobą na długiem powróśle onego niedźwiedzia, przybranego całkiem w grochowiny, z kożuszonym łbem, z ruchającemi się uszami z papieru, i z ozorem czerwonym, może na łokieć wypalonym, do rąk zaś miał przywiązane kije, okręcone z grochowiny i wrazone w trepy, że chodził niby na czworakach, a za nim szedł tuż drugi wodziciel, ze słomianą pyłą i kijem ostrymi kołkami najeżonym, na których tkwiły kawałki słoniny, to chleby, to jakieś pękate torbeczki wisiały, a dopiero za nimi Michał od organisty na piszczalcie przygrywający i cała hurma chłopaków z kijami, bijąc nimi w podłogę i pokrzykując z całej mocy.

Niedźwiedź pochwalił Boga, zapiął potem kiej kokot, zabczał jak baran, zarżał niby ogier rozgrzany i zaczął wykrzykiwać:

— Niedźwiedniki my z kraju dalekiego, z za morza szerokiego, z lasu wielgachnego! gdzie ludzie do góry nogami chodzą, gdzie płoty kielbasami grodzą, a ogniem się chłodzą; gdzie garnki do słońca przystawiają, świnię po wodach pływają i deszcze gorzałką padają; niedźwiedzia my srogięgo wodzim i po świecie chodzim! Powiedzieli nam ludzie, że w tej wsi są gospodarze bogacze, gospodynie użyteczne, a dzieuchy piękne! tośmy przyśli z kraju dalekiego, z za Dunaju szerokiego, by nas opatrzyli, grzecznie przyjęli i na drogę co dali, Amen!

— Pokażcie co umiecie, a może się la was znajdzie co w komorze — rzekł Kłęb.

— Pokażemy wraz! Hej! graj piszczało! tańcuj Misiu! tańcuj — zakrzyczał, kropiąc go kijem, a na to piszczałka wrzasnęła przebieraną nutą, chłopaki rypnęli kijami w podłogę i nuż przykrzykiwać, wodziciel udawał różne głosy, a niedźwiadek jął skakać na czworakach, ruchał uszami, kłapał ozorem, wierzgał, za dzieuchami gonił, a wodziciel niby go to powstrzymywał a pytał wokół prał co wlało i krzykał:

— Nie znalazłaś se mężyny, naści babo grochowiny!

Krzyk się podniósł w izbie, wrzaski, rwetes, bieganina, przegony, piski, a taka uciecha zapano-

wała, aż się za boki brali, niedźwiedź zaś wciąż baraszkował, figle stroił, przewalał się na ziem, ryczał, ucieszenie skakał, to dziewczyny brał w pół tymi drewnianemi kulasami i ciągał w tan, do taktu Michałowej piszczalki, a rzekome niedźwiedzniki wraz z chłopakami tak dokazywali, że dziw się chałupa nie rozwalila od tych wrzasków, gonów i śmiechów!

Opatrzyła ich suto Kłębowa, że wreszcie się wynieśli, ale długo jeszcze słycać było na drodze wrzaski i naszczekiwanie psów.

— Któryż to udawał niedźwiedzia? — zapytała Sochowa, gdy się nieco uspokoiło.

— A Jasiek Przewrotny, nie poznaliście to.

— Kiej pod tym łbem kożuszonym nie mogłam rozpoznać.

— Moiściewy, do figlów to rozum ma pokraka jedna! — zauważyła Kobusowa.

— Powiadacie, jakby już Janek całkiem był głupi! — broniła go Nastka, Mateusz pomagał jej, opowiadając różności o nim, jako tylko nieśmiały jest, ale zgoła nie głupi, a tak bronił Jaśkowej sprawy, że nikto się nie przeciwiał, jeno domysłne, przytające uśmiechy zaczęły latać po twarzach. Usadzili się znowu na dawne miejsca i pogwarzali wesoło, dziewczyny zaś z Józką na czele jako najśmielszą, nacisnęły Rocha pod kominem i nuż go molestować i milić się przed nim, by opowiedział jaką historję, jakto u Borynów na jesieni...

— A pamiętasz to Józia, com wtedy powiedział?

— I jak! było to o tym Burku Panajezusowym!

— Rzeknę wam dzisiaj o królach, kiejście ciekawe!

Przysunęli mu stółek pod lampę, rozstąpili się nieco, że usiadł w pośrodku, kiej ten stary, siwy dąb na polanie, otoczony półkołem zwartych, pochylonych krzy, i zaczął prawić zwolna i nie głośno.

Cichość ogarnęła izbę, że jeno wrzeciona warkotały a czasem ogień trzasnął na kominie, albo czyjeś westchnienie zaszemrało — a Rocho powiedział cudenka różne i historye o królach, o wojnach srogich, o górach gdzie śpi wojsko zakłète, czekające jeno zatrąbienia, by się zbudzić i paść na nieprzyjaciół i pobić i ziemię ze złego oczyścić; o zamkach wielgachnych, gdzie złote izby, gdzie królowny zakłète w białych gźłach w księżycowe noce lamentują i wybawiciela czekają, gdzie w pustych pokojach co noc brzmi muzyka, zabawy idą, ludzie się schodzą, a niech kur zapieje, wszystko zapada i w groby się kładzie; o krajach, gdzie ludzie kiej drzewa, gdzie mocarze co górami rzucają, gdzie skarby nieprzebrane przez smoki one piekielne strzeżone, gdzie ptaki-żary, gdzie Madeje, gdzie kije samobije, a one Lele-Polele, a one Południce, upiory, strachy, czary, dziwności! — a drugie jeszcze, insze, a cudne i wprost nie do wiary,

że wrzeczona z rąk leciały a dusze się niesły w zaczarowane światy, oczy gorzały, łzy ciekły z nieopowiedzianej lubości i serca dziw nie wyskoczyły z piersi z utęsknienia i podziwu.

A na końcu opowiadał o królu, którego panowie la prześmiewiska chłopskim królem przezywali, że to był pan ludzki, sprawiedliwy i dobro narodowi całemu czyniący: o jego wojnach srogich, tułactwie, przebieraniach się po chłopsku, w którym chodził po wsiach, w kumostwach się bratał, o złem się przewiadywał i krzywdy naprawiał i złości gasił, a potem, by już być za jedno z chłopami, to się ożenił z gospodarską córką z pod Krakowa a Zofia było jej na imię, dzieci z nią miał, na zamek powiódł krakowski i tam w długi wiek rządy sprawował jako ten ociec najlepszego narodu i pierwszy gospodarz!

Słuchali coraz pilniej, nie tracąc ani słowa i dech nawet tając w sobie, bych ino nie przerwać tego różańca cudowności, Jagusia zaś całkiem nie mogła prząść, opadły jej ręce, pochyliła głowę i wsparta policzkiem o kądziel, utopiła modre, ołzawione oczy w Rochowej twarzy, któren się jej widział jako ten święty z obrazów zeszy, boć i był podobien ze siwego włosa, z długiej białej brody i z tych oczów bladych, zapatrzonych gdziesik w zaświaty — słuchała go całą duszą, całą mocą czującego mocno serca i tak gorąco brała w siebie jego powiadania, że ledwie mogła dychać ze wzruszenia, widziała wszystko jak żywe, i tam szła

duszą, gdzie wiódł słowami, a już najbarzej chwyciła ją za serce ta historia o królu i tej gospodarskiej córce. Jezus, jak się to jej ślicznem widziało!

— I to sam król, tak żył z chłopami? — zapytał Kłęb po długiem milczeniu.

— Sam król;

— Jezus, umarłabym, gdyby król do mnie przemówił! — szepnęła Nastka.

— Poszłabym za nim w cały świat za to jedno słowo! w cały świat! — wykrzyknęła namiętnie Jagna, przejęta takim mocnem a zapamiętałem wzruszeniem, że niechby się jawił w ten moment, niechby rzekł to słowo, a poszłaby jak stała, w tę noc, w ten mróz, w cały świat!

Opadli wnet Rocha pytaniami, a gdzie to zamki takie, wojska takie, te bogactwa, te moce, śliczności takie, króle takie, gdzie?

Więc opowiadał smutnie nieco, a tak mądrze wraz prawdy różne i przykazania powiadał, że jeno wzdychali ciężko, medytując i rozważając pilnie te urządzenia na świecie.

— Jedno dzisiaj człowiekowe a jutro w Boskiej mocy! — rzekł Kłęb.

Roch odpoczywał zmęczony, a że zaś wszystkich dusze ogarnięte były jeszcze onemi cudownościami, to zaczęli między sobą, cicho zrazu, a potem już dla wszystkich, w głos, opowiadać co kto wiedział.

Jedna co rzekła, po tej druga, to i trzeciej się

przypomniało i czwartej, a każda co nowego nie-
sła, że snuły się one gadki jako te nici z kądzieli,
jako ta miesięczna poświata, grająca farbami na
pośleptych, pomarłych wodach przytajonych w bo-
rach — to o topielicy przychodzącej nocami kar-
mić głodne dzieciątko — o upiorach, którym mu-
siano w trumnach serca przebijać osikowymi koł-
kami, by z ludzi krwi nie wypijały: o południ-
cach duszących po miedzach, o drzewach gadają-
cych, o wilkołakach, o zjawach strasznych pół-
nocnych godzin, strachach, wisielcach, o czarowni-
cach i pokutujących duszach — i o takich dziw-
nych, przerażających rzeczach, od których słucha-
nia włosy się podnosiły, serca zamierały z trwogi,
zimny dreszcz przenikał wszystkich, że milkli na-
raz, oglądając się trwożnie, nasłuchując, bo się
wydawało, iż coś chodzi po pułapie, że cosik czai
się za oknami, że przez szyby krwawią się jakieś
ślepie i w ciemnych kątach kłębią się nierozpo-
znane cienie... aż niejedna żegnała się prędko, pa-
cierz trzepiąc w cichości dzwoniącymi zębami..
ale to rychło przechodziło, jak cień gdy chmurka
słońce nakryje, że potem nie wiada nawet czy
był... i znowu powiadali, przędli a motali dalej one
gadki nieskończone, którym sam Rocho pilnie się
przysłuchiwał i nową historię rzekł o koniu...

— «Jeden biedny gospodarz, pięcio morgowy,
miał konia, ale tak narownego i próżniaka jak
mało, próżno mu dogadzał, owsem paś a niedo-
godził, koń robić nie chciał, uprząże rwał i kopy-

tami bił, że ani dostąpić... Pewnego razu zeźlił się chłop srodze, bo obaczył, że z nim dobrocią nie poradzi, założył go do pługa i począł umyślnie orać stary ugor, by go przemęczyć i do pokory nagiąć, ale koń ciągnąć nie chciał, sprął go wtedy kozicą co wlażło i przymusił, koń robił, jeno że sobie to miał za krzywdę i zapamiętał dobrze, aż i wyczekał na porę sposobną, kiej gospodarz razu jednego schylił się, by mu pęta zdjąć z kulasów, trzasnął go zadnimi kopytami i na miejscu zabił, a sam w cały świat pognał, na wolność!

Latem było mu niezgorzej, w cieniach się wyłegiwał i w cudzych zbożach wypasał, ale skoro nadeszła zima, spadły śniegi, mróz chwycił, paszy brakło i ziąb przejmował go do kości, to popędził znowu dalej szukać strawy, leciał tak dnie i noce, bo wciąż była zima, śniegi i mrozy, a wilki tuż za nim, że mu już niejednen dobrze boków pazurami zmacał!...

Bieży, bieży, bieży aż i wyszedł na kraj zimy, w jakąś łąkę gdzie ciepło było, trawy po kolana, źródelka bełkotały i skrzyły się w słońcu, cienie chłodne chwiały się nad brzegami i wiaterek miły przeciągał, wparł się wnet w trawę i dalej żreć, boć zgłodniały był do cna — ale co chyci zębcami trawy, to ino ostre kamienie przegryza — trawa zniknęła! — wody chciał popić — nie było, ostało jeno błocko śmierdzące! położyć się chciał w cieniu — cienie odlatywały a słońce żarło żywym ogniem! Cały dzień się tak trudził i na darmo.

Chciał już wrócić do borów, borów nie było! Zarżało konisko boleśnie, odpowiedziały mu jakieś konie z dala, powlókł się za głosem i wkońcu dojrzał za łąkami jakiś dwór sielny, jakby cały ze srebra, szyby miał z drogich kamieni, a strzechę kieby z nieba nabitego gwiazdami, ludzie tam jakieś chodzili. Powlókł się do nich, bo już wołał nawet pracować ciężko, niżli z głodu marnie ginąć... Przestojął na skwarze dzień cały, bo nikt z uzdą do niego nie wyszedł, dopiero o wieczornym czasie, wychodzi ktosik ku niemu, jakby sam gospodarz! Jezus ci to był, on gospodarz przenajświętszy, on Pan niebieski i rzecze:

— Nic tu po tobie wałkoniu i zabijaku, jak błogosławić będą ci, co cię teraz przeklinają, każe cię wpuścić do stajni.

— Bił me tom się bronił!

— Za bicie przedemną sprawa, ale i sprawiedliwość ja w ręce trzymam.

— Takim głodny, takim spragniony, takim obołały! — jęczało konisko.

— Rzekłem swoje, ruszaj precz, wilkom cię każe jeszcze szczuć i poganiać...

To i zawróciło konisko do zimowego kraju i wlekło się o chłódzie i głodzie, a w wielkim strachu, bo wilki, jak te psy Jezusowe, poganiały pilnie, strasząc go wyciem, aż i pewnej nocy zwiśnowej stanął przed wrótniami swojego gospodarza i zarżał, by go przyjęli z powrotem, ale na to, wyleciała wdowa z dziećmi, a nie poznawszy

go tak był zbiedzony, nuż go prać czem popadło odganiać a wyklinać za krzywdy, bo bez te śmierć chłopa pobidniała i w wielkiej nędzy żyła wraz z dziećmi.

Nawrócił do borów, bo już nie wiedział co począć, opadły go zwierzaki, nie bronił się nawet, zarówno mu już była i śmierć, ale one go ino obmacały i starszy powiedział:

— Nie zjemy cię, boś za chudy, skóra i gnaty, szkoda pazurów, ale ulitujem się nad tobą i pomożemy...

Wzięły go między siebie i powiedły rankiem na gospodarzowe pole i założyły do pługa, kóren stał w roli, wdowa niem orała wraz z krową i dziećmi.

— Poorzą tobą, podpasą, to jesienią powrócim cię wyprząść! — powiedziały.

O dniu nadeszła wdowa i poznała go zaraz to choć krzyknęła zrazu, że to cud, iż powrócił i stał już w pługu, ale rychło żałośliwość przypominków tak ją objęła, że zaczęła znowu wyklinać i bić co ino wlażło! Robiła też w niego potem, robiła a odbijała się za krzywdę! Całe lata tak szło w ciężkiej, cierpliwej pracy, bo choć koniskowi skóra się odparzała od chomąta, ani rżał, wiedział, iż cierzpi sprawiedliwie. Dopiero w parę років, kiej wdowa się dorobiła nowego chłopa i tych morgów co po sąsiedzku szły w podle, zmiękkła la konia i powiedziała:

— Ukrzywdziłeś nas, ale za twoją sprawą Pan

Jezus pobłogosławił, rodziło się, chłód się nie-
zgorszy trafił, rolim przykupiła, to ci już z serca
odpuszczam.

I zaraz, tej samej nocy, kiej w chałupie chrzciny
sprawiali, przyszły Panajezusowe wilki, wyprowa-
dziły konia ze stajni i powiedły do niebieskiej za-
grody!

Dziwowali się temu zrządzeniu boskiemu nie-
pomrotnie, zastanawiając szeroko, jak to Pan Je-
zus zawsze karze zło a dobre wynagradza i o ni-
czem, choćby na ten przykład, o koniu takim, nie
przepomni.

— Choćby i ten robaczek wiercący w ścianie
a nie ukryje się przed jego okiem...

— Ni nawet najtajniejsze pomyślenie, ni chęć
jaka paskudna — dorzucił Rocho.

Wzdrygnęła się na to Jagna, bo i Antek wszedł
akuratnie, ale mało kto go zauważył, choć cichość
była, bo pod ten czas opowiadała Walentowa ta-
kie cudności o królownie zaklętej, że wrzeczona
przestały warczeć, wszystkim ręce opadły, po-
wstrzymywali oddechy i jak uroczeni siedzieli wsłu-
chując się całą duszą.

I tak się ano przesuwiał ten lutowy, zimny
wieczór.

Dusze się wznosiły, pod niebo rosły a płonęły
jak te smolne szczapy, że jeno szmer wzdychów,
marzeń i pożądań, niby te kwietne motyle trzęsły
się po izbie.

Osnuwali się w żywy, rozdrwany, mieniący

farbami oprzęd cudowności, że całkiem przysłoniły się oczy na wszystko świat smutny i szary, i biedny!

Po polach błędzili ciemnych, prześwieatonych widziadłami, co jak żagwie buchały krwawą pożogą; na one ruczaje szli srebrne, pełne śpiewań nierozeznanych, tajemnych wołań, plusków; w bory zakłete, gdzie rycerze, wielkoludy, zamki one, widma straszliwe, smoki piekielnym ogniem zionące; po rozstajach stawali strwożeni, gdzie upiory z chichotem przelatywały, gdzie potępionych głosem jęczą wisielce, a strzygi z nietoperzowemi skrzydłami przelatują; błędzili po mogiłkach za cieniami pokutujących samobójców; w pustych, rozwalonych zamkach i kościołach słuchali głosów dziwnych, patrzeli się nieskończonym korowodom mar przerażających, w bojach byli, pod wodami, gdzie śpiące jaskółki poplątane w girlandy, budzi o każdej wiosnie Matka Boża i na świat wypuszcza.

I nosili się przez nieba i piekła, przez wszystkie straszności, przez ciemnice Bożego gniewu i przez jasności łaski jego świętej, przez nieopowiedziane krainy cudów i czasów, dziwów i zachwyków, przez takie światy, gdzie jeno dusze człowiekowie błędzą jako te ptaki poślepie od piorunów i błyskawic, przez takie miejsca, do których człowiek tylko w godzinie cudu, albo i we śnie zagląda, patrzy olśniony, dziwuje się i nie wie sam o sobie, czy jest li w żywych jeszcze!

Hej! jakby morze powstało wałem nieprzenik-

nionym, wałem czarów, skrzeń i cudowności, że przepadła z przed oczów ziemia cała, izba, luta noc, świat ten cały pełen utrapień i nędz wszelkich, i krzywd, i płakań, i żaleń, i czekań — a otwarły się oczy na świat inny, nowy i tak cudowny, że żadne usta tego nie wypowiedzą!

Baśniowy świat ich otoczył, baśniowe życie objęło tęczami, baśniowe marzenia stawały się rzeczywistością — umierali prawie z zachwytów, zmartwychwstając zarazem tam, w tem życiu jasnem, wielkiem, mocarnem, bujnym a świętem, i cudownościami poprzerastanem kieby dojrzałe zboże wyczką i makami, tam gdzie każde drzewo mówi, każdy ruczaj śpiewa, każdy ptak jest zaklęty, każdy kamień ma duszę, każdy bór jest pełen czarów, każda grudka ziemi przepojona nieznanemi potęgami — gdzie wszystko wielkie, nadludzkie, niewidziane żyło świętem życiem cudów!

Tam się parli całą potęgą tęsknoty, tam snuli się oczarowani, gdzie wszystko splatało się w nierozzerwalny łańcuch marzeń i życia, cudów i pragnień, w czarodziejski korowód wyśnionego istnienia, do którego wciąż, przez całą nędzę bytowania ziemskiego rwały się im strudzone, okaleczone dusze!

Cóż ta to życie szare i nędzne, cóż ta ten dzień zwykły, podobien do patrzenia chorego, smutkami kieby mgłą przysłoniony, mrok to jeno, noc smutna i ciężka, przez którą chyba dopiero w godzinę śmierci dojrzeć własnymi oczami dziwne one.

Jako to bydlę jarzmem przygięte do ziemi, żyjesz człowieku, zabiegasz, turbujesz się, by dzień ten przeżyć, a nie pomyślisz nawet co się okólnie dzieje, jakie to kadzielne zapachy wioną światem, od jakich świętych ołtarzy idą głosy, jakie utajone cuda są wszędy!

Jako ten ślepy kamień pod wodą głęboką, żyjesz człowieku...

W ciemnicy człowieku orzesz żywota rolę i płacz zasiewasz, ten trud, ten ból..

I w błocie tarzasz gwiazdną duszę człowieku, w błocie...

Opowiadali dalej, wciąż, a Rocho dopomagał chętnie, sam się dziwował, sam wdychał, sam płakał kiej i drudzy płakali...

A czasem następowały długie, głębokie milczenia, że słychać było kołatanie serc wzruszonych, wilgotne blaski oczów świeciły kiej rosa, drżały westchnienia podziwu i tęsknot, dusze się kładły do stóp Pańskich w tym cudów kościele i śpiewały przepotężny hymn dziękczynienia. Cichością śpiewały wszystkie serca przepełnione czarem, drżące, upojone świętą komunią marzenia — jako ta ziemia drży, pławiąc się w słońcu wiosnianem, jako te wody pod wieczór w pogodny czas i cichy, że jeno drgnienia po niej się snują, a tęcze, a kołory; jako te zboża młode o pierwszym wieczorze majowym, co jeno kolebią się słodko, szmerzą przeciągle a trzęsą piórkami kieby tym pacierzem dziękczynnym.

Jagusia zaś była jakby wniebowzięta, tak czuła wszystko głęboko, tak brała w siebie i za taką prawdę miała, że rośło to w niej i stawało przed oczami kiej żywe, że mogła wszystko powycinać z papieru. Dali też jej jakieś pozapisywane karty dzieci, które Rocho nauczał, a ona nasłuchując opowiadań, wystrzygała po kolei czy to strachy, czy króle, czy upiory, czy smoki, czy inne różności, a tak utrafiła, że każdy mógł poznać od wejrzenia.

Tyla wystrzygnęła, że można było niemi oblepić całą belkę, a jeszcze i pofarbowała lubryką czerwoną i niebieską jaką jej Antek podsunął, tak była zajęta słuchaniem i robotą, że o całym świecie zapomniała, nie baczyła nawet na niego, nie widząc, że się czegoś niecierpliwi a ukradkiem daje jakieś znaki... a nikto drugi też nie spostrzegł tego w zasłuchaniu i w tej ciszy jaka panowała.

Naraz psy zaczęły doszczekiwać zajadle i skowyczeć w opłotkach, aż któryś Kłębiak na dwór wyleciał i powiadał potem, iż chłop jakiś uciekał z przed okien.

Nie zwracali na to uwagi, nie wiedząc wcale, że później, gdy psy zmiłkły, jakaś twarz przesunęła się za szybą i przepadła tak prędko, że tylko jedna z dziewczyn krzyknęła zalekła, oczy przecierając zdumiona.

Tam ktośik chodzi pod oknami! — zawołała.

— Słyszać jak śnieg skrzypi pod nogami.

— Jakby na ścianę się skrabał!

Zmartwieli wszyscy nasłuchując, a bojąc ruszyć się z miejsca, opadli nagłą trwogą.

— Kto o czym baje, temu się staje! — szepnęła ze strachem któraś.

— O złem się powiadało, to może się i wywołał i wypatruje kogoby wziąć!

— Jezus Marya!

— Wyjrzyjcie-no chłopaki, tam niema nikogo, psy pewnie baraszkują po śniegu.

— Hale, kiedym dobrze widziała za oknem, łeb kiej ceber i ślepie czerwone!

— Przywidziało ci się — zawołał Rocho i że nikt nie chciał wyrzeć, sam poszedł na dwór by uspokoić wszystkich.

— Opowiem wam historię o Matce Boskiej, to wnet szczerzą przywidzenia — zagadał, siadając na dawnym miejscu, uspokoił się nieco, ale raz po raz ktoś podnosił oczy na okno i strachem utajonym dygotał.

— «Dawno to już się działo, dawno, przed wiekami, że jeno o tem w starych księgach stoi... We wsi jednej pod Krakowem, żył kmieć, Kazimierz mu było na imię a na przyzwoisko Jastrząb, osiadły był z dawna, rodowy i bogacz, całe włóki obsiewał, las swój miał, chałupę kiej dwór i młynek nad strugą. Pan Jezus mu błogosławił, wiedło się wszystko, brogi zawdy miał pełne, gotowy grosz w skrzyni, dzieci zdrowe i kobietę pocziwą; bo dobry był człowiek, mądry, wyrozumiały, po-

korrego serca i sprawiedliwy dla wszelkiego stworzenia.

Przewodził gromadzie kiej ojciec, opiekował się biednymi, sprawiedliwości bronił, podatkami nie uciskał, a pocziwości we wszystkim przestrzegał pilnie i pierwszy był zawdy do pomocy bliźniemu i poratunku.

Żył też sobie cicho, spokojnie i szczęśliwie jak u Pana Boga za piecem.

Aż razu pewnego, król jął skrzykiwać naród na wojnę przeciw poganom!

Zafrasował się wielce Jastrząb, bo żał mu było doma odbieżyć i ruszać na one boje srogie.

Ale króleski parobek u drzwi stojał i przy-
naglał!

Na wielką wojnę się miało, Turek ano sprośny w kraje polskie wszedł, wsie palił, kościoły rabował, księży zarzynał, naród tępił lebo w postronkach pędził do swoich pogańskich krajów.

Trza się było gotować i na obronę stawać!

Zbawienie wieczne czeka tego, któren ochotnie kładzie głowę za swoich i wiarę świętą.

Zwołał tedy Jastrząb gromadę, wybrał co tęższych parobków, konie, wozy i wnet ruszyli raniem jakoś, po mszy świętej!

A cała wieś odprowadzała ich z płaczem i lamentem aż pod figurę Częstochowskiej, która stojała przy drodze, na rozstajach.

Wojował rok, wojował dwa, że wkońcu i słuch wszelki o nim zaginał.

Insze dawno powrócili do domów a Jastrzębia jak nie było, tak nie było, myśleli, że już był zabity, albo go Turek wziął do niewoli, o czym nawet z cicha jeszcze dziady i wędrowce różne powiadali...

Aż wkońcu trzeciego roku, na pierwszą zwiensnę, powrócił, ale sam, bez czeladzi, bez wozów i koni, piechty, zbiedzony, zmarnowany, z kosturem jeno kiej dziad...

Pomodlił się gorąco przed Matką Bożą, że mu pozwolili jeszcze swojej ziemie i spiesźnie ruszył do wsi...

Nikt go nie witał, nikt nie poznawał, że psom się ano musiał oganiać.

Przychodzi przed swój dom, przeciera oczy, żegna się a poznać nie może...

Jezus Marya! Gumien niema, stajen niema, sadów niema, płotów nawet niema, z lewentarza ni śladu... a z chałupy ino zręby spalone... dzieci niema... pusto... straszno... jeno żona schorowana wywlekła się z barłogu na jego spotkanie i gorzkiemi łzami zapłakała!

Kieby piorun w niego trzasnął!

Oto kiedy on wojował i nieprzyjacioły Pańskie gromił, przyszedł do chałupy mór i pobił mu wszystkie dzieci... pierun spalił... wilki wydusiły stada... źli ludzie rozgrabili... sąsiady zabrały ziemię... susze wypaliły zboża... grady wytlukły resztę... że nie ostało nic, ziemia jeno a niebo.

Siedział na progu kiej zmartwiały, a na odwie-

czerzu kiedy przedzwanieli na Anioł Pański, zerwał się nagle i jął strasznym głosem wyklinać i pomstować!

Próżno go żona wstrzymywała, próżno u nóg mu się wlekła błagający, przeklinał i przeklinał, że na darmo krew swoją lał za Pańską sprawę, na darmo bronił kościołów, na darmo rany ponosił, głód cierpiał, na darmo pocziwym był i pobożnym, na darmo — Pan Bóg i tak go opuścił i na zatracenie skazał!

Strasznie bluźnił przeciw Boskiemu imieniowi a krzyczał, że już chyba złemu się cały odda, bo on jeden ludzi w biedzie nie opuszcza.

Juści, że na takie przyzywy wnet się zły jawił przed nim.

Jastrząb się już nie pomiarkował w tej złości a ino zawołał:

— Pomagaj dyable jeśli możesz, bo mi się wielka krzywda stała.

Głupi nie pomiarkował, że Pan Jezus chciał go doświadczyć i wypróbować.

— Pomogę, a oddasz duszę? — zaskrzeczał zły.

— Dam choćby i zaraz!

Napisali cyrograf, którego chłop krwią ze serdecznego palca podpisał.

I już od tego dnia zaczęło mu się wszystko wieść, sam mało co robił, a ino doglądał i rządził, Michałek, bo tak się kazał zły przezywać, robił za niego — a drugie dyabły poprzebierane za parob-

ków, to za niemców, pomagały — że w krótkim czasie gospodarstwo było jeszcze lepsze, większe i bogatsze niżli przódzi.

Ino dzieci nie było nowych, bo jakże bez błogosławieństwa boskiego mogły być!

Gryzł się tem Jastrząb srodze, a po nocach czasami rozmyślał, jak to przyjdzie gorzeć w tem piekle wiecznem, i nie cieszyły go ni bogactwa, ni nic... Aż musiał mu Michałek jawić przed oczy, jako wszystkie bogacze, panowie, króle, uczone, a nawet i co największe biskupy, dyabłom się za żywota zaprzędali, a żaden z nich się nie turbuje, ni rozmyśla, co tam będzie po śmierci, a jeno się weselą i wszystkiego używają do sytu!

Uspokajał się potem Jastrząb i jeszcze barzej przeciwko Bogu srożył, że aż sam krzyż pod lasem zrębał, obrazy z domu powyrzucał, i do figury Częstochowskiej się brał, by ją roznieść, iż mu ta do orki przeszkadzała; ledwie go od tego kobieta odwiedła skamleniem i prośbami.

I tak roki płynęły za rokami, jako ta woda bystra, bogactwa rosły niepomieranie, a z niemi także znaczenie, iż nawet sam król zajeżdżał do niego, na dwór zapraszał i między swoich komorników sadzał.

Puszył się tem Jastrząb, wynosił nad drugie, biedotą pomiatał, wszelkiej pocziwości się wyzbył, że już za nic miał świat cały.

Głupi! nie baczył czem przyjdzie zapłacić za to...

Aż wkońcu i przyszła godzina porachunku.

Panu Jezusowi już zbrakło cierpliwości i pobłażania la zatwardziałego grzesznika...

Nadszedł czas sądu i kary.

Najpierwej zwały się na niego ciężkie choroby i nie popuszczaly ni na to oczymgnienie.

Potem lewentarze padły na mór.

Potem piorun spalił wszelkie zabudowania.

Potem grady wybiły zboża.

Potem czeladź go odbiegła.

Potem zaś przyszły takie susze, że wszystko spaliło się na popiół, drzewa poschły, wody wyschły, ziemia popękała.

Potem opuścili go całkiem ludzie i bieda siedła na progu.

A on chorzał ciężko, ciało mu kawałami odpadało, kości próchniały.

Nadarmo skamlał o poratunek Michałka i jego dyablich kamratów: nawet Zły nie poradzi, kiej nad kim zawiśnie ręka Bożego gniewu!

A i dyabli nie stali już o niego: ich był, to aby prędzej skonał, dmuchali mu w one rany straszne, bych się barzej jątrzyły.

Jedno zmiłowanie Pańskie mogło go tylko wybawić!

Jakoś późną jesienią, przyszła jedna noc tak wiejna, że wichur zerwał dach z chałupy i powyrywał wszystkie drzwi i okna, wraz zaś zleciała się cała hurma dyabłów i nuż tańcować koło węglów, a cisnąć się z widłami do środka, bo Jastrząb już był na skonaniu...

Kobieta broniła go jak mogła, obrazem świętym osłaniając, to kredą poświęcaną znacząc progi a okna, ale już ustawała z wielkiej turbacji, by nie pomarł bez Sakramentów i pojednania z Bogiem; to chociaż zakazywał, tak był jeszcze w tej ostatniej godzinie zatwardziały, chociaż Złe przeskadzało, upatrzyła porę i poleciała na plebanię.

Ale ksiądz szykował się gdziesik do drogi, a do bezbożnika iść nie chciał.

— Co Pan Bóg opuścił, dyabli zabrać muszą, nic tam już po mnie... — i pojechał na karty do dworu.

Zapłakała gorzko z frasunku, przyklęka przed oną figurą Częstochowskiej i tym szlochem krwawym, tym skrzybotem serdecznym skamlała o zmiłowanie.

Uliłowała się nad nią Panienka Święta i przemówiła:

— Nie płacz, kobieto, wysłuchane są twoje prośby...

I schodzi do niej z ołtarza, jak stała, w koronie złotej, w onym płaszczu modrym, zasianym gwiazdami, z różańcem u pasa... jaśniejąca dobrośliwością... Przenajświętsza i gwieździe zarannej podobna... Kobieta padła przed Nią na twarz...

Podniosła ją świętymi rączkami, otarła te łzy żałościwie, przytuliła do serca i powiada tkliwie:

— Prowadź do chałupy, może ci co poredzę, służebnico wierna.

Obejrzała chorego, i zafrasowało się wielce serce miłościwe.

— Bez księdza się nie obejdzie, kobietą jeno jestem i takiej mocy nie mam, jaką Jezus dał księżom! Łajdus on jest, o naród nie dba, zgoła zły pasterz, odpowie za to srogo, ale on jeden ma moc rozgrzeszania... Sama pójde po tego kostyrę do dworu... Naści różaniec, broń nim grzesznika, póki nie przyjdę.

Ale jak tu było iść?... noc ciemna, wiater, deszcz, błocko, kawał drogi, a do tego dyabli wszędzie psocili.

Nie ulękała się niczego Pani Niebieska, nie!... przyodziła się jeno od pluchy w płachtę i poszła w tę ciemnicę...

Doszła do dworu umęczona srodze i przemokła do nitki; zapukała, prosząc pokornie, bych ksiądz szedł pilno do chorego, ale on, dojrawszy, iż to jakaś biedota i taki psi czas na dworze, kazał powiedzieć, że rano przyjedzie, teraz nie ma czasu, i grał dalej, pił i baraszkował z panami.

Matka Boża jeno westchnęła boleśnie nad jego niepoczciwością, to sprawiając, że zaraz zjawiała się złota karetą, cugi, lokaje, przeodziła się na panią starościnę i weszła na pokoje.

Juści, że ksiądz zaraz pojechał chętnie i w te pędy.

Przyjechali jeszcze na czas, ale już śmierć siedziała na progu, a dyabli przez moc dobywali się do chłopą, by porwać żywcem, nim ksiądz nad-

jedzie z Panem Jezusem; tyle, że broniła go kobieta różańcem, to obrazem drzwi przytykając, to pacierzem, to tem Imieniem Pańskim.

Wyspowiadał się Jastrząb, za grzechy żałował, Boga przepraszał, rozgrzeszenie dostał i zaraz w ten moment Bogu ducha oddał. Sama Najświętsza zamknęła mu oczy, pobłogosławiła kobietę i powiada do struchlałego księdza:

— Pódzi za mną!...

Nie mógł się jeszcze pomiarkować, ale poszedł, rozgląda się przed chałupą, a tu ani karety, ni lokajów, jeno deszcz, błoto, ciemnica i śmierć idąca za nim trop w trop... Uląkł się wielce i dalejże gnać za Panienką ku kapliczce!

Patrzy, a tu Ona już w płaszczu i koronie, otoczona chórami anielskimi, wstępuje na ołtarz, na dawne miejsce.

Poznał ci wtedy Królową Niebieską, strach go wziął, padł na kolana, ryknął płaczem i wyciągnął ręce o zmiłowanie.

A Panienka święta spojrzała nań gniewnie i rzekła:

— Wieki tak całe przekłęczysz za grzechy, popłaczesz, nim odpokutujesz...

W kamień się wnet obrócił i tak już ostał, nocami jeno płacze, ręce wyciągnięte trzyma, zmiłowania czeka i już od wiek wieków tak klęczy.

Amen!...

.....

Do dzisiaj oglądać można oną figurę w Dą-

browie pod Przedborzem: pod kościołem stoi ku wiecznej pamiętliwości i ostrzeżeniu grzeszników, jako kara za złe nikogo nie minie.

Długie a głębokie milczenie padło na wszystkich, każdy rozważał słyszane, i każdy pełen był świętej cichości, podziwu, dobrotliwości i lęku.

Co tu i rzec w taką porę, kiej się dusza człowiekowa rozpręży, jako to żelazo w ogniu, nabrzmieje czuciem i jasnością, że jeno ją tknąć, a gotowa gwiezdny deszczem rozprysnąć i tęczą się rozsunać między ziemią a niebem.

To trwali w cichości, póki ostatnie zarzewia nie zaczęły w nich przygasać.

Mateusz wyciągnął flecik i jął na nim przebierać i ciągnąć z cicha tą nutą rzewliwą a mieniącą, jakoby kto rosy suł po owych pajęczynach, a Sochowa zaśpiewała «Pod Twoją obronę». Przywtarzali jej z cicha.

A potem zaś z wolna zaczęli pogadywać o tem i owem, jak zwyczajnie.

Młódź zaczęła między sobą się prześmiewać, bo Tereska żołnierka zadawała parobkom zagadki ucieszne, że zaś ktosik powiedział, jako Boryna powrócił już ze sądów i pije teraz w karczmie ze swoją kompanią, Jagusia zawinęła się cicho i wyszła, nie wołając nawet Józki, a za nią Antek wysunął się też ukradkiem, dopadł jeszcze w sieni u proga, ujął mocno za rękę i powiodł do innych drzwi, na podwórze, a stamtąd przez sad za stodoły.

Prawie nie zauważono ich wyjścia, bo Tereska w głos wołała:

— «Przez ciała, przez duszy, a pod pierzyną się ruszy?» Co to jest?

— Chleb, chleb, każdy wie! — wołali, skupiając się koło niej.

— Albo to: «Gonią się goście po lipowym moście?...»

— Przetak i groch!

— Każde dziecko o takich zagadkach wie.

— To mówcie drugie, mądrzejsze!

— «W koszuli się na świat rodzi,
A po świecie nago chodzi?»

Długo zgadywali, aż dopiero Mateusz powiedział, że to ser, i sam zadał taką zagadkę:

— «Lipowe drzewo wesoło śpiwa,
A koń na baranie ogonem kiwa».

Z trudem się domyślili, iż to ma znaczyć skrzypce.

Tereska zaś powiedziała jeszcze trudniejszą:

— «Bez nóg, bez rąk, bez głowy i brzucha,
A kaj się obróci, wszędy se dmucha!»

Wiatery to miało znaczyć; zaczęli się o to swarzyć, prześmiewać i coraz ucieszniesze zagadki powiadać, aż się izba roztrzęsła gwarem i wesołością.

I jeszcze długo w noc tak się spótecznie zabawiali.

XI.

...Wpadli do sadu, chyłkiem przesunęli się pod obwisłymi gałęziami, i prędko trwożnie, niby spłoszone jelonki, wybiegli za stodoły, w omroczałe śniegi, w noc bezgwiezdną i w niezgłębioną cichość pól przemarzłych.

Przypadli w nocy; zginęła wieś, umilkła nagle wrzawa ludzka, porwały się nawet najśłabsze odgłosy życia, że zapomnieli wnet o wszystkim i ujawszy się wpół, przywarci mocno do siebie biedro w biedro, przychyleni nieco, radośni a strwożeni, milczący a pełni rozśpiewania, lecieli ze wszystkich sił, w cały ten świat, modrością siną zasnutą i milczeniem.

— Jaguś!

— Co?

— Jesteś to?

— Zaśby nie!...

Tyle jeno rzekli, czasami przystając, aby odechnąć.

Zapierało im głosy trwożne bicie serc i po-

tężny krzyk radości przytającej; zaglądali w siebie co chwila, oczy przeświecały się nawzajem, niby upalne, nieme błyskawice, a usta spadały na się z piorunową mocą i z takim głodnym, pożerającym ogniem, że zataczali się z upojenia, tchu brakowało, dziw serca nie rozpękły; ziemia usuwała się z pod nóg, lecieli jakoby w ognistą przepaść i rozglądając się ślepemi od żarów oczyma, zrywali się wnet z miejsca i znowu biegli, ani wiedząc dokąd i kędy, byle dalej, choćby w samą najgłębszą noc, aż tam, w te zwite kołtuny ciemności...

Jeszcze staje... jeszcze dwa... dalej... głębiej... aż wszystko zginęło z oczu, i cały świat, i sama pamięć o nim, aż przepadli całkiem w zapamiętaniu, jakoby we śnie nieprzypomnianym, a jeno przez dusze wiedzianym, jakoby w tym śnie cudownym, śnionym na jawie tam, w Kłębowej izbie, przed chwilą zaledwie, że tonęli jeszcze w świetlistej smudze cichych, mistycznych powiadań, że jeszcze pełni byli dziwów i zjaw onych, że jeszcze te prześnione baśniowe moce otrząsały na ich dusze cudowny okwiat oczarowań, trwóg świętych, zdumień najgłębszych, uniesień i nieutulonych tęsknic!

Byli spowici jeszcze w czarodziejską tęczę cudów i marzeń, że płynęli jakby z korowodem tych dziwów, wywołanych przed chwilą, przez baśniowe kraje szli, nawskróś tych scen nadludzkich, wszystkich stawań, wszystkich cudów, przez najgłębsze

kręgi zdumień i oczarowań. Jawy kołysały się w cieniach, po niebie błądziły, wyrastały z każdym spojrzeniem oczu, przez serca płynęły, aż chwilami przytajali oddechy, zamierali z trwogi, i przywarci do siebie, oniemieli, zalekli, wpatrywali się w bezdenną, skłębioną głąb marzenia, aż rozkwitały im dusze w kwiat zdumień, w prześwięty kwiat wiary i modlitewnych uniesień, że padali na samo dno podziwu i niepamięci.

A potem, powracając do przytomności, długo błędzili oczyma zdumionemi po nocy, nie wiedząc dobrze, zali są jeszcze między żywe, zali w nich się stawały te cuda, zali nie sen to wszystko, nie omanienie!...

— Nie bojasz się Jaguś, co?

— Dyć bym za tobą poszła w cały świat, na śmierć! — szepnęła z mocą, tuląc się do niego zapamiętale...

— Czekaeś to na mnie? — zapytał po chwili.

— Jakże! Kto ino w sienie wszedł, to aż me podrywało... potem przeciech jeno poszła do Kłębów... po to... myślałam, że się nie doczekam...

— A kiej wszedłem, to udałaś, że mnie nie widzisz...

— Głupi... miałam patrzeć, żeby co pomiarkowali! ale mę tak w dołku ścisnęło, że dziw nie spadłam ze stołka... ażem wodę piła na strzeżwienie...

— Najmilejsza moja!...

— Siedziaeś z tyłu, czułam ale bojałam się

popatrzeć na ciebie, bojałam się zagadać... a serce to mi się tak tłukło, tak kołatało, że ludzie musieli słyszeć... Jezus! o małym nie krzykała z kurentności!...

— Miarkowałem, że cię u Kłębów zastanę i razem wyjdziemy...

— Do dom chciałam bieżyć a zniewoliłeś...

— Nie chciałaś to Jaguś, co?...

— Hale... nieraz myślałam, bych się tak stało... nieraz...

— Myślałaś tak! Myślałaś! — szeptał namiętnie.

— Zaśby nie Jantoś! a ciągiem, ciągiem... Tam za przełazem nie dobrze...

— Prawda... tutaj nikto nas nie spłoszy... Sami jesteśmy...

— Sami!... i taka ciemnica... i... — szeptała, rzucając mu się na szyję i obejmując go ze wszystkiej mocy szalu i miłości...

.

Nie wiało już na polach, jeno czasami wiatер przegarniał miękkim powiewem i, kieby tymi pieszczącymi szeptami, przechładzał rozpalone twarze. Nie było gwiazd jarzących ni księżyca, niebo wisiało nízko, skłębione brudnemi i poszarpanemi ruinami chmur, kieby to stado wołów burych zaległo puste i nagie ugory, a dale majaczyły jakoby przez szare, rozwleczone dymy, że świat cały zdał się utkany z mgieł, drgającej wszędy ciemności i wzburzonego mętu.

Głęboki, niepokojący a ledwie odczuty szmer drgał w powietrzu, płynął jakby od borów zatopionych w nocy, albo od chmur, z tych dzikich rozpadlin, z których raz po raz wyfrwały stada białych obłoków, uciekających chyżo, kieby klucze wiosennego ptactwa, gonione przez jastrzębie.

Noc była ciemna i boleśnie wzburzona, głucha a pełna dziwnego ruchu, pełna lęku, niepochwytanych drgań, trwożnych szmerów, przyczajonych zjaw i nagłych stawań rzeczy niewytłómaczonych a przerażających; czasami, z nagłą, z pod zwałów ciemnicy wybyskiwały widmowe bladeści śniegów, to jakieś lodowe, wilgotnawe, ropiące brzaski pełzały w węzowych skrętach wkrós cieniów, to znowu noc jakby zawierała powieki, mroki spadały czarną, nieprzeniknioną ulewą, i świat cały przepadał, że oczy, nie mogąc się uchwycić niczego, zsuwały się bezsilnie w samą głąb przerażenia, i dusza drętwiała, przywalona głuchą martwością grobu, a chwilami rozdzierały się przysłony cieniów, pękały jakby gromem rozprute, i przez straszliwe rozpadliny chmur widać było w głębokościach granatowe pola uwięźdzonego, cichego nieba.

To znowu z pół czy od chałup, z nieba czy z zatopionych dali, nie wiada zgoła skąd, drgały rozprysłe, pełzające, jakby głosy, jakby blaski, jakby echa jakieś zgubione, widma dźwięków i rzeczy dawno pomarłych, a błędzących po świecie,

płynęły żalonym korowodem i ginęły niewiadomo gdzie, jak te pomarłe światłości gwiazdne.

Ale oni oślepli na wszystko, burza się w nich zerwała i rosła, wzmagając się co mgnienie, przewalała się z serca do serca potokiem palących a niewypowiedzianych żądź, błyskawicowych spojrzeń, bolesnych drzeń, niepokojów nagłych, całunków parzących, słów splątanych, bezładnych a olśniewających, niby dzikie mioty piorunów, oniemień śmiertelnych, tkliwości, a takiego czaru zarazem, że dusili się w uściskach, rozgniatali do bólu, darli się wprost pazurami, jakby chcąc wyrwać z siebie wnętrznosci i skąpać się w rozkoszach męki, a przesłonięte bielkami oczy nie widziały już nic, nawet samych siebie.

I porwani miłosną wichurą, oślepli na wszystko, oszaleli, wyzbyci z pamięci, stopieni z sobą jako dwie żagwie płonące, nieśli się w tę noc nieprzejrzaną w pustkę i głuchą samotność, by oddawać się sobie na śmierć, do dna dusz, pożeranych wieczystym głodem trwania...

Nie mogli już mówić, tylko nieprzytomne krzyki rwały się im gdziesik aż z samych trzewiów, tylko szepty zduszone, porwane a strzeliste jak wytryski ognia, słowa błędne i opite szaleństwem, spojrzenia żrące do szpiku — spojrzenia struchlałe obłąkaniem — spojrzenia huraganów walących na siebie aż przejął ich taki straszny dygot żądzy, że zwarli się z dzikim skowytem i padli... nieprzytomni zgoła...

Świat się wszystek zakołował i runął wraz
z niemi w ogniste przepaście...

. ,

- Już me rozum odchodził...
- Nie krzycz... cicho Jaguś...
- Kiej muszę... wścieknę się abo co!
- Dziw mi serce nie rozpęknie!
- Spalę się... loboga puść... daj odzipnąć...

. ,

- O Jezu... bo zamrę... o Jezu!...
- We świecie jedyna...
- Jantoś! Jantoś!...

.

...Jako te soki, żywiące skryto pod ziemią, bu-
dzą się o wiosnie każdej, rozprężają nieśmiertelną
żądzą, prą do się przez zwały świata, z krańców
ziemi płyną, niebami kołują, aż się odnajdą, prze-
padną w sobie i świętej w tajemnicy poczną, bych
się potem stać zdumionym oczom: wiosnianą porą,
albo kwiatem, duszą człowieczą lebo poszumem
drzewin zielonych...

Takci i oni parli do siebie przez długie tęsknice,
przez dnie udręki, przez szare, długie, puste dnie,
aż się odnaleźli i z jednakim, niezmożonym krzy-
kiem pożądań padali sobie w ramiona, zwierając
się tak potężnie, jako te sosny, gdy je burza wy-
rwie i zdruzgotane rzuci na siebie, że obejmują
się rozpacznie, mocą wszystką i w śmiertelnem
wzmaganiu kolebią się, szamocą, chwieją, nim spo-
łem w lutą śmierć upadną...

A osłaniała ich noc i oprzędła, bych się stało
co przeznaczone...

.
Kuropatwy zaczęły się skrzykiwać gdzieś w ciemnościach, a tak blisko, że słychać było idące całe stado; rozlegał się szybki szelest, jakby skrzydeł podnoszonych do lotu i bijących o śniegi, to oddzielne, cierpkie głosy rozdzierały ciszę, a od wsi, snadź niedalekiej, zrywały się przyduszone a mocne piania kogutów.

— Późno już... — szepnęła trwożnie.

— Jeszcze daleko do północks, pieją ano na odmianę.

— Odwilga będzie.

— Juści, śnieg zamiękł.

Zające gdzieś blisko, jakby za kamionką, pod którą siedzieli, zaczęły beczeć, przeganiać się i gzić, kieby na weselisku, aż całą gromadą przeleciały obok nich, że odskoczyli z przerażeniem.

— Parzą się juchy i tak ślepną, że na człowieka nie baczą. Na zwiesnę idzie.

— Myślałam, że jakiś zwierz dziki...

— Cicho-no, przykucnij! — szepnął zalekłym głosem.

Przywarli do kamionki w milczeniu. Z rozbielonej śniegowymi brzaskami ciemności, jęły się wynurzać jakieś cienie długie i pełzające... posuwały się wolno... chyłkiem, to znikwały całkiem, jakby się pod ziemią zapadły, że ino oczy świeciły, kieby te świętojańskie robaczki w gęstwinie;

było może o pół staja zaledwie od nich, przewlekły się wnet i całkiem zginęły w ciemnicy, aż nagle rozległ się krótki, bolesny, śmiertelny bek zajęczy, potem ostry tupot, wrzawa charczeń, kołtowanina jakaś przerażająca, chrupot miażdżonych kości, groźny warkot, i znowu milczenie głębokie a niepokojące zaległo dookoła.

— Wilki ozdarły zajęczka.

— Że to nas nie wytropiły!

— Od wiatru siedzim, to i nie zwąchały.

— Bojam się... chodźmy już... ziąb mnie przejmuję... — wstrząsnęła się.

Ogarnął ją sobą i rozgrzewał takimi całunkami, aż oboje wnet zabaczyli o całym świecie, objęli się krzepko w pas i poszli jakąś dróżką, która się im sama nawinęła pod nogi; szli, kołysząc się ciężko, ruchem drzew pokrytych nadmiarem kwiatów i kolebiących się cicho w pszczelnym brzęku...

Milczeli a jeno szmer pocałunków, wzdychów, namiętne pokrzyki, głuchy warkot upojeń radosne bicie serc, okryły ich jakoby drgającym żarem pół wiosnianych: byli jako te okwiecone wiosną rozłogi, zatopione w świetlistym porbrzęku radości; boć tak samo rozkwitały im oczy, tak samo dyszeli upalnym tchnieniem pół rozprężonych w słonecznej pożodze, drzeniem traw rosnących, drganiem i pobłyskiem strumieni, słumionym krzykiem ptaków; serca tętniały w jedno z tą ziemią świętą, a spoirzenia padały kieby ten ciężki,

rodny okwiat jabłonkowy, a słowa ciche, rzadkie, ważne, wytryskiwały z samego rdzenia duszy, niby olśniewające pędy drzew w majowe świty, a oddechy były jak te wiewy pieszczące młodą run, a dusze jako ten dzień wiośniany, rozśłoneczniony, jako te zboża w słup idące, pełne skowronkowych świergotów, blasków, poszumów, lśniącej zieleni i niezmóżonej radości istnienia...

To milkli z nagłą i przystawali, zapadając w ciemnościach jakiegoś przepadania, jak kiedy chmura przysłoni słońce i świat zcichnie, omroczy się i w żałości a lęku przepada na mgnienie...

Ale wnet podnosili się z oniemień, radość buchała w nich pożarem, weselny ton rozbrzmiewał w duszach, uskrzydlał mocą takiego szczęścia i tak rwał do podniebnego lotu, że ni wiedząc wybuchali namiętnym, nieprzytomnym zgoła śpiewem...

Kołysali się w takt głosów, co zdały się bić tęczoweni skrzydłami i gwiezdny, rozpalonym wytryskiem dźwięków rozsypywały się w noc zmartwiałą i pustą.

Nie wiedzieli już nic, szli przywarci do się, a bezwolni, zgubieni w sobie a nie pamiętliwi pijani jeno tą nadludzką mocą czucia, co ich nieśła w nadświaty i rwała się pieśnią bezładną, splątana, bez słów prawie.

...Pieśń dzika i wzburzona płynęła rwącym potokiem z serc wezbranych i biła we świat wszystkich zwycięskim krzykiem miłości...

...i jako krzew ognisty płonął w chaosie mroków i nocnego mętu...

...to była chwilami jakby ciężkim, druzgocącym warkotem wód, zrywających lodowe okowy...

...ledwie dosłyszalnym, brzękliwym a słodkim poszumem dzwoniła, niby fala zbóż kołyszących się w słońcu.

...pękały złote łańcuchy brzemień, rozsypywały się na wiatr, i ordzawiały, wlekły się ciężko po zagonach, że były jeno krzykami nocy, czasem szlochem bezsilnym, wołaniem sierocem, głosem zaguby i lęku...

...i w grobowej cichości umierały.

Ale po chwili, jak ptaki wystraszone zrywały się ku słońcu szalonym lotem, serca nadbrzmiewały taką potęgą wzlotu i zagubienia się we wszystkim, że wybuchali oślepiającym hymnem uniesienia, modlitewną pieśnią ziemi całej, nieśmiertelnym krzykiem istnienia.

.

— Jaguś! — szepnął zdumionym głosem, jakby spostrzegając ją przy sobie.

— Dyć to ja! — odparła jakoś łzawo i cicho.

Znaleźli się na dróżce, biegnącej wzdłuż wsi, za stodołami, ale już po Borynowej stronie.

Naraz Jagna zaczęła płakać.

— Co ci to?

— A bo to wiem?... a tak mię cosik spało, że się same łzy leją.

Zafrasował się wielce, przysiedli pod jakąś sto-

dołą na wystających węglach, przygarnął ją mocno i otoczył ramionami, że kieby dzieciątko przywarła mu do piersi, zapatrzyła się gdziesik w siebie, a lzy skapywały jej z oczu, jak ta rosa z kwiatów; obcierał je dłonią, to rękawem, ale wciąż płynęły...

— Boisz się?...

— Zaśby czego! jeno taka cichość we mnie rośnie, kieby śmierć przy mnie stała, a tak mnie cosik podrywa, tak ponosi, że tego nieba-bym się uwiesiła i z temi chmurami poniesła we świat.

Nie odrzekł, zamilkli oboje, przymrocząło w nich nagle, jakiś cień padł na duszę i zmacił jasne tonie i przeniknął dziwnie bolesną tęskliwością, że jeszcze barzej, rwali się do siebie, barzej szukali w sobie ostoj jakiejś, barzej przepierali przez się w jakiś upragniony świat...

Wiatr zawiął, drzewa zakołysały się twożnie, osypując ich mokrym śniegiem; chmury skłębione, ciężkie zaczęły się nagle rozpadać i uciekać w różne strony, a cichy, rozedrgany jęk powiał po śniegach.

— Trza bieżyć do dom, późno już — szepnęła, unosząc się nieco.

— Nie bój się, jeszcze spać nie śpią, słychać głosy na drodze, pewnikiem rozchodzą się od Kłębów.

— Cebratki zostawiłam przy dojeniu, jeszcze se kulasy krowy połamię.

Ucichli, bo jakieś głosy rozległy się bliżej

i przeszły; ale gdzieś z boku, jakby na tej samej dróżce, zaskrzypiał śnieg, i jakiś cień wysoki zamajaczył tak wyraźnie, że zerwali się na równe nogi.

— Ktosik tam jest... przyczał się jeno pod płotem.

— Uwidziało ci się... czasem za chmurą takie cienie idą.

Długo nasłuchiwali, rozpatrując ciemności.

— Chodźmy do broga, tam będzie ciszej! — szepnął gorąco.

Oglądali się trwożnie co chwilę, przystając z zapartym tchem i nasłuchując, ale cicho było naokół i martwo; podeszli więc chyłkiem, ostrożnie do brogu i wsunęli się w głęboki otwór, czerniejący tuż nad ziemią.

.
Pociemniało znowu na świecie, chmury się zwarły w gąszcz nieprzeniknioną, blade światłości pogasły, noc jakby przymknęła powieki i zapadła w głęboki sen, wiatr przemknął bez śladu, cisza wionęła jeszcze głębsza i bardziej niepokojąca, że słyszać było dygotanie drzew obwisłych pod śniegiem i daleki, daleki bełkot wody, spadającej na koła młyńskie, a po długiej chwili śnieg znowu zaskrzypiał na dróżce: dobrze już słyszać było ciche, ostrożne, jakby wilcze krok... Cień jakiś oderwał się od ścian i przygarbiony posuwał się po śniegach, był coraz bliżej, wyrastał, zatrzymywał się co мгновение i znowu szedł... skręcił za

bróg od pola, przyczołgał się prawie pod otwór i nasłuchiwał długo...

Potem przesunął się do przełazu i zniknął pod drzewami.

Nie wyszło i Zdrowaś, kiej się znowu pokazał, wlekąc za sobą wielgachną wiązkę słomy, przystanął na mgnieniu, posłuchał i skoczył do brogu, przytknął wiązką dziurę... trzasnęła zapałka, i ogień w mig rozbłysnął po słomie, zatrzepał się, tysiącem jęzorów błysnął i po chwili buchnął krwawą płachtą, ogarniając całą ścianę brogu...

Boryna zaś przygięty, straszny kiej trup, czatował z widłami w rękę.

. , . . .

Oni zaś wnet pomiarkowali co się dzieje: krwawe błyski jęły się przeciskać do środka i dym gryzący zapełnił jamę, porwali się z krzykiem, bijąc się o ściany, nie wiedząc wyjścia, oszaleli ze strachu, i ledwie co dychający, aż Antek cudem jakimś natrafił na przysłonę, wparł się całą mocą i razem z nią padł na ziemię, ale nim się porwał, stary runął na niego i przebódl widłami do ziemi, nie trafił dobrze, bo Antek się zerwał, i nim stary ponowił, trzasnął go pięściami w piersi i pognał w cały świat!

Rzucił się wtedy stary do brogu, ale już i Jagny nie było, jeno mu mignęła i przepadła w nocy, więc jął ryczeć oszalałym, nieprzytomnym zgoła głosem:

— Gore! gore! — i biegał z widłami dookoła

brogu, że kiej zły widział się w krwawym brza. sku, bo ogień objął już cały bróg i z szumem miotając się, sycząc, bił w górę okropnym słupem płomieni i dymów.

Ludzie zaczęli nadbiegać, krzyki poszły po wsi ktosik uderzył w dzwon, trwoga zaszarpała serca, a łuna rosła i pożar ognistą płachtą powiewał na wsze strony i pryskał deszczem iskier na zabudowania, na wieś całą.

XII.

Co się działo w Lipcach po onej nocy pamiętliwej, to i najpierwszemu głowaczowi nie łącno byłoby zapamiętać wszystko a opowiedzieć; tak się bowiem zakotłowało we wsi, jakoby w tem mrowisku, kiej w niem jaki niecnota kijaszkiem zagrzebie.

Ledwie rozedniało chyla tyla, i ludzie oczy z pomroki nocnej przetarli, a już każdemu było pilno na pogorzelsko, że niejeden pacierze jeszcze w drodze odmawiał, a pędem bieżał, kieby na ten jarmarek.

Dzień się był podniósł ciężki i tak przemglony, że choć już pora była na dużą jasność, a mro-
czało jeszcze, kieby na świtanu, śnieg bowiem jął walić mokremi płatami i przysłonił świat roztrzęsioną, szklistą i przemiękłą płachtą, ale nikto na pluchę nie zważał, schodzili się ze wszystkich stron i całemi godzinami wystawali, na pogorzelsku przedzając z cicha o wczorajszem, a strzygąc uszami, bych czego nowego dosłyszeć.

Gwar się też czynił niemały, bo coraz więcej nadciągało narodu, że kupy już stały w opłotkach, pełno było w podwórzu a już zgola ciżbą się gęstwili w podle brogu, że ino czerwieniało na śniegach od kobiecego przyodziewku.

Bróg był spalony do cna i porozwalany, że jeno dwa słupy sterczały z pogorzeli, opalone kiej głównie, na chlewach zaś i szopie, dachy pozrywano do samych zrębów i rozrzucono, że cała dróżka i pole wokoło, na jakie pół stajania, zaniezione były opalonem poszyciem, potrzaskanemi łatami, przepaloną słomą i napót zwęglonem drzewem i wszelką spalenizną.

Śnieg padał bez przerwy i zwolna pokrywał wszystko szklistą powłoką, a miejscami topniał od przytających żarów, a niekiedy z porozwalanych kup siana wytryskiwały strugi czarnego dymu i buchał blady, trzeszczący płomień, że wnet rzucali się nań chłopi z osękami, dusili trepami, bili kijami i przywalali śniegiem.

Właśnie byli rozwlekli taką roztłąką kupę, gdy któryś, bodaj chłopak Kłębów, wygarnął osękiem jakąś opaloną szmatę i podniósł wysoko.

— Jagusina zapaska! — wrzasnęła urągliwie Kozłowa, boć już dobrze wiadano, co się stało.

— Pogrzebta-no, chłopaki, może najdziela tam jeszcze jakie portki!...

— Hale! wyniósł je całe, tyle, że mógł zgubić na drodze.

— Dzieuchy już szukały, ktosik je uprzedził.

— Bych Hance odnieść — gadały, wybuchając śmiechem.

— Cichota, pyskacze, ale! na zabawę się zebrały i zęby będą szczerzyć z cudzego nieszczęścia! — krzyknął rozgniewany sołtys. — Do domu, baby! czego tu stoita? Jużęsta dosyś namelły ozorami — i rzucił się, by rozganiać.

— Zasie wam do nas! pilnujcie swojego, kiejście na to ustanowienil — krzyknęła Kozłowa tak mocno, że sołtys tylko popatrzył na nią, splunął i poszedł w podwórze, a nikt się nawet nie ruszył z miejca, baby zaś jęły sobie trepami podsuwać zapaskę, oglądać, a coś cicho i ze zgrozą opowiadać.

— Taką trzeba ze wsi wyświecić ożogiem, kiej czarownicę! — rzekła w głos Kobusowa.

— A przeciech! bez nią to wszystko! bez nią! — przygadywała Sikorzyna.

— Juścić, ale Pan Jezus strzegł, że cała wieś nie poszła z dymem! — szepnęła Sochowa.

— Bo i prawda, że cud, prawdziwy cud!

— Wiatru też nie było i wczas spostrzegli.

— A ktosik w dzwon uderzył, bo wieś była w pierwszym śpiku.

— Pono to niedźwiedniki szły z karczmy i pierwsze zobaczyły.

— Moiściewy! ale ich sam Boryna złapał w brogu i tyle co rozegnał, a tu ogień zaraz buchnął. Miarkowałam wczoraj u Kłębów, że coś będzie, skoro razem się wynieśli.

— Pono już dawno stróżował za niemi.

— Jakże! powiadał mój chłopak, że wczoraj cały czas chodził po drodze przed Kłębową chałupą i miał ich na oku — prawila pod nosem Kobusowa.

— To też widno, co bez złości Antek podpalił.

— A bo się to nie odgrażał?

— Cała wieś o tem wiedziała.

— Musiało się na tem skończyć, musiało! — dogadywała Kozłowa.

A w drugiej grupie starszych gospodyń szep-tano również różności, jeno tyle, że ciszej i ważniej.

— Stary pono tak zbił Jagnę, że leży chora u matki... wiecie to?...

— Jakże! zaraz do dnia, powiadali, wygnać ją, skrzynkę za nią wyrzucił i wszystkie szmaty — dorzuciła milcząca dotąd Balcerkowa.

— Nie powiadajcie byle czego, byłam dopiero co w chałupie, skrzynka stoi na swoim miejscu — objaśniała Płoszkowa.

— Ale już na weselu przepowiadałam, że się tak skończy — podjęła głośniej.

— Co się dzieje, mój Jezus! co się dzieje! — jęknęła Sochowa, chwytając się za głowę.

— Ano co, do kreminálu go wezmą i tyła!

— Sprawiedliwie mu się to należy: cała wieś mogła pogorzeć!

— A tom już spała w najlepsze, a tu Łuka, co latał z niedźwiednikami, bębni w okno i krzyczy: «Gore!» Jezus Marya! w oknach czerwono,

jakoby kto żarzewiem szyby obwalił, to mi już ze strachu całkiem moc odjeno... a tu dzwon bije... ludzie krzyczą... opowiadała Płoszkowa.

— Skoro jeno powiedzieli, że Boryna się pali, zaraz mnie tknęło, że to Antkowa sprawa, — przerwała jej któraś.

— Cichocie, powiedacie, jakbyście na oczy widzieli.

— Widzieć nie widziałam, ale skoro tak wszystkie powiadają...

— Jeszcze w zapusty bąkała o tem tu i owdzie Jagustynka...

— Ani chybi, wezmą go w dybki i posadzą w kreminalę.

— Co mu ta zrobić? widział to kto? są na to świadki? co — zauważyła Balcerkowa, że to procesownica była sielna i na prawie się znała.

— A nie złapał go to stary?...

— Złapał, ale na czem innem, a choćby i widział podpalenie, świadczyć nie może, bo oćiec i w złości z sobą żyli.

— Sądów to sprawa, nie nasza, ale kto winowaty przed Bogiem i ludźmi, jeśli nie ta suka, Jagna? co? — podniosła znowu surowy głos Balcerkowa.

— Prawda! Juści! takie zbereżeństwo, taki grzech! — szeptały ciszej, zbiły się w kupę i zaczęły jedna przez drugą wypominać jej grzechy.

Gadały coraz głośniejsze i coraz zawzięciej potępiały Jagnę, wygłaszały teraz wszystko, co ino

było i nie było, co ino która kiedybądź zasłyszała, abo i sama stworzyła na nią; wszystkie dawne urazy i zawiści zasyczały w duszach, że jako ten kamienny grad leciały na nią przezwiska, wymysły, odgróзки, złe i nienawistne słowa, wzbudzona złość, że gdyby się tak jawiła w tej chwili to ani chybi, z pięściami rzuciłyby się do niej.

Chłopi zaś w drugiej kupie poredzali spokojniej, ale nie mniej zawzięcie powstawali na Antka; gniew zwolna ogarniał wszystkie serca, wzburzenie głębokie, srogie kołysało tłumem, błyskało w oczach piorunami, że niejedna pięść się wyciągała groźnie, gotowa do spadnięcia, niejedno twarde słowo jak kamień zawarczało, że nawet Mateusz, któren go obraniał zrazu, dał spokój, a jeno wkońcu rzekł:

— Rozum mu odjąć musiało, jeśli się na taką rzecz ważył!

Ale na to skoczył rozsrożony kowal i jął przekładać gospodarzom, że Antek dawno się odgrażał podpaleniem, że stary już zdawna wiedział o tem i całemi nocami pilnował.

— A że on to zrobił, tobym przysiągł, a zresztą są świadki, zeznają i musi być kara na takich! musi! A bo to nie zmawiał się wciąż z parobkami, nie buntował to przeciw starszym, nie podmawiał do złego, wiem ci ja nawet z którymi, wiem, patrzę nawet na nich, słuchają mnie teraz i jeszcze śmiać bronić takiego! — wrzeszczał groźnie. — Zaraza z takiego na całą wieś płynie, zaraza, że do kre-

minału, na Sybir go, kijami zatłuc kiej psa wściekłego, bo nie dość obraży boskiej, żeby z rodziną macochą... A tu podpala jeszcze! Cud jeno, że cała wieś nie poszła! — wykrzykiwał namiętnie, snadź miał w tem jakieś wyrachowanie.

Zmiarkował to Rocho, stojący z Kłębem na uboczu, i rzekł:

— Mocno stajecie mu naprzeciw, choć wczoraj jeszcze piliście z nim w karczmie.

— Wróg mi kaźden, któren wieś całą mógł powieść na dziady!

— Ale dziedzic to wama nie wrogiem! — dorzucił poważnie Kłęb.

Zawrzeszczał ich, zakrzyczeli i insi, a kowal rzucał się między ludzi, podjudzał, do pomsty wzywał, niestworzone rzeczy wymyślał na niego, aż i naród dość już wzburzony zmacił się do dna i zakłębił, zaczęli głośno wołać, by przywieść podpalacza, skuć w kajdany i do urzędu powieść, a insi, gorętsi, już się oglądali za kijami i chcieli biec, wywlec go z chałupy i tak sprać, bych całe życie popamiętał!... najbarzejstawali ci, którym nieraz Antek zebra zrachował kijaszkiem...

Rejwach się podniósł, krzyki, klątwy, wygroźki i takie zamieszanie, że naród się skłębił i miotał jako ten gąszcz smagany, wichurą i jął się kolebać, bić kiej fala o płoty, przec ku wrótniom i na drogę przeciekać — próżno wójt skoczył uspokajać, próżno sołtys i co starsi przekładali i tłumaczyli, głosy ich ginęły w piekielnej wrzawie a oni

sami porwani przez pęd szli razem z innemi, nikt ani słuchał ni zważał na ich mowy, kuźden się rwał, rzucał, krzykał co mu sił starczyło, że kieby opętanie jakieś poniesło wszystkich wichurą pomsty...

Naraz Kozłowa jęła się przedzierać naprzód i krzyczeć w niebogłosy:

— Oboje winowaci, oboje przywlec i skarać na pogorzelisku...

Baby a zwłaszcza komornice i biedota wszystka wzięły wtór za nią i z krzykiem nieludzkim, rozczapierzone, nieprzytomne zgoła darły się pobok niej na czoło przez gęstwę rozwścieklonym, huczącym potokiem; podniósł się wrzask i pisk w wązkich opłotkach, boć wszyscy się naraz cisnęli, wszyscy krzyczeli, wszyscy trząchali pięściami, przepychali się z mocą, że jeno oczy błyszczały groźnie i splątana, dzika wrzawa biła od nich kiej bełkot wód wzburzonych, kiej ten głos gniewu powszechnego, co objął wszystkie serca płomieniem — tłoczyli się coraz mocniej i prędzej, gdy ci na przedzie idący jęli wołać:

— Książd z Panem Jezusem idzie! książd!

Tłum się zatargał jakby na uwięzi, zakołysał i runął na drogę, przystawał, rozpadał się na bryzgi zciszał aż i nagle przymilkł całkiem i upadł na kolana i pochylił obnażone głowy...

Książd bowiem nadchodził od kościoła z Panem Jezusem; Jambroży szedł z zapaloną latarnią na przedzie i przydzwaniał...

Przeszedł rychło, że widział się już jakoby za obmarzniętą szybą w tym gęstym, śniegowym тумanie — gdy zaczęli powstawać z klęczek.

— Do Filipki idzie, tak pono przemarzła wczoraj w boru, że już od świtania ledwie zipie, mówią co wieczora nie doczeka.

— Wzywali go też i do Bartka z tartaka...

— Zachorzał to?

— Jakże, nie wiecie? drzewo go tak przygnetło, że pewnie już nic z chłopca nie będzie... — szeptano, spoglądając za księdzem.

Kilka gospodyń ruszyło za nim w asyście i cała hurma chłopaków poleciała na przełaj przez stawka młynowi, reszta zaś stała bezradnie jak to stado owiec kiedy je znagła pies obgoni, gniew się gdzieś podział, ten pęd mocy prysnął, gwar umilkł, że rozglądali się po sobie jakby przecknięci z głębokiego snu, przestępowali z nogi na nogę, drapali się po łbach, coś niecoś przerzekali, a że niejednemu wstyd się robiło, to jeno spluwał, czapę naciskał i chyłkiem przebierał się z gromady, która kiej ta woda rozlewała się po drodze i gineła zwolna rozciekając się po opłotkach i chałupach. Kozłowa jedna mimo wszystko jazgotała głośno i wygrażający się Jagnie i Antkowi, ale widząc, że ją wszyscy odstąpili, nakłęła, by sobie ulżyć złości, skłóciła się z Rochem, któren jej słowa prawdy powiedział i poszła na wieś, że wkońcu ostało ludzi mało wiele, i ci, którzy czu-

wali nad pogorzela i strzegli by w razie odnowy ognia dać pomoc.

Ostał się w podwórzu i kował, ale tak zeżłony tem co się stało, że milczał, kręcił się niespokojnie, zaglądał po kątach i raz poraz przeganiał Łapę, któren wciąż za nim naszcze kiwał i docierał...

Boryna zaś nie pokazał się ani razu przez cały ten czas, powiadali, że zakopał się w pierzyny i śpi, jedna tylko Józka, z zapuchłemi od płaczów oczami wyzierała przed chałupę na naród i kryła się z nawrotem, że sama Jagustynka obrządzała gospodarstwo, ale i stara była dzisiaj kiej osa kąśliwa i nieprzystępna jak nigdy, że bali się jej pytać, bo tak odpowiadała, iż jakby kto pokrzyw polizał.

Zaś o samem południu przyjechał pisarz ze strażnikami i jęli opisywać pogorzel i badać przyczyny pożaru, to juści, że i reszta narodu rozpierzchnęła się na wsze strony, bych czasem nie pociągnęli do świadczenia.

Drogi z nagłą opustoszały prawie całkiem, prawda, że i śnieg walił bezustannie, a nawet jeszcze mokrzejszy, bo nim tknął ziemi, topniał i grząską młaką pokrywał wszystko, w chałupach natomiast wrzało kieby w ulach, bo w Lipcach tego dnia, zrobiło się jakoby święto niespodziane, mało kto co robił i pamiętał o czem, że gdzieś niegdzie, krowy ryczały przy pustych żłobach, a jeno radzono wszędzie, często ktoś się przemę-

kał z chałupy do chałupy, baby latały z ozorami, nowiny krążyły kiej wrony z komina do komina, a w oknach i przed drzwiami, to w opłotkach wyzierały rozciekawione twarze czekające, czy też Antka powiezą strażniki!

Ciekawość i zniecierpliwienie rosło z godziny na godzinę, a niewiada było nic pewnego, bo co trochę ktosik wpadał zziąjany i powiedział, że już do Antka poszli, drudzy zaś przysięgali, że strażników pobił, wyrwał się z więzów i w cały świat poszedł, a insi zasię znowu co innego pletli.

To zaś ino było prawdą, że Witek latał do karczmy po gorzałkę i że z komina Borynowego sielnie się kurzyło, miarkowali z tego, co jakąś warzę la strażników narządzają.

A już pod sam wieczór przejechała wójtowa bryka z pisarzem i strażnikami, ale bez Antka!

Zdumienie i rozczarowanie zawodu ogarnęło wieś, boć wszyscy byli pewni, że go zakutego w kajdany powiezą do kreminału, próżno się głowili, a deliberowali co stary zeznał do protokołu, wiedział jeno o tem wójt i sołtys, ale ci niechcieli nic powiadać, więc ciekawość wzrosła niepomiernie i snuły się przypuszczenia coraz insze i zgoła niepodobne do wiary...

Noc się zwolna zrobiła ciemna i dość cicha, śnieg był przestał padać i brało jakby na przymrówek, bo choć chmurzyska bure przeganiały po niebie, ale gdzie niegdzie, w przerwach wysokich, błysnęła gwiazda wyiskrzona i ostry powiew ści-

skął zdziebko rozmiękle śniegi, że chrupały pod nogami, po chałupach błyskały światła i ludzie kupiąc się po ciasnych izbach, przed ogniskami, uspokajali się po całodziennych wzruszeniach, nie przestając jednak snuć domysłów i przypuszczeń!

Bo juścić materyi nie brakowało, jeśli bowiem Antka nie zabrali, to nie on spalił, więc kto? — Nie Jagna przecież; niktby temu wiary nie dał, nie stary; taka myśl ani powstała komu w głowie!

Błądzili przeto kieby poomacku nie mogąc w żaden sposób znaleźć wyjścia z męczącej zagadki... We wszystkich chałupach gadali o tem a niktó prawdy się nie dowiedział, tyle jeno z tych deliberacyi wyszło, że gniew do Antka przeszedł, zmiłkli nawet jego wrogowie, a przyjaciele jak Mateusz podnieśli znowu obronne głosy, ale natomiast wzniesła się sroga niechęć ku Jagnie i dochodziła aż do zgrozy strasznego, śmiertelnego grzechu. Kobiety ją ano wzięły na ozory i tak przewlekały między sobą, że jakby po tych ostrych cierniach, nie ostawiając całego nawet ni kawałka skóry! Dostało się przy tem i Dominikowej niemało, dostało... a jeszcze i barzej ciskały się na nią w złości, że niktó niewiedział co się z Jagną dzieje, bo stara odpędzała ciekawych od proga, kieby tych psów naprzykrzonych.

Ale jedno co zgodnie i jednako wszyscy czuli, to głębokie współczucie dla Hanki, nad którą się szczerze litowano i żałowano serdecznie, a nawet Kłębowa i Sikora zaraz z wieczora poszły do

niej z dobrym słowem, wzięwszy coś niecoś w węzelki.

Tak ano przeszedł on dzień na długo pamiętliwy, nazajutrz zaś, wszystko powróciło do dawnego, ciekawość przygasła, gniewy ostygły, wzburzenie się uciszyło i opadło, kuźden znowu wrócił do swojej koleiny, pochylił głowę pod jarzmem i niósł dolę, jak Pan Bóg przykazał — bez szemrania i z cierpliwością.

Juścić, że gadano tu i owdzie o tych zdarzeniach, ale coraz rzadziej i płoniej, bo każdemu bliższe są i pierwsze własne troski a frasunki, jakie dzień każdy z osobna przynosi.

Przyszedł marzec i nastały czasy zgoła niedowytężenia, dnie były ciemne, smutne i tak przejęte pluchą, deszczami, to śniegiem mokrym, że trudno się było wychylić za chałupę, słońce jakby się gdzieś zatraciło w tych niskich, zielonawych topielach chmur, że nawet i na to oczówmgnienie nie rozbłyskało — śniegi zwolna topniały albo podmiękłe, sflażone zieleniły się od pluchy kiej pleśnią obrosłe, woda stała w bruzdach i zatapiała niziny i obejścia, nocami zaś brały przymrózki, że trudno się było utrzymać na olodowaciałych drogach i przejściach.

Przez taki psi czas, prędzej i zapomniano o pożarze, ile że ni Boryna, ni Antek, ni Jagna nie drażnili sobą ludzkich oczów, to wpadli w niepamięć, jako ten kamień na dno, że jeno woda cza-

sami zgurbi się nad nim, zmarszczy, połamie, rozkolesi, zaszemrze i znowu płynie spokojnie.

Tak przeszło dni parę aż do ostatniego, zapustnego wtorku.

Że zaś ostatki były półświątkiem, więc już od samego rana nie mały ruch uczynił się po chałupach, bo przyogarniano nieco izby, a z każdego prawie domu ktosik pojechał do miasteczka za różnościami, głównie zaś po mięso albo choćby po ten kawał kiełbasy lub sperki, jeno biedota musiała się kuntentować śledziem wziętym na bóróg od żyda i ziemniakami ze solą.

U bogaczy, to już od samego południa smażono pączki, że mimo pluchy po całej wsi rozwłóczyły się zapachy przepalonego szmalcu, prażonych mięsów i jensze, barzej jeszcze jątrzące ślinę smaki.

Niedźwiedniki włóczyły się znowu od chałupy do chałupy ze swoimi cudakami, że wciąż a coraz w innej stronie, buchały wrzawliwe głosy chłopaków.

Wieczorem zaś, po kolacyi, zrobili muzykę w karczmie, na którą kto żyw i ruchał nogami, pospieszył, nie bacząc na deszcz ze śniegiem, jaki zaraz od zmierzchu padał.

Zabawiano się ze wszystkiego serca, ile że to ostatni raz przed wielkim postem. Mateusz grał na skrzypicy, do wtóru mu przebierał na fliciku Pietrek, Borynów parobek, a przybębniał Jasiek Przewrotny.

Hulano ochotnie jak mało kiedy i do późna, do tela póki dzwon na kościele nie uderzył na znak, że to już północ i zapustom koniec; wnet zmilkły muzyczne głosy, zaprzestano tańców, dopito spiesznie flach i kieliszków i naród się cicho rozchodził, że ostał jeno Jambroży niezgorzej napity, bo swoim zwyczajem jął przed karczmą wyśpiewywać.

Tylko w chałupie Dominikowej błyszczało światło do późna, powiadali, że do drugich kurów, bo siedział tam ano wójt ze sołtysem i zgodę czynili między Jagną a Boryną...

Wież już dawno spała, cichość objęła świat, bo deszcz jakoś z północkska ustał, a oni jeszcze radzi...

.

Jeno w Antkowym domu nie było cichości, ni spokojnego spiku, ni wesołych ostatków.

Co się tam działo w Hanczynej duszy przez te długie dnie i noce, od tej minuty gdy ją w czas pożaru spotkał przed chałupą i siłą przyniewolił do powrotu, to chyba jeden Pan Bóg wie, ale tego żadne ludzkie słowo nie wypomni.

Juści, że jeszcze tej samej nocy dowiedziała się wszystkiego od Weronki.

To zamarła w niej dusza od męki i leżała jako ten trup nagi, śmiercią swoją okropny. Przez pierwsze dwa dni prawie się nie ruszała od pręślicy, prząść nie przędła, a jeno ruchała bezwolnie rękami jako ten człowiek we śpiączce śmiertelnej, zapatrzona pustym, wyżartym wzrokiem w siebie,

w te lute wieje smutków, w te żalosne odměty łez palących, krzywd i niesprawiedliwości, że ni spała przez ten czas, ni jadła, ni wiedziała dobrze co się wokoło dzieje, nawet płaczów dziecińskich nie pomna ni siebie, aż ulitowała się nad nią Weronka i zajęła się dziećmi i starym, któren na dobitkę, zachorzał po tem chodzeniu do lasu i leżał na przypiecku, postęgując z cicha.

Antka też jakby nie było, wychodził równo ze świtem a wracał późną nocą, nie bacząc na nią ni na dzieci, a zresztą nie mogła się przemódz choćby na to jedno słowo do niego, nie poredziła, tak zapiekłą miała duszę z żalości i jakby na kamień stężała.

Dopiero trzeciego dnia, jakoś przebudziła się; przecknęła jakby ze snu strasznego, ale tak zmieniona, że kieby zgoła inna podniosła się z tej martwicy, twarz miała szarą, popielną zgoła, porytą zmarszczkami, postarzała o lata, a tak przystygła, że jakoby ją kto z drzewa wyrzezał, jeno oczy gorzały bystro a sucho, i usta zacinały się mocno, opadła przytem do cna z ciała, że szmaty wisały na niej kiej na kołku.

Powstała znowu do życia, ale i na wnątrzu przemieniona, bo choć dawną duszę miała jakby zetloną na proch, to w sercu poczuła jakąś dziwną, nieodczuwaną dawniej moc, nieustępliwą siłę życia i walki, hardą pewnośc, że przemoże i weźmie górę nad wszystkim.

Przypadła zaraz do dzieci popłakujących żalo-

śnie, ogarnęła je sobą i dziw nie zadusiła w całunkach i wraz z niemi buchnęła długim, słodkim płaczem, to jej dopiero ulżyło i powróciło całkiem do pamięci.

Uporządkowała prędko izbę i poszła do Weronki dziękować za dobre serce i przepraszać za dawne winy, zgoda wnet nastąpiła, nie dziwiła się temu siostra, a jeno tego nie mogła zmiarkować, że Hanka się nie skarżyła na Antka, nie pomstowała, nie wyrzekała na dołę, nie, jakby te rzeczy umarły dawno i padły w niepamięć, tyle, co wkońcu powiedziała twardo:

— Tak się teraz czuję, kiej wdowa, to juści, że już sama muszę się poturbować o dzieciach i o wszystkim.

— I wkrótce jeszcze tego dnia na odwieczерzu poszła na wieś do Kłębów i inszych znajomków, bych się przewidzieć, co się tam z Boryną dzieje... boć dobrze zapamiętała jego słowa wyrzeczone wtedy, przy rozstaniu.

Ale nie poszła zaraz do niego, przeczekala jeszcze dni parę, wagowała się bowiem nawijać mu się przed oczy tak prędko po wszystkim.

Dopiero we wstępną środę, w Popielec, nie zykując nawet śniadania, ogarnęła się jak mogła najlepiej, dzieci dała pod Weronczyną opiekę i zabierała się do wyjścia.

— Kąj się to zbierasz tak rano? — zapytał Antek.

— Do kościoła, Popielec dzisiaj — odrzekła niechętnie i wymijająco.

— Nie sporządzisz to śniadania?

— Idź se do karczmy, żyd ci jeszcze pobor-guje — wyrwało się jej niechcący.

Skoczył na równe nogi kieby go kto kijem zdzielił, ale nie zważając na to, wyszła.

Nie bojała się już teraz krzyków jego ni złości, jakby obcym a tak dalekim się jej widział, aż się sama temu dziwowała, a choć czasami drgało w niej cosik, jakby ostatni płomyk dawnego miłowania, niby to zarzewie przywalone smutkami i rozdeptane, gasiła je w sobie z rozmysłem, siłą przypominków tych nieprzebolanych nigdy krzywd.

Akuratnie i ludzie wychodzili do kościoła, gdy skreśliła na topolową drogę.

Dzień się zrobił dziwnie jasny i pogodny, słońce świeciło od samego wschodu, nocny, tęgi przymrozek jeszcze się był nie roztopił w odwil-dze, ze strzech kapało sznurami lśniących paciorków, a zlodowaciałe wody po drogach i rowach świeciły się kiej lustra, oszroniałe zaś drzewa roziskrzyły się w słońcu, płonęły i kieby tą srebrną przedzą leciały na ziemię; czyste, niebieskie niebo pełne mlecznych, małych chmur, grało w słońcu jako rozkwitły lnowy łąn, gdy weń stado owiec wpadnie i tak się weprze, że ledwie im białe grzbiety widać, powietrze przeciągało czyste, mro-żne a tak rzeźwe, iż człek z lubością niem dychał. Poweselał cały świat, lśniły się kałuże i mieniły

się złotymi brzaskami wyszklone śniegi, po drogach dzieci ślizgały się zawzięcie i pokrzykiwały radośnie, gdzie niegdzie zaś, staruch jaki wystawał pod ścianą na słońcu, psy nawet naszczekiwały radośnie, przeganiając stada wron włóczących się za żerem — a cudna, przesłoneczniona roztocz zalewała cały świat pogodną jasnością i prawie wiosnianem ciepłem.

W kościele natomiast owionął Hanke przejmujący chłód i głębokie, modlitewne milczenie, msza cicha już się odprawiała przed wielkim ołtarzem, naród w pobożnym skupieniu, rozmodlony zalegał gęstwą środkową nawę zalaną potokami światła, a wciąż jeszcze nadchodzili opóźnieni.

Ale Hanka nie cisnęła się do ludzi, poszła w boczna nawę pustą całkiem i tak mroczną, że jeno gdzie niegdzie żółciły się złocenia o lodowych, skąpych smugach światła, chciała ostać sam na sam z duszą własną i Bogiem, przyklękła przed ołtarzem Wniebowzięcia, pocałowała ziemię, rozłożyła ręce i wpatrzona w słodką twarz Matki litościwej zatopiła się w modlitwie.

Tutaj dopiero wybuchnęła żalami, u tych świętych nóżek Pocieszycielki, złożyła przekrwioną ranami duszę w pokorze najgłębszej a dufności bezgranicznej i czyniła spowiedź serdeczną. Przed Matką i Panią całego narodu kajała się z win wszelkich, bo jużcić, grzeszną była, skoro ją tak Pan Jezus pokarał, grzeszna!

«A to nieuzyczliwa la drugich, a to wynosząca

ię nad inne, a kłótniwa, a niechluj, a to lubiła i zjeść dobrze, i polenić się, a to w służbie Bożej opieszła — grzeszną była» — krzyczała w sobie rozpalonym, opłyniętym krwią żalem skruchy, że dziw jej serce nie pękło i błagała o zmiłowanie, za Antkowe ciężkie grzechy i przewiny, żebrała miłosierdzia i tłukła się w serdecznej prośbie, jako ten ptaszek co przed śmiercią ucieka i bije skrzydełkami w szyby, trzepocze się, piuka żałośnie bych go zratowali...

Płacz nią wstrząsał i przepalał żar prośb i błagań, z duszy jakby raną otwartą płynął strumień modłów i płakań, co się kiej te krwawe perły rozsuszały po zimnej podłodze.

Msza się skończyła i cały naród w skrusze, a często gęsto i z płakaniem przystępował do ołtarza, chyląc pokornie głowy pod popiół, którym ksiądz z głośną modlitwą pokutną posypywał przyklękających.

Hanka nie czekając końca tej popielcowej uroczystości, wyszła na świat, wielce czując się wzmożoną na siłach i dufna już całkiem w pomoc Bożą.

Z podniesioną głową odpowiadała na ludzkie pozdrowienia i szła wśród spojrzeń ciekawych nieulekła, śmiało zaś choć ze drżeniem skręciła w Borynowe opłotki.

Mój Boże, tylachna czasu nogą tutaj nie stąpiła, a jeno jako ten pies zawsze krążyła z dala i żałośnie, ogarniała też teraz kochającym wzrokiem dom i budynki, płoty i każde drzewko lśniące

w osędzielnie a tak pamiętliwe, jakby z jej serca wyrosło, z jej krwi było.

Roześmiała się jej dusza rozradowaniem, że gotowa była całować tę ziemię świętą, a ledwo wstąpiła przed ganek, Łapa się doń rzucił z takim skowytym radosnym, aż Józka wyrzała do sieni stając w zdumieniu, nie wierząc własnym oczom.

— Hanka! Loboga! Hanka!

— Jam ci, jam, nie poznajesz czy co? Ociec doma?

— Dyc są w chałupie, są... żeście to przyszli... Hanka!... — i rozplakało się dzieuszysko, całując ją po rękach kiej tę matkę rodzoną.

Stary zaś posłyszawszy głos, sam wyszedł naprzeciw i wprowadził do izby, do nóg mu padła z płaczem wzruszona jego widokiem i przypomnieniami bijącemi z każdego kąta tej chałupy kochanej. Rychło się utuliła, bo stary ją się wypytować o dzieci i ze współczuciem użalał się nad nią i jej zmizerowaniem, opowiadała wszystko nie tając niczego, wystraszona tylko zmianą jaka w nim zaszła, postarzał się bowiem bardzo, wychudł na wiór i pochylił mocno, twarz mu jeno ostała dawna, barzej jeszcze zacięta i groźna.

Rozmawiali długo, ani razu nie wypominając Antka ni Jagny, strzegli się oboje tykać tych bołączek nabrzmiałych, a gdy po jakiej godzinie, Hanka zabierała się do wyjścia, stary przykazał Józce naszykować w tobołki co ino było można, aż Witek musiał to wieźć na saneczkach, boby

sama nie udźwignęła, a jeszcze na odchodnem dał jej parę złotych na sól i rzekł:

— Przychodź-że częściej, choćby i codzień, niewiada co się ze mną stać może, to dawaj na dom baczenie, Józka ci krzywą nie jest.

Z tem i poszła, rozmyślając po drodze nad ojcowemi słowami, że nawet mało zwracała uwagi na opowiadanie Witka, którego jej szeptał, jako wójt ze sołtysem co dnia przychodzą i do zgody z Jagną nagłą starego, że nawet do dobrodzieja gospodarz chodził wraz z Dominikową, która wczoraj do późna w noc radziła ze starym, i tak plótł co ino wiedział, bych się jej przypochlebić.

W chałupie zastała jeszcze Antka, naprawiał sobie but pod oknem, nie spojrzał nawet na nią, a dopiero ujrawszy Witka i tobołki, ozwał się ze złością.

— Byłaś widzę po proszonym...

— Kiej zesłam na dziadówkę, to i z litości ludzkiej żyć muszę.

Gdy zaś Witek wyszedł, wybuchnął gniewem.

— Przykazywałem ci psiakrew, byś do ojca nie chodziła!

— Sam mnie przyzwał tom poszła, sam mnie opatrzył, tom wzięła, z głodu mrzec nie będę ni dzieciom nie dam, kiej ty o to nie stoisz!

— Odnies to zaraz, nie potrza mi nic od niego! — zakrzyczał.

— Ale mnie potrza i dzieciom.

— Mówię ci odnieś, abo sam mu odniesę

w gardziel wrażeń, niech się udusi swoją dobrością, słyszysz, bo za drzwi wszystko wyciepnę!

— Spróbuj ano, tknij choćby a obaczysz! — warknęła, chwytając za maglownicę, gotowa bronić do upadłego, tak groźna i rozjuszona, że cofnął się zmieszany tym oporem niespodziewanym.

— Tanio cię kupił, glonkiem chleba jak tego psa — mruknął ponuro.

— Jeszcześ taniej nas i siebie sprzedał, bo za Jagniną kieckę! — wykrzyknęła bez namysłu, że zwinął się jakby nożem pchnięty, ale Hanka jakby się naraz wściekła, zalały ją wspomnienia krzywd, że buchnęła nagłym, wezbranym potokiem wspominków, i żalów wiecznie tajonych, nie darowała mu już nic, nie przepomniała ani jednej przewiny, ani jednego zła a jeno biła w niego zapamiętałością kieby temi cepami, że bych mogła — zabiłaby na śmierć w tej minucie!...

Ułękł się jej rozwścieklenia, zatargało mu się cosik w piersiach, przychylił się i nie wiedział co rzec, złość go opadła i gorzki, gryzący wstyd tak mu zalał duszę, że chwycił czapkę i uciekł z chałupy.

Długo nie mógł pomiarkować co się jej stało, a jeno jak ten pies sponiewierany gnał gdzieś przed się, bez pamięci zgoła — jak zresztą co dnia...

Od owej strasznej chwili pożaru, wyrabiało się w nim cosik straszego, że jakoby się całkiem wściekł w sobie. Na robotę nie chodził, choć mły-

narz przysyłał po niego parę razy, ino wałęsał się po wsi, w karczmie przesiadywał i pił, snując coraz krwawsze zamysły pomsty i nie widząc już nic poza tem — iż go nawet nieobchodziły posądzienia o podpalenie ojca.

— Niech mi to do oczów któren powie, niech się waży! — powiedział Mateuszowi, w karczmie i na głos by ludzie słyszeli.

Sprzedał żydowi ostatnią jałówkę i przepijał ją z kompanami, bo stowarzyszył się z najgorszymi ze wsi, przystali do niego tacy, jak Bartek Koziół, Filip z za wody, Franek Młynarczyk i te, co najgorsze Gulbasowe wisielaki, które zawždy były pierwsze do wszelkiej rozpusty i ciągiem się po wsi wałęsały kiej wilki, upatrując coby się chycić dało i nieść żydowi na gorzałkę, ale jemu zarówno było jakie są, byle się jeno przy nim kompaniono, bo bakę mu świecili jak pieski w oczy naglądając, że choć czasem i pobił, ale półkwatěrki gęsto stawiał i ochraniał przed ludźmi.

Wyprawiali też społem takie brewerye po wsi, napastowania i bijatyki, że co dnia chodziły na nich skargi do wójta a nawet i przed dobrodzieja.

Przestrzegał go Mateusz ale nadarmo, próżno i Kłęb z czystego przyjacielstwa zaklinał by się ustatkował i do zguby nie szedł, próżno mu przekładał — Antek ani usłuchał, ni dał sobie co mówić, zapamiętywał się coraz barzej, jeszcze więcej pił i już się całej wsi odgrażał.

I tak się stulał w to jakieś zatralenie, kieby

z tego pagórka spadzistego, nie bacząc na nic ni na nikogo, a wieś nie przestała mieć na niego pilnego baczenia, bo choć o tem podpaleniu różnie różni powiadali, ale widząc co wyprawia, oburzali się coraz mocniej, a że przytem i kowal z cicha podjudzał, to zwolna odstręczali się nawet dawni przyjaciele, omijali go z dala, pierwsi głośno powstając na niego — juści, nie stojał o to, pomstą zaślepiony, boć tem jeno dychał, rozdmuchując ją w sobie niby zarzewie bych płomieniem buchnęło.

A do tego, jak na złość wszystkim z Jagną nie zaprzestał, kochanie go tam do niej ciągnęło czy co innego, Bóg ta wie — w Dominikowej stodołę się schodzili, juści, że skryto przed matką, tyle że im Szymek pomagał ochotnie, pewny za to Antkowej pomocy przy ożenku z Nastką.

Jaguś wychodziła do niego niechętnie, pod strachem zawdy, bo jakby w niej do cna struchlało kochanie po mężowych basałykach, od czego nosiła jeszcze bolące ślady, ale zarówno bojała się Antka, gdyż zapowiedział groźnie, że jeśli nie wyjdzie do niego na każde zawołanie, to on w biały dzień, przy wszystkich, przyjdzie do chałupy i spierze ją jeszcze lepiej od Boryny.

Juści, kto przez kogo zgrzeszy, temu się do niego nie spieszy, ale że groźbą niewolił, to wychodziła rada nierada.

Nie długo to jednak trwało, bo jakoś zaraz we czwartek popielcowy, przyleciał do karczmy Szymek, odciągnął go w kąt i powiedział, że do-

piero co Jagnę pogodzili ze starym i już się do niego przenięła.

Jakby go kłonicą zdzielił przez ciemienie tak go zamroczyła ta nowina, boć wczoraj jeszcze o zmierzchu widział się z nią i ani słówkiem nie wspomniała.

— Ta!ta przedemną! — pomyślał, jakby mu kto żywego ognia nasypał w serce, że ledwie się doczekał wieczora i pobiegł.

Długo krążył koło ojcowej chałupy, naglądał i wyczekiwał przy przełazie, nawet się nie pokazała, tak się tem rozjątrzył i uzuchwalił, że wyrwał jakiś kołek i wszedł w obejście, gotowy na wszystko, zdecydowany iść choćby do chałupy — już był na ganku i nawet za klamkę brał, ale w ostatniej chwili odrzuciło go cosik od drzwi, przypomnienie ojcowej twarzy stanęło mu w oczach z taką mocą, że cofnął się strwożony, zadygotał cały z przerażenia, nie mógł się przemódz, a ino cicho, strachliwie, chyłkiem poniósł się z nawrotem.

Nie mógł potem zrozumieć czego się ulęknął, co się z nim stało, zupełnie jak wtedy nad stawem.

Ale i dni następnych nie mógł się z nią zobaczyć, choć całe wieczory wystawał przy przełazie i czaił się jak wilk.

Nie spotkał jej nawet w niedzielę, choć długo czatował przed kościołem.

Umyślił przeto iść na nieszpory, pewny, że ją tam spotka i znajdzie jakiś sposób pomówienia.

Spóźnił się nieco, bo nieszpory już się zaczęły,

kościół był pełny a tak mroczny, że jeno pod sklepieniami szarzały resztki dnia, dołem zaś, w ciemnościach, gdzieniegdzie rozłatałych płomieniem stoczków, mrowił się naród i warkotał kiej rzeka, kołysząc się ku wielkiemu ołtarzowi rzęście oświetlonemu, przepchał się aż do kraty i rozglądał nieznacznie, ale nie dojrzał Jagny ni nikogo od ojca, natomiast często łapał ciekawe spojrzenia wlepione w siebie i czuł, że zwracają baczenie, bo ktoś niektoś poszeptywał do sąsiada, wskazując nań ukradkiem.

Śpiewali już gorzkie żale, boć to była pierwsza niedziela postu. Ksiądz ubrany w komżę siedział z boku ołtarza z książką w ręku i raz wraz spoglądał na niego surowo.

Organy huczały przejmująco a cały naród śpiewał w jeden głos, chwilami zaś urywały się głosy, zcichały organy i z chóru jakoby gdziesik z pod nieba, rozlegał się płaczliwy, urywany głos organisty, czytającego rozważania męki Pana Jezusowej.

Antek zaś nic nie słyszał, bo zwolna zapomniał po co przyszedł i gdzie jest, przejęły go te śpiewy na wskrós i osnuły pieszczoną, kołyszącą nutą, że dziwnie osłabł w sobie, senność go ogarniała i głęboka cisza, że zapadał i jakby leciał gdziesik, w jakąś światłość, a co oprzytomniał i stworzył oczy, spotykał się z oczami księdza, któren nań wciąż spoglądał, że to wyższy był nad drugie i już zdala widny, a tak świdrował, iż Antek odwracał ocię-

żałą głowę i znowu zapomniał o wszystkim, przecknął z nagła:

«Wisi na krzyżu Pan Stwórca nieba
Płakać za grzechy człowiecze trzeba».

Zahuczał kościół, że jakby z jednej, niepojętej jakiejś gardzieli, wyrwał się ten krzyk i buchnął taką żałosliwą mocą, takim przepłakany jękiem, aż mury się zatrzęsły, naród porwał się z klęcek, zakłębił i rozgrzmiał wszystkimi naraz głosami, duszą wszystką śpiewał i wszystkim płaczem pokutnym.

Prześpiewali a długo jeszcze po kościele tłukły się jęklive, bolesne echa i szmer łkań, westchnień i modłów gorących.

Nabożeństwo jeszcze się ciągnęło dość długo, ale już był do cna przytomny. Odszedł go śpik, a jeno jakiś ciężki, niezwalczony smutek czepił się duszy i tak ją rozpierał, że gdyby nie wstyd, nie zdzierzyłby tych łez, co się cisnęły do oczów, że już chciał wyjść nie czekając końca, gdy naraz organy umilkły, ksiądz stanął przed ołtarzem i zaczął wygłaszać naukę.

Ludzie zaczęli się pchać naprzód, że ani myśleć było o wyjściu, ruszyć się nawet nie mógł przyparty do kraty; cisza ogarnęła kościół, że każde słowo księdza słychać było wyraźnie. Opowiadał o Męce Jezusowej, a gdy skończył ją napominać grzesznych groźnie wytrząchając rękami a patrząc co trochę na Antka, któren wprost niego

stojął, jeno niżej nieco i nie mógł oderwać oczów kieby przykuty i urzeczony pałającami spojrzemianami księdza..

W skupionej i zasłuchanej gęstwie już się zrywały płacze, już gdzie niegdzie żalne westchnienie się rozległo, to święte słowo Jezus, zabrzmiało jękiem, a ksiądz mówił coraz mocniej i groźniej, rósł zda się w oczach wszystkich, olbrzymiał, błyskawice rzucał oczami, wznosił ręce i słowa jego padały na głowy kiej kamienie i jako rozpalone żelazo przypiekały serca — bo jął smagać a wypominać przewiny wszystkie i zdrożności, jakich się dopuszczali; a zakwardziałość w grzechach; niepamięć przykazań Bożych i one klótnie wieczne, bijatyki, pijaństwa — mówił zaś tak gorąco, że zatrzęśły się dusze w udręce grzeszności swojej, rozplakały się żalami wszystkie serca i kieby deszcz rosisty zaszemrały płacze i wzdychy pokutne — a ksiądz naraz pochylił się ku Antkowi i ogromnym głosem wołał o synach wyrodnym, o podpalaczach ojców rodzonych, o uwodzicielach i grzesznikach takich, których nie minie ogień wieczny ni kara ludzka.

Struchlał ci cały naród, przycichł raptem tając dech w piersiach, wszystkie oczy kiej ten grad piorunowy padły na Antka, boć rozumieli kogo ksiądz wypomina, a on stał wyprostowany, pobladły na płótno i ledwie dychający, gdyż te słowa leciały na niego z hukiem jakby cały kościół się walił, obejrzał się jeno jakby za ratunkiem, ale

luz się robił dookoła, dojrzał zalękłe i groźne twarze, odsuwające się mimowoli kiej od zapowietrzonego, a ksiądz krzyczał już całym głosem i wyklinał go a do pokuty wzywał, a potem zwrócił się do całego narodu, wyciągnął ręce i wołał, bych się strzegli takiego zbója, bych się chronili przed takim, bych dawali takiemu odpawę od ognia, wody i jadła, od strzechy nawet by odganiałi jak parszywego grzechu, bo zaraża wszystko i kała, a gdy się nie poprawi, złego nie naprawi, pokutował nie będzie — to, by wyrwali go jak pokrzywę i precz wyrzucili na zatracenie.

Antek odwrócił się nagle i wolno szedł do wyjścia, ludzie mu się usuwali z drogi, że kieby ulicą z nagłą uczynioną przechodził, a głos księdza biegł za nim i smagał go do żywej krwi.

Jakiś krzyk rozpaczliwy zerwał się na kościele, ale nie słyszał jeno szedł prosto przed siebie, prędko by nie paść trupem z męki, by uciec z tych oczów szarpiących, od tego głosu strasznego.

Wypadł na drogę i ani wiedząc gdzie, poleciał w topolową drogę, ku lasom, przystawał chwilami zalękły i słuchał głosu, który mu wciąż brzmiał w uszach kiej dzwon i tak bił ciężko, że dziw głowa nie rozpękła.

Noc była ciemna i wietrzna, topole przyginały się z szumem, że niekiedy gałęź jakaś chłastała go po twarzy, to znowu przyciszało się i drobny przykry, marcowy deszcz zacinał w twarz, ale An-

tek nie zważał na nic, biegł jak błędny, a przerażony i pełen zgrozy niewypowiedzianej.

— Że już i gorzej być nie może! — szepnął wreszcie przystając. — Sprawiedliwie mówił! Sprawiedliwie!

— Jezus mój, Jezus! — ryknął naraz chwytając się za głowę, bo w tym momencie jakby przejrzał i zrozumiał winy swoje i grzechy, że wstyd wprost nieludzki zaszarpał mu duszą i ozrywał ją na kawały.

Pod jakimś drzewem siedział długo, zapatrzony w noc i zasłuchany w cichą, trwożliwą i straszną jakąś gęźbę drzew.

— Przez niego wszystko, przez niego! — począł krzyczeć i ogarnęło go jakby szaleństwo gniewu i nienawiści, wstały wszystkie żale dawne i wszystkie dzikie zmysły pomsty skłębiły się w nim i przewalały, jak te chmury pędzące po niebie.

— Niedaruję! Niedaruję! — zawyła w nim dawna zapamiętałość, że ostro ruszył z powrotem do wsi.

Kościół był już zamknięty, w chałupach się świeciło a po drogach tu i owdzie, spotykał ludzi stojących kupkami i radzących cosik mimo deszczu i zimna.

Poszedł do karczmy, dojrzał przez okno, że jest tam sporo ludzi, ale się nie zawahał i wszedł ostro i jakby nigdy nic, przystąpił do największej kupy i chciał się witać ze znajomkami; któryś mu

tam rękę podał, ale reszta odsunęła się żywo na wsze strony i spiesźnie zaczęli wychodzić.

Nim się spostrzegł, został prawie sam w karczmie; dziad jakiś siedział przed kominem i żyd za szynkwasem.

Zrozumiał, że to on rozgonił wszystkich, ale połknął i to i kazał dać wódki, jeno że postawił niedopity kieliszek i spiesźnie wyszedł.

Łaził błędnie dookoła stawu i spoglądał z uwagą na pręgi światła, co chlustały gdzieniegdzie z okien na śnieg przemienły i lśniły się we wodzie pokrywającej lód.

Zmiał znowu w sobie i niewypowiedziana ciężkość zwała mu się na sercu, poczuł się tak samotnym, zbiedzonym i nieszczęśliwym, taką potrzebę czuł wyżalenia się i wejścia między ludzi, posiedzenia choćby przed jakim ogniem, że do pierwszej z brzoza chałupy poszedł do Płoszków.

Byli wszyscy, ale na jego wejście porwali się zestraszeni, nawet Stacho nie wiedział co rzec.

— Jakbym zarznął kogo, tak patrzycie! — rzekł cicho i poszedł do drugich do Balcerków, ale i ci przyjęli go lodowato, bąkali coś niecoś a nikt nawet przysiąść nie zapraszał.

Zajrzał jeszcze tu i owdzie, wszędzie było to samo.

Więc jakby dla próby ostatniej by sobie nie oszczędzić żadnej boleści i upokorzenia poszedł do Mateusza, nie było go doma, jeno stara Gołę-

bowa, prosto z miejsca, wywarła na niego pysk, skłęta i jak tego psa przegoniła z chałupy.

Ani słówkiem nie odrzekł, ni się gniewem zapalił, odeszła go bowiem wszelka złość i pomiarkowanie co się z nim dzieje. Powlókł się wolno w noc, obchodził staw, to przystawał gdzieś niegdzie i patrzył na wieś, zatopioną w mrokach znaczącą się jeno światełkami okien, patrzył zdumiony jakby ją po raz pierwszy widział, otaczała go dookoła przywartemi do ziemi chałupami, zagradzała go zewsząd, że jakby ruszyć się nie mógł i wyrwać z tych płotów i sadów i świateł. Nie mógł się pomiarkować, czuł jeno, że jakaś moc nieprzeparta bierze go za gardziel i do ziemi przygina, do jarzma nakłania i przejmuje niewytłumaczonym strachem.

Z głęboką trwogą spozierał na rozbłyśte okna, bo mu się wydało, że go stróżują, że patrzą za nim i nieprzerwanym łańcuchem idą na niego, ścisną i wiążą w pęta, że już ruchać się nie mógł, ni krzyczeć, ni uciekać, więc przywarł pod jakimś drzewem i zmacony do dna słuchał, że od Jomów, z cieniów wszystkich, z pól, z pod samego nieba, spadają nań srogie, potępienia słowa i cały naród idzie na niego.

— Sprawiedliwie! Sprawiedliwie! — szeptał z najgłębszą pokorą, pełnią serca skruszonego, strachem śmiertelnym przejęty i tą mocą wsi potężną.

Światła zwolna gasły jedno po drugim, wieś

usypiała, deszcz jeno mżył i trzepał w pochylone drzewa, a czasem pies gdziesik zaszczeł i cichość przerażająca ogarniała świat, gdy Antek oprzytomniał zupełnie i porwał się na nogi.

— Sprawiedliwie mówił... swoją prawdę powiadał... ale ja mojego nie daruję... żebyś skąpał nie daruję psiakrew!...

Krzyknął zapamiętałe, wygrażając pięściami wsi całej i wszystkiemu światu!...

Nacisnął czapkę i poszedł do karczmy.

XIII.

Na zwiesnę się miało; ciągiem nieprzerwanym szły już te rozkisie dnie marcowe, że czas się ano uczynił zgoła psi, rozmiękły, zimny i przemglony; co dnia padały deszcze ze śniegiem, co dnia szły takie wycinki a flagi, iż na świat wyjrzeć było nie sposób; co dnia, brudne, skołtunione ciemnice tłukły się po polach i tak przyduszały wszelką światłość, że posępne, ciężkie zmierzchy wisały nad ziemią od świtu do nocy, zaś niekiedy, jeśli z burz topieli wyjrzało słońce, to ledwie na to zdrowaś, że nim dusza pocieszyła się jasnością i kości poczuły ciepło — już nowe mroki się roztrzęsały nad światem, nowe wichry zawodziły, nowe pluchy i flagi szły aż dzień się niejeden widział jako ten psiak utyłłany, błotem ociekły i z zimna skamlący.

Matyjasiło się to narodowi, że i nie wypowiedzieć, tem się jeno każdy krzepił a pocieszał, bych jeszcze jaką niedzielę wstrzymać abo i dwie i zwiesna całkiem przemoże i na wszystko zapłaci, ale tymczasowie flażyło ciągiem nie do wytrzy-

mania, przeciekało przez dachy, kajś niekaj zaci-
nało przez ściany i okna, lało ze wszystkich stron,
że już nie można było sobie dać rady z wodą,
walała bowiem z pól, pełno jej było po rowach,
a drogi lśkniły się kiej te potoki bystre, zatapiała
opłotki i stała grząskiem i sadzawkami w obejściach
a że zaś śnieg co dnia barzej topniał i szły cią-
głe deszcze, ziemia prędko odmarzała i puszczały
lody, to już miejscami po stronie przypołudniowej,
czyniło się takie błocko, iż musieli kłaść przed cha-
łupami deski albo mościć przejścia słomą.

Noce zaś tak samo były ciężkie do zniesienia,
hurkotliwe, zadeszczone i tak ciemnicami przejęte,
że się już nieraz widziało, jakoby na wieki poga-
sły wszelkie światłości; nawet z wieczora mało.
w której chałupie zapalali ognie, chodzili spać
o zmierzchu tak się czas przykrzył, tyle jeno, co
tam, gdzie zbierały się prządki, jaśniały szybki
i brzęczały z cicha prześpiwywane Gorzkie Żale
i drugie pieśni żałosne o męce Pańskiej, a wtó-
rował im wiatr, deszcze i szum drzewin tłukących
się o płoty.

To i niedziwota, że Lipce jakby przepadły
w tych roztopach, boć ledwie ano mógł rozeznąć
chałupy od pól przemiękłych i zadeszczonego
świata, ledwie je dojrzał w tych mglistkach bu-
rych, przywarte do ziemi, obmokłe, poczerniałe
i do cna zbiedzone, a co już pola, sady, drogi
i niebo, to jedną topielą siną się widziały, że nie
wiada było zgola kaj jej początek a kędy koniec.

Ziąb przytem był przykry i do żywego przejmujący to i mało kiedy dojrzał kogo na drogach, deszcz jeno trzepał, wiatry przemiałały, drzewiny się trzęsły i smutek wiał światem całym, pustka była na okół i cichość w całej wsi jakby wymarłej, tyle jeno były żywych głosów, co tam jakieś bydlatko zaryczało przy pustym żłobie, to kury zapiały od czasu do czasu albo gąsiorzy odsadzone od gęsi siedzących na jajach, rozkrzykiwały po podwórcach.

A że dni były coraz dłuższe, to i barzej się mierziło ludziom, bo nikto roboty żadnej nie miał, paru robiło na tartaku, paru zwoziło z lasu drzewo dla młynarza, a reszta wałęsała się po chałupach, wysiadawała w sąsiedztwach bych jakoś ten dzień się przewłókł — a jaki taki co starowniejszy, brał się narządzać pługi, to brony lub inszy sprzęt gospodarski sposobił na zwiesnę, do roli przydatny, jeno niesporo to szło i ciężko, bo wszystkim za równo dokuczały pluchy i frasunki przejmowały serca; oziminy bowiem srodze cierpiały od tych wycinków, że już miejscami na niższych polach, widziały się do cna wymarżłe, to niejednemu kończyła się pasza i głód zaglądał do obór, gdzie znów ziemniaki pokazały się przemrożone, owdzie choroby zagnieżdżyły się w chałupie, a do wielu przednowek się dobierał.

Nie w jednej bo już w chałupie jeno raz w dzień warzyli jadło a sól za jedyną okrasę mieli — to i coraz częściej ciągnęli do młynarza brać ten jaki

korczyk na krwawy odrobek, bo zdierus był srogi a nikto gotowego grosza nie miał ni co wywieść do miasteczka, drudzy zasie to i do żyda do karczmy szli skamłąc bych ino na bórg dał tę szczyptę soli, jaką kwartę kaszy, albo i ten chleba bochenek!

Juści, koszula nie rządzi kiej brzuch błądzi.

A narodu potrzebującego było tyła, zarobków zaś żadnych i u nikogo, gospodarze sami nie mieli co robić, dziedzic jak się był zawział, że żadnemu Lipczakowi grosza zarobić w lesie nie da, tak i nie ustąpił mimo próśb, choć całą gromadą do niego chodzili, to juści, że i bieda u komorników i co biedniejszych gospodarzy robiła się taka, że do brze stojał niejeden i Bogu dziękował, jeśli miał choć ziemniaki ze solą i te gorzkie łzy za przypawę.

To juści, że z tych różnych różności rodziły się we wsi ciągłe biadania, swary, a kłótnie, a bijatyki, boć naród cierpiał, chodził strapiony, niepewny jutra, struty niepokojem, że jeno szukał okazji bych na drugich wyrzucić z nawiązką to, co go na wnątrzu jadło — toć i bez to aż się chałupy trzęsły od plotek, kłyźnień, a przemówień.

A kieby na tę przykładkę dyabelską, zwaliły się choroby różne na wieś, jak to zresztą zwyczajnie bywa przed zwiesną, w niezdrowy czas, kiej wapory smrodliwe biją z tającej ziemi, to i najpierwej spadła ospica kiej ten jastrząb na gą-

sięta i dusiła dzieciątka, biorąc kajś niekaj i starsze, że nawet dwoje wójtowych, najmłodszych, nie odratowały sprowadzone dochtory i powieźli je na cmętarz, potem zaś febry i gorączki, to insze choróbska zwały się na starszych, iż co drugi dom ktosik kwękał, na księżą oborę patrzył i zmiłowania Pańskiego wyglądał — aż Dominikowa nie mogła nastarczyć lekować, a że przytem i krowy zaczęły się celić i niektóra kobieta też zległa, to rwetes we wsi stawał coraz większy i zamieszanie jeszcze narastało.

Bez takie ano sprawy naród burzył się w sobie i coraz niecierpliwej wyglądał zwiesny, boć wszystkim się widziało, że niech jeno śniegi spłyną, ziemia odtaje i przeschnie, słońce przygrzeje bych można wyjść z pługiem na role, to i biedy a frasunki się skończą.

Ale wszystkim się widziało, że wiosna wolniej nadchodzi latoś niżli po drugie roki, bo wciąż lało i ziemia wolniej puszczała i wody leniwiej spływały, a co gorsza, że ano krowy jeszcze się nie leniły i włos mocno siedział, co znaczyło, że zima potrzyma dłużej.

Więc niech jeno nastała jaka godzina suchsza i słońce zaświeciło, roіło się zaraz przed chałupami, ludzie z zadartemi głowami tęskliwie przepatrywali niebo, wymiarkowując, żali to nie na dłuższą odmianę idzie, staruchy zaś wyłazili pod ściany nagrzewać struchlałe kości, a co było dzieci,

wszystkie biegały z wrzaskiem po drogach, kiej te żrebaki wypuszczone na pierwszą trawę.

I co w taki czas było radości, wesela, śmiechów!

Świat cały zajmował się płomieniami od słońca, gorzały światłością wody wszelkie, rowy były kiejby je kto roztopionem słońcem napełnił po brzegi, drogi zaś widziały się jakby z topionego złota uczynione, lody na stawie, przemyte deszczami pobłyskiwały jako ta misa cynowa, czar niawo, drzewa nawet skrzyły się od rosy nieobeschłej, a pola pobrużdzone strugami, leżały jeszcze oniemiałe, czarne, martwe a już jakby dychające ciepłem i wezbrane wiosną i pełne skrzeń i bełkotliwych głosów wód, a tu i owdzie, niestopione śniegi, jarzyły się ostrą białością, kiej te płótna rozciągnięte do blichu; niebo zmodrzało, odsłoniły się dale przymglone zdziebko jakby osnute pajęczynami, że oko szło na wskrós i leciało hen, na pola nieobjęte, na czarne linie wsi, na otoki borów, we świat ten cały dyszący radością, a powietrzem szły takie lube, wiosniane tchnienia, że w sercach człowieczych wstawał radosny krzyk, dusze się rwały, we świat ponosiło, że kuźdenby leciał w to słońce, jako te ptaki, co nadciągały gdziesik od wschodu i pływały się w czystym powietrzu; każdy rad wystawał przed domem i rad rozprawiał nawet z nieprzyjaciół.

Milknęły wtedy kłótnie, przygasały spory, dobrość przejmowała serca i wesołe pokrzyki leciały

po wsi, przepelniały domy radością i drżały święgotliwymi głosami w powietrzu ciepłym.

Wywierano na rozcież chałupy, odbijali okna by wpuścić do izb nieco powietrza, kobiety wylażyły na przyzby z kądzielami, nawet dzieciątka wynoszono w kołyskach na słońce, a z otwartych obór rozlegały się raz po raz tęskliwe poryki bydła, konie rżały rwiąc się z uzdzienic na świat, gęsi zaś uciekały z jaj i przekrzykiwały się z gęsiorami po sadach, koguty piały po płotach, a psy kiej oszalałe czekały po drogach, ganiając wraz z dziećmi po błocie.

Naród zaś postawał na opłotkach i mrużąc od blasków oczy, spozierał radośnie na wieś taplającą się w słońcu, że jeno szyby grały ogniami, kobiety rozprawiwały po sąsiedzku, przez sady, że głosy szły na całą wieś, powiedali sobie, że ktosik ano już słyszał skowronka, że i pliszki widzieli na topolowej drodze; to znowu któryś dojrzał na niebie, wysoko pod chmurami sznur dzikich gęsi, że wnet pół wsi wybiegło na drogę patrzeć, a inszy potem rozповідаł jako i boćki już spadły na łągach za młynem. Nie dawano temu wiary, boć dopiero marzec dobiegał do połowy! A któryś, bodaj Kłębowy chłopak, przyniósł pierwszą przylaszczkę i latał z nią po chałupach, że oglądali ów błady kwiatuszek z podziwem głębokim, bych te świętość największą i dziwowali się wielce!

Tak ano to ciepło zwodne czyniło, że się już ludziom widziało jako zwiesna się zaczyna, jako

wnet z pługami ruszą na pola, więc z trwogą tem większą spoglądano na chmurzące się z nagłą niebo, a ze smutkiem głębokim, gdy słońce się skryło i zimny wiatr powiał, brzaski pogasły, świat ściemniał i drobny deszcz począł mżyć!... A z wieczora mokry śnieg tak jął walić, że może w jakie dwa pacierze, przybielił znowu wieś całą i pola...

Wszystko powróciło do dawnego tak prędko, że w nowych dniach deszczów, wycinków i błotnej taplaniny, nie jednemu się widziało, jako tamte słoneczne godziny były jeno snem rychło prześpanym.

W takich to ano sprawach, radościach, smutkach a tęsknicach — przechodził czas narodowi, to juści niedziwota, że Antkowe sprawki, Borymowe pożycie czy tam jakie insze historye, abo śmiercie czyje i co drugiego, jako te kamienie padały na dno pamięci, boć każdy miał dosyć swego — że ledwie uradził.

A dnie przechodziły niepowstrzymanie, narastały kiej te wody płynące z morza wielgachnego że ani im początku ni końca wymiarkować, szły i szły, iż ledwie człowiek ozwar oczy, ledwie się obejrzał, ledwie coś niecoś wyrozumiał a już nowy zmrok, już noc, już nowe świtanie i dzień nowy i turbacye nowe i tak ano w kółko, bych się jeno woli Boskiej stało zadość!

Któregoś dnia, bodaj w samo półpoście, czas się zrobił jeszcze gorszy, niżli kiejindziej, bo chociaż jeno mżył drobny deszcz, ale ludzie czuli się

tak źle jak nigdy do tela, łazili po wsi kiej spętani, poglądając żałośnie na świat zatkany chmurzyskami tak gęsto, że dały się ano napęczniećmi brzuszyskami o drzewa. Smutno było, mokro, i zimno i tak mroczno na świecie, że płakać się ano chciało z tęskności niezmężonej, nikto się już dzisiaj nie kłócił i nie przemawiał, każdemu zarówno wszystko było, bo każdego jeno cichego kąta patrzył by ledz i o niczem nie baczyć.

Dzień był posępny jak to patrzenie chorego, co ledwie oczy rozewrze i coś niecoś rozpozna i znowu pada w mrok chorobny, bowiem ledwie przedzwonili południe, zmrozczało nagle, podniósł się głuchy wiatr i bił wraz z deszczem w poczerńnięte chałupy.

Na drogach było pusto i cicho od ludzi, tylko wiatr z szumem przemiał po błocie, to deszcz pluskał, jak kieby kto tem ziarnem ważnem ciepał na drzewiny roztrzęsione i poczerńnięte ściany, to znowu staw barował się ano z pękającymi lodami, bo raz po raz trzask się rozlegał i grochot i wody z krzykiem wychlustywały na wybrzeża.

W taki to dzień, jakoś na samem odwieczerzu, gruchnęła po wsi nowina, że dziedzic rąbie chłopski las.

Nikt temu zrazu wiary nie dawał, bo skoro dotela nie rąbał, to jakże, terazby, w połowie marca kiej ziemia odmarza i drzewa soki ciągnąć zaczynają, ciął będzie?

Szła juści w boru robota, ale kaźden wiedział, iż przy obróbce drzewa.

Jaki ta dziedzic był to był, ale za głupiego nikto go nie miał.

A jeno głupi w marcu spuszczałby budulec...

I nawet nie wiada kto taką nowinę rozgłosił, ale mimo to, zakotłowało we wsi, że ino drzwi trzaskały i błoto się otwierało pod trepami, tak biegali z tą wieścią po chałupach, przystawali z nią po drogach, schodzili się do karczmy medytować i żyda przepytać, ale żółtek jucha zapierał się i przysięgał, że nic nie wie, to już i gdzie niegdzie krzyki powstawały, i to złe słowo padało i lament babi się rozlegał, wzburzenie zaś rośło niepomniernie, niepokój, a złość i trwoga zarazem opanowywała naród cały.

Dopiero stary Kłab zarządził bych sprawdzić te nowinę i nie bacząc na pluchę, pchnął konno swoich chłopaków do lasu na zwiady!

Długo ich widać nie było z powrotem, nie było chałupy, żeby z niej ktosik nie wypatrywał pod las na dróżki, któredy pojechali, ale już i mrok dobry zapadł, a oni nie wrócili jeszcze, na wieś zaś całą padła cichość wzburzona i przez moc przytłumiana i groźna wielce, złością bowiem, kiej te dymy gryzące osnuwały duszę, bo chociaż jeszcze nikto wiary pełnej nie dawał, ale wszyscy byli pewni potwierdzenia tej wieści złowróźbnej, więc jaki taki jeno kłął, drzwiami trzaskał i szedł na drogę wygłądać, czy nie wracają...

Kozłowa zaś podjudzała naród co ino mogła, biegła ano z pyskiem i kaj jeno chcieli dać ucha, przytwardzała, zaklinając się na wszystkie świętości, jako na własne oczy sprawdziła, że już z dobre pół włóki chłopskiego wyboru wycieli, powołując się na Jagustynkę, z którą się była sielnie stowarzyszyła w ostatnich czasach, juści, że stara przytakiwała, wszystkiemu rada będąc wielce mętowi, a nazbierawszy przytem nowinków różnych po chałupach, poszła z niemi do Borynów.

Właśnie byli tam co ino zaświecili lampkę w izbie czeladnej, Józka z Witkiem obierali ziemniaki a Jaguś krzątała się kiele wieczorowych obrządków, stary zaś przyszedł nieco później, Jagustynka jęła mu wszystko opowiadać pilnie a z dobrą przykładką:

Nie ozwał się na to a jeno do Jagny rzekł:

— Weź łopatę i bieżyj pomódz Pietrkowi, trza wodę spuścić ze sadu, bo może wleźć do kopców... Ruszaj że się prędzej kiej mówię! — krzyknął.

Jagna cosik zamamrotała na przeciw, ale tak na nią srogo gembę wywarł, że w dyrdy pobiegła, on zaś sam również poszedł w podworze naglądać, że raz po raz rozlegał się jego gniewny głos w stajni, to w oborze, to przy kopcach, że aż w chałupie było słyhać...

— Cięgiem to taki sprzeciwny? — spytała stara zabierając się do zniecenia ognia.

— A cięgiem — odparła Józka, trwożnie nasłuchując.

Jakoż i tak było, bo ano od dnia pogodzenia się z żoną, na co tak rychło się zgodził aż się temu dziwowano, przemienił się do niepoznania. Zawždy był kwardy i nie łącno ustępliwy, ale teraz to już się zgoła na kamień przemienił. Jagnę do domu przyjął, niczego jej nie wymawiał, ale miał ją teraz zgoła za dziewczkę i tak ją też uważał i honorował. Nie pomogło jej przymilanie się, ni uroda, ni nawet złości, ni te rzekome dąsy i gniewy, którymi to kobiety chłopów wojują. Całkiem na to nie zważał, jakby mu obcą była a nie żoną ślubną, że nawet już nie baczył co ona wyrabia, choć dobrze pewnikiem wiedział o jej schodzeniach się z Antkiem.

Nie pilnował jej nawet i jakby całkiem nie stał o nią. Jakoś w parę dni po zgodzie pojechał do miasta i aż drugiego dnia powrócił, powiadali sobie we wsi na ucho, że u rejenta jakieś zapisy robił, a jensi jeszcze przebąkiwali z cicha, że pewnie zapis Jagusi odebrał. Juści, że nikto prawdy nie wiedział kromie Hanki, która w takich łaskach u ojca teraz była, że ze wszystkiem się przed nią zwierzał i radził, ale ona i tej pary z gemby nie puściła przed nikim, co dnia zaglądała do starego a dzieci, to już prawie nie wychodziły z chałupy, że nieraz i sypiały razem z dziadkiem, tak je bowiem miłował.

Boryna zaś jakby pozdrawiał od tej pory, chodził po dawnemu prosto i hardo na świat poglądał, jeno się tak ozeźlił w sobie, że o bele co

gniewem buchał i ciężki był ła wszystkim, prosto nie do wytrzymania, bo na czem swoją rękę położył, to juści, że do ziemi przygiąć się musiało i tak być jako chciał, a nie to fora ze dwora.

Juści, krzywdy nie czynił nikomu, ale też i dobrości społecznie nie posiewał, nie, dobrze to czuły sąsiady. Rządy wziął w swoje ręce i niepopuszczał ni na pacierz, komory pilnie strzegł a kieszeni jeszcze barzej, sam ano wszystko wydawał i srogo stróżował bych dobra nie marnowali, ła wszystkim w domu był twardy, ale już szczególnie dla Jagusi, boć nigdy tego użyczliwego słowa jej nie dał a tak napędzał do roboty kiej tego zwałkonionego konia i w niczem nie folgował, że i nie było dnia bez swarów, a często i gęsto rzemień bywał w robocie, albo i co twardiejsze, bo i w Jagnę wlaź jakiś zły i ciskał ją na przeciw.

Ulegać bowiem ulegała, niewolił ją, to i coź było począc, mężowy chleb, mężowa wola, ale na słowo przykre miała swoich dziesięć, na krzyk zaś kaźden podnosiła taki wrzask, takie piekło wyprawiała, że na całą wieś się roznosiło. Piekło też wrzało w chałupie ciągiem, jakby sobie oboje w niem upodobali, zmagając się we złości całą mocą do tela, kto kogo przeprze, a żadne ustąpić pierwsze nie chciało.

Próżno Dominikowa chciała łagodzić i zgodę sprzedaż między niemi, nie poredziła przemódz zawziętości, ni żalów, ni krzywd jakie im w sercach narastały.

Borynowe miłowanie przeszło jako ta łośńska zwieszna, o której nikto nie pamięta, a ostała się jeno żywa pamięć przeniewierstwa jej i krwawiący wstyd i luta, nie prześlagnana złość — w Jagnie się też dusza znacznie przemieniła, źle jej było, ciężko i tak przykro, że i niewypowiedzieć: win swoich jeszcze nie miarkowała a kary czuła boleśnej, niżli drugie kobiety, że to i serce miała barzej czujące i chowana była pieściwiej, i już w sobie była zgoła delikatniejsza od inszych.

Męczyła się też mój Jezus, męczyła!

Juści, że robiła staremu wszystko na złość, nie ustępowała bez musu, broniła się jak mogła, ale to jarzmo i tak coraz ciężej i boleśniej przyginało jej kark, a poratunku nie było znikąd. Ileż to razy chciała wrócić do matki — stara się niegodziła pogrążając jeszcze, że przez moc odeśle ją mężowi, na postronku...

To i cóż miała począć ze sobą? co? Kiej nie poredziła żyć jak drugie kobiety, co to i parobków se nie żałują i uciechy żadnej i rade znoszą domowe piekło, co dnia się bijają z chłopami i co dnia razem spać chodzą pogodzeni.

Nie, nie poredziła tego, mierzyło się jej życie coraz barzej i jakaś nieopowiedziana tęskność rozrastała się w duszy, wiedziała to za czem?

Za zło płaciła złem, prawda, ale w sobie była zestrachaua ciągiem, pokrzywdzona wielce i tak rozżalona, że nieraz przepłakała całe długie noce, aż poduszka była mokra, a nieraz te dnie swarów,

kłótni, tak się jej przykrzyły, iż była gotową uciekać choćby w cały świat.

Ale gdzie to pójdzie, dokąd?

Dookoła stał świat otwarty, ale tak straszny, tak nie przenikniony, tak obcy i głuchy, że zamierała w bojaźni! jako ten ptaszek, kiej go chłopaki przychwycą i pod garnczek wsadzą.

To i niedziwota, że z tego wszystkiego garnęła się do Antka, choć go miłowała jakby jeno ze strachu i rozpacz: bo wtedy po onej nocy strasznej, po ucieczce do matki, cosik pękło w niej i pomarło, że się już nie wyrывała do niego całą duszą jak przódzi, nie biegła na każde zawołanie z bijącym sercem a radością, a jeno szła jakby z musu niewolenia, a i bez to, że w chałupie źle było i nudno, a i bez to, że na złość staremu, a i bez to, iż się jej widziało, że wróci to dawne, wielkie miłowanie — ale na dnie głębokiem serca krzewił się zjadliwy kiej trutka żal do niego, iż to wszystko co ją spotyka, te smutki, zawody, to całe ciężkie życie, to przez niego; i ten jeszcze, boleśniejszy, cichszy i nigdy niewypowiadany żal, że on nie jest tym, jakiego w sobie umiłowała — dziki, szarpiący żal zawodu i rozczarowania. Przeciech się jej widział raniej jakimś inszym, takim, któren do nieba unosił umiłowaniem, zniewalał dobrością i był ponad wszystko na świecie najmilejszy, a tak różny od drugich, że zgola do nikogo niepodobien we wszystkim — a teraz widział się jej takim samym jak i drugie chłopcy, gorszym

nawet, bo się go barzej bojała, niżli Boryny, bo ją straszył ponurością swoją i cierpieniem, a przerażał zawziętością. Bojała się go, wydawał się jej dzikim i strasznym kiej ten zbój z lasów; jakże, sam ksiądz wypomniał go w kościele, wieś cała odstępiała, ludzie palcami wytykali jako tego najgorszego; biła od niego jakaś zgroza śmiertelnego grzechu, że nieraz słuchając jego głosu, zamierała z przerażenia, bo widziało się jej, że zły jest w nim i całe piekło dookoła; robiło się jej wtedy tak straszno w duszy, jak wtedy, gdy dobrodziej naród napomina i mękami straszy!

Ani jej nawet na myśl przyszło, że i ona winowata tych grzechów jego, gdzie zaś, jeśli czasem rozmyślała to jeno o jego odmienności, nie poredziła tak jasno kalkulować, ale czuła ją tylko mocno, że traciła coraz barzej serce do niego, iż sztywniała mu nieraz w ramionach jakby piorunem z nagłą rażona, pozwalala się brać, bo jakże opierać się takiemu smokowi... a przytem młoda przeciech była o krwie gorącej, mocna, a on dziw nie zduszał w uściskach, to mimo wszystko co myślała oddawała mu się również potężnie, tym rzutem ziemi spragnionej wiecznie ciepłych dżdżów i słońca, jeno że już ni razu dusza jej nie padała mu do nóg z onej uciechy niepowściągliwej, ni razu nie omraczało jej czucie takiego szczęścia, co to aż do proga śmierci z lubością wiedzie, ni razu nie zapamiętała się już do

cna, nie; myślała wtedy o domu, o robotach, i o tem, bych staremu co nowego na złość zrobić, a czasem, aby jak najprędzej ją puścił i poszedł sobie.

Właśnie teraz snuło się jej to wszystko po głowie, spuszczała wody od kopców na podwórze, robiła od niechcenia, z przykazu jeno, spoglądając pilnie za głosem starego i doszukując się go w podwórzu, Pietrek robił zawzięcie, że ino warczała gruda i błoto wyrzucane, a ona zaś chyba tyła, by jeno słychać było, że robi, a skoro stary poszedł do domu, naciągnęła zapaskę na głowę i ostrożnie przebrała się za przełaz, pod Płoszkową stodołę.

Już tam Antek był.

— Dyc czekam na cię z godzinę — szepnął z wymówką.

— Mogłeś nie czekać kiej ci było gdzieindziej potrza — burknęła niechętnie, rozglądając się dookoła, noc bowiem była dość widna, deszcz ustał, ino zimny, suchy wiatr pociągał od lasów i z szumem bił w sady.

Przygarnął ją do siebie mocno i zaczął całować po twarzy.

— Gorzałka jedzie od ciebie kiej z kufy! — szepnęła, odchylając się z obrzydzeniem.

— Bom pił, śmierdzi ci już moja gemb.

— Hale, o gorzałcem myślała jeno! — powiedziała miękciej i ciszej.

— Byłech i wczoraj, czemuś to nie wyszła?

— Ziab był taki a i roboty przeciek mam nie mało.

— Prawda a i starego też musisz pieścić i pierzyną przyokrywać — syknął.

— A przeciech, bo to nie mój chłop! — rzuciła twardo i niecierpliwie.

— Jagna nie drażnij!

— Kiej ci się nie podoba — nie przychódź, płakała po tobie nie będę.

— Przykrzy ci się już wychodzić do mnie, przykrzy...

— Jakże, bo ino na mnie ciągiem huru-buru, kiej na tego łyska...

— Baczysz mi to Jaguś, dyć mam swojego tyłachna, że i niedziwota, jak się człowiekowi wypśnie to jakie słowo twarde, nie przez złość przeciech, nie — szeptał pokornie i objawszy ją tulił do siebie serdecznie, ale sztywna była, zadąsana i jeśli oddała całunki to jakby z musu, i jeśli odrzekła to jakie słowo, to ino tak, by coś mówić, a ciągiem się rozglądała chcąc już wracać.

Czuł ci to dobrze, czuł, to jakby mu pokrzyw nakładli na pazuchę, tak to zapiekło, aż szepnął z wyrzutem bojaźliwym.

— Przódzi nie bywało ci tak pilno...

— Bojam się, wszyscy w chałupie, mogą mnie szukać...

— Juści, przódy to choćby na całą noc się nie bojałaś, przemieniłaś się do cna...

— Nie pleć, co się ta miałam przemienić...

Przymilkli, obejmując się mocno, czasem cisnęli się do się goręcej sprzągani nagłem pożą-

daniem, szukając ust swoich chciwie, porwani wspólną falą przypominków, poczuciem win czyrionych względem siebie, żalem nad sobą, litością, głębokiem pragnieniem utopienia się w sobie — ale nieporadzili, bo dusze odbiegały od siebie daleko, nie znajdowali słów pieszczonych i kojących, bo w sercach wrzały gorzkie urazy, tak żywe, iż bezwolnie rozplątały się im ramiona, chłodli do siebie i stali kiej te zimne słupy, że jeno serca biły im kołatliwie a na wargach plątały się słowa czułości i pocieszania, jakie chcieli sobie powiedzieć i nie poradzili.

— Miłujesz to mnie Jaguś? — szepnął cicho.

— A bo raz ci to powiadałam, abo nie wychodzę do cię kiej jeno chcesz... — odparła unikliwie, przysuwając się doń biodrem, bo żal jakiś ścisnął jej duszę i napełnił oczy łzami, że zachciało się jej płakać przed nim a przepraszać, że go już miłować nie poradzi, ale on to wnet pomiarkował, bo ten głos padł mu lodem na serce, aż się zarząsał cały z bólu i złość pełna wyrzutów i żalów niewstrzymanych zalała mu serce.

— Cyganisz jak ten pies; wszyscy mnie odstąpili, to i tobie pilno za drugiem. Miłujesz mnie, juści, jak tego psa złego, któren ugryźć może i przed którym ograć się trudno! juści! Przejrzałem cię na wylot, znam ja cię dobrze i wiem, bych mnie powiesić chcieli, pierwszabyś troków nie żałowała, bych ubić kamieniami, pierwszabyś rzuciła za mną — gadał prędko.

— Jantoś! — jęknęła przerażona.

— Cicho póki swoje powiedam — krzyknął groźnie, podnosząc pięście. — Prawdę powiadam. A kiej do tego przyszło, to mi już wszystko zarówno, wszystko!

— Trza mi lecieć, wołają mnie ano! — jąkała chcąc uciekać zestraszona wielce, ale ją przychwycił za rękę, że ni drgnąć nie mogła i chrypliwym, złym, pełnym nienawiści głosem gadał:

— A to ci jeszcze powiem, bo swoją głupią głową nie miarkujesz, że jeślim na takie psy zeszedł, to i bez ciebie, bez to, żem cię miłował, rozumiesz, bez to! Za cóż to mnie ksiądz wypomniał i wygnał z kościoła kiej zbója, za ciebie! Za cóż to wieś cała mnie odstąpiła kiej parszywego, za ciebie! Wycierzipiałem wszycko, przeniosłem, nawet i na to nie pomstowałem, że ci stary mojego, rodzzonego grontu zapisał tylachna... A tobie się już mierzi ze mną, wywijasz się kiej ten piskorz, cyganisz, uciekasz, bojasz się mnie i patrzysz na mnie jak wszystkie, kiej na tego mordownika i najgorszego!

— Innego ci już potrza, innego, radabyś bych parobki za tobą ganiały kiej te psy na zwiesnę, ty!... — krzyczał zapamiętałe i te wszystkie krzywdy, złościę jakimi się karmił od dawna, jakimi jeno żył, zwał na jej głowę, ją winił o wszystko, ją przeklinał za to, co przecierpiał, aż wkońcu brakło mu już głosu i taka go złość porwała, że rzucił się do niej z pięściami, ale opamiętał się w ostat-

niej chwili, pchnął ją tylko na ścianę i spiesźnie poszedł.

— Jezus mój, Jantoś! — krzyknęła z mocą zrozumiałwszy z nagła co się stało, ale nie nawrócił, rzuciła się za nim z rozpaczą, zabiegała drogę i czepiła mu się szyi, to ją oderwał od siebie kiej pijawkę, rzucił na ziemię i bez jednego słowa poleciał, a ona padła z płaczem okropnym jakby się świat cały nad nią zawałał.

Dopiero w dobre parę pacierzy przyszła nieco do siebie, nie mogąc jeszcze wyrozumieć wszystkiego, to jeno czuła okropnie, że stała się jej krzywda, stała się jej taka straszna niesprawiedliwość, iż serce rozpękało z bólu, dusiła się w sobie i chciało się jej krzyczeć ze wszystkich sił, na cały ten świat — jako niewinowata, niewinowata!

Wołała za nim choć już i kroki jego ucichły, wołała w całą tę noc — naopróżno.

Głęboka, ciężka skrucha i ten żal serdeczny, i ten strach głuchy, gnębiący, okropny, że może on już nie powróci i to miłowanie dawne z nagła zmartwychwstałe, zwały się na nią ciężkiem, twarde brzemieniem, nieutulonych smutków, że już i na nic nie bacząc, ryczała w głos idąc do chałupy...

Na ganku zetknęła się z Kłębiakiem, który jeno wsadził głowę do izby i krzyknął:

— Chłopski las rąbią! — i dalej poleciał.

Migiem ta wieść rozlała się po wsi, buchnęła

kiej pożar, ogarniając wszystkie serca strapieniem a gniewem srogim, że już drzwi się nie zamykały tak biegali po chałupach z nowiną.

Juści, rzecz była wielka dla wszystkich i tak groźna, że cała wieś przycichła z nagłą, jak kieby piorun uderzył, chodzili lękliwie, na palcach, gadali szeptem, ważąc każde słowo, rozglądając się trwożnie i nasłuchując czająco, nikto nie krzyczał, nikto nie lamentował i nikto pomstą nie trząchał, bo każdy czuł w tej minucie, że to nie przelewki a sprawa taka, na którą babie piski nie porządzą, a ino mądre pomyslenia i to społeczne postanowienie.

Wieczór już był późny, ale śpik wszystkich odleciał, niejedni kolacyi odbieżeli, zapominali o obrządkach wieczornych, zapominali zgoła o sobie, a jeno się snuli po drogach, wystawali w opłotkach, to nad stawem i szeptu ciche, trwożne, przytajone drgały w mroku kiej ten brzęk pszczelny.

Czas też był cichszy, deszcz przestał, pojawiało nawet dziebko, po niebie leciały chmurzyska stadami, a dołem, nisko przeciągał mroźny wiaterek, że ziemia jęła się ścinać w grudę i obmóknięte, czarne drzewa przybladły szroniejące, głosy zaś choć przyduszone szły wyraźniej.

Naraz się roznieśli, że poniektórzy gospodarze się zebrali i walą do wójta.

Jakoś przeszedł Winciorek z kulawym Grzelą; przeszedł Caban Michał z Frankiem Bylicą, stryjecznym Hanczynego ojca; przeszedł Socha; prze-

szedł Walek z krzywą gembą, Wachnik Józek, Sikora Kazimierz, a nawet stary Płoszka — jeno Boryny nikto nie dojrzał, ale mówili, że i on poszedł...

Wójta doma nie było, bo zaraz po południu pojechał do kancelaryi, to już wszystkie razem, całą kupą poszli do Kłęba, cisnęło się za nimi sporo ludzi, to bab, to dzieci, ale przywarli drzwi nikogo już nie puszczając do środka, Kłębiak zaś, Wojtek, miał przykazane naglądanie po drogach i przy karczmie, czy się gdzie strażnik nie pokaże...

Przed domem zaś, w opłotkach a nawet na drodze zbierało się coraz więcej narodu, każdy był ciekaw co tam starszyzna uradzi, a radzili długo, jeno że nikto nie wiedział co i jak? bo ino przez okna widać było ich siwe głowy w półkolu pochylone do komina na którym się palił ogień, a z boku stał Kłąb, cosik im prawił, pochylał się nisko i raz wraz bił pięścią w stół.

Niecierpliwość zaś rosła w czekających z minuty na minutę, aż wkońcu Kopus, to Kozłowa, to i parobki niektóre zaczęli szemrać i głośno powstawać na radzących, że nic nie uradzą dobrego la narodu, bo im jeno o samych siebie chodzi, jako gotowi się jeszcze z dworem pogodzić a resztę na zgubę podać...

Kopus się już był tak rozsierdził wraz z komornikami i drugą biedotą, że już otwarcie namawiał, by nie zważając na radzących, o sobie po-

myśleć, swoje uradzić, cosik postanowić a rychło, póki czas, póki tamte ich nie sprzedadzą...

Jawił się na to Mateusz i zaczął nawoływać do karczmy, by tam swobodnie poradzić, a nie jak te pieski pod cudzym płótem naszczekiwać...

Trafiło to do serca narodowi, bo całą hurmą ruszyli do karczmy.

Żyd już światła gasił, ale musiał otworzyć i z trwogą patrzył na walącą się ciżbę, wchodzili w milczeniu, spokojnie zajmując wszystkie ławy, stoły i kąty, nikto bowiem nie pił a jeno kupili się gęsto, poredzając z cicha i wyczekując, kto i z czem pierwszy wystąpi...

Nie brakowało skorych do pierwszeństwa, jeno że się jeszcze każdy wagował wystąpić i na drugich oglądał, aż dopiero Antek się wyrwał, na środek skoczył i ostro, z miejsca zaczął pomstować na dwór...

Ale choć wszystkim trafił prosto do serca, mało kto przytwierdzał, boczono się nań, patrzono zyzem, niechętnie, odwracano się nawet plecami, że to jeszcze zbyt żywo pamiętano księże wypo-minki a i te jego grzeszne sprawy, nie zważał na to, a że go wnet poniesła zapamiętałość i jakby dziki, bitkowy szal ogarniał, to z całej mocy krzy-
czał na końcu.

— Nie dajta się chłopci, nie ustępujta, nie darujta krzywdy! Dzisiaj wama wzięli las, a jak się bronić nie będziecie, to jutro gotowi są wyciągnąć

pazury po ziemię waszą, po chałupy, po dobytek! Któż im wzbronil! kto się im sprzeciwi!...

Poruszył się nagle naród, pomruk głuchy poszedł po izbie, tłum się zakołysał gwałtownie, rozbłysły dziko oczy, sto pięści naraz wyrwało się nad głowy i sto piersi ryknęło wraz, kieby piorunami...

— Nie damy! Nie damy! — huczeli aż się karczma zatrzęsała od mocy.

Nato i czekali przodownicy, bo wnet Mateusz, Kobus, to Kozłowa, to potem i drugie, rzucili się we środek i nuż krzyczeć, nuż pomstować a jędzić... że wnet karczmę zalał wrzask, groźby, przekleństwa, tupania, bicie pięściami w stoły i hukliwa, sroga wrzawa zagniewanego narodu.

Każdy wołał swoje, każdy się srożył, każdego co innego radził, że ciskali się zapamiętane, kiedy te pieski w sieniach przywarte, których nie ma kto na świat wypuścić i puszczać na nieprzyjaciół... To się i tumult srogi uczynił, krzyki i sprzeciwy, bo się naród ozeźlił i krzywdą swoją ostargał na wnątrzu, a na jedno zgodzić się nie mógł, bo nie było takiego, którenby swoją mocą wszystkich przeparał i do pomsty powiódł...

Kupami się zwierali a w każdej był jakowyś pyskacz, któren wrzeszczał najgłośniej i pomstował, zaś wskróś gąszczu uwijali się przodownicy, rzucając gdzie trzeba było to słowo ostre, że już wkońcu jeden drugiego nie słyszał, bo wszyscy ano wraz krzyczeli.

— Pół lasu położyli, a takie dęby, że w pięciu chłopa nie obejmie.

— Kłębiak widział, Kłębiak!

— Wytną i resztę, wytną, nie będą waju prosili o przyzwolenstwo! — skrzeczała Kozłowa, przeciskając się ku szynkwasowi.

— Zawdy naród krzywdzili jak ino mogli.

— Kiej takie głupie barany jezdeśta, to niech waju zapędzają kaj chcą...

— Nie dać się, nie dać! Gromadą iść, rozgonić, las odebrać!

— Zakatrupić krzywdzicieli!

— Zakatrupić! — wrzasnęli wraz i znowój pięście się podniosły groźnie, krzyk buchnął ogromny i tłum cały zawrzał nienawiścią a pomstą, a gdy przycichło, Mateusz krzychał przy szynkwasie do swoich.

— Ciasno jest wszystkim kiej w tej sieci, bo dwory wszędzie, ze wszystkich stron kiej te ściany ściskają wieś i duszą, chcesz krowę popaść za wsią — w dworskie wnet utkniesz; konia wypuścisz — dworskie za miedzą; kamieniem ciepnąć nie można, bo w dworskie padnie... a zaraz zajmą, zaraz sądy, zaraz sztrafy!

— Prawda! Prawda! Łąka dobra, dwa pokosy daje — dworska juści, najlepsze pole — dworskie, las — dworskie wszystko — przytakiwali.

— A ty narodzie na piaskach siedź, łajnem się ogrzewaj i zmiłowania pańskiego czekaj!

— Odebrać lasy, odebrać ziemię! Nie dać swojego!

Długo tak krzyczeli, ciepłąc się w różne strony, pomstując i pogrążając srogo, a że radzili głośno i z gorącością niemałą, to niejednemu trza się było napić gorzałki dla pokrzepienia, drugie zaś piwo la ochłody pili, a trzecim się przypominały niedojedzone kolacye, że krzykali na żyda o chleb i śledzie...

Ale gdy sobie podjedli a podpili, przestygli mocno z zawziętości i zaczęli się zwolna rozchodzić nic nie postanowiwszy.

Mateusz zaś wraz z Kõbusem i Antkiem, któren już cały czas na boku się trzymał i cosik swojego kalkulował, poszli do Kłęba i zastawszy jeszcze gospodarzy, wspólnie z nimi uradzili coś na jutro i cicho rozeszli się po chałupach.

Noc też już była późna, światła pogasły w izbach, cichość padła na wieś, że jeno kiejś niekiej pies zaszczekał, albo wiatr zaszumiał, że przemarzłe drzewiny tłukły się w mrokach o siebie kiej nieprzyjacioły, a potem długo i trwożnie szemrały. Przymrozek wziął galanty, płoty pobiełały od szronu, ale jakoś zaraz z północks, gwiazdy się skryły, pociemniało i zrobiło się na świecie posępnie, straszno jakoś... Cały naród leżał we śpiu, ale sen był ciężki i gorączkowy, bo raz wraz zrywał się cichy płacz dzieciątek, to ktosik budził się cały w potach i takim strachu dziwnym, że pacierzem duszę krzepić musiał; gdzie znowu huki ja-

kieś spać nie dawały, że zrywali się wyglądać czy nie złodzieje; niejeden zaś krzyczał przez sen, powiedając potem, że zmora go dusiła; to gdziesik psy zawyły tak żałośnie, aż serca truchlały z trwogi, przerażających przeczuć i obaw...

Noc się wlekła długo i ciężko, oprędzając duszą trwogą, niepokojem i strasznymi snami pełnymi mar i widzeń gorączkowych.

A skoro się jeno uczynił świt, że chyla tyła rozedniało i jaki taki oczy ozwał i ciężką, senną jeszcze głowę podnosił, Antek pobiegł na dzwonnice i zaczął bić w dzwon kieby na pożar...

Próżno mu bronił Jambrozy współ z organistą, kłął ich, chciał nawet bić i swoje robił z całej mocy.

Dzwon zaś bił wolno, bezustannie a tak ponuro, aż strach padł na serca, że ludzie strwożeni, wylękli wybiegali na pół ubrani, pytać co się stało, i ostawali już przed chałupami jakby w skamienieniu tak zasłuchani, bo dzwon wciąż bił i huczał ponurym, wielkim głosem w świtowych brzaskach aż ziemia dygotała, aż wystraszone ptactwo uciekało ku borom, a naród przetrwożony żegnał się i skrzepiał w sobie, boć już i Mateusz, Kobus a drugie biegali po wsi, łomocząc kijami w płoty i krzycząc:

— Na las! Na las! Wychodź kto żyw! Pod karczmę! Na las!...

To i na łeb i szyję przyodziewali się, że niejeden jeszcze w drodze się dopinał a pacierz koń-

czył i w dyrdy biegał pod karczmę, gdzie już stał Kłab z niektórymi gospodarzami...

Zaroily się wnet drogi, opłotki, obejścia, zarwały naraz wszystkie chałupy, dzieci podniosły niemały wrzask, kobiety krzykały przez sady, rwetes powstał taki, bieganina, jak gdyby pożar wybuchnął we wsi...

— Na las! Kto ino ma z czem, kosę to z kosą, cepy, kłonice, siekiery a brać!

— Na las! — krzykiem tym trzęsło się powietrze i huczała wieś cała.

Dzień się już zrobił duży, a cichy był, jasny, omglony jeszcze i mroźny, drzewa stały w osędzieliznie kiej w pajęczynach, drogi chrupały pod nogami słabą grudzią, wody się ściły, że pełno było zamarzłych kałuży kiej tego szkła potrzaskanego, w nozdrzach wierciło ostre, rzeźwe powietrze a tak słuchliwe, że całym światem szły te krzyki a wrzawa.

Ale przycichało zwolna, bo zawziętość przejmowała serca i jakaś sroga, pewna siebie, nieustępliwa moc zakamieniła dusze i oblekała je w taką surową powagę, iż milkli bezwiednie, zatapiając się w sobie.

Tłum wciąż się zwiększał, zajęli już cały plac przed karczmą aż do drogi, stojąc gęsto, ramie przy ramieniu a jeszcze przybywali spóźnieni.

Witano się w milczeniu, każdy stawał gdzie popadło, obzierał się naokół i czekał cierpliwie, na starszysnę, która poszła po Borynę.

Pierwszy był ano we wsi, to jemu się należało naród poprowadzić, bez niego żaden gospodarzby się nie ruszył.

Stojali więc cierpliwie a cicho, kiej ten bór zbity w gęstwę i zasłuchany, w głosy jakie z niego idą, i w te bełkoty strug co gdziesik między korzeniami płyną... czasem jeno to jakie słowo przeleciało, czasem czyjaś pięść wybuchnęła w górę, to jakieś oczy rozgorzały bystrzej, to baranice zakolebały się mocniej, to czyjaś twarz poczerwieniała barzej i znowu nieruchomieli, że widzieli się kiej te snopy ustawione w podle siebie gęsto.

Kowal przyleciał, przeciskał wskrós gęstwy i zaczął naród odwodzić, straszyć, że za to co zamysłają, cała wieś pójdzie w kajdany i zmarnieje, a za nim młynarz powtarzał to samo, ale nikt nie zważał na nich ni słuchał — wiadano bowiem dobrze, że obaj dworowi się wysługują i swój mają interes w przeszkadzaniu.

I Rocho przyszedł i ze łzami przekładał podobnie — nie pomogło.

Aż wkońcu i ksiądz przyleciał i jął swoje prawić — nie usłuchali, stali nieporuszeni, nikt czapki nawet nie zdjął, nikt go w rękę nie pocałował a ktosik nawet głośno krzyknął:

— Płacą mu, to prawil!

— Kazaniem krzywdy nie zapłaci — ktosik dorzucił urągliwie.

A tak patrzyli ponuro i zawzięcie, że ksiądz się rozplakał, nie przestając na wszystkie świętoś

zaklinać, by się opamiętali a do domów rozeszli, ale nie skończył, bo przyszedł Boryna i cały naród do niego się odwrócił.

Maciej blady był kiej ściana i surowy, że aż mróz szedł od niego, ale oczy jarzyły mu się kiej wilkowi, szedł wyprostowany, chmurny a pewny siebie, znajomków pozdrawiał skinieniem i oczami po ludziach wodził, rozstapiali się przed nim czyniąc wolne przejście, a on wstał na belki leżące pod karczmą, lecz nim przemówił, zaczęli w tłumie krzyczeć:

— Prowadźcie Macieju! Prowadźcie!

— Na las! Na las! — dały się drugie.

Dopiero kiej przycichło, pochylił się, wyciągnął ręce i jał wielkim głosem wołać:

— Narodzie chrześcijański, Polaki sprawiedliwe, gospodarze a komorniki! Krzywda się nam wszystkim stała, krzywda równa, jakiej ni ścierpieć ni podarować! Dwór las nasz tnie, dwór nikomu z naszych roboty nie dawał, dwór ciągiem na nas nastaje i do zaguby wiedzie! Bo i nie spamiętać ni tych krzywd, tych fantowań, tych szkód a utrapień jakie cały naród ponosi! Podawalim do sądu — co mu kto zrobi! Jeździłim ze skargą — nadarmo. Ale miarka się przebrała, tnie nasz bór! Pozwolim to na to, co?

— Nie nie! nie dać! Rozpędzić, zakatrupić, nie dać! — krzyczeli a twarze szare, chmurne, zasępione rozbłysły wnet kiejby piorunami, sto pięści

zamigotało w powietrzu i sto gardzieli zaryczało, a gniew zatrząsł sercami.

— Nasze prawo, a nikto go nam nie przyznaje; nasz bór a tnie go! To i coś my sieroty poczniemy, kiej nikt na świecie o nas nie stoi a wszystkie ukrzywdzają, coś?... Narodzie kochany, ludzie chrześcijańskie, Polaki, to mówię wama, że rady już inszej nie ma, jeno sami musimy swojego dobra bronić, gromadą całą iść i boru rąbać nie pozwolić! Wszystkie chodźmy, kto jeno żyw, kto jeno kulasami rucha, całą wsią, wszystkie jak jeden. Nie bójta się niczego ludzie, nie bójta, nasze prawo, to i nasza wola i sprawiedliwość nasza, a całej wsi karać nie ukarzą... Za mną ludzie, zbierać się duchem, za mną. Na las! — ryknął mocno.

— Na las! — odwrzasnęli wraz wszyscy, rum się uczynił, tłum się zakołysał, rozpękł i z krzykiem kaźden w dyrdy leciał do domu sposobić się, że powstała gorączkowa spieszna krzątania, przybierania się, zaprzęgi, wyciągania sań, rzenie koni, wrzaski dzieci, klątwy, to kobiece lamentsy, że ino się wieś trzęsła od przygotowań, a może w jakie dwa pacierze już narychtowani ciągnęli na topolową, gdzie czekał Boryna w saniach wraz z Płoszką, Kłębem i co pierwszymi.

Ustawili się w rzędy jak komu popadło, chłopcy, parobki, kobiety, dzieci nawet co starsze ruszyły; kto był saniami, kto konno, kto wozem, a reszta, wieś prawie cała na piechty się wybrała i zwarła się w gęstwą kieby w ten zagon długi, szumiący

zbożem, przerośnięty czerwienią kobiecych przyodziewków, nad którym ino się trzęsły koły niezgorsze, to widły zardzewiałe, to cepy, a tu i owdzie, kiej błyskawica zamigotała kosa, że jakby na rolę ciągnął naród, jeno że nie było śmiechów, żartów i wesela. Stali w cichości, omroczeni, surowi, gotowi na wszystko, a gdy już nastał czas, Boryna wstał w saniach, ogarnął naród oczami i krzyknął, żegnając się:

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! Amen, w drogę!

— Amen! Amen! — przywłóczyli, a że zaświegotała właśnie sygnaturka, snać ksiądz ze mszą wychodził, żegnano się, zdejmowano czapki, bito się w piersi, a jaki taki westchnął żałośnie i ruszali sfornie, mocno i w milczeniu i całą prawie wsią, jeno kował przywarł gdziesik w opłótkach, przebrał się do chałupy, skoczył na konia i popędził bocznemi drogami ku dworowi, Antek zaś, którego był od samego zjawienia się ojca, skrył się w karczmie, skoro ruszyli, wziął od żyda fuzyę, schował ją pod kozuch i pognął do borów na przełaj przez pola... nie oglądając się nawet za gromadą...

A naród ruszył żwawo za Boryną jadącym na przedzie.

Tuż za nim ciągnęły Płoszki, ilu ich było z trzech chałup, ze Stachem na przedzie, naród był nie urodny, ale pyskaty, szumny i wielce w siebie dufający.

A za niemi Sochy, których wiódł sołtys.

A trzecie były Wachniki, chłopcy drobne, suche ale zajadłe kiej osy.

A czwarte szły Gołębie, Mateusz im przewodził, nie wiele ich było, jeno że starczyli za pół wsi, bo same zabijaki nieustępliwe i rozrosłe kiej dęby.

A piąte Sikory, krępe niby pnie, żylaste i mrużliwe.

A potem Kłębiaki i młódź druga, wyrosła, bujna, swarliwa i na bitki wszelkie łakoma, którą prowadził Grzela, wójtów brat.

A wkońcu Bylice szły, Kobusy, Pryczki, Gulbasy, Paczesie, Balcerki i ktoby je tam wszystkie spamiętał.

Szli mocno aż się ziemia trzęsła, posępni, kwardzi a groźni kiej ta chmura gradowa, co to jeno połyskuje, nabrzmiewa piorunami, głuchnie a leda chwila spadnie i świat cały roztratuje.

A za niemi niesły się płacze, wrzaski i lamenty pozostałych.

.

Świat był jeszcze zmartwiałý od nocnego chłodu, pełen sennej głuszy i spowity w lute i szkliste mgły.

Cichość zalegała bory, ziąb przeciągał ostry i słaby brzask zórz oczerwieniał czuby i sypał się gdzie niegdzie na śniegi blade.

Jeno na Wilczych dołach grzmiały huki wałą-

cych się raz po raz drzew, bicie siekier i przeszywający, zgrzytliwy pisk pił.

Walili bór!...

Więcej niżli czterdzieści chłopów, pracowało od samego świtania, kieby to stado dzieciółów spadło na bór, przypięło się do drzew i kuło tak zawzięcie i zajadle, że drzewa padały jedno po drugim, poręba rosła, pocięte olbrzymy leżały pokotem niby łan stratowany, a jeno kajś niekaj niby te osty kwarde, sterczały smukłe nasienniki, pochylając się ciężko jako matki żałośnie płaczące nad pobitemi, kajś niekaj szeleściły smutno krze niedocięte, to jakaś drzewina — mizerota, której topór nie chycił dygotała trwoźnie — a wszędy, na płachtach śniegów podeptanych, niby na tych całunach ostatnich, leżały pobite drzewa, kupy gałęzi, wierzchoły martwe i kłoce potężne obdartym i poćwiertowanym trupom podobne, zaś strugi żółtych trocin rozsączały się w śniegach, kieby ta żalosna krew lasu.

A wokół nad porębą, niby nad grobem otwartym, stał las zbitą, wyniosłą i nieprzeniknioną ciżbą, jako te przyjaciół, krewniaki a znajomkowie, co gęstwą stanęli pochyłoną i w trwożnem milczeniu, z tłumionym krzykiem rozpacz, nasłuchują padających w śmierć i patrzą zdrętwiali na nieubłaganą kośbę.

Bo rębacze szli naprzód nieustannie, rozwiekli się w szeroką ławę i zwolna, w milczeniu, wpierali się w bór, zda się niezmierzony, któren posępną,

wyniosłą ścianą pni zwartych zastępował im drogę, a tak przysłaniał ogromem, że ginęli zgoła w cieńnię konarów, jeno topory błyskały w mrokach i były niestrudzenie, jeno świst pił nieustawał ani na chwilę, a co trochę drzewo się jakieś chwiało, i z nagłą kiej ten ptak zdradnie pochwycony we wnyki, odrywało się od swoich, biło gałęziami i z jękiem śmiertelnym padało na ziemię — a za niem drugie, trzecie, dziesiąte...

Padaly sosny ogromne już od starości oziełniałe, padaly jedle kieby w zgrzebne kapoty przyodziane; padaly świerki rozłożyste, padaly i dęby bure, brodami siwych mchów obrosłe — kiej te starce, których pioruny nie zmogły i setki lat nie skruszyły, a topory na śmierć powiedły, a inszych zasie tyle, podniejszych drzew, któż to wypowie ile, a jakich padało!

Las marł z jękiem, drzewa padaly ciężko jako te chłopcy w boju ściśnięte a parte jedne przez drugie, nieustępliwe, krzepkie, jeno że bite mocą niezmężoną, iż ni Jezus krzyknąć nie krzyknął i wraz całą ławą się chyła i w lutą śmierć padają.

Jęk jeno rozbrzmiewał po lesie, ziemia drgała ciągiem od zwalonych drzew, siekiery waliły bez przestanku, zgrzyt pił nie ustawał, a świst gałęzi, niby ten wzdych ostatni przedzierał powietrze.

I tak szły godziny za godzinami, a coraz nowe pokosy drzew zalegały porębę i robota nie ustawała.

Stoki krzyczały, wieszając się po nasiennikach,

to czasem stado wron przeciągnęło z krakaniem nad tem polem śmierci, to zwierz jaki wysuwał się z gęstwiny, stawał na skraju i długo wodził szklistemi oczami po skołtunionych dymach ognisk, po drzewach padających a dojrzawszy ludzi z bekiem uciekał.

A chłopcy rąbali zawzięcie, wżerając się w bór kiej te wilki, gdy stada dopadną, a ono się zbije w kupę i zdrętviałe śmiertelnie, pobekujące, czeka póki ostatnia owieczka nie padnie pod kłami.

Dopiero po śniadaniu gdy słońce podniosło się do tela, że osędzielizna jęła skapywać a złote pajaki światła pełzały wskrós boru, dosłyszał ktosik daleką wrzawę.

— Ludzie jakieś idą całą gromadą — rzekł któryś, przyłożywszy ucho do drzewa.

Jakoż i gwar był coraz bliższy i wyraźniejszy, że wnet rozległy się pojedyncze okrzyki i głuchy łopot wielu nóg, a nie wyszło i Zdrowaś, kiedy na dróżce biegnącej od wsi, zamajaczyły sanie, które wnet wypadły na porębę, stał w nich Boryna, a za nim konno, wozami i piechty, wysypywał się gęsty tłum kobiet, chłopów i wyrostków, a wszystko to, podniósłszy srogi krzyk, jęło gnać ku rębaczom.

Boryna zeskoczył ze sani i pognął przodem; za nim zaś, gdzie kto ino wziął miejsce, lecieli drużdy; kto był z kijem, kto znów groźnie potrzęchał widłami, któren cepy dzierzył mocno w garści, inszy kosą migotał, a inszy jeszcze z prostą ga-

łęzią, a jak kobiety, to prosto z pazurami i wrzaskiem, a wszystkie runęli na przerażonych rębaczów.

— Nie rąbać! Wara od boru! Nasz las, nie pozwalamy! — wrzeszczeli razem, że i nikto nie wyrozumiał czego chcieli, dopiero Boryna przystanął przy struchlałych i ryknął, że na cały las się rozległo:

— Ludzie z Modlicy! ludzie z Rzeppek i skąd ta jeszcze jesteście, słuchajcie!

Przycichło zdziebko, a on znowu wołał:

— Zabierzta co wasze i idźta z Bogiem, rąbać wzbraniamy, a którenby nie usłuchał z całym narodem miał będzie sprawę...

Nie opierali się, boć srogie twarze, kije, widły, cepy i tyła narodu rozgniewanego, gotowego do bitki strachem przejmowało, to zaczęli się zmawiać, skrzykiwać, topory za pas zakładać, piły zbierać i kupić się do się z pomrukiem gniewnym, a zwłaszcza Rzepczaki, że to szlachta była i od wieków w kłótniach sąsiedzkich z Lipczakami, to wyklinali w głos, trzaskali toporami, odgrażali się, ale chcąc nie chcąc, ustępowali przed siłą, a naród zaś krzykał groźnie, następował na nich i wypierał w bór.

Insi zaś rozbiegli się po porębie gasić ogniska i rozwalać poukładane sążnie, a baby, z Kozłową na przedzie, dojrzawszy budy zbite z desek na kraju poręby, pognały tam, i nuż je rozdierać a rozwłóczyć po lesie, by i śladu nie zostało.

Boryna zaś, skoro rębacze ustąpili tak łącno, skrzykiwał gospodarzy i namawiał bych całą gromadą do dworu teraz iść i zapowiedzieć dziedzicowi, aby się nie ważył lasu ruszyć, póki sądy nie oddadzą, co jest chłopskiego. Ale nim się zmówili, nim wymiarkowali co zrobić, aby było jak najlepiej, baby podniosły krzyk i zaczęły bezładnie uciekać od bud, bo kilkanaście koni wypadłych z lasu jechało im na karkach...

Dwór uprzedzony, przybywał rębaczom na pomoc.

Na czele parobków jechał rządcą, wpadli na porębę ostro i zaraz z miejsca dopadłszy kobiet, zaczęli je prać batami, a rządcą, chłop kiej tur bił pierwszy i krzyczał:

— Złodzieje, Wszarze! Batami ich! W postronki, do kryminału!

— Kupą, kupą, do mnie, nie dawać się! — wrzeszczał Boryna, bo naród już się rozlatywał zestrachany, ale na ten głos powstrzymywali się w miejscu nie bacząc na baty, prażące niejednych już po łbach, w dyrdy, osłaniając rękami głowy, biegli do starego.

— Kijami psubratów! Cepami w konie! — krzyczał rozsrożony stary i porwawszy jakiś kół, pierwszy rzucił się na dworskich! a prał gdzie popadło, za nim zaś, kiej ten bór wichurą gniewu przejęty, zwarty się chłopcy ramie w ramie, cepy przy cepach, widły przy widłach i z krzykiem ogromnym runęli na dworskich, prażąc czem kto ino mógł

dosięgnąć aż zadudniało, jakby kto groch na podłodze kijem wyluskiwał.

Podniosły się wrzaski nie ludzkie, przekleństwa, kwiki przetrącanych koni, jęki rannych, głuche a gęste razy kołów, szamotania chrapliwe i dzikie pokrzyki pobożowiska.

Dworscy bronili się tego, wymyślali i bili niezgorzej od chłopów, ale zaczęli się wkońcu mieszać i cofać, bo konie smagane cepami stawały dęba i z kwikiem nawracały ponosząc, aż rządcą widząc co się dzieje, spiał swojego bułanka i skoczył w całą kupę narodu, ku Borynie, ale ino tyła go było widać, bo naraz zawarczały cepy i kilkadziesiąt bijaków spadło na niego, a kilkadziesiąt rąk chwyciło go ze wszystkich stron i wyrwało z konia, że kiej ten kierz ryjem podważony wyleciał w powietrze i padł w śnieg, pod nogi, iż ledwie go Boryna ochronił i zawlókł nieprzytomnego w przespieczne miejsce.

Skłębiło się wtedy wszystko z nagłą, jak kiedy wichur uderzy niespodzianie w kopy, zamąci, że jeno jeden kłęb nierozeznany się uczyni, tacza po polu i przewala po zagonach; krzyk się podniósł straszny i taki zamęt, taki wir, że już nic nie było widno kromie splełanych kup, tarzających się po śniegach, kromie pięści walących z wściekłością, a czasem jakiś wydzierał się z kupy i uciekał kiej oszalały, ale nawracał wnet i z nowym krzykiem, z nową wściekłością, rzucał się do bitki...

Prali się w pojedynek i kupami, wodzili za

orzydła to za łby, gnietli kolanami, ozdierali do żywego mięsa, a przeprzeć się jeszcze nie mogli, bo dworscy pozeskakiwali z koni, nieustępując ani na krok, ile że przybywała im ciągła pomoc, bo rębacze przeszli na ich stronę i tego wspierali, pierwsze Rzepczaki hurmą a milczkiem kiej te złe psy rzucili się pomagać, a wiódł wszystkich borowy, któren w ostatniej chwili się zjawił, że zaś chłop był jak byk, mocarz głośny na okolicę, a przytem zadzierzysty i swoje sprawy z Lipcami mający, to pierwszy się rzucał, w pojedynkę na całe kupy, rozbijał łby kolbą fuzyi, rozpędzał i tak prał, że niech Bóg broni.

Poszedł nań Stacho Płoszka by go wstrzymać, bo już naród zaczął przed nim uciekać, to go uchwycił za orzydłę, okręcił nad sobą i rzucił na ziem, kiej ten snopek wymłócony, aż Stacho padł nieprzytomny. Skoczył doń któryś z Wachników i trzasnął go cepami gdziesik w ramię, ale dostał na odlew pięścią między oczy, że jeno ozwał ramiona i z tem słowem Jezus, rymnął na ziemię.

Wkońcu już i Mateusz nie wytrzymał i rzucił się do niego, ale choć chłop był w mocy jednemu Antkowi równy, nie wytrzymał i pacierza, borowy go zmógł, sprął, w śniegu utytłał i do ucieczki przyniewolił, a sam ruszył ku Borynie, któren w kupie całej, wodził się za łby z Rzepczakami, ale nim się doń dobrał, opadły go z wrzaskiem baby, przychwyciły pazurami, wpięły mu się w kudły, splątały i przygiąwszy do ziemi wodziły się

z nim — jako te kundle kiej psa owczarskiego opadną, kłami za skórę ujmą i ciepłą się z nim to w tę, to w ową stronę.

Ale już pod ten czas i naród brał górę, zwarli się i pomieszały kiej te liście, każdy swojego ułapił, dusił i taczał się z nim po śniegu, a baby dopadały z boków i darły za kudły.

Wrzask był ano już taki, zamęt, kotłowanina, że swój swojego ledwie rozpoznał, ale wkońcu przeparli dworskich, paru już z nich leżało pokrwawionych, a insze zaś, zmordowane, osłabłe, chyłkiem uciekały w las, tylko rębacze bronili się ostatkami sił, a nawet gdzieś niegdzie prosili o miłosierdzie, ale że naród był rozszokowany jeszcze barzej na nich, niżli na dworskich, że rozgorzał kiej ta żagiew na wietrze, to prośb nie słuchał i na nic nie baczył — jeno prał z całą wściekłością.

Porzucali kije, cepy, widły a zwarli się na moc, chłop z chłopem, pięść na pięść, siła na siłę, gnietli się tak ano, dusili, ozdierali, kulali po ziemi, że już przymilkły wrzaski, a tylko ciężkie charczenia, klątwy, a szamotania słychać było.

Taki się sądny dzień zrobił, że i wypowiedzieć nie sposób!

Ludzie poszaleli prawie, zawziętość niemi rzucała i gniew ponosił, a zwłaszcza Kobus z Kozłową, widzieli się całkiem powściekani, że aż strach było na nich patrzeć, tak byli okrwawieni, pobici a mimo to rzucający się na całe kupy.

Tak się ano przepierali jeszcze, a z coraz większym krzykiem Lipczakom, że już się zaczynały gonić uciekających i bicie w dziesięciu jednego, gdy borowy opędził się wreszcie babom, ale srodze poturbowany i przeto jeszcze wścieklejszy, zaczął skrzykiwać swoich, a dojrawszy Borynę, skoczył na niego, chycili się wpół, opletli barami kiej niedźwiedzie i nuż się przepierać, a zataczać, a bić o drzewa, bo się już byli wywiedli w bór.

Na to właśnie nadleciał Antek, spóźnił się wielce, więc przystanął na kraju boru by złapać nieco powietrza i wnet dojrzał co się z ojcem dzieje.

Zatoczył dookoła jastrzębiami ślepiami, nikto na nich nie baczył, wszystkie ano były w takiej bitce, w takim pomieszaniu, że ni jednej twarzy nie rozeznał, więc cofnął się, chyłkiem przedostał się do Boryny i przystanął o parę kroków za drzewem.

Borowy przemagał, ciężko mu szło, bo już był srodze zmordowany, a i stary trzymał się krzepko, padli właśnie na ziemię, tarzając się kiej dwa psy i tłukąc o ziemię, ale coraz częściej stary był na spodzie, czapa mu zleciała, że jeno ten siwy łeb podskakiwał po korzeniach.

Antek raz się jeszcze obejrzał, wyciągnął flintę z pod kożucha, przykucnął i przeżegnawszy się bezwiednie, zmierzył do ojcowej głowy... nim jednak spuścił kurek porwali się obaj na nogi, Antek też się podniósł i fuzyę przyłożył do oka — nie strzelał jednak, strach nagły, okropny ścisnął

mu tak serce, że ledwie mógł dychać, ręce mu latały kiej w febrze, zadygotał cały, w oczach pościemniało i tak się zakręciło w głowie, że stał długą chwilę nie wiedząc zgoła, co się z nim dzieje, naraz rozległ się krótki, przerażający krzyk.

— Ratujta ludzie!... Ratujta...

Borowy właśnie w ten mig trzasnął Borynę kolbą przez łeb aż krew chlusnęła, a stary jeno zakrzyczał, podniósł ręce do góry i padł kiej kloc na ziemię...

Antek oprzytomniał, rzucił fuzyę i skoczył do ojca; stary jeno charczał, krew zalewała mu twarz, głowę miał prawie na pół rozłupaną, żyw był jeszcze, ale już oczy zachodziły mu mgłą i kopał nogami...

— Ociec! Mój Jezus! Ociec! — wrzasnął strasznym głosem, porwał go na ręce, przytulił do piersi i zaczął w niebogłoso krzyczeć:

— Ociec! Zabili go! Zabili! — wył kiej ta suka, gdy jej dzieci potopią.

Aż kilkoro ludzi co najbliższych postyszało przybiegło na ratunek; złożyli pobitego na gałęziach i jęli śniegiem obwalać mu głowę i ratować jak ino poredzili. Antek zaś przysiadł na ziemi, targał się za włosy i krzyczał nieprzytomnie:

— Zabili go! Zabili!

Aż myśleli, iż mu się z nagła w głowie popsuło.

Naraz ucichł, przypomniał sobie z nagła wszystko i rzucił się do borowego z krzykiem przerażają-

cym i z takim szaleństwem w oczach, że borowy się złął i zaczął uciekać, ale czując, że go tamten dogania, odwrócił się raptem i strzelił mu prawie prosto w piersi, nie trafił go jednak jakimś cudem, tyle jeno, że twarz osmalił, a Antek zwał się na niego jak piorun.

Próżno się bronił, próżno wymykał, próżno przywiedziony rozpaczą i strachem śmiertelnym o zmiłowanie prosił — Antek porwał go w pazury, kiej ten wilk wściekły, zdusił za gardziel aż grdyka zachrzęściła, uniósł do góry i tłukł nim o drzewo potąd, póki ostatniej pary nie puścił.

A potem jakby się zapamiętał, że już nie wiedział co robił, rzucił się w bitkę, a tam kędy się zjawił, serca truchlały, ludzie uciekali ze strachem, bo straszny był, umazany ojcową krwią i swoją, bez czapki, z pozlepianym włosom, siny kiej trup, okropny jakiś a tak nadludzko mocny, że prawie sam jeden zmordował i pobił te resztę dających opór, aż musieli go wkońcu uspakajać i odrywać boby zabijał na śmierć...

Bitka się skończyła i Lipczaki choć zmordowani, pokaleczeni, okrwawieni, napełniali las radośną wrzawą.

Kobiety opatrywały co ciężiej rannych i przenosiły na sanie, a było ich nie mało, Kłębiak jeden miał złamaną rękę, Jędrzych Pacześ przetrącony kulas, że stąpić nie mógł i dał się w niebogłosy kiej go przenosili, Kobus zaś był tak pobity, że się ruchać nie mógł, Mateusz żywą krew

oddawał i na krzyż narzekał, a insi też ucierpieli nie gorzej, że prawie nie było ani jednego, któryby cało wyszedł, ale że górę wzięli, to i na ból nie bacząc, pokrzykali wesoło a rozgłośnie — i zabierali się do powrotu.

Borynę złożyli w saniach i wieźli wolno, bojąc się by w drodze nie zamarł, nieprzytomny był, a z pod szmat wciąż wydobywała się krew, zalewając mu oczy i twarz całą, blady był jak płótno i zupełnie podobny do trupa...

Antek siedł przy saniach wpatrzony przerażonym wzrokiem w ojca, podtrzymywał mu głowę na wybojach i raz wraz bełkotał cicho, prosząco, żałośnie:

— Ociec! Loboga, ociec!...

Ludzie szli bezładnie, kupami, jak komu lepiej było a lasem, bo środkiem drogi szły sanie z poranionymi, jaki taki jęczał i postękiwał, a reszta śmiała się głośno, pokrzykując wesoło i szumnie. Zaczęli opowiadać sobie różności, a przechwalać się z przewagi i przekpiwać z pokonanych, gdzie niegdzie już i śpiewy zaczęły się rozlewać, ktoś znów krzykał na cały bór aż się rozlegało, a wszyscy byli pijani tryumfem, że nie jeden zataczał się na drzewa i potykał o lada jaki korzeń!...

Mało kto czuł pobicie i zmęczenie, bo wszystkie serca rozpierała nieopowiedziana radość zwycięstwa, wszyscy pełni byli wesela i takiej mocy, że niechby się kto sprzeciwił, na prochyby starli, na cały światby się porwali.

Szli mocno, głośno, hałaśliwie, tocząc jarzącymi oczami po tym borze zdobytym, któren chwiał się nad głowami, szumiał sennie i sypał na nich rosisisty opad osędzielizny — kieby temi łzami pokrapiał.

Naraz Boryna otworzył oczy i długo patrzył w Antka jakby sobie nie wierząc, aż głęboka, cicha radość rozświeciła mu twarz, poruszył ustami parę razy i z największym wysiłkiem szepnął:

— Tyżeś to synu?... Tyżeś!...

I omdlał znowu.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

School of Liberal Arts and Sciences
St. Hyacinth Seminary
Granby, Massachusetts

